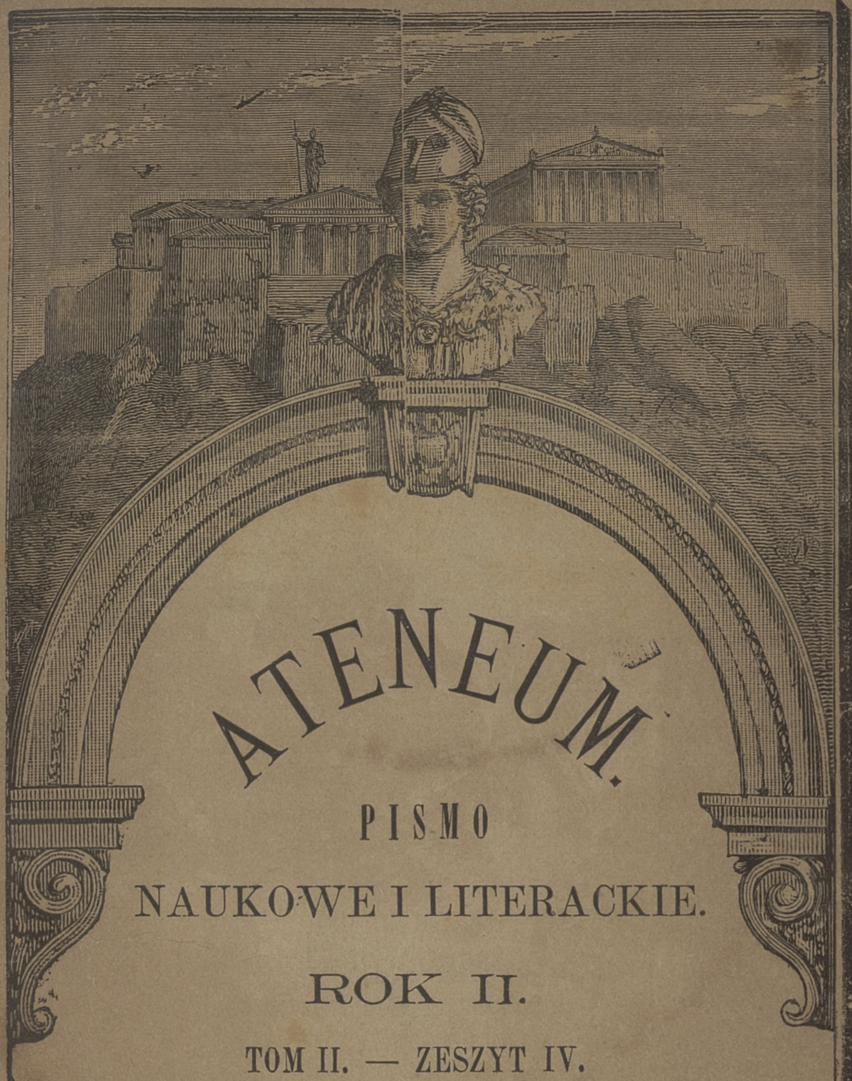


ATENEUM.

PISMO

NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK II.

TOM II. — ZESZYT IV.

Kwiecień.

WARSZAWA.
DRUKIEM JANA NOSKOWSKIEGO,
ulica Mazowiecka Nr. 11.

1877.

SPIS RZECZY.

Str.

I. KWESTYE I STOSUNKI AGRARNE. Nowa książka Księcia Wasilczykowa. Przez *Włodzimierza Spasowicza* . . . . 1.

II. ZŁOTO I SREBRO, JAKO ŚRODKI OBIEGOWE . . . 24.

III. SŁOWIAŃSZCZYZNA POŁUDNIOWA, pogląd społeczny, skreślił *Teod. Tom. Jeż.* (ciąg dalszy). 44

IV. POSTRZELONA, powieść Wiliama Black'a, przekład *Maryi Faleńskiej* (ciąg dalszy). . . . . 63.

V. ZARYSY ŻYCIA LUDOWEGO NA SZLĄSKU. Przez *Lucyjana Malinowskiego* (ciąg dalszy) . . . . 101.

VI. ETER I JEGO ZNACZENIE W FIZYCE. Przez *Stanisława Kramsztyka* . . . . 121.

VII. PRÓBY NOWEGO PRZEKŁADU ILIADY. Przez *P. Chmielowskiego* . . . . 140.

VIII. WYDZIAŁ MATEMATYCZNO-PRZYRODNICZY AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE, w latach 1879—1876. Przez *Maryana A. Baranieckiego* . . . . . 164.

IX. KRYTYKA: 1) Der Ursprung der Sprache im Zusammenhange mit den letzten Fragen alles Wisens. Berlin. 1877, str. XVI i 374. Przez *H. Struve* . . . . 173.

2) Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce, przez Juljusza Falkowskiego. Tom I. Poznań. Nakładem Jana Konstantego Żupańskiego 1877. 8 str. 344. Przez *K. K.* . . . . 183.

3) Z podróży Oświecima (Turcya, Francya, Niemcy, Włochy) wydał z rękopisu Klemens Kantecki. Lwów. 1876, w 8-ce str. 203. Przez *S.* . . . . 194.

4) Zarysy charakteru Germanów i Słowian przez A. A. Warszawa 1877. Przez *St. Ł.* . . . . 196.

X. KRONIKA NAUKOWA. Przez *Bronisława Rejchmana* . 200.

XI. O PRZESILENIU FINANSOWÉM NA UKRAINIE I PODOLU. Wrażenia z kontraktów kijowskich. Przez *K.* . . 210.

XII. KARTA ETNOGRAFICZNA SZLĄSKA GÓRNEGO I KSIĘSTWA CIESZYŃSKIEGO, ułożona przez *Lucyjana Malinowskiego* (Do rozprawy „Zarysy życia ludowego na Szląsku").

KWESTYE I STOSUNKI AGRARNE.

NOWA KSIĄŻKA KSIĘCIA WASILCZYKOWA.

Ziemlewładienje i ziemledielje w Rossii i drugich jewropejskich gosudarstwach, kniazia A. Wasilczykowa. St.-Pietierburg. 1876. 2 tomy, str. 1005.

Autor bardzo poważnéj pracy o „Samorządzie,“ książę Wasilczykow, ogłosił drukiem długo oczekiwane dzieło o własności ziemskiéj i rolnictwie, uwydatniające społeczne przeciwieństwa pomiędzy własnością a pracą, postępami i udoskonaleniem w rolnictwie a wzrostem proletaryatu, w skutekześrodkowania całéj własności ziemskiéj w ręku coraz mniejszéj liczby właścicieli. Obrawszy za przedmiot olbrzymią kwestyą agrarną, zawiłą i brzemienną wielkiemi następstwami, które się z trudnością dają obrachować i przewidziéć, książę Wasilczykow, po bardzo obszernych studyach porównawczych, historycznych i krytycznych, podaje wnioski, mające na celu praktyczne rozwiązanie w swym kraju zawikłań, grożących wielkiemi w przyszłości przewrotami, jeżeli im w porze właściwéj nie zaradzi przezorna polityka agrarna. Arystokrata z pochodzenia i właściciel obszernych posiadłości, książę Wasilczykow jest demokratą z przekonania, przytém patryotą bezwarunkowo wierzącym w lepszość zasad tkwiących w organizacyi wielko-rosyjskiego „miru“ (gminy) i we wspólnowładztwie gminy włościańskiéj, w porównaniu z zasadami własności osobistéj i dziedzicznéj, ustalonemi w całéj zachodniéj Europie. W tym względzie, historya całéj przeszłości położyła wielki i stanowczy przedział pomiędzy nami a Wielkorossyą i związała nas z organizacyą gruntową, wedle zasad i pojęć europejskich. W ziemiach, które należały niegdyś do państwa polskiego, powszechną jest własność

osobista i podział gruntów między chaty, w zupełności przeciwny gminowładaniu wielkoruskiemu ziemią. Krytykując agrarne urządzenia europejskie, szczególnie niemieckie i nasze, które uważa za przyjęte i zapożyczone od Niemców, autor ciska w nas mnóstwo ostrych zarzutów i zaskarżeń namiętnych jednostronnych, dających się tłómaczyć tém, że książę Wasilczyków na kwestyą bardzo ogólną i wszechludzką patrzy ze zbyt wyłącznego narodowego swego stanowiska. Książka księcia Wasilczykowa wymaga przedewszystkiém krytyki poważnéj, opartéj na takiéjże znajomości faktów, jaką posiada autor; jego twierdzenia, jego zarzuty, należałoby zbijać i odpierać szczegółowo, ale ocena takiego rodzaju wymaga dłuższego czasu i może być dokonaną tylko przez ludzi specyalnie obeznanych z kwestyą włościańską. Nim się znajdą tego rodzaju krytycy, dla wywołania saméj krytyki konieczném jest rozpowszechnienie treści pracy księcia Wasilczykowa drogą pism peryodycznych, a to w celu zaznajomienia naszéj czytającéj publiczności nietylko z głównemi wynikami badań autora, lecz nawet i z najbardziéj bolesnemi zarzutami. Na obelgi i obmowy, w złéj wierze czynione, można nie odpowiadać, lecz niepodobna zbywać milczeniem sądów, chociażby najnieprzychylniejszych, jeżeli są oparte na badaniach naukowych, — nie podawać tych sądów do powszechnéj wiadomości. Wychodząc z tego punktu widzenia, sądzimy, że nie odstąpimy od obowiązku obrony interesów moralnych naszego społeczeństwa, gdy podamy krótki rys dzieła księcia Wasilczykowa, z najpobieżniejszém zaznaczeniem rzeczy w tém dziele nowych, oraz spornych punktów, o które wypadałoby zdaniem naszém, walkę stoczyć na obszerniejszéj arenie.

I. Wyjąwszy błogosławione krainy europejskiego południa, gdzie człowiek wyżyć może przy małéj pracy, a ubóstwo mniéj cierpi, bo łatwiéj zaspokaja swoje potrzeby, prawie we wszystkich północniejszych ziemiach o surowszym klimacie, obok najwytworniejszéj cywilizacyi, krzewi się nędza w przerażających rozmiarach, rusza się niespokojnie proletaryat roboczy, i od czasu do czasu drga gmach społeczny, wstrząsany od podstawy. Te wielkie i niebezpieczne, w znacznych odstępach czasu pojawiające się i po większéj części bezowocne ruchy możnaby składać na karb ciemnoty mas i namiętności ludzkich, podżeganych przez przewrotnych agitatorów, gdyby nie jedna okoliczność, świadcząca, że złe doskwiera istotnie ruszającym się masom, i że rzeczywiście cierpią

warstwy społeczeństwa dolne, gdy jednocześnie na wyżynach bujnie rozkwita kultura. Okolicznością tą jest *emigracya*, wynoszenie się z Europy całemi rodzinami ludzi, którzy, straciwszy nadzieję wytrwania w grze hazardownéj pracy najemnéj, resztki sił i zasobów stawiają na kartę, aby uchyliwszy się od jarzma przykrych stosunków w ojczyźnie, szczęścia w innym świecie popróbować. Nie podlega wątpliwości, że na wychodztwo wywiera wpływ rasa; pochop do wychodztwa prawie nie istnieje u ludów plemienia łacińskiego; wysiedlali się dotąd za morze anglik, irlandczyk, niemiec (wiadomo że ostatniemi czasy prąd niemieckiego wychodztwa pociągać zaczął nawet chłopów polaków w Poznańskiém i Galicyi). W ciągu lat 1815-1870 z Wielkiéj Brytanii i Niemiec, wyszło co najmniéj 10 milionów emigrantów, z téj liczby na W. Brytanią przypada 6786677, więc w przecięciu po 123000 na rok; że jednak ilość wychodźców wzrastała, więc w ostatnich latach cyfra roczna wychodztwa doszła do 200 t. i zatrzymała się na téj liczbie, którą można uważać obecnie za normalną, a która równa się mniéj więcéj rocznemu przyrostowi ludności i stanowi około 6% sumy ludności. Przyczyny wzrostu wychodztwa są wyłącznie ekonomiczne: większą połowę całego kontyngensu dostarcza mniéj obszerny słabiéj zaludniony zielony Erin. Prąd emigracyjny unosił z sobą nie nędzarzy bez dachu siedzących na bruku, ale lepszą część proletaryatu, ludzi zdrowych, mocnych, pracowitych i oszczędnych. Koszta przewozu i osiedlenia się wynoszą dla emigrującego Anglika od 15 do 22 f. szt. na osobę (do 154 r.), więc na rodzinę z 4 osób—około 600 r. Wartość ekonomiczna téj odpływającéj siły roboczéj da się przez przybliżenie wywnioskować z ilości pieniędzy, które wychodźcy wysyłają na powrót do ojczyzny na zapomogę dla swych krewnych. Od 1847 do 1860, w ciągu lat 14, wpłynęło do Irlandyi w ten sposób od wychodźców irlandzkich 11 milionów f. szt. (przeszło 89 milionów r. sr.). Wychodztwo angielskie i irlandskie ma to do siebie, że jest w wysokim stopniu kolonizacyjne. Z 7 milionów wychodźców, 2200000 zaludniło Australią, a 3800000 wyniosło się do Stanów Zjednoczonych; nie były więc to siły stracone dla ojczyzny matki, skoro wzmogły dobrobyt jéj kwitnących kolonij; nawet wychodztwo amerykańskie nie może być uważane za stratę dla narodu i jego kultury, bo jest korzystne dla całéj rasy anglosaskiéj. Inaczéj rzecz się ma z wychodztwem niemieckiém. Napróżno politycy niemieccy chcieliby skierować prąd wychodztwa na wschód, do Austryi, Węgier, Turcyi, w krainy słowiańskie, by ci pionierowie cywilizacyi germańskiéj stali się *ein festes Bollwerk gegen Slawengefahr*. Główny kierunek wychodztwa

idzie na zachód przez morze do Stanów Zjednoczonych; strata kapitałów wywożonych przez wychodźców jest jeszcze większa niż z Anglii, przecięciowo 195 talarów na osobę z Pruss, 424 guldeny z Austryi, czyli na rodzinę z 4 osób około 800 rubli z Pruss i około 1000 z południowych Niemiec. W okresie 1815—1872, wywędrowało przeszło 3 miliony, a prąd wychodztwa jeszcze nie doszedł do swojego maximum, około 1817 wychodźców liczono rocznie 30000, do 1848 po 100 t., w 1854—254 t., potém nastąpiło niby przesilenie, ruch się zatrzymał; lecz od 1865 wzmógł się znowu i stanowi przecięciowo 150 do 200 t. Książę Wasilczyków przepowiada, że będzie tych wychodźców daleko więcéj, że ich liczba dojdzie do trzechkroć i czterechkroć stu tysięcy. Wychodztwo niemieckie zostaje w bezpośrednim związku z militaryzmem i obowiązkiem służby wojskowéj, któremi się tłómaczy ciekawe zjawisko tak zwanych tajemnych wychodźców (heimliche Auswanderer), to jest poprostu zbiegów od wojska. W małych Prussach, przedaneksyjnych (1855—1864), w ciągu lat 9, nie doliczano się takich dezerterów 48756, to jest całego prawie korpusu wojska. Odtąd dezercya starannie ukrywana przez rządy i prasę, nie zmniejszyła się, ale wzrasta. Autor obrachowuje, że w Prussach teraźniejszych ilość zbiegów od rekruta dochodzi rok rocznie do stu tysięcy. O ile jednak, prócz surowego Marsa, wpływają na wychodztwo przykre stosunki agrarne, to najlepiéj tłómaczą fakta ludnościowe z raju niemieckiego możnowładztwa, z małego Meklemburga. W tym kraju słabo zaludnionym (2298 mieszk. na milę kwadr.), na półmiliona mieszkańców było wychodźców w 1856—5 t., w 1857—8 t., w 1864—5500, więcéj niż 1% ludności. Uchodzili przytém najliczniéj rolnicy, osiedli na gruntach wielkich właścicieli ziemskich. Cała ta klasa włościan, uprawiających pańskie grunta, zmniejszyła się liczebnie nie w skutek przeludnienia, lecz przez wyciskanie ich systematyczne, dokonywające się w miejscu, o kilka godzin jazdy odległém od Berlina i Hamburga i nie za czasów feudalnych, lecz w XIX wieku. Uważając emigracyą jako znamię spółczesnéj nam niewoli ekonomicznéj i jako dowód popędu klas roboczych do nabycia własności gruntowéj, niedostępnéj w ojczyźnie z powodu taniości pracy i drożyzny ziemi, autor oświeca samo wnętrze stosunków agrarnych, tłómacząc: jak się uorganizowały te stosunki w Anglii, Francyi i Niemczech.

II. *Wielka Brytania.* „Anglia cała przedstawia się jak ciągły park, ale w tym parku darmo szukać włościanina, małego a dobrze mającego się osadnika; przerażająca rzecz widzieć, jak z rozwinięciem rolnictwa jednocześnie powiększa się pauperyzm rol-

niczy.“ Tym epigrafem z dzieła Krzyżtopora (O urządz. stos. roln. 1859 str. 150, 181) tłómaczą się dzieje stosunków agrarnych angielskich U Anglo-Sasów przemagającą była własność gminna. Obszerne lasy i pastwiska (folkland) były we wspólnym użytkowaniu całéj gminy, ziemie orne (open fields albo commons) krajane na pasy, rozdawane były kmiecym rodzinom za pomocą wylosowania przy odnawiających się od czasu do czasu podziałach, zupełnie tak, jak się to dziś jeszcze dzieje z ziemią gminną (mirską) w Wielkorossyi. Ogrodzone sadyby kmiece (inclosures) stanowiły drobny zarodek własności osobistéj; pod koniec zaczęły się formować folwarki pańskie albo rycerskie: ale ten gatunek własności rozwinąć się nie mógł, bo go zgniotła nawała normandzkiego najazdu. W skutek podboju przeprowadzona została od razu, z nieznaną na lądzię europejskim ścisłością, zasada stanowiąca podstawę feudalizmu. Jedynym uniwersalnym właścicielem ziemi stał się król, z rąk jego dzierżyli, wedle Domesdaybooku (1086 r.), prawem lenném, 28115 feudów kościoły i duchowieństwo i 32100 feudów rycerze, a z rąk tych wielkich lenników—podlennicy (subtenentes), wszyscy pod obowiązkiem niesienia służby i podatków. W innych krajach, pierwotne stosunki lenne przerodziły się i spaczyly z biegiem czasu, arystokracya feodalna drogą przywileju wyzwoliła się od podatków a nawet od służby i przywłaszczyła sobie nad poddanemi prawa sądu i miecza, przez co stała się podwójnie nienawistną ludowi. W Anglii ułożyły się stosunki zupełnie inaczéj. Pakt lenny przy podboju, zawiązany w XI w., pozostał w swéj mocy aż do dziś dnia, możnowładztwo nie przywłaszczało sobie nigdy żadnéj juryzdykcyi patrymonialnéj i nie uchylało się nigdy przez uprzywilejowanie od służby, ani podatków. Formalną równość wszech stanów przed prawem i przed jedynym sądem królewskim była już zapewniona w Magna Charta (1215 r.) i, od początku aż do dziś dnia, trwa niewzruszenie zasadnicze pojęcie, że największych praw używa tylko ten, kto największe ponosi ciężary, pojęcie, na którego zastosowaniu opiéra się wielkość i popularność arystokracyi angielskiéj. Wielkich rzeczy dokazała ta instytucya; promienną stronę jéj stanowią równość przed prawem i wolność osobista, lecz jest i druga strona mniéj pokaźna, mniéj znana. Bez cienia gwałtu i przymusu, w ciągu wieków, stopniowo i nieznacznie, prawie niedostrzeżenie, arystokracya zniosła całą gminną organizacyą, całą współwłasność i, wywłaszczywszy klasy rolnicze, sama prawie wyłącznie obszar ziemi posiadła. Stało się to mniéj więcéj w następny sposób.

Lord, wielki lennik, miał swój dwór czy zamek, *manor*, i na-okół ziemie, *wastes*—pustki, w obręb których weszło niemało gminnego folklandu, i na których siedziało dużo wolnego albo i niewolnego osadnika. Z miejscowéj ludności anglosaskiéj, część jedna zamożniejsza (około 23000 wedle Domesdaybook'u) utrzymała się przy ziemiach, dostawszy je wprost od króla prawém lenném. Ta kmieca własność, z gminy wycięta i na wzór normandzkiéj lenności urobiona, stała się *free tenure*, a jéj posiadacze—*freeholderami*. Z tych mniejszych właścicieli, wytworzyła się późniéj klasa *gentry*, druga warstwa angielskich właścicieli ziemskich. Daleko większa jeszcze liczba rolników tubylców znalazła się w stanie służebnym podlenników, wolnych czynszowników, parobków i nawet niewolników. Ziemi było dużo, a ludność rzadka i ręka ludzka potrzebna, ztąd musiała być wielka pokusa do przykucia, przygwożdżenia téj roboczéj ludności do ziemi, do obrócenia rolników w poddanych, w glebae adscriptos. Otóż téj pokusie nie uległo nigdy rycerstwo angielskie, które z niezmierną przezornością dostrzegło, że niewola włościan może przez zasiedzenie gruntu doprowadzić kiedyś do prawa własności. Niewola nietylko nie zrobiła postępu, ale nieznacznie (w. XI—XV), bez wtrącania się władzy prawodawczéj, dokonane zostało usamowolnienie niewolników. Poddaństwo osobiste, niewola już całkowicie ustaje za czasów Elżbiéty, i nikt się nie obejrzał, kiedy się odbyła ta wielka zmiana społeczna. Pomiędzy właścicielem a włościanami była wolna umowa i odejście wolne, tak dla stałego osadnika jak i dla najemnego parobka (labourer). Ponieważ robotników było mało, udało się ziemskim właścicielom, skarżącym się bezustannie na drogość pracy i rozpustę ludu służebnego, przeprowadzić w parlamencie r. 1259 taksę najmu parobków (labourers wages), a w 1350 wydany był pierwszy w Europie statut o robotnikach, ograniczający wolność przechodzenia od jednego gospodarza do drugiego. Próżne usiłowania, papierowa robota! statut ten nie był wykonywany, a miał ten tylko skutek, że królewscy sędziowie pokoju poczęli rozpoznawać wszelkie spory o płacę między robotnikiem a gospodarzem. Podstawą stosunku pomiędzy panem gruntu a stałym osadnikiem była umowa wpisana do inwentarza pańskiego (roll); kopię wyciągu z inwentarza, zawierającą warunki dzierżawy, pan dawał osadnikowi, ztąd nazwa *copyholder* (osadnik kopiowy). Taki osadnik, na mocy ziemskiego zwyczaju (custom), nie bywał rugowany, póki pełnił określone w wyciągu obowiązki. Takich copyholderów w r. 1660 liczono jeszcze 160000 rodzin. Z biegiem czasu, stosunek ten mógł się zmienić na czynsz wieczysty i przez wykup przejść na

własność, gdyby temu końcowi nie zapobiegła zbiorowa polityka wielkich właścicieli, któréj się udało nieznacznie zmienić podstawy stosunku. Większa część dawnych kontraktów na ziemie, zwyczajowych, wieczystych, została zmienioną i zastąpioną przez nowe szczegółowe (leases), osadnicy z *copyholderów* stali się *leaseholders* na pewien termin, nie wedle zwyczaju (custom), lecz wedle woli pańskiéj (at will of the Lord). Takiego osadnika mógł już właściciel rugować po terminie, osadzając innego, albo nawet znosząc sadybę chłopską i wcielając grunt do pól dworskich. Statut 1448 zabrania właścicielom obracać na dworskie folwarki osady (inclosures) rustykalne, mające przeszło 20 akrów (14,44 mrg. now. pol.) obszaru, więc uprawnił zabieranie pomniejszych kawałków, których było daleko więcéj. Z *tenants at will*, to jest z osadników z woli pańskiéj, utworzyła się klasa liczna angielskich drobnych dzierżawców *farmers*, bezziemna i zależna. Ze 160000 rodzin wieczystych (copyholders, yeomanry), liczonych w r. 1660, w 1816 pozostawało tylko 16000, w 1831 tylko 7000, dzisiaj zaś ten stan stajał do zera, i cała własność ziemska w Anglii należy do 30 t. właścicieli, ale „napróżno szukać włościan". Ostatnie ślady własności wspólnéj chłopskiéj zostały zatarte przez dokonaną za naszych czasów seperacyą gruntów, która była ostatniém przyłożeniem ręki do wywłaszczenia włościan. Wskazaliśmy powyżéj: co to był folkland i open fields, ziemie gminne we wspólnéj używalności zostające; ziemie te weszły w skład feudów pańskich, które za Stuartów już uchodzą za zupełną własność właścicieli (estotes), lecz, skutkiem dawnéj pamięci i zwyczaju, te gminne niegdyś ziemie nie przeszły na wyłączne użytkowanie właściciela, chłopi nie przestawali w nich używać praw wrębu i pastwiska, ztąd skutkiem zwykłym wspólnego użytkowania, był niski stan kultury tych pustych obszarów (wastes) i oczywista potrzeba separacyi—*clearing of estotes*. O wielkiém znaczeniu operacyi odseparowania gruntów, łatwo sądzić z cyfr następnych. W ostatnich latach XVIII w. (1798), 7800000 akrów open fields podlegało separacyi na 35 milionów akrów całéj ziemi uprawnéj, zatém open fields stanowiły $1/5$ ziemi uprawnéj. Książe W. oblicza, że gdyby ten olbrzymi zapas podzielony był pomiędzy całą ludność rolną ówczesną, wypadłoby na głowę po 4 akry (około 2,89 morg). Separacya odbywała się początkowo bez żadnéj interwencyi władzy prawodawczéj, na mocy umów dobrowolnych. Panowie zwykle skupowali służebności drogo płacąc i zakładali na uwolnionych gruntach sztuczne łąki i pastwiska; dopiéro kiedy większa część wspólnych używalności przeszła już w ręce wielkich właścicieli, stanął Jnclosure act 1845 r., pierwszy przykład

wtrącenia się rządu w stosunki agrarne. Za warunek przeprowadzenia separacyi postanowiono zgodzenie się właściciela i $^2/_3$ używających służebności chałupników (householders); ci ostatni otrzymują nie na własność, lecz na wyłączne użytkowanie, kawałki gruntu niemniejsze od $^1/_4$ akra (75 prętów kw.) przez losowanie (allotment), pod warunkiem opłaty dość znacznego czynszu. Inclosure act pojawił się zapóźno i nie zadowolił nikogo; bo jakąż pomocą w gospodarstwie rolném może być cząsteczka ziemi z $^1/_4$, a choćby nawet $^1/_2$ akra?

Książe W. mógł nawiasowo tylko korzystać z urzędowego wydania 1876 Returr of Owners of Land in England and Wales (2 tomy). Główne daty statystyczne w dziele księcia W. sięgają 1861, w którym rozkład gruntów był taki: ludności rolniczéj liczyła Anglia 2010454 osób; posiadłości ziemskich było w Anglii i Walii 223271, należących do 30766 właścicieli (Brigt w mowie 27 sierpnia 1866 twierdził, że połowa gruntu Anglii należy tylko do 150 osób); wszystkie te posiadłości były podzielone na 283736 ferm, z których zaledwo 40000 jest większych przenoszących 200 akrów (144,4 morgów), a reszta (przeszło 2400000) drobnych, od 5 do 200 akrów; ztąd okazuje się, że Anglia jest krainą wielkiéj własności, ale małéj uprawy. Pomijamy folwarki wzorowe, które wielcy posiadacze pozakładali przez amatorstwo, i którym się dziwują podróżni cudzoziemcy. Reszta da się podciągnąć pod dwa typy: większych ferm, wypuszczanych na dłuższy przeciąg czasu (7—14 lat) zamożniejszym dzierżawcom (gentlemen farmers), na mocy kontraktów (leases). Renta wysoka stanowi zwykle od $^1/_4$ do $^1/_3$ części dochodu brutto i przewyższa czysty zarobek dzierżawcy. Typ ten przemaga w północnéj Anglii (West Riding), w tamtejszych hrabstwach położenie ludu roboczego jest lepsze, robotnik pobiéra 12 szyl. na tydzień, liczba ubogich wynosi od 3 do 4% ludności, podatek na biednych po 1 szyl. od f. st. dochodu. Drugi typ przemaga na południu, gdzie biéda częstsza, płaca robotnika 8 szyl. tygodniowo, liczba ubogich dochodzi do 13—16%, i podatek na nich z dochodu po 2 szyl. od f. st. Typ ten ma następne cechy: fermy drobne, dzierżawcy ludzie prości, terminów żadnych, dzierżawa bez kontraktu *at will*, dzierżawca może być dowolnie wydalony za sześciomiesięcznem wypowiedzeniem mu dzierżawy. Fermy te gorzéj są uprawne i mniéj dla właściciela dochodne (renta stanowi $^1/_5$ dochodu brutto), a jednak systemat dzierżawienia ziemi bez kontraktów bierze stopniowo górę nad wieloletniemi kontraktami, jednocześnie dokonywają się szybko dwie fatalne zmiany, pełne znaczących następstw: ubywa rolników i zmniejsza się licz-

ba właścicieli przez skupianie się ziemi w coraz mniejszéj ilości rąk; bogatsi stają się jeszcze bogatszemi, ubodzy jeszcze uboższemi, pomiędzy niemi otwiéra się coraz większy przedział.

W 1861 było ludności 20066224, w 1871—22712266
W téj liczbie właścicieli 30776 22964
Fermerów i najemników 1098261 922054
Więc w ciągu lat dziesięciu ludności przybyło 1646042 (8,15%)
Właścicieli ubyło 7802 (25,3%)
Rolników ubyło . . . . , . . 176207 (16%)

(Max Wirth, Augsb. Zeit. 23 Września 1874).

Z po za tych cyfr wyziera wielka, poważna i jak fatum nieunikniona kwestya agrarna (the Land Question) stawiona trzeźwo, praktycznie, jak ją umieją stawić tylko anglicy, bez uniesień i krzyków, bez straszydeł komunizmu i apostrof o świętém prawie własności. Wielcy ludzie myśli, jak John Stuart Mill, i czynu, jak Gladstone i Brigth, stoją po stronie legalnéj, wolnéj agitacyi, która dąży ku przekształceniu własności ziemskiéj w jéj podstawach. Próbą dla przyszłych usiłowań i wskazówką, w jakim duchu i kierunku odbędzie się rdzenny przewrót, któregoby nie przeniosło mniéj silnie zbudowane społeczeństwo, stanowi głośny Irish land bill z roku 1872, dzieło Gladstona i Brighta, nad którém warto się zastanowić.

Zapatrując się ze zbyt wyłącznego stanowiska, Krzyżtopór tłómaczył nędzę irlandzką, przy tychże co w Anglii instytucyach, przez jedyną przyczynę: prześladowanie religijne (153). Daleko lepiéj, daleko prawdziwiéj tłómaczy książę W. tęż nędzę, odsuwając na dalszy plan rasę i religią, jako przyczyny drugorzędne, przez zbieg nieprzyjaznych okoliczności historycznych, które uwydatniły wszystkie wady urządzeń angielskich agrarnych, a nie dały się rozwinąć dobrym ich cechom i właściwościom. Wielki czyn gwałtu, podboju, spoliacyi, który poczyna historyą Anglii z Wilhelmem zdobywcą (1066), dokonany został w Irlandyi o kilka wieków późniéj, bo zabór z mocy bulli Adryana z r. 1156, nadającéj Irlandyą Henrykowi II, uskutecznić się dał dopiéro przy Elżbiecie i Kromwelu. Król, jako właściciel ziemi uniwersalny, nadawał hojnie grunta, które przeszły przez uniwersalną konfiskatę, wszystkie dobra kościelne i klasztorne katolickie poszły na żer sokołom, to jest na całe roje chciwe łupu młodszych synów i braci lordów i ziemian angielskich, którym brakło odpowiedniego uposażenia. Krajowcy zeszli na prostych czynszowników, formy dzierżawy były też same: inwetarze, *leases* i *at will*. Z powodu bardzo nieprzyjaznego usposobienia panów względem czynszowników, sto-

sunki, które się układały w Anglii zupełnie legalnie, przybrały w Irlandyi daleko wybitniejsze cechy gwałtu, bezprawia i ucisku. By się wyzwolić z obowiązku wypowiadania gruntu dzierżawcy na 6 miesięcy przed spędzeniem, właściciele w pewnych terminach co roku wypowiadali ziemię ryczałtem wszystkim czynszownikom notice to guit). Niemiły i niebezpieczny stosunek do ludu wiejskiego dał początek wiadomemu absenteizmowi. Panowie uciekali z majątków, puszczali je hurtem middlemanom, faktorom, pośrednikom, przedsiębiercom, którzy poddzierżawiali je rolnikom, wysysając pieniądze i bogacąc się pasorzytnie kosztem producentów. Dla braku rozwoju przemysłowego, nadmiar ludności nie odpływał do miast, nie mógł iść na fabryki. Na domiar złego, ludność rosła z niesłychaną szybkością i doszła w r. 1841 do 8 mil. (5200 na milę kwadratową); na najmniejszy ziemi kawałek było kilku podnoszących ceny konkurentów. Wtedy nastał kryzys bezprzykładny w historyi, w ciągu 20 lat (1841—1861) ludność się zmniejszyła o 2400000, a że wyemigrowało tylko 2200000, zaś liczba rodzących się zawsze w normalnym stanie przewyższa liczbę umierających, więc zrównoważenie się ludności ze środkami utrzymania dokonało się nietylko przez wychodztwo, ale i przez śmierć głodową, przez nędzę i choroby. Od r. 1861, nastąpił zwrot ku lepszemu, więcéj jednak pozorny niż rzeczywisty. Rolnictwo robiło znaczne postępy, udoskonalała się technika, ale nie polepszał się byt rolnika; nawet przy zmniejszonéj przez wyludnienie konkurencyi, rosła produkcya traw pastewnych, ale zmniejszała się po najurodzajniejszych latach produkcya zboża i kartofli, bo było praktyczniéj i intratniéj zakładać *grazing farms*, folwarki dla chowu bydła, niż wydzierżawiać rolę osadnikom. Bydło spędzało z gruntu człowieka. Śród téj ekonomicznéj wojny na śmierć pomiędzy wielką a małą uprawą, począł się ruch narodowy irlandzki tak zwanych *fenianów*, który dał wiele do myślenia optymistom. Pod wpływem tego ruchu, ministeryum postępowe, skojarzywszy się z radykalistami, poczęło reformę agrarną, zasady któréj są następne.

Bill z r. 1872 za punkt wyjścia przyjmuje dawny, bo z czasów Jakóba I, ziemski zwyczaj *ulsterski* (północna część Irlandyi), zwany *tenant right* (prawo dzierżawcy), mocą którego nowy dzierżawca, czynszownik bezkontraktowy, spędzając z woli pana takiegoż dawniejszego dzierżawcę, musiał mu jednak pewną sumę zapłacić w formie odstępnego, niby tytułem wynagrodzenia za ulepszenia, zabudowania i nakłady. Bill r. 1872 przenosi obowiązek spłacania rugowanego czynszownika z nowego czynszownika na właściciela ziemi i przepisuje wysokość spłaty; dla największych

dzierżaw (przynoszących więcéj niż 100 f. st.), spłata równa się rocznemu, a dla najmniejszych (mniéj niż 10 f. st.)—dziesięcioletniemu czynszowi, ustanowiona więc jest w odwrotnym stosunku do wysokości ceny dzierżawnéj, dla tém mocniejszego obwarowania najuboższych osadników. Oprócz spłaty za wyrugowanie, spędzony osadnik otrzymuje całkowite, wedle oszacowania, wynagrodzenie za wszelkie melioracye. Gdyby czynszownik zrzekł się w kontrakcie najmu prawa dochodzenia tego wynagrodzenia, klauzula taka uchodzi za nieważną, jako wymuszona. Jeszcze ważniejsze i donioślejsze postanowienie billu tyczy się porządku rugowania dzierżawcy nieuiszczającego się z czynszu. Wydalenie postanawia urząd ziemski, który może uznać, że cena dzierżawy jest zbyt wysoka, może ją zniżyć i pozostawić czynszownika na miejscu wbrew woli właściciela, pod zagrożeniem kary na tego ostatniego; karę ma stanowić zapłata spędzonemu czynszownikowi strat, ze spędzenia go wynikłych, wedle oszacowania urzędowego, dokonanego przez dziesięciu biegłych przysięgłych. Nakoniec bill urządził operacyą wykupową, ułatwiającą czynszownikom nabywanie ziemi i sadyb na własność. Nabycie zależy od dobréj woli kontrahentów, nabywcy skarb kredytuje $^2/_3$ wartości nabywanéj ziemi, dług się umarza wypłatą, przez nabywcę skarbowi 5% od sumy wypożyczonéj, przez 35 lat. Odnośnie do przeszłości bill r. 1872 stawia krok naprzód olbrzymi. Żądania O'Connela nie szły daléj nad upowszechnienie długoletniéj dzierżawy, nie mniéj jak na lat 21 (*fixity of tenure*). Późniéj żądano (po 1860 r.) czynszów dziedzicznych wieczystych. Dziś ekonomiści Rogers, Maguire i J. S. Mill już obstają za przymusowym wykupem na własność ziem przez dzierżawców przy pomocy rządu—a bill irlandzki r. 1872 uważany jest przez nich za wstęp do reform agrarnych w saméj Anglii, w skutek tkwiącéj w nim zasady, dobitnie tłómaczonéj w parlamencie przez Gladstona, że dzierżawa nie może być regulowaną jedném tylko prawem podaży i popytu, że państwo, ze względu na dobro publiczne, ma prawo, a w niektórych razach obowiązek, wdawać się w stosunki dzierżawne. Wprawdzie takie wtrącanie się dziać się może tylko drogą prawodawczą, i każda, by najmniejsza odmiana przejść musi przez probierz opinii publicznéj narodu i stać się prawem z woli króla i parlamentu.

III. Opuszczamy mniéj ciekawe stosunki agrarne Szkockie i uwagi autora o wpływie spadkobrania majoratowego, któremu przypisuje on daleko mniejszą doniosłość i skutki, aniżeli sądzili jego poprzednicy. Przechodzimy do *Francyi*, którą niesłusznie podawano dotąd za przykład, jako kraj drobnéj własności, jako kraj

par excellence demokratyczny, dla tego, że według wykazów statystycznych, przestrzeń jego z 53 milionów hektarów (1 hektar = 0,56 morga) dzieli się na 126 milionów *parcelles* i ma 12 milionów numerów, *côtes foncières*; a właścicieli nieruchomości liczy statystyka od 7 do 8 milionów. Wszystkie wyciągane z tych cyfr wnioski nie wytrzymują krytyki. Gdyby Francya, jak twierdzą, była krainą klasyczną drobnéj własności, gdyby pocięta na paski, podrobiona na kawałki i spulweryzowana własność ta była widomém wcieleniem i podstawą ustroju prawdziwie demokratycznego, niepodobna byłoby wytłómaczyć, zkąd się wzięły proletaryat i kwestya robocza, socyalistyczne ruchy, które od czasu do czasu gwałtownie wstrząsają społeczeństwo i są czerwoném straszydłem, napędzającém to towarzystwo nawet w objęcia despotyzmu. Na 7 do 8 milionów właścicieli wiejskich i do 1 miliona miejskich, przypada tyleż rodzin, a w rodzinie licząc po 4 głowy, do 35 milionów ludności, 35 milionów ludzi osiadłych, uwłaszczonych, zatém ubezpieczonych. Cóż znaczyłaby w obec téj masy reszta ludności, wynosząca 5 milionów; żaden ruch niemożebny przy takim stosunku posesyonatów do proletaryuszów. Ten proletaryat musi się wytwarzać z łona saméj klasy właścicieli, a wytwarza się w skutek tego, że z wielkiéj rewolucyi skorzystały pod względem agrarnym głównie klasy średnie, najmniéj zaś rolnik, którego położenie bardzo mało się odmieniło przez upadek dawnego porządku feudalnego i przebudowanie towarzystwa na zasadach formalnéj w obliczu prawa równości obywatelskiéj.

Stan posiadania ziemi przed rewolucyą da się w następny sposób objaśnić: połowa ziemi uprawnéj należała do klas uprzywilejowanych, wolnych od służby i podatków; z niéj $^2/_{10}$ do duchowieństwa, $^3/_{10}$ do szlachty, $^1/_4$ obszaru do mieszczan i zamożniejszych ludzi średniéj klasy, a $^1/_4$ stanowiła grunta włościańskie. Wszystkie majątki poduchowne i część pańskich (20 milionów hektarów, około $^1/_3$ części gruntów uprawnych) uległy konfiskacie i sprzedane przez subhastacyą za 6 do 7 miliardów papierowych pieniędzy. Skupowali je kapitaliści, liweranci wojskowi, tworzyły się dla nabycia całe spółki spekulantów (les bandes noires), powstała nowa klasa *acquereurs des biens nationaux*, do któréj weszła mała bardzo cząstka wzbogaciałego chłopstwa. Majątki poduchowne, dające do 75 mil. rocznego dochodu, sprzedane zostały ryczałtem 1791—1793 r. za bezcen. Z majątków szlacheckich była przedaną część tylko na 987 milionów, za co w r. 1825 dano emigrantom miliard indemnizacyi. Nie rozprzedane na razie $^2/_3$ majątków szlacheckich, zwrócono i nadano znowu za konsulatu, cesarstwa i restauracyi da-

wniejszym właścicielom. Ubyła znaczna liczba wielkich właścicieli i zmniejsza się ona jeszcze przez zubożenie i sprzedaż, przez spadkobranie według kodeksu cywilnego. Natomiast przybyły nieprzejrzane zastępy średnich właścicieli. Do nich przeszły majątki poduchowne, skonfiskowane emigrantom; szlacheckie i z wolnéj ręki od zubożałych dawnych szlachciców nabyte. Téj burżuazyi pracowitéj, posiadającéj kapitał, umiejącéj kierować eksploatowaniem gruntu i uprawiającéj go, nie własnemi rękami, lecz przez najemnika (journalier) lub połownika (métayer), zawdzięcza Francya żyzność swéj gleby, wielkość produkcyi i wysoki stopień kultury rolnéj. W przedrewolucyjnéj Francyi było sporo ziem *manus mortuae* i 75000 rodzin szlacheckich, z których 25000 posesyonatów. Dzisiaj prawie nie ma dóbr manus mortuae, szlachta jako stan odrębny nie istnieje, a właściciele dadzą się podzielić na następne kategorye:

1) Większych właścicieli, mających przeszło 62 hektary, 50000 (średni dochód 13000 franków): należy do nich 19 mil. hektarów, czyli 42% całéj uprawnéj powierzchni kraju.

2) Średnich właściciciel, mających od 12 do 62 hektarów, 500000 (średni dochód 1500 franków): należy do nich 18300000 hektarów, czyli 41% powierzchni.

3) Drobnych właścicieli, mających mniéj niż 12 hektarów, około 6 milionów (średni dochód 106 franków): należy do nich 7400000 hektarów, czyli 17% uprawnéj powierzchni.

Zatrzymajmy się na téj ostatniéj klasie właścicieli. Z nich 3 miliony nie płacą podatków z powodu ubóstwa (pour cause d'indigence), a 600000 wyjętych od tegoż podatku z ziemi, bo podatek ten, nie przenoszący 5 centów, nie pokrywałby kosztów poboru. Jest jeszcze inny fakt, objaśniający stan zamożności tych biedaków. Mieszkania wiejskie obłożone są podatkiem od drzwi i okien; wedle statystycznych wykazów: na 7½ milionów mieszkań wiejskich (w 1846 r.), liczono 2 miliony mieszkań o jedném albo dwóch otworach (okno i drzwi) i 1½ mil. o trzech. Rozdrobienie gruntu dochodzi do kilkudziesięciu albo kilkuset sążni; chata i parę grządek, uprawianych rydlem i nie mogących wyżywić uprawiającego. Po wsiach i miastach, własność ta coraz bardziéj się jeszcze rozdrabia i szerzy, ale działy polowe, po dojściu do kresu rozdrobienia, raczéj się dziś skupiają aniżeli dzielą; szybki obrót tych cząstek z rąk do rąk okazuje się z olbrzymiéj liczby aktów przenoszących własność (mutations). Przy takiém pokruszeniu się własności na odrobiny, uprawa ziemi staje się zajęciem wyjątkowo tylko szykowném na winnicach, w ogrodach pod wielkiemi mia

stami, w ogóle zaś zatrudnieniem dodatkowém. Liczna rodzina kupi się w ciasnéj sadybie, najmuje grunta, dzierżawi je z plonu lub za czynsz, wysyła swoje dorosłe dzieci na zarobki do miast, a kiedy ojciec rodziny umrze, rodzeństwo by się podzielić mogło, sprzedaje chatę i grunt za bezcen, bo takie okruszyny nie mają wielkiéj wartości zamiennéj, a przydatne są tylko dla najbliższych sąsiadów. Robotnik francuski góruje nad angielskim tém, że jest zespolony z ziemią, bo posiada własność. Z 19 milionów ludzi, stanowiących wiejską ludność Francyi, 7 milionów liczy się właścicieli, a resztę stanowią: dzierżawcy (fermiers et metayers) $4^1/_2$ m., parobcy i najemnicy płatni dziennie (journaliers) przeszło 6 milionów. W téj ludności sielskiéj zawiera się proletaryat wiejski, do którego należą nawet ubożsi posesyonaci, a ten wiejski proletaryat dostarcza każdego roku ogromny kontyngens do proletaryatu miejskiego. Ciążenie wsi ku miastu da się następnemi cyframi wyrazić:

	w r. 1856	1866	
Ludność Francyi była	36093364	38047523:	zwięk. o 1954159
Ludności wiejskiej było	19980035	19598115:	zmiejsz. o 291930

Jak w Anglii, tak i we Francyi była w zapasie znaczna przestrzeń gruntów, mogąca służyć za środek do uwłaszczenia znacznéj części proletaryatu wiejskiego *biens communaux*. Przed rewolucyą, obszary ziem gminnych były ogromne i wynosiły do 5 albo 6 milionów hektarów. Pod wpływem indywidualistycznych pojęć ekonomicznych w XVIII w., postanowiono (1792) je podzielić między członków gminy, potém w r. 1794 skonfiskowano je i kazano sprzedać przez licytacyą na zaspokojenie potrzeb państwa, potém znowu sprzedaż tę wstrzymano dekretem 9 prairiala XII r. (r. 1800), w którym Bonaparte, obstając za nietykalnością tych gminnych funduszów, wyrzekł, że „travailler à la prospérité de 36000 communes de France, c'est travailler au bonheur de 30 millions d'habitans.“ W r. 1813, brak środków zmusił cesarza zabrać to „patrimoine des pauvres“ na skarb i powierzyć „les biens, usines et maisons des communes“ komisyi umorzenia długu krajowego. W 1837 zwrócono znowu gminowi grunta. Nie była to epoka, sprzyjająca rozbiorowi kwestyj tyczących się stosunków agrarnych i samorządu gminnego. Ogromna większość rad municypalnych oświadczyła, że nie ma żadnego zdania co do tego, co lepsze: czy współwłasność gminna, czy podział albo wyprzedaż dóbr gminnych na własność prywatną. Wedle ustawy z r. 1837, do dziś dnia obowiązującéj, gmina posiada te dobra tytułem własności; mer z prefektem regulują używalność (droit d'usage), korzystanie z lasu, z *wygonu na*

ugorze i otawy, grunta oddawane są członkom gminy w dzierżawę na kilka lat (allotissement), nawet gospodarz bezziemny (qui n'est ni propriétaire ni fermier) w gminie zamieszkały ma prawo puszczać swe bydło na wygony gminne. Względem tych ziem gminnych źle gospodarowanych, w skutek wspólnéj używalności wywiązał się za drugiego Cesarstwa spór nigdy nie kończący się pomiędzy wymaganiami postępowego rolnictwa i produkcyi krajowéj, a żalami i skargami hołoty, któréj ubywałyby ostatnie środki utrzymywania się, skoroby im zabroniono zbiérać suche gałęzie w lesie, pędzić bydełko na chude pastwiska i karmić się, siedząc na gminnych gruntach okruszynami ze stołu wielkiéj własności. Głosy z prowincyi nie sprzyjaly podziałowi gminnych gruntów; projekt ten upadł, lecz uchwalone zostało prawo, mocą którego miano zabierać na skarb te grunta gminne, które wedle opinii administracyi miejscowéj są zapuszczone, albo źle zagospodarowane. Rząd je nadawał swoim ulubieńcom (Morny, Persigny etc.) dla założenia wzorowych owczarni, obór, folwarków. W departamencie Girondy i innych, turysta podziwia sztuczne lasy i cuda rolnictwa na stepach (landes), przed niedawnemi laty tylko wrzosem pokrytych. Obszar zapasu, złożony z biens communaux, zmniejszył się, ale pytanie nie postąpiło od r. 1857 ani na krok.

Streszczenie poglądów księcia Wasilczykowa doprowadza ostatecznie do następnych rezultatów. Pod tak zwanym Ancien Régime, włościanin był biedny, obarczony podatkami rządowemi, pańszczyzną i mnóstwem powinności feudalnych, a grunta chłopskie były tak drobne, pokruszone i poszachowane na kawałki, jak dzisiaj. Ponieważ ziemie pańskie i duchowne cieszyły się wolnością od podatku, ztąd pochodził pochop francuskiego chłopa, zachowując tylko jaką taką sadybę, najmować się do robót albo dzierżawić, czynsz płacąc lub jeszcze częściéj dzieląc się z właścicielem plonem (metayage). Pochodzenie tych połowników jest niesłychanie dawne, może od Rzymian, zwyczaj głęboko wkorzeniony, stosunek do właściciela mniéj dla rolnika korzystny niż we Włoszech, gdzie liczono (1861) 1248286 połownikow (mezzajnolo) na 1264753 chłopów właścicieli, gdzie procent oddawanego plonu nigdy się nie podnosi i dzierżawa pozostaje w tymże nierugowanym nigdy rodzie od pradziadów do prawnuków. Metayers francuscy brali i biorą ziemię rzadko dłużéj jak na 3 lata, a płacą od 1/3 do 3/5 plonu, wedle dobroci gruntu. Podczas wielkiéj rewolucyi, włościanin uwolnił się od razu od pańszczyzny, od wszelkich służb i ciężarów podobnych, lecz zyskał na rewolucyi mniéj niż inne klasy, na ogół biorąc nie zbogacił się i nawet więcéj ziemi nie posiadł: bo jeżeli zważymy, że

$^1/_4$ ziemi przedrewolucyjnéj Francyi składała się z gruntów chłopskich, a dzisiaj 17%, czyli około $^1/_6$, należy do drobnych właścicieli dawniejszych chłopów, można wnosić, że drobnéj ziemskiéj własności raczéj ubyło niż przybyło od czasów rewolucyi. Liczebnie mała cząstka tego chłopstwa, kilkaset tysięcy rodzin spanoszało i podzieliło się z mieszczaństwem łupami zdobytemi na Kościele i na szlachcie, która, straciwszy część swego dawnego mienia, zaciera się prawie i niknie w nowéj przeważnéj pracujących warstwie, złożonéj z pół miliona przeszło wielkich i średniéj ręki właścicieli (do 2 milionów osób, licząc po 4 na rodzinę). Ta liczna i można klasa spożytkowała zasadniczą formułę swego katechizmu ekonomicznego: laissez faire, laissez passer; reszta ludu uprawą roli zajętego pogrąża się stopniowo w bezdeń wyrobnictwa i proletaryatu. Przedział pomiędzy klasami zabezpieczonemi a niezabezpieczonemi jest znaczny, przez ten przedział przeciska się kwestya robocza i agrarna, niby naprzykrzone widmo czerwone, które burżuazya usiłuje zażegnać. Walka tu będzie gwałtowniejsza i zaciętsza, bo prócz temperamentu i właściwości rasy wpływają na losy jéj liczebne stosunki. Właścicieli wielkich w Anglii 30000, we Francyi zaś przeszło pół miliona. W każdym razie, chyba przez porównanie z Anglią, ustrój własności ziemskiéj francuski może uchodzić za demokratyczny, w istocie zaś wcale takowym nie jest, przez co téż daje mnóstwo powodów do wywiązania się kwestyi agrarnéj.

IV. Przystępując do streszczenia rozdziałów poświęconych *Niemcom*, uważamy za stosowne zwrócić uwagę czytelnika na to, że wykład dotąd bardzo przedmiotowy i spokojny ubarwia się nieco kolorem namiętności. Mówiąc o Anglii, Francyi, autor badał wprawdzie jako meteorolog atmosfery socyalnéj i przepowiadał burze, upatrując je w małoznaczących i zwolna sunących się obłokach; poprzestawał jednak na spokojném dochodzeniu walk i niebezpieczeństw, które się lęgną w łonie europejskich stosunków agrarnych. Z tym spokojem nie może on traktować stosunków niemieckich. Gorący wyznawca narodowych wielko-rosyjskich zasad ustroju własności, książę W. uznaje w zasadach niemieckich przeciwnika, który się wdziéra do wielkorosyjskich stosunków agrarnych przez ziemie polskie i litewskie i przez prowincye nadbaltyckie, który się przeciska za pośrednictwem doktryn ekonomicznych i administracyjnych wygłaszanych przez teoretyków niemieckich, i przez wystawianie niemieckich stosunków agrarnych jako wzoru do naśladowania i jako dowodu *der hohen Cultur des deutschen Stammes*. Dzieje stanu włościańskiego u nas są księciu W. całkiem nieznane, wié on tylko, że uposażenie gruntowe rozdzielone było na chaty,

nie zaś na gminy: to mu wystarcza do mianowania całego ustroju niemieckim, chociaż do takiego wniosku ta cecha bynajmniéj nie wystarcza. W historycznéj części swéj pracy książę W. kréśli dzieje stosunków włościańskich w Niemczech w ten sposób.

Jak we Francyi, tak samo we Włoszech i w Anglii, stosunki społeczne i państwowe osnute były na podboju i na tém że, zabrawszy pewną część ziem zdobytych na własność (zwyczajnie $^{1}/_{3}$), zdobywcy stali się zwierzchnią i panującą klasą właścicieli ziemskich. Stosunki władzy i zależności między zdobywcami i podbitymi nietylko polityczne, ale i ekonomiczne, zależały przedewszystkiém od liczby jednych i drugich. Im daléj na zachód, tém mniejsze drużyny zdobywców, tém lepsze ziemie, tém wolniejsze i znośniejsze panowanie; takie są cechy porządku zachodniego frankońskiego. Inny surowszy saski porządek ustalony był na wschodzie Niemiec, gdzie zdobywcy osiadali gęstszemi masami i, ujarzmiwszy tubylców Słowian, sprawowali rządy i dozorowali ostro, przepisując poddanym nawet porządek spadkobrania i sposoby uprawy, tudzież dzierżąc ich w swojéj opiece dominialnéj. Różnice obu porządków dają się wedle autorów niemieckich określić dwoma pojęciami *Mobilisation* und *Gebundenheit des Grundbesitzes*, pierwsze w Badenie, Wirtembergu i nad Renem, drugie na północy do Baltyku. Książę W. głównie zajmuje się tylko porządkiem saskim i poczyna swój wywód od wieku Karola W. i bliższych jego następców. Dwoma biegunami tego porządku są: *Frohnhof* i *Bauernhof*, dwa pojęcia nietopograficzne, odpowiadające zamieszkaniu pana i chłopa, ale prawne, bo wskazujące stały stosunek dwóch całkiem odmiennych, ale rzeczowo powiązanych z sobą gatunków własności, z których jedna *zwierzchnicza* (Grundherrlich) a druga *zależna* (Grundhörig). A najprzód *Frohnhof* (*Pfalz*, dwór cesarski, *Dom*, kościelny, *Edelhof*, szlachecki) stał osobno, po większéj części na wysokości i ufortyfikowany (Burg), otoczony obszarem ziem dworskich (Salland) i będący ogniskiem, zkąd właściciel rozpościerał swoję zwierzchnią władzę na cały okrąg (Bezirk), nawet po za granice swoich posiadłości, na ziemie które doń nie należały, ale sądowi jego podlegały, bo właśnie to cechuje szlachecką własność niemiecką i to ją stawia w najzupełniejszéj sprzeczności z angielską, że przemaga w niéj pierwiastek sądowy i podniesienie do najwyższego stopnia jurysdykcyi patrymonialnéj, któréj nigdy nie używali właściciele angielscy. Hof rozwielmożniał się na całém terytoryum, nad całą Hofmarką, w obrębie któréj siedzieli podwładni i podsądni na nieskończenie rozmaitych warunkach. Byli pomiędzy nimi i prości

niewolnicy, servi, knechtowie, nieosadzeni; byli tacyż niewolnicy osadzeni, kątnicy, *coloni*, *casati*, kotter; byli jeszcze liczniejsi ludzie wolni, zależni rzeczowo, bo z ręki pana, któremu podlegali, otrzymali swoje dawniejsze ziemie w wieczyste posiadanie, za odbywaną na rzecz jego pańszczyznę (Frohnden); nakoniec byli wolni, ale zchłopieni właściciele alodyalni, niczém dworowi nieobowiązani, ale których jako zamieszkałych w Hofmarce, podciągnął dwór pod swoją jurysdykcyą zwolna, stopniowo, w skutek wyobrażeń, że pochodzenie szlacheckie w połączeniu z pewną własnością daje właścicielowi panowanie nad całą okolicą. Działo się to rozpowszechnienie władzy na okrąg w najrozmaitszy sposób, najczęściéj tym trybem, że król lub cesarz mianował właściciela swoim grafem, więc namiestnikiem i sędzią, a urząd grafowski przechodził późniéj z ojca na syna i stawał się dziedzicznym w pewnym rodzie, przez co utrwalała się zwierzchność patrymonialna właściciela nad całą okolicą, a z niéj potém mogło się wyrobić nawet samo panowąnie (Landesherrlichkeit). Drugim środkiem nabycia juryzdykcyi patrymonialnéj były immunitaty przez duchowieństwo głównie wyproszone od Cesarza, wyjątki od juryzdykcyi grafów z przelaniem takowéj na wyzwalanego pana duchownego lub świeckiego. Władzę swą Grundherr sprawował, albo osobiście, albo przez namiestników wójtów (Vogt, advocatus). wikarych; te namiestnikostwa stawały się z czasem spadkowo dziedzicznemi. We wszelkich markach i w całym kraju nie było ludzi niezależnych, bezpańskich. Takich herrenlose Leute można było imać, jak zwierzynę, i osadzać. Jestto rys wspólny Niemcom z Francyą i Anglią (droit d'aubaine), ale nigdzie to prawo pańskie nie rozwinęło się tak szeroko, jak niemiecki Wildfangsrecht.

Pod tym patrymonialnym rządem i sądem, ukształtowały się hierarchicznie i w nieskończonéj rozmaitości, w przeróżnych odcieniach, rozmaite gatunki poddańczéj (posłusznéj) własności gruntowéj, od któréj już zależała najzupełniéj kondycya posiadaczy i ich stosunki osobiste. Prototypem téj własności poddańczéj był *Bauernhof*, zupełne gospodarstwo chłopskie, spadkowo dziedziczne, nierozrządzalne, zawsze w jedném ręku zostające jak i Fronhof bez podziałów i składające się z włościańskiéj zagrody (Hof), uposażenia podwórnego (Hufe) i udziału we wspólnych gminie pastwiskach, zaroślach i nieużytkach (Almend, Flur). Wioska niemiecka nie zabudowywała się jak słowiańska szeregiem, jednako i ordynkiem ustawionych domów, ale rozsypanemi i luźnie powiązanemi grupami zabudowań. Hufa włościańska była mniejsza na południu, większa na północy (od 40 do 60 morgów niemieckich). Na zupełne go-

spodarstwo liczyło się kilkoro kątników, najemników. Byli gospodarze połowiczni, posiadający tylko pół albo ćwierć hufy. Dodajmy rozmaitość kondycyj i wielką nierówność osobistą pomiędzy osiadłymi w wiosce: siedzą tam chłopi zupełnie wolni (volfreie), wolni ale zależni (hörige), niewolnicy (leibeigene). Od XII do XVII w. dokonywa się sprowadzenie tych gatunków do jednego mianownika, zlanie się wszystkich kategoryj włościaństwa do stanu środkującego: zależnych osobiście, niby wolnych, ale rzeczowo poddanych. Po wielkiéj wojnie chłopskiéj XVI w., po strasznych spustoszeniach 30-letniéj wojny, żywioł włościański rozbity i wycieńczony nie stawia oporu; nie ma nigdzie ani ludzi bezpańskich, ani włościan właścicieli wolnych; natomiast wyrobiło się w pełni pojęcie *Grundhörigkeit*, zależności gruntowéj zupełnie różne, ale mało co lżejsze od poddaństwa osobistego (Leibeigenschaft). Nauka podnosi wtedy fakt dokonany do znaczenia teoryi i wyrabia całą doktrynę władzy patrymonialnéj, rozwiniętą głęboko i kazuistycznie i dowodzącą świętości i nietykalności władzy patrymonialnéj, jako jednéj z głównych podwalin społeczeństwa. Za prawem w ślady poszła i agronomia z Thaerem, wysławiając pożytki wielkiéj własności i wielkiéj kultury. Pod wpływem tych doktryn i w celach podniesienia ogólnego stanu rolnictwa, oraz nadania ludowi większéj swobody osobistéj, dokonała się w XVIII w. rewizya stosunków agrarnych na korzyść wielkich właścicieli, która pozbawiła ziemi i oderwała od gleby kilka milionów rolników. Środki nowego uregulowania stosunków były następne. Najprzód znoszenie osad chłopskich i całych wsi z zaborem ziem na grunta dominialne (Legung der Bauernhöfe, Abschlachten der Dörfer), czyn bezprawia i gwałtu, dokonywany na wielką skalę wbrew zakazom prawodawczym (od XVI do XVIII w.). Dwie trzecie osad chłopskich uprzątnięto w ten sposób w Czechach po wojnach husyckich. Powtóre rozwiązanie spólności gminnéj (Gemeinheitstheilung), pod wpływem pojęć agronomicznych o złych skutkach własności wspólnéj (Gesammtgut, Verdammtgut), zachęcane i premiowane na mocy edyktów, w które wiek XVIII obfitował (najprzód Prusy 1760, potém Bawarya i inne kraje). W skutek podwórnego charakteru uposażenia chłopskiego i tego, że *Almend* składa się z samych prawie nieużytków i była nieznacznym dodatkiem do ziem pokrajanych na podwórne działy, nakoniec w skutek tego, że gmina nie tworzyła w obec Grundherra zwartéj gromady, lecz dzieliła się na mnóstwo ustopniowanych klas włościan, mających sprzeczne interesa, sam podział gruntów gminnych stał się jabłkiem niezgody; zachodziła bowiem kwestya jak je dzielić, czy równo na dwory,

czy stosunkowo do ilości żywego inwentarza, czy stosunkowo do ilości morgów w osadzie. Pod kierownictwem Grundherrów, podziały wypadły na korzyść chłopów najzamożniejszych. Niezaprzeczoném jest, że na podziale wygrało rolnictwo, i wartość ziemi w podzielonych kawałkach podniosła się o 26%, a gdzie niegdzie (np. w Poznańskiém) o 50%; przemyślniejsi chłopi pozaokrąglali swe grunta do wysokości 170—200 morgów (43 do 50 dziesięcin), ale ubyło drobnych gospodarstw (w Poznańskiém o 25% w innych prowincyach daleko więcéj), mnóstwo drobnych osadników, chałupników usunięto (*hinausgebaut*), zaczął się napływ roboczego ludu do miast, emigracya do Ameryki; w połowie XIX w., kazano wstrzymać podziały jeszcze nieukończone, ale już było za późno. W Prusiech, podzielono 14 milionów dziesięcin w r. 1860, a niepodzielonych pozostawało tylko 600000. Potrzecie najpóźniéj, bo już w XIX w., dokonane zostało, za staraniem rządów i szlachty, ulepszenie bezwarunkowo pożyteczne, regulacya *Verkopelung*. Na zachodzie, w krajach niegdyś frankońskich, gdzie ziemia była od wieków nieskrępowana i podzielna, regulacya miała na celu tylko ustanowienie minimum działów i uregulowanie służebności. Na wschodzie, w krajach saskiego autoramentu, regulacya prowadziła do zniesienia szachownic i zespolenia gruntów do jednych właścicieli należących. Obok tych odmian głównie ekonomicznych, odbywała się bardzo zwolna wielka reforma prawna i polityczna, uwolnienie włościan. Reforma ta do dziś dnia nieskończona, a przed półtora wieku poczęta, daje się podzielić na trzy okresy: usamowolnienia (1702—1811), uwłaszczenia (1811—1848) i operacyi wykupowéj. Pierwszy przykład usamowolnienia przez przyznanie wolności osobistéj (persönliche Freiheit) dał król pruski Fryderyk I w r. 1702 w dobrach rządowych, dopiéro na mocy edyktów 1807 i 1810 zasada ta zastosowana została do dóbr prywatnych. Przybyło słowo, rzecz się nie zmieniła wcale. Erbunterthänig, wedle Landrechtu r. 1791, był włościanin rzeczowo niewolnym (dinglich unfrei), dźwigającym wszystkie dawniejsze ciężary. W ciężkiéj dla Pruss dobie wielkich przygotowań patryotycznych do walki o byt, wydany był wedle idei Steina pamiętny edykt 14 września r. 1811, przyznający włościanom na własność ziemie przez nich posiadane, obliczający na pieniądze wszystkie dotychczasowe obowiązki z możnością wykupu. Nastrój moralny zmienił się wkrótce, regulacya w wykonaniu odbiegła od myśli Steina, nastały po r. 1815 czasy reakcyi, regulacyą przeprowadzała szlachta ziemska, przeciągając operacyą i utrzymując się przy zupełnéj i nieuszczuplonéj jurysdykcyi patrymonialnéj. Zgodnym usiłowaniem różnych konserwatystów udało

się przeprowadzić dwie zasady: że wykup może być tylko dobrowolny i że ma być płacony przez włościan bez żadnéj zapomogi od rządu, bez żadnego awansu. Tylko w Wirtembergu, cena wykupu kapitalizowała się z 6%, przez pomnożenie czynszu przez 16, w Prusach przez 18, w Badenie i wielu innych krajach przez 25. Wykup był faktem wyjątkowym i rzadkim, a cały zysk dla klasy rolniczéj z reformy włościańskiéj redukował się głównie do zamiany robocizn naturalnych na czynsze. W Prusach, osady wykupione wynosiły w r. 1838 5 milionów morgów, a ziem uprawnych liczyło się 90 milionów morgów. W tém niespodzianie zamąciły się wszystkie stosunki społeczne przez rewolucyą lutową; nastąpił pamiętny rok 1848 (das Sturmjahr), po którym szybko poszły znacznie spóźnione ustawy wykupowe zapadłe już wtedy, gdy stosunki włościańskie uregulowane były ostatecznie na największą korzyść szlachty i przedniejszéj klasy chłopstwa, a na największą niekorzyść wywłaszczonego stopniowo plebsu wiejskiego. Przypatrzmy się obecnéj organizacyi własności ziemskiéj w jéj najwybitniejszych cechach. Dane, które przytoczymy, tyczą się samych Pruss i sięgają r. 1861, zatém ściągają się do monarchii niepowiększonéj przez aneksyą z arealem (obszarem uprawnym), wynoszącym już 100 milion. morgów (25 mil. dziesięcin), przy 6½ milion. morgów nieużytków. Ziemie się dzielą na 11 gatunków własności i tyleż form władania, dobra rycerskie zwykle majorackie zatrzymały dużo stanowych praw i przywilejów, resztek władzy feudalnéj. Chłopskie dobra pokruszone nad Renem, związane i na wzór szlacheckich niepodzielne, stanowią majoraty, albo minoraty. W wielu miejscowościach, w rodach chłopskich przechowują się dziedzicznie urzędy wiejskie Dorfschulze, Dorfröchter. Obszar tych posiadłości chłopskich w wielu miejscach jest tak znaczny, arystokracya chłopska tak zamożna i podniosła, że poruszoną została tak zwana Dismembrationsfrage o dopuszczenie podziału ziem chłopskich przechodzących po za pewien kres. Odrzućmy pomniejsze gatunki własności, dobra koronne i skarbowe, dobra Standesherrów i korporacyj, dobra miast, i zatrzymajmy się na dwóch najbardziéj znaczących kategoryach:

1) Rittersgüter w liczbie 12592 z obszarem 28600000 morgów.

2) Ziemie 27800 gmin (Landesgemeinde) z obszarem 53200000 morgów.

Więc do włościan należy na własność więcéj niż połowa gruntów uprawnych, zatém niemieckiéj kulturze udało się wychować krzepki stan włościański (einen kräftigen Bauernstand) i pobudować gmach społeczny na demokratycznych i przytém arcykonser-

wacyjnych podwalinach. Książę W. nie był nigdy rzecznikiem samej tylko kultury rolnej, a szczególniej niemieckiej; z całego streszczonego dotąd wywodu wynika, że na sercu mu leży głównie kwestya dobrobytu ludzi, a nie doskonałość uprawy. Przyznaje on, że w ogólnym pochodzie cywilizacyi, przodujące narody są jak wojska szybko posuwające się, które dla tego tylko właśnie wyprzedziły inne, że poświęciły na stracenie swoje części słabsze, swoję ariergardę, złożoną z ciemniejszych, bardziej niedołężnych, a wysadziły naprzód samo czoło, sam dobór sił, sam kwiat swoich klas panujących. Księcia W. nie tyle obchodzi szybkie dojrzewanie kultury, ile to, aby całe społeczeństwo poruszało się ciągłemi kolumnami i ławą, nie pozostawiając za sobą maruderów i niedobitków. Cyfrę 53200000 morgów własności włościańskiej autor rozkłada, zastanawiając się głównie nad stosunkami agrarnemi, nie nad Renem, gdzie własność chłopska jest zmobilizowana i przeradlona radłem kodeksu cywilnego francuskiego, ale na wschodzie monarchii, jak na Pomorzu i w Prusach Wschodnich, gdzie własność chłopska związana i nierozrządzalna i gdzie nie rzadkie są osady chłopskie, wynoszące od 110 do 160 morgów przestrzeni. Przy niepodzielności osad, rodziny włościańskie są liczne (7 do 8 osób), na wyżywienie rodziny rolniczej potrzeba średnio 30 morgów (7 1/2 dziesięcin); gospodarstw posiadających 30 morgów i więcej było na całe Prusy 425000, a mniejszych 1717000. Lecz stosunek zupełnych gospodarstw (sprzężajnych—spannfähige bäuerliche Besitzungen) do ubogich osadników (kleine ländliche Stellen) szczególnie uderzający jest na północo-wschodzie, np. na Pomorzu (r. 1852), gdzie się wyraża następnemi cyframi:

Mających przeszło 30 morgów	30086,	posiadają	9979000
„ mniej od 30 „	55215,	„	435000
	85301,		10414000

(Lette. Vertheilung d. Grundeigenthums).

Zatem cały prawie obszar ziem należy do zamożniejszych ludzi, a tylko 4% do biedniejszych.

Wedle obrachowań księcia Wasilczykowa, w całych Prusach, w ogólnym składzie klas rolniczych 8399700 osób, na właścicieli z rodzinami przypadnie 1488000 głów i wcale ziemią nieuposażonych, albo źle uposażonych 6911700. Sens moralny ostatecznych rezultatów dość jednostronnie przez autora pojętych i potrzebujących ściślejszego sprawdzenia jest następny.

Kraje niemieckie odznaczają się w istocie nadzwyczaj krzepką organizacyą ziemskiej własności chłopskiej, dopiętą na pod-

stawie nierówności klas, przez dobór co najsilniejszych osobników i brakowanie słabszych, przez co osiągnięte zostało wywłaszczenie $^3/_4$ rolniczéj ludności, ale $^1/_4$ pozostała cieszy się wysokim stopniem zamożności. Szlachta była rządna i gospodarna, trzymała klasy niższe, pilnujące roli, w surowéj karności, dbała nietylko o swój, ale i o chłopski dobrobyt, zmuszała do pracy pod najściślejszym dozorem i opieką, wyciskała leniwych i nieudolnych (leistungsunfähige) i urobiła chłopstwo na swój wzór i podobieństwo, stworzyła pod tym wpływem arystokracyą chłopską bardzo potężną, związaną interesem z możnowładztwem szlacheckiém właściciéli dóbr rycerskich. Pod temi dwiema warstwami ściśle skojarzonemi, powiada autor (str. 284), leżą bezkształtne kupy śmiecia i braku, wyrzucone przy racyonalném z agronomicznego stanowiska urządzaniu gospodarstw, wedle zasad ekonomii (Bündner, Kossathen, Dienstboten, Gesinde, Knechten). Ludzie ci w istocie zawadzali kulturze. W ich chatach, lęgły się choroby, ich płoty zagradzały drogi, ich chude bydełko objadało młode leśne porośle, sami oni dopuszczali się szkód leśnych, szkód w zbożu i innych wykroczeń przeciwko własności. Z punktu widzenia ekonomicznego, wyrugowanie tych ludzi było niezaprzeczenie pożyteczne, lecz spowodowało pod względem socyalnym wielkie niebezpieczeństwo i przygotowało burze, których zwiastunami są ruchy i zaburzenia czasów ostatnich. Antagonizm klas będzie tu najzaciętszy i nieprzejednany, bo walka ma się odbyć nie z liczną arystokracyą, jak w Anglii, nie z burżuazyą, lecz w łonie jednego i tegoż samego stanu chłopskiego, pomiędzy bracią, pomiędzy zamożném włościaństwem (Vollbauern) i proletaryatem wiejskim, złożonym z posiadaczy odrobin ziemi (Kleine ländliche Stellen), chałupników, parobków i najemników dziennych. Proletaryat się organizuje, kojarzy, składa zaoszczędzone pieniądze i dobija się własności, ale cena ziemi rośnie prędzéj, niż cena pracy roboczéj. Obaj antagoniści są prawie równi na siłach; wypadku walki nikt przewidzieć nie zdoła.

Jest dużo prawdy, lecz niezawodnie wiele fantazyi i przesady w téj ocenie teraźniejszych stosunków agrarnych niemieckich.

Przeskoczmy przez stosunki polskie, których autor nie zna i które niesłusznie sprzągł z niemieckiemi i poczytał za jedno. Daleko ważniejsza i ciekawsza rzecz nas czeka, terra incognita, albo mało znana: obraz rosyjskich stosunków agrarnych, powstania klasy właścicieli i sposobów kolonizacyi. Z rozumowaniami autora można się jak najzupełniéj nie zgadzać, ale to pewna, że faktów nowych i ciekawych tu pełno. Autor je sypie całemi garściami.

Włodzimierz Spasowicz.

ZŁOTO I SREBRO,

JAKO ŚRODKI OBIEGOWE.

Współczesne zniżenie srebra. — Stopa jedyna i dwoista.

Kiedy świat polityczny zakłopotany jest sprawami Bałkańskiego półwyspu, jednocześnie w dziedzinie pieniężności i obrotów międzynarodowych, również niemało zajściami temi dotkniętéj, sprawia nadto niepokój i ciężką licznych interesów obawę kwestya w swoim rodzaju równie może zawiła, jak i kwestya Wschodnia, i równie od zadowalającego rozwiązania daleka, choć w roku przeszłym korzystne w niéj zaszło przesilenie. Chcemy tu mówić o zakłóceniu, jakie się od lat kilku w odwiecznym stosunku cen dwóch drogich metali, jako moneta posługujących, to jest złota i srebra, okazało.

Według wypracowanych przez Waterfield'a tablic porównawczych, przedstawionych komisyi śledczéj, w Marcu roku przeszłego z łona angielskiéj Izby Gmin do zbadania przyczyn zelżenia srebra wyznaczonéj, stosunek ceny tego kruszczu do złota w najdawniejszéj epoce, o jakiéj dotyczące świadectwa istnieją, t. j. w wieku szesnastym przed Chrystusem, był jak 1 do $13\frac{1}{3}$ i utrzymywał się w jednostajnéj mierze téj przez wieków czternaście, t. j. do końca prawie drugiego wieku przed Chrystusem. W tymto czasie, a więc około dwóch tysięcy lat temu, cena srebra względem złota podniosła się o część przeszło czwartą: t. j. była jak 1 do 9; lecz stosunek ten nie utrzymał się stale. Odzyskiwało owszem złoto w następnych wiekach rozmaitemi czasy i w różnych stronach świata większą swą cenność, lubo nigdy stanowczo, tak, że w długim peryodzie czasu, od wieku drugiego przed Chrystusem do połowy siedmnastego po Chrystusie, kołysanie w stosunkowych ce-

nach srebra i złota nie ustawało. P. Waterfield oznacza jednak granice takowego pomiędzy 1 do 9 i 1 do 13. Wypadałoby więc z tego, iż w porównaniu z pierwszym historycznym peryodem, przedchrystusowym, cena srebra podwyższyła się co najmniéj o trzy niemal procenta. Od połowy wieku siedmnastego naszéj ery nastąpiło dosyć prędkie i powszechne przesunięcie stosunku: srebro spadać zaczęło i doszło do ceny względem złota, jak 1 do 15½. Na tym punkcie jednak stosunek się utrzymał, niezmiennie prawie, rzec można, aż do lat ostatnich. W ciągu wieku ośmnastego, kołysania zawierały się pomiędzy 1 do 15,21 i 1 do 15,61; od początku do połowy bieżącego stulecia—pomiędzy 1 do 15,60 a 1 do 15,83; od roku 1851 do 1873—pomiędzy 1 do 15,46 i 1 do 15,90; w ciągu zaś ostatnich trzech lat 1874—76, a właściwie do połowy roku przeszłego, zniżało się srebro w cenie swéj prawie bez przerwy od 1 do 16 aż od 1 do 19. Od owéj pory dosyć szybko znowu rozpoczęła się reakcya.

Z tego sumarycznego zestawienia widzimy, że do r. 1873, przez dwa prawie stulecia, stosunek ceny srebra do ceny złota był niemal stałym, gdyż chwiejność jego w tak ciasnych zawierała się granicach, że spekulacya w pewnych tylko chwilach i na bardzo wielką działająca skalę mogła z niéj zyski osiągać. Nadmienić jednak wypada, że te kołysania, jakkolwiek w dziesiętnych tylko ułamkach jednego procentu wyrażające się, z kurscetlów londyńskich, hamburskich i innych przeciętnie wyprowadzone, nie mogą się uważać za ściśle prawdziwe wskazówki rzeczywistych wszędzie cen srebra. Te ostatnie w międzynarodowych stosunkach od innych jeszcze konjunktur zależą: naprzykład od kosztów przewozu i ubezpieczeń, które się w miejscowych kurscetlach nie oznaczają, aż chyba w zamorskich dopiéro w rachunek wchodzą. Przed laty trzydziestu i dwudziestu jeszcze, fracht i ubezpieczenie z Anglii do Indyi kosztowały 3 do czterech procentów wartości przewożonego kruszcu; dziś i jednego procentu nie kosztują.

Co spowodowało podwyższenie się ceny srebra w wieku drugim przed Chrystusem o część przeszło czwartą nad cenę jego dawniejszą, tego się historya nie dobadała. Równie prawie trudném jest zbadanie czynników, jakie były przyczyną wcale znaczněj już chwiejności stosunku cen drogich kruszców w długim peryodzie czasu, od drugiego wieku przed Chrystusem do siedmnastego po Chrystusie. Tyle tylko z pewnością w téj materyi powiedziećby można, że niesame przyrodzone i ekonomiczne okoliczności i wpływy stosunek ten ustanawiały, lecz przeważnie prawodawstwo i aktualny stan monetowości. Ta ostatnia, rozumiemy tu ozna-

czanie ilości wybić się mającéj monety i rzeczywiste onéj wybijanie, nie od praw gospodarstwa społecznego i obrotów międzynarodowych była zawisłą, lecz głównie, jeżeli nie wyłącznie, od władzy krajowéj i stanowionych przez nią praw. Wybijanie monety na rachunek prywatny, dla potrzeb handlu i obrotów spekulacyi, było rzeczą do najnowszych czasów nieznaną. Władza więc jedynie stanowiła, ile ma się wyprawić i jakiéj monety; wszelkie téż w téj dziedzinie zmiany z jéj tylko postanowień i rozkazów następowały. Była to zaprawdę dziedzina jedna z najbezładniejszych w całym obszarze bytu i stosunków ludzkich. Cóż bowiem najpospoliciéj zmiany w monetowości sprowadzało? Nie prawa ekonomiczne zaiste, o które się nikt wtedy nie troszczył, bo ich nie znano, ani téż bilanse międzynarodowego handlu, których nikt nie obliczał, ale pobudki bardzo ograniczonego interesu i czysta dowolność. Przytoczony już Waterfield powiada w objaśnieniach do tablic swoich, co zresztą nowym wywodem nie jest, że chciwość panujących i rządów w wyzyskiwaniu monetowego *regale*, czyli wyłącznie im służącéj prerogatywy bicia monety, była najczystszą pobudką i przyczyną niestałości cen drogich kruszców i wzajemnego ich do siebie stosunku i żadnych nigdy nie znała prawideł, a bardzo rzadko wyższe miewała na widoku względy. Historya pełna jest faktów najzupełniejszéj w sprawach monetowych dowolności, tém swobodniéj rozpościerającéj się, że, jak wspomnieliśmy, prawa ekonomiczne żadnego nie mogły mieć uznania. W epoce odkrycia południowo-amerykańskich kopalni srebra i nadzwyczaj obfitego ztamtąd dowozu tego kruszcu, był tenże głównym wszędzie monetowym materyałem; złoto tylko dodatkową i pomocniczą w obrotach odgrywało rolę. Przy nadzwyczajném wtedy wzmożeniu się dowozów srebra z Ameryki, łatwo było władzy obchodzić się ze złotem według upodobania. Pozwalano sobie tu i owdzie podnosić jego stosunkową do srebra cenę, nie czekając na to, czy stosunki wymiany naturalnie do tego doprowadzą; korzyść bowiem bezpośrednio przemawiała, a przykład chętnie był naśladowany. Co więc mogło być rzeczywistym wynikiem ekonomicznego prawa popytu i podaży, to przez prawodawstwo w monetowych postanowieniach uprzedzoném zostało.

Zmiana w stosunku cen złota i srebra w XVII wieku, a mianowicie zelżenie srebra względem złota z poprzedniéj proporcyi 1 do 13 do proporcyi 1 do 15½, czyli o 19 przeszło procentów, wzięło najprawdopodobniéj swój początek w Hiszpanii i Portugalii. Hiszpania była podówczas, tak jak dziś Anglia, głównym drogich kruszców targiem, a osobliwie téż srebra; nic więc naturalniejszego

nad to, że rząd hiszpański starał się w obec wielkiéj tego kruszcu obfitości zbywać go jak najwięcéj w zamian za złoto. Nie mamy żadnych w téj materyi ścisłych dochodzeń; państwowe archiwa Hiszpanii wyjaśniłyby zapewne pilnemu badaczowi szczegółowe i każdorazowe pobudki i sposoby postępowania rządu w owéj opoce. Jeden ze współczesnych w przedmiocie monetarności specyalistów, Seyd (w jednéj ze swych korespondencyj przeszłorocznych z Londynu do wiedeńskiéj *Presse*), domyśla się i trafnie, zdaniem naszém, że ustanowienie stosunku srebra do złota, jak 1 do 15$^1/_2$, nie od razu nastąpić musiało: że ówcześni ministrowie Skarbu i dyrektorowie mennic, szukając nowéj normy, musieli wpaść nasamprzód na uncyą złota z jéj szesnastoczęściowym podziałem, do którego zastosowali srebrne piastry—inaczéj durosy (czyli dolary), w tym sposobie, aby szesnaście takowych piastrów odpowiadało bez ułamku wartości uncyi złotéj. Ten jednak stosunek (o ile jest prawdziwém powyższe przypuszczenie) nie utrzymał się; jak zaś przyszło do ułamkowego 1 do 15$^1/_2$, nikt tego dotąd nie dośledził. Musiały odbywać się rozmaite experymenta i poprawki menniczne; wiadomo dobrze, iż piastr srebrny niejednokrotnym w swéj wadze ulegał zmianom.

Jakkolwiekbądź, w braku dokładnych informacyj o zmianie stosunku ceny dwóch drogich kruszców w XVII wieku i pod wpływem prawd, przez umiejętność ekonomiczną ustanowionych, ogólném było przekonaniem aż do naszych czasów, że w mowie będące zelżenie srebra względem złota pochodziło z nadzwyczajnéj pierwszego obfitości i napływu do Europy z nowo odkrytych w Południowéj Ameryce kopalni. Kiedy więc pod koniec piątego dziesiątka niniejszego stulecia, natrafiono na złotodajne usypy w Kalifornii, a w kilka lat potém w szóstéj dekadzie na jeszcze bogatsze australijskie, naturalny nastręczał się wniosek, że wzajemny stosunek drogich kruszców w odwrotnym względem XVII wieku przesunie się kierunku: że złoto zelżeje, a srebro podrożeje. Tém snadniéj można było przewidywanie to podzielać, iż obfitość produkcyi złota w porównaniu z produkcyą srebra większa była daleko tą razą, niż objaw odwrotny przed dwoma wiekami. Gdy bowiem w początkach naszego stulecia, wartość wszystkiéj na świecie produkcyi srebra przewyższała w trójnasób wartość wszystkich również produkcyj złota, czyli miała się do téj ostatniéj, jak 3 do 1, to ku połowie stulecia, a zatém w ostatnich latach piątego dziesiątka, nastąpił już przewrót tak gwałtowny, że stosunek wyrażał się przez 0,68 do 1, a w szóstym dziesiątku przez 0,27 do 1, to jest, że wartość wszystkiéj corocznéj produkcyi srebra mniejszą

się stała czterykroć blisko od wartości wszystkiéj corocznéj produkcyi złota. W takich konjunkturach, najjaśniejszą zdawało się rzeczą, iż ekonomiczne prawo podaży i popytu okaże tu najpewniéj moc swoję, tak jak ją okazało (rzekomo) w XVII wieku. To téż fachowi publicyści, wyznawcy praw naukowych, dowodzili, iż należy odjąć zelżonemu złotu charakter prawnéj i przymusowéj monety, a trzymać się srebra jedynie (tak mianowicie znany Chevalier doradzał swojemu krajowi, Francyi); a co dziwniejsza, to, że praktyczna Holandya w nadmiarze obawy i przezorności swojéj, aby strat, na mającym jakoby niezawodnie zniżyć się w cenie kruszcu, nie ponieść, pośpieszyła już w końcu roku 1847 (prawo z dnia 26 listopada) zdemontować czémprędzéj swoje dukaty i pieniężność swą na wyłącznéj stopie srebrnéj urządzić.

Ku powszechnemu jednak zdumieniu spodziewane zelżenie złota nie nastąpiło. Okazywała się wprawdzie w ciągu pierwszych kilku lat nadzwyczajnie wzmożonéj wydajności nowych pokładów zniżka tego kruszcu względem srebra, całych dwóch procentów niedochodząca; lecz po tém czasowém ugięciu, dawny normalny stosunek 15 z ułamkiem do 1 powrócić nie omieszkał; Holandya bowiem, jakkolwiek kraj nad miarę terytoryum i ludności swojéj bogaty i handlowny, sama jedna przeinaczenia tego stosunku sprawić nie zdołała. Od owego czasu (1846—47) do roku 1872, a więc przez ćwierć stulecia, nie zdawał się ani razu przeważny, jednostronny popyt na którybądź z dwóch drogich metali; oba w dawnym do siebie stosunku zarówno popłacały; a choć właśnie w tym samym peryodzie produkcya nietylko złota, lecz i srebra w ustawicznie zmieniającéj się mierze nadzwyczajnie przybrała, nie wywołało to jednak istotnego wpływu na ich wartość, ponieważ i liczba mieszkańców także się znakomicie na świecie pomnożyła; obroty się rozwinęły, zdwoiły może w krajach, przedtém dla ruchu cywilizacyi niedostępnych; otworzyły się nowe pola dla ludzkiéj przedsiębierczości; słowem, wzmógł się ruch produkcyjny i zamienny potężnie we wszystkich kierunkach. Naturalném tego wszystkiego następstwem była tu potrzeba coraz obfitszych środków obiegowych, których drogie kruszce część największą, a zarazem jedyną pewną podstawę reszty innych stanowią. Dla tego to obfitsza tych kruszców produkcya żadnych w późniejszych wartościach nie sprowadziła zakłóceń, a lubo wydarzały się w peryodzie owym przesilenia, dosyć wspomnieć ogólne, z Ameryki pochodzące wstrząśnienia roku 1857, katastrofę Banku Francuskiego w roku 1863—4, londyńską 1866, i nowojorską 1869, nie dotknęły one jednak bynajmniéj cen kruszców, bo żadnemu z wielkich

państw nie przyszło na myśl przez nagły miliardowy popyt na jeden z nich stosunek ich wzajemny zwichnąć.

Taki wypadek zmylonych przewidywań upadku złota musiał słusznie wywołać przedawnioną wątpliwość co do przyczyn nastąpionego w XVII wieku zelżenia srebra. Czy rzeczywiście zelżenie to było jedynie skutkiem obfitości tego kruszcu? Czy w owe czasy zupełnie zawieszone były naturalne prawa produkcyi i ruchu handlowego? czy ludność nie mnożyła się? czy cywilizacya żadnych nie czyniła postępów? Zapewne, że nie szło to wszystko z taką jak dziś szybkością, zawady w międzynarodowych stosunkach były liczne, środki komunikacyi ograniczone, obroty powolne. Pozostaje tém niemniéj do zbadania, czy przy zupełnie wolnym rzeczy przebiegu, jedynie tylko pod prawem podaży i popytu, nie wsiąkłby nadzwyczajny w XVII wieku przypływ srebra w niezliczone kanały potrzeb i stosunków ludzkich, tak samo, jak się to stało z nadzwyczajnym przypływem złota przed laty dwudziestu kilku, bez przerzucenia cen obu metali, gdyby nie postanowienia ludzkie i umyślne prawa, w dziedzinie monetowéj wydawane? Wolno już stawić dziś takie pytanie potém cośmy widzieli od czasu odkrycia Kalifornijskich i Australijskich złota kopalni i w obec dzisiejszego srebrnego przesilenia, które jest, jakby kontr-próbą peryodu złotego pomiędzy latami 1846 i 1856, i odwrotną drogą do téj saméj przedawnionéj wątpliwości doprowadza.

Nie chcemy przez to dawać do zrozumienia, jakoby, w przekonaniu naszém, stosunek ten drogich kruszców mógł być dowolnie tylko ustanawianym, a wielkiemu prawu podaży i popytu wiele nie ulegał. Uważamy owszem za pewnik, dowodzenia niepotrzebujący, iż złoto i srebro mają swą własną wewnętrzną i zewnętrzną wartość, i że ta wartość w pierwszém większą jest kilkanaście razy niż w drugiém, utrzymujemy tylko, z przeszłości wnosząc i ważną funkcyą obiegowości drogich kruszców na uwadze mając, że pomiędzy punktem minimalnym i maxymalnym tego stosunku wartości dość znaczna jest szerz, około siedmiu procentów według dotychczasowych doświadczeń, w któréj wpływ stanowionych praw z pożytkiem ogólnym wywiązać się może i powinien, lecz po za którą sięgnąwszy, szkodliwe już tylko, naturę rzeczy i prawa ekonomii gwałcące sprowadza następstwa. Ostatnie zelżenie srebra zda się nam być demonstracyą wyrażonego tu zapatrywania.

Z przywiedzionych na wstępie dat widzimy, że stosunek ceny srebra do złota, jak 1 do 15½, utrzymywał się jako przecięciowy stale, rzec można, od początku przeszłego stulecia do roku 1873,

a więc przez siedm prawie ćwierci wieku, a przeciętny ten punkt nie jest z bardzo odległych od siebie zboczeń wyprowadzony. Krańcowe owszem punkta były 1 do 15,21 i 1 do 15,90, a zatém szerz między niemi, w któréj kołysania stosunku odbywały się, nie wynosiła całych pięciu procentów. Rzecz naturalna, iż w granicach tak ciasnych spekulacya na zmienność cen dwóch drogich kruszców mogla przy bardzo wielkiéj tylko skali obrotów zyski pewne osiągać, i to jedno było jéj skuteczném powściągnięciem. Brak chyba tylko zupełny korzystniejszego zajęcia zmuszał niekiedy czasowo wielkie kapitały do obrotów tak małe przynoszących zyski; dla kapitałów mniejszych było to pole tak dobrze jak całkiem jałowe. Dla tego to choć nieustanne, lecz małoznaczne zawsze w stosunku ceny srebra do złota chwiania żadnego w całym tym dwuwiekowym blisko czasu okresie na produkcyą i handel wpływu nie wywierało.

Stosunkowi normalnemu 1 do 15½ odpowiada ściśle cena 60⅞ pensów za uncyą srebra na targu londyńskim, który jest dziś, jak wiadomo, regulatorem cen drogich kruszców dla świata całego. Po zawarciu unii monetowéj, tak zwanéj Łacińskiéj (23 grudnia 1865), mocą któréj Francya, Włochy, Szwajcarya i Belgija, (1) uznając zupełną równoprawność monety tak złotéj jak i srebrnéj, w stosunku ceny drugiéj z nich do pierwszéj, jak 1 do 15½, zobowiązały się do wybijania u siebie sztuk równowartych i jednopostaciowych z obu kruszców, tudzież do wzajemnego i równoprawnego takowych uznawania i przyjmowania w posiadłościach swoich,—że na uncyi srebra podniosła się była w roku 1868 blisko o pół pensa, notowano bowiem 61³⁄₁₆. Stosunek ten dla srebra korzystny przetrwał z bardzo lekkiemi tylko kołysaniami do roku 1870. W tym ostatnim roku, spadło srebro do 60½ pensów, co jeszcze zawsze normalną mogło się zwać ceną, gdyż różnica in minus o ⅜ pensa nie zasługiwała prawie na uwagę. Był to jednak początek bardzo znacznego upadku. Schodząc wciąż niżéj drobnemi ułamkami, lecz już bez wahania przez następne dwa lata, osunęło się srebro w Styczniu 1873 na 59¾, a w Sierpniu na 58¹³⁄₁₆, co już było zniżką względem ceny normalnéj o połczwarta blisko procentu. Za kilogram złota w Londynie, miasto normalnych 15 i pół kilogramów srebra, trzeba było płacić kilogramów 16 i gramów 30. Taki odskok przedstawiał już wcale ponętne dla spekulacyi zyski. Spe-

---

(1) W roku 1868 przyłączyło się do téj unii jeszcze królestwo Helleńskie. Pakt unii obowiązuje do roku 1880.

kulacya ta zależy na wywożeniu monety złotéj, albo i złota w sztabach z tych krajów, gdzie srebrne pieniądze są ze złotemi równoprawne, zakupywaniu za to złota i srebra w Anglii, lub w innych krajach jednę tylko prawną monetę uznających, a następnie wprowadzaniu tego srebra do krajów o dwoistéj stopie, po przebiciu takowego na ich monetę. Taki stan rzeczy zagrażał więc głównie krajom do unii monetarnéj Łacińskiéj należącym; było to już bowiem po zapadnięciu praw monetowych nowego Państwa Niemieckiego (z dnia 4 grudnia 1871 i 9 lipca 1873), mocą których państwo to zaniechało bicia nadal grubszéj srebrnéj monety i uznało złotą za jedynie obowiązującą, z tymczasowym wszakże wyjątkiem na korzyść pruskich talarów. Gdy w ostatnich miesiącach roku 1873, zniżanie się ceny srebra jeszcze nie ustało, notowano bowiem w Grudniu 58$^{1}/_{16}$, widziała się unia zmuszoną myśléć o zaradczych środkach, podzielając w unii głośne obawy alarmistów, że nastąpi zalew srebra, a wszystko złoto wyprowadzone zostanie. Zebrała się tedy konferencya delegatów Unii w Paryżu, w Styczniu roku 1874. Punktem głównym narad było pytanie: jak zapobiedz wywożeniu z krajów Unii monety złotéj a sprowadzenia natomiast tańszego tam srebra. To zaś pytanie zależało w wielkiéj części od uprzedniego: czy zebranie srebra jest skutkiem okoliczności przechodnich i po niejakim czasie ustać może, czy téż przyczyny zelżenia tego są stałe i nadal nieuchronnie wywierać się mające.

Po długich sporach, do których w dalszym ciągu téj pracy powrócimy, gdy ani na oznaczenie rzeczywistych przyczyn zelżenia srebra, ani na zgodne uznanie miary szkodliwości tego zelżenia, ani wreszcie na jakiebądź stanowczo zaradzające środki przeciwko wyprowadzaniu złotéj monety Konferencya zdobyć się nie mogła, skończyło się na postanowieniu tymczasowém, na kompromisie, który jednak bardzo dorzecznym i trafnym się okazał. W saméj rzeczy, fakta ekonomiczne, nad któremi radzono, za nowe były jeszcze i za krótko trwające, aby je można było należycie rozpoznać i ocenić. Pomimo więc teoretyczne zapędy, nakazywała roztropność unikać na pierwszy raz środków radykalnych, któreby sprawę przesądzały i wycofanie się w razie pomyłki trudném i kosztowném czyniły. Ani więc radykalny projekt zdemonetowania srebra, ani umiarkowańszy, aby wierzyciel nad pewną stale oznaczoną ilość swéj należności miał prawo domagać się połowy reszty w złocie,—ani inny, aby srebro ograniczone zostało do wypłat wewnętrznych w każdym z krajów Unii, wypłaty zaś międzynarodowe aby się tylko w złocie odbywały—co byłoby faktycznem Unii zerwaniem—nie utrzymały się; lecz stanęło na tém, że dla

powściągnienia spekulacyi, kraje Unii ograniczą w roku 1874 wybijanie grubéj srebrnéj monety (to jest sztuk pięcio frankowych): mianowicie Francya do 60 milionów, Włochy do 40, Belgia do 12, a Szwajcarya do 8, ta ostatnia zresztą pro forma jedynie, gdyż w rzeczywistości nigdy u siebie pięciofrankowych nie wybijała. Taką rzeczą nie miało wyjść w ciągu roku 1874 ze wszystkich mennic Unii więcéj nad 100 milionów franków grubéj srebrnéj monety, gdy w roku poprzednim wybito jéj na 300 milionów. Cel tego ograniczenia łatwo zrozumiéć, jeżeliby bowiem dotyczące rządy zechciały zawczasu z postanowienia tego korzystać (czego nie wiemy, czy tak było w istocie) i na swój wyłącznie rachunek oznaczoną ilość monety wybić, nic już na rzecz prywatnych nie pozostawało, i pole spekulacyi szczelnie było zamknięte. Napotkaliśmy jednak wzmianki w pismach, iż spekulanci, miarkując i przewidując postanowienie Konferencyi, pośpieszyli je uprzedzić i poprzednio już złożyli na rok 1874 duże ilości srebra w mennicach, którego przyjęcie do wybicia nie mogło im być na zasadzie obowiązujących przepisów odmówione, i tym sposobem, we Francyi przynajmniéj w roku owym ustanowioną ilość wybić się mającéj monety na swoję korzyść obrócić zdołali. Rzecz dziwna, że i w następnych latach taki się obrót we Francyi powtarzał. We Włoszech nie mógł on mieć wcale miejsca: ponieważ tam obieg papierowy już wyłącznie panował; spekulanci więc w tym tylko sposobie zyski ze srebra ciągnęli, że bijąc pięciofrankówki w mennicach włoskich z włoskim stemplem, wywozili je następnie do Francyi.

Uchwała Konferencyi o któréj mówimy powzięta była jednomyślnie i podpisana w dniu 31 Stycznia 1874 z zastrzeżeniem, iż na rok tylko obowiązuje, a po roku znowu się ma Konferencya zebrać. Przyczyniła się zapewne niepomału do tego rezultatu zmiana okoliczności na londyńskim targu drogich kruszców, w ciągu właśnie obrad Konferencyi, skutkiem dużego popytu na srebro z Indyj Wschodnich, z powodu nadzwyczajnych zakupów ryżu i innych żywności dla złagodzenia klęski głodowéj, w niektórych prowincyach Bengalu podówczas grasującéj, zniżka srebra nietylko się przez ciąg Stycznia 1874 zatrzymała, lecz nastąpiła dosyć znaczna w porównaniu z cenami grudniowemi roku przeszłego reakcya. W końcu Stycznia, notowane było srebro po 59 i pół pensów za uncyą; przez resztę zaś roku 1874, utrzymywało się srebro na londyńskim targu pomiędzy $58^{11}/_{16}$ a $58^{11}/_{16}$ za uncyą. Przyczyną tego były, jak się rzekło, duże wysyłki srebrnéj monety do Indyj Wschodnich, na pokrycie nadzwyczajnych tamecznego rządu wydatków, niedolą bengalską spowodowanych.

Gdy się więc po roku, w Styczniu 1875, Konferencya delegatów Unii Monetarnéj Łacińskiéj powtórnie w Paryżu zebrała, rzekomo dla wyjścia z postanowionéj za pierwszym razem tymczasowości, stan rzeczy tak się mało odmiennym od przesłorocznego okazał, że ani stronnikom zdemonetowania srebra i przejścia na wyłączną złotą stopę nie przybyło nowych argumentów, mogących uzasadnić bardziéj stanowcze w tym kierunku wnioski, ani téż stronnicy monety dwoistéj równoprawnéj nie mogli proponować powrotu do statu quo ante, t. j. do uchylenia ograniczeń w biciu grubéj srebrnéj monety przed rokiem uchwalonych, gdyż srebro, choć i dźwigające się z upadku zaprzeszłorocznego, do normalnéj ceny swojéj nie powróciło, Konferencya przeto nic stosowniejszego obmyślić nie zdołała, nad prolongowanie mocy obowiązującéj uchwał swoich z roku 1874 jeszcze i na rok 1875, a raczéj ponowienie takowych, t. j. ograniczenie wybijania sztuk srebrnych pięciofrankowych w téj saméj mierze. Lecz gdy na żądanie Włoch, które przedstawiały potrzebę wycofania starych swych monet i zastąpienia onych nowemi (nie dla wewnętrznego obiegu, gdzie asygnaty kruszcową monetę wyrugowały, były one potrzebne, lecz dla wypłat zagranicznych), uczyniono to ustępstwo, że im w roku 1875 o jednę czwartą więcéj sztuk pięciofrankowych nad ilość roku poprzedniego wybić dozwolono, domagały się takiego dla siebie podwyższenia i inne trzy państwa (Grecya ani w pierwszéj ani w drugiéj Konferencyi nie uczestniczyła). Podniosła więc Konferencya dozwoloną ilość dla Francyi do 75, dla Włoch do 50, dla Belgii do 15, a dla Szwajcaryi do 10 milionów. Oba monetowe stronnictwa były do pewnego stopnia z rezultatu tego zadowolone: bo rzecznicy zdemonetowania srebra i wyłącznego popłacania złota upatrywali w dalszém ograniczeniu bicia monety srebrnéj jakby stwierdzenie swéj tezy i przygotowanie do reformy, któréj konieczność przewidywali i wykazywali,—zwolennicy zaś monety dwoistéj kontenci byli, że się tak rzekoma konieczność jeszcze na rok odeprzéć i odwlec dała, licząc na to, że tymczasem okoliczności się zmienią i równoprawność dwóch kruszców, przetrwawszy ten kryzys, podawnemu nadal się utrzyma.

Szczególném i różném od innych członków Unii było zachowanie się rządu szwajcarskiego. Swajcarya najgłośniéj narzekała na zelżenie srebra i na dwoistą stopę, anticipando niemal: bo już od roku 1872, skarżył się tameczny stan handlowy na odpływanie złota, na przemagający obieg monety srebrnéj grubéj, a tuż za nią i biletów bankowych, które w wypłatach większych srebro zastę-

powały. Poseł szwajcarski w Paryżu najgorliwszym był agitatorem zwołania pierwszéj Konferencyi. Pomimo to nie korzystali Szwajcarowie z uchwał téj Konferencyi, choć je przyjęli i choć się razem z innymi członkami Unii o podwyższenie kontyngensu srebrnéj monety upominali. Wspominaliśmy już o tém, że ich mennice wcale sztuk pięciofrankowych nie wybijały. Wyrachowanie rządu szwajcarskiego było takie, żeby na wypadek przejścia Unii na złotą stopę zmniejszyć swe straty ze zdemonetowania srebra wynikające. Nie znaczyło to jeszcze, żeby ten rząd był stanowczym takiego przeobrażenia stronnikiem, wiadomo bowiem że jego przedstawiciele na Konferencyi, choć przemawiali zawsze za przejściem na złotą stopę, ale zawsze téż w przeciwnym duchu głosowali, t. j. za utrzymaniem stopy dwoistéj. Szwajcarya nieźle na takiéj polityce wychodzi. Potrzeby obiegu swego zaspakaja ona obfitém wypuszczaniem biletów bankowych, możne oparcie mających i bez trudności wymienialnych, a powtóre obfitą téż dosyć gotówką kruszcową, od licznych tam zawsze obcych gości napływającą. Argumentowali więc szwajcarscy członkowie, jak się wspomniało, na Konferencyi za złotą stopą, ażeby teoretycznie zupełne zaniechanie bicia srebrnéj monety usprawiedliwić, a rząd szwajcarski nie uważa téż za stosowne wybijać i złotéj w obec uchwał Konferencyi, dwoistą stopę utrzymujących. W kraju małym, a zasilanym w tak wielkiéj mierze obcą monetą, może się taka praktyka bardzo dobrze udawać, ale za wzór do naśladowania dla żadnego innego państwa służyć nie może. Okazuje ona zresztą, że owe głośne skargi szwajcarskich korporacyj handlowych i przemysłowych i wołania o złotą stopę wyłączną pochodziło z natchnienia nadmiernéj przezorności, chcącéj najmniejszym stratom zdaleka już zapobiegać, zanim się one uczuć dadzą, albo téż może były skutkiem wpływów z Berlina wywierających się. Niemcy bowiem urządzając sobie nowy system monetowy, nowéj wielkości swojéj rzekomo odpowiedni, bardzo o tem myślały, żeby sąsiednie kraje w sferze potęgi swéj leżące, i ze szczepem germańskim mniéj więcéj spokrewnione, do systemu owego wciągnąć, a od Łacińskiego frankowego oderwać. Zakazy jednak w tym kierunku były dotąd bezowocne, a powodzenie monetowéj reformy niemieckiéj dotąd nieustalone do naśladowania téż zachęcać nie może.

Uchwały powtórnéj Konferencyi monetowéj były tak samo jak i uchwały pierwszéj obowiązującemi na rok tylko, z zastrzeżeniem również trzeciéj narady, po upływie tego roku. Trzecia ta Konferencya w Styczniu r. 1876 wypadła wśród daleko niepomyślniejszych niż dwie pierwsze dla targu kruszcowego okoliczności. Srebro już

w Marcu r. 1875 zeszło było do 57 pensów za uncyą i spadało dalej bez przerwy; w porze gdy się trzecia Konferencya zebrała, t. j. w połowie Stycznia, płacono w Londynie za uncyą srebra już tylko 55 i pół pensów, czyli o półdziewiąta z górą procentu mniéj niż cena normalna (w stosunku do złota wypadało jak 1 do 17). Celniejsze pisma fachowe i niefachowe europejskie przypisywały tę ciągłą zniżkę srebra trzem przyczynom: najprzód wielkiéj wydajności nowych kopalń srebra w Newadzie, które, jak tu i owdzie twierdzono, wzmogły od lat pięciu jakoby o połowę ogólną produkcyą srebra na kuli ziemskiéj (1); powtóre przejściu na złotą stopę Niemiec i krajów Skandynawskich, jako téż zaniechaniu bicia srebrnéj monety w Niderlandach; potrzecie zmniejszaniu się odpływu srebra do Azyi, a zwłaszcza do Indyj Wschodnich, gdzie z postępem dobrobytu wzrasta przywóz europejskich towarów, któremi się przeto w coraz większéj mierze dawniejsze dopłaty w srebrze (za tameczne produkta) zastępują; a do tego zaczynają Azyaci powoli do złota się przyzwyczajać.

Pomimo tak zatrważający stan rzeczy wolała trzecia Konferencya Unii monetowéj Łacińskiéj znowu przedłużyć tymczasowość dwóch lat poprzednich, niż uchwalić zdemonetowanie srebra i przejście krajów Unii na jedyną złotą stopę. Rezolucye jéj podpisane w dniu 3 Lutego r. z. były téj treści, iż ilość wybić się mającéj w ciągu roku 1876 grubéj monety srebrnéj we wszystkich pięciu państwach (bo i Grecya tą razą uczestniczyła) Unii Monetarnéj Łacińskiéj ustanawia się na 120 milionów franków, z czego na Fran-

---

(1) Podanie to zdaje się być przesadzoném. Według wykazu produkcyi ogólnéj srebra i złota, ułożonego przez Reinacha, wydobyto w roku 1870 srebra za 257 i pół milionów franków; następnie zaś:

w 1871	roku	za	305	m. f.
„ 1872	„	„	325	„
„ 1873	„	„	350	„
„ 1874	„	„	357	„
„ 1875	„	„	310	„

Powoływani przez komisyą śledczą angielskiéj Izby Gmin specyaliści podawali wartość produkcyi srebra w pięciu ostatnich latach nieco odmiennie:

w 1871	roku	na	11510000	f. s.	czyli	287750000	fr.
„ 1872	„	„	13050000	„	„	326250000	„
„ 1873	„	„	16050000	„	„	401250000	„
„ 1874	„	„	14300000	„	„	357500000	„
„ 1875	„	„	16100000	„	„	402500000	„

Połowa téj wszystkiéj produkcyi pochodziła ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnéj, część trzecia z Mexyku, a reszta z innnych stron świata.

cyą 54 miliony, na Włochy 36, na Belgią 10,8, na Szwajcaryą 7,2, a na Grecyą 3,6 milionów wypadło. Ta ostatnia wszakże miała sobie dozwolone wybicie w sposobie wyjątkowym na 8,4 milionów sztuk pięciofrankowych celem zastąpienia obiegających do owego czasu w tym kraju dawnych monet różnego stempla; czyli że razem mogła Grecya wybić w roku przeszłym grubéj srebrnéj monety za 12 milionów franków.

Francuskie pisma fachowe, z jakiemi się tu spotykamy, nie były zadowolone z tego rezultatu trzeciéj Konferencyi. Zdaniem ich, należało było uchwalić, że wszelkie wypłaty mogą być obowiązkowo przyjmowane w srebrze nie w większéj ilości nad 2530 a co najwięcéj 50 franków; wyżéj zaś nad te winny obowiązywać w złocie, czyli że Francya i wszystka Unia Łacińska powinny były przejść na złotą stopę. Samo ograniczenie w biciu grubéj srebrnéj monety mogło rzeczywiście zabezpieczać kraje Unii od napływu obcego srebra i utraty złota dopóty, dopóki przy zelżeniu pierwszego z tych kruszców w porównaniu z drugim o trzy do czterech procentów nie miała spekulacya innego środka, prócz sprowadzenia srebra w sztabach i wybijania z nich sztuk pięciofrankowych w mennicach Unii. Inaczéj rzecz się ma, gdy różnica cen dochodzi do dziesięciu procentów, a jak się okazało wnet po ogłoszeniu uchwał Konferencyi w początku Marca r. 1876 do 11 i pół (52 i pół pensów za uncyą). Na tak wielkiéj szerzy między cenami złota i srebra zmieścić się już mogą z zyskiem dla przedsiębrania koszta urządzania mennic po za granicami Unii monetarnéj. Cóż wtedy władze tych krajów poczną? Jaki wynajdą środek przeciw napływowi gotowéj monety srebrnéj, która nie będzie fałszywą, gdyż jéj zawartość kruszcowa będzie najsumienniéj równa ustanowionéj, a wymiary i stempel niczém téż od kursujących w danym kraju sztuk pięciofrankowych różnić się nie będą? Tą więc drogą najlegalniéj i bez najmniejszéj możności zatamowania potrafią spekulanci urządzić na całéj przestrzeni Unii wymianę sfabrykowanéj przez siebie srebrnéj monety na złoto i ogołocić z tego ostatniego kraje Unii ze znacznym dla siebie zyskiem, tak, iż krajom w mowie będącym samo tylko zelżone srebro pozostanie. Przewidywała i sama Konferencya niebezpieczeństwo takiéj ewentualności: w ostatnim bowiem artykule jéj uchwał z dnia 3 lutego r. 1876 mieści się taki ustęp:

„Paktujące rządy będą sobie wzajem dawały znać o faktach fałszowania, albo podrabiania złotych lub srebrnych monet Unii, jakieby do ich wiadomości doszły—czy to w granicach Unii, czy téż po za niemi; w tém zwłaszcza co dotyczy używanych sposo-

bów zarządzonego ścigania kontrabandy i osiągniętych ztąd skutków, Porozumieją się one co do środków, społem przedsięwziąść się mających, celem zapobieżenia fałszowaniu i podrabianiu, zatamowania onego gdziekolwiek się okaże i niedopuszczenia, aby się takowe wznawiało.“

W naszéj części świata nie ma zresztą obawy, iżby podrabianie monet srebrnych w tajemnych na ten cel mennicach mogło być próbowane, a dopiéroż z powodzeniem. Fabrykacya taka zostałaby wprędce dośledzona i powściągnięta. Ale co innego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnéj, albo w Mexyku. Jakiejżby to trzeba czujności, jak rozgałęzionego doglądania, żeby wyśledzić kontrabandowy zakład menniczny wśród górskich pustyni Newady. A możnażby tu liczyć na szczere współdziałanie rządu Waszyngtońskiego, który sobie tak często z rozmysłem Europę lekceważyć pozwala i wdrożył się, rzecby można, do nieuprzejmości w międzynarodowych stosunkach? Innego rodzaju przyczyny udaremniłyby starania ku stłumieniu kontrabandy w drodze dyplomatycznéj, gdyby podrabiana moneta pochodziła z Mexyku, obficie srebro produkującego, gdyż w nieszczęśliwym tym kraju, nie było dotąd rządu, któryby ustaloną we wszystkich jego prowincyach zdolny był wykonywać władzę.

Względy i okoliczności tak ważne, głosy publiczne tak stanowczo nalegające nie zmieniły jednak przekonań i widoków większości Konferencyi, choć żadne fakta ani argumenta nie były przed nią ukryte. Musiała więc i ona mieć swoje racyą i to niemałéj wagi, bo sprawa przecię odbywała się publicznie, w obliczu że tak powiemy Europy; obrady dopuszczały najswobodniejsze wynurzanie zdań, a obradom towarzyszyła swobodna téż polemika dziennikarska we wszystkich krajach. Źródeł oświecenia się nie brakło członkom Konferencyi. Ale łatwiéj jest, jak wiadomo, radykalne środki i nagłe przejścia doradzać, niż takowe wykonywać; należące do Unii Łacińskiéj rządy uznały jeszcze i w tym roku, że zdemonetowanie srebra, przez stronników jedynéj złotéj stopy zalecane, przyniosłoby krajom Unii daleko większe straty, niż te, jakie wynikają przy utrzymaniu stopy dwoistéj—ma się rozumieć z praktykowaném, jak się wyżéj opowiedziało, ograniczeniem jéj skutków.

Ilość znajdującéj się we Francyi grubéj srebrnéj monety obliczano wówczas na 1200 do 1500 milionów franków. Z téj przypuszczalnéj ilości nie potrzebowałby kraj, przeszedłszy na złotą stopę, więcéj nad 100 milionów, czyli 20 milionów sztuk pięciofrankowych dla mniéjszych wypłat i obrotów. Resztę więc 1400 milionów maxymalnie, a 1100 minimalnie—wypadałoby sprzedać. Przy-

puszczając, że wartość srebra nie spadłaby daleko niżéj skutkiem saméj takiéj reformy i utrzymywałaby się jaką była w pierwszéj połowie Marca, t. j. około 52 i pół pensów za uncyą (więc w stosunku do złota blisko jak 1 do 18) straciłoby się na każdym funcie srebra z jego ceny normalnéj przeszło 14 procentów, a zatém suma ogólna straty dla Francyi wynosiłaby od 154 do 196 milionów.

Zwolennicy reformy przedstawiali rzecz nie tak strasznie. Podług nich, zatrzymując przez czas jakiś równoprawność sztuk pięciofrankowych z monetą złotą w wypłatach aż do stu franków, możnaby i po przejściu na złotą stopę pozostawić w obiegu sztuk tych na jakie 400 milionów, a zdemonetować tylko 800, czy téż 1100 milionów. Strata wtedy zeszłaby do 112 a najwyżéj 154 milionów. Ależ i to szczerba pokaźna (a maxymalna daleko prawdopodobniejsza od minimalnéj), którąby finanse Francyi i tak już przeciążone w krótkim stosunkowo czasie ponieść musiały, bo zdemonetowanie pięciofrankówek nie mogłoby być na lata rozkładane. Lecz powyższe oznaczenie przyjąć można, jak się rzekło, w tém tylko nieprawdopodobném zgoła przypuszczeniu, że tak ogromny przewrot monetarny, jak porzucenie srebrnéj stopy przez kraje Unii Łacińskiéj, nie sprowadziłby dużo większego jeszcze zelżenia zdemonetowanego kruszcu. Któż temu uwierzy kiedy podobna reforma w Niemczech, i to nawet niezupełna (bo sztuki talarowe dotychczas w równoprawnym ze złotem obiegu pozostają), tak dotkliwie uczuć się dała.

Że prócz tego widoki fiskalnych korzyści wywierały wpływ na zastosowania i uchwały Konferencyi, to zapewne wątpliwości nie ulega. Włochy, obywając się u siebie asygnatami (pod nazwą biletów bankowych), wybijają srebrną monetę tylko na export rzec można, t. j. dla uiszczenia prowizyi od swoich długów za granicą, po największéj części we Francyi; zelżenie więc srebra, jak dotąd, skarbu włoskiego nie obchodzi, a klęska byłaby dlań wielką, gdyby mu przyszło kupony od swojéj renty w złocie opłacać. Belgia już przed uchwałami Konferencyi wzbroniła wybijania grubéj srebrnéj monety, na rachunek prywatny, pozostawiając wyłącznie dla skarbu swego znaczny zysk, jaki się ztąd przy zelżeniu srebra otrzymywał. Co do Francyi, ta, przy dużym téż obiegu przymusowym biletów Banku Francuskiego niewymienialnych, nie potrzebowała się ani zelżenia srebra, ani wywozu złota swojego obawiać. Dosyć mamy na to w dziejach i w praktyce życia dowodów, że niekoniecznie wywiązują się z danego stanu rzeczy następstwa, wywiązać się mogące i przez rozum przewidywane. Pomimo równoprawności srebrnéj monety ze złotą we Francyi, wtedy gdy Anglia, Ameryka

Północna, Niemcy i t. d. równoprawności téj nie uznają i srebro dużo niżéj od Francyi cenią—co właśnie arcy wdzięczne dla spekulacyi pole przedstawiać się zdaje—nie łatwa to w praktyce sprawa, złoto z Francyi wywozić a w miejsce onego srebro tam zostawiać. Obowiązku wymieniania srebra na złoto nie ma i być nie może, tak jak nie ma przymusu płacenia złotem; spekulant więc chcący dostać we Francyi złota za srebro w widokach zyskania na wymianie w sąsiedniéj Anglii, czy gdzie indziéj, znajdzie się w warunkach wolnego targu, a tém samém na bardzo wielkie korzyści liczyć nie może, chyba że własne swoje złoto wywiezie. Lecz i tu, przy ograniczeniu wybijania pięciofrankówek w krajach Unii monetowéj Łacińskiéj, gdy skarb francuski, dawniéj na prywatny tylko rachunek monetę bijący, sobie tylko za przykładem Belgii operacyą tę pozostawił, jedyna dla spekulacyi droga ta tylko pozostaje, aby srebro do Włoch odstawiwszy, tam na monetę przebijać i na wypłaty do Francyi wywozić. Tak się rzeczywiście działo, lecz choć informacyi o tém nie mamy, trudno nam przypuścić, ażeby z ciągłym walczący deficytem skarb włoski nie opatrzył się na to i tak samo jak Belgia nie postąpił, aby taniość srebra w Londynie na swoją wyłączną korzyść obrócić.

Swoją drogą przecięż dużo srebra do Francyi napływa, i faktem jest przez angielską parlamentową komisyą śledczą (o któréj na wstępie niniejszego studyum wspominaliśmy) zaświadczonym, że z ogólnéj ilości srebra, tak nowo wydobytego, jak i z drugiéj ręki z różnych krajów na targu świata w ciągu czterolecia 1872—1875 na sprzedaż wystawionego a na 65 milionów funtów sterlingów wycenionego, więcéj połowy, bo za 33 miliony funt. szter. odeszło do Francyi. P. Chevalier w Revue d. d. m. z 15 Sierp. r. z. przekładając te podania na franki wylicza wartości powyższe na 1867 i pół i na 837 i pół milionów (ale w pierwszéj z tych cyfr pomylił się widocznie, gdyż według tego wypadałby funt sterling po 28,7 franków, co jest ceną zgoła niebywałą i zostaje zresztą w sprzeczności z drugą cyfrą 837 i pół milionów, odpowiadającą rzeczywiście 33 milionom funtów szterlingów w stosunku 25,3 franków na funt sterling).

Ten ogromny przyrost obiegu srebra we Francyi tłómaczy się wprawdzie po części przez zelżenie tego kruszcu. Rząd francuski do ostatnio uchwalonego, w Czerwcu r. z. prawa, o którém niżéj powiemy, nie bił monety na swój rachunek, lecz tylko na prywatny, pobierając ma się rozumieć opłatę (nie całe cztery centymy od sztuki pięciofrankowéj) za koszt wyrobu. Od czasu więc jak srebro spadać zaczęło, prywatna spekulacya szczególnie była

interesowaną w korzystaniu z tego stosunku. Uchwały trzech po sobie następujących Konferencyj monetarnych ograniczyły, jak widzieliśmy te korzyści, lubo zawsze one zwłaszcza w ciągu roku 1875 i 1876 na miliony milionów się liczyły (1). Dopiéro w prawie uchwaloném przez Zgromadzenie Narodowe w Czerwcu r. z. na wniosek rządu upoważnionym został tenże do zupełnego zaniechania, jeżeli to uzna za właściwe, bicia grubéj srebrnéj monety. Postanowienie to nie mogło mieć żadnych praktycznych następstw w ciągu roku ubiegłego, ponieważ spekulacya pośpieszyła już poprzednio dać do wybicia nietylko wszystką ilość srebra, dozwoloną w uchwałach Konferencyi na rok 1876, t. j. na 54 miliony franków, lecz jeszcze i połowę tejże ilości, t. j. 27 milionów, które Konferencya facultative na rachunek roku 1877 za dozwoloną uznała. To ostatnie było już rodzajem nadużycia, przez bankierskie wpływy suto zapewne okupionego.

Te wszelkie okoliczności nie sprowadziłyby same tak wielkiego napływu srebra do Francyi, który, jak widzieliśmy, ośmset kilkadziesiąt milionów w ciągu czterolecia 1872—75 wynosił. Przyczyną główną i ogólną jest ogromny wzrost produkcyjności tego kraju i jego handlowych obrotów, bilansujących się stale względem zagranicy wielkiemi wywozu nad przywóz plusami. Według cyfr ze sprawozdań urzędowych za lata 1872 i 1873, plus wartości wywozu francuskiego nad wartość przywozu wynosiła w pierwszém z tych lat 231,5 w drugim 328,7 milionów franków, że zaś upadające po za granicami Francyi w cenie swéj srebro nie przestawało być w tym kraju według dawnego do złota stosunku, prosta więc rzecz, iż tak angielscy, jak niemieccy i inni dłużnicy francuskiego handlu uiszczali się w srebrze, jako w tańszym kruszcu. Dodajmy daléj liczne wypłaty od obligacyj pożyczek zagranicznych, w ręku francuskich posiadaczy znajdujących się, osobli-

---

(1) Przykład cyfrowy dla objaśnienia. Od Marca 1875 do Stycznia 1876 spadła cena srebra z 57 do 55 i pół pensów za uncyą na londyńskim targu. Biorąc więc za cały ten czas przeciętną cyfrę 56, znaczy ona różnicę in minus od ceny normalnéj (60$^{7}/_{8}$ pensa) o ośm procentów. Wybite jednak ze srebra za tak niską cenę w Paryżu pięciofrankówki miały wartość całkowitą, według dopiero oznaczonéj ceny normalnéj, a zatém o 40 centów wyższą od targowéj ceny srebra. Odciągnąwszy koszta zakupu, przewozu i wybicia, dajmy na to choćby i dziesięć centymów na pięciofrankówkę, pozostawał czysty zysk 30 centów, czyli na każdym franku 6 centów. Francuskie zatém firmy bankierskie, które dostawiły w ciągu roku 1875 do mennic i wybiły na swój rachunek 60 milionów franków, wyznaczonych dla Francyi przez uchwałę Konferencyi, zyskały na tym obrocie 3000000 franków.

wie renty włoskiéj, na rachunek któréj coś blisko 50 milionów franków corocznie przybywa. Należy wreszcie pewną tu nadzwyczajną wspomnieć okoliczność, która się w ciągu tych lat ubiegłych niepomału téż do zwiększenia we Francyi ilości drogich kruszców w ogóle a zatém i srebra szczególniéj przyczynić musiała, a było nią pozbywanie się przez francuskich posiadaczy wielkiéj ilości papierów zagranicznych. Ruch ten przeważnie zapanował we Francyi od czasu ostatniéj wojny, jakoby reakcya przeciwko wielkiemu rozpostarciu się francuskich kapitałów po za granice kraju podczas Cesarstwa. Ale jakkolwiek przywiedziona ilość srebra wprowadzonego do Francyi w ciągu czterolecia 1872—75 była przeszło trzykroć większą, niż w czteroleciu poprzedniem 1869-71, gdy tylko 271 milionów franków wynosiła, nie widać jednakże dotąd żadnego tam w obiegu monetowym, a mianowicie srebrnym, przesycenia, tém mniéj ogołocenia Francyi ze złota. Ciekawe w tym względzie fakta podaje raport parlamentowéj komisyi śledczéj angielskiéj, a tém ciekawsze, iż po raz pierwszy ogłoszone. W ciągu roku 1874, w ogólnéj wartości kruszczowego zapasu Banku Francuskiego, stanowiło srebro 85 procentów przecięciowo, w roku następnym ilość jego zeszła do 45, a około połowy roku 1876 (raport złożony został w pierwszéj połowie lipca tego roku) do 35 procentów. Bank Francuski nie miał nigdy zwyczaju wykazywać tego stosunku w swoich sprawozdaniach, co mu jeszcze w roku przeszłym referent finansowy *Debatów* z okazyi sprawozdania za rok 1875 wytykał. Według sprawozdania Banku za rok 1874, wynosił jego zapas kruszcowy w początku tego roku 760 milionów franków, a pod koniec, 1331 milionów, wypadało więc z tych dwóch cyfr na srebro 646 i 1131 milionów, czyli w przecięciu 888 milionów. W końcu roku następnego 1875, zwiększył się zapas kruszcowy tegoż Banku do 1668 milionów, że zaś stosunek w nim srebra zeszedł do 45 procentów, musiało go być więc na 750,6 milionów. W połowie Marca 1876, ten niewidziany dotąd w jednym zbiorze ogrom drogich kruszców urosł jeszcze do 1845 milionów. Prawdopodobnie raport komisyi parlamentu angielskiego nie mógł się na znacznie późniejszych opierać datach, wynika więc, że w téj ostatniéj ilości, znajdowało się srebra już tylko za 645,75 milionów obok 1199 z górą milionow w złocie. Czegóż dowodzi to zmniejszanie się ilości srebra w sklepach Banku? Oto tego chyba, iż publika francuska bynajmniéj sobie obiegu srebrnéj monety nie przykrzy, ani się o jéj zelżenie trwoży, inaczéj wnosiłaby ją do Banku coraz więcéj, przy sposobności tylu wypłat. Dowodzi to powtóre, że i złoto z Francyi nie odpływa, skoro go się coraz więcéj w Banku Francus-

kim gromadzi. P. Chevalier, który niegdyś dowodził potrzeby zdemonetowania złota, a dziś najgorliwszym jest rzecznikiem zdemonetowania srebra, przytacza w cytowanéj rozprawie swojéj cyfrę 540 tylko milionów, jako wartości srebra w Banku Francuzkim leżącego w miesiącu Kwietniu r. z., lecz i ta ilość jest w oczach jego przerażającą, i nie wspominając nic przytém o dwakroć większéj wartości zapasu złota, wskazuje na te 540 milionów w srebrze, jako na wymowny symptom pogorszenia stanu pieniężności we Francyi. „Lecz Bank Francuzki, dodaje, nie ma prawa się uskarżać, skoro zawsze obstawał tak gorliwie przy stopie dwoistéj i przy stosunku ceny srebra do złota, jak 1 do 15 i pół.“ To téż Bank w saméj rzeczy bynajmniéj się nie uskarżał i, w sprawozdaniu swém za rok 1875, żadnéj nawet o zelżeniu srebra nie uczynił wzmianki, czemu się stronnicy złotéj stopy, przewidujący z tego zelżenia wielkie dla Francyi straty, głośno dziwili.

Sądzimy jednak, iż przywiedzione powyżéj fakta i okoliczności dostatecznie usprawiedliwić mogą tak spokojność Banku Francuskiego, jak i uchwały trzeciéj Konferencyi monetarnej krajów Unii Łacińskiéj, a w szczególności politykę monetową Francyi. Usprawiedliwiają zdaniem naszém i dalszy przebieg srebrnego przesilenia, jakkolwiek przez czas jakiś mogli złotostopowi alarmiści coraz groźniejszą przepowiadać przyszłość. Zelżenie srebra od czasu trzeciéj Konferencyi w roku przeszłym 1876 szybszym zaczęło iść krokiem niż poprzednio, jak to poniższa wykazuje tablica notowań cen uncyi tego kruszcu na targu Londyńskim:

	Cena najwyższa.	Cena najniższa.
Styczeń	56 1/8	54 1/8
Luty	54 7/8	53
Marzec	54 1/4	52 1/2
Kwiecień	54	53 1/2
Maj	54	52
Czerwiec	52	50
Lipiec	51 1/2	46 7/8

Spadło więc już było srebro do stosunku względem złota, jak 1 do 20,12. Był to kulminacyjny punkt przesilenia. Od Lipca rozpoczął się ruch odwrotny, srebro dzwignęło się z upadku i choć nie bez cofań do końca roku w kierunku dawnych się cen posuwało. W miesiącu Grudniu, stały one pomiędzy 58 1/2 i 55 1/2, w ostatnim dniu roku notowano 56 3/4 i w ciągu pierwszych miesięcy roku bieżącego (do połowy Lutego gdyśmy to pisali) wahały się notowania pomiędzy 58 i 57 z ułamkami.

Nie mamy dotąd żadnej wiadomości o zebraniu się nowéj Konferencyi monetarnéj w Paryżu. Przez trzy poprzednie lata zbierała się ona w Styczniu i do następnego Stycznia odraczała. Samą już zwłoka tą razą zdaje się zapowiadać, że kraje Unii monetarnéj Łacińskiéj, czyli właściwie ich rządy muszą uważać powyższy obrót rzeczy w dziedzinie pieniężności jako dobrze dla ich systemu wróżący. System ten wytrzymał bez szwanku przesilenie tak gwałtowne, jak większego przypuszczać niepodobna, a trwożne przepowiednie wcale się nie ziściły. Zapewne, że ograniczenie w biciu grubéj srebrnéj monety, a nawet zupełne onego na rachunek prywatny zawieszenie stanowi niejaką tego systemu obrazę; ta obraza atoli teorytyczną jest tylko a nie praktyczną, skoro publiczności, ani interesom przemysłu i handlu nie dolega i w obiegu pieniężnym żadnych nie sprawia zakłóceń. Tak Francya, jak Belgia i Szwajcarya, mając stale plusowe bilanse w handlu swym zagranicznym, nie ponoszą strat na dopłatach w droższym kruszcu, a od nadmiernego przypływu kruszcu tańszego zabezpieczyły się, jak widzieliśmy dostatecznie. Co do Włoch, widzieliśmy, że i te w porzuceniu stopy dwoistéj żadnego nie mają interesu.

W dalszym ciągu téj pracy rzucimy okiem na odbicie się zelżenia srebra w innych krajach, przedstawimy wypadki parlamentowego śledztwa angielskiego i zastanowimy się nad kwestyą stopy jedynéj i dwoistéj w ogólności.

(*dok. nast.*)

SŁOWIAŃSZCZYZNA POŁUDNIOWA,

POGLĄD SPOŁECZNY,

skreślił

Teod. Tom. Jeż.

(Ciąg dalszy).

II.

Część rodu serbskiego, w skład otomańskiego państwa wchodząca, obejmuje: Serbów właściwych, Serbów w Staréj Serbii, Czarnogórców, Hercegowińców, Bośniaków, Dalmatyńców i Kroatów w ilości tak małéj, że ich zaznaczamy jeno, nie będziemy atoli o nich się rozpisywali.

Serbów entograficznie cechy wyraźne i w oczy bijące odróżniają od Bulgarów. Serbowie, to już Słowianie, dający się jako tacy rozpoznać od jednego oka rzutu, to brać rodzona tych, co zamieszkują brzegi Dniepru, Wisły, Włtawy. Historya tłómaczy tę różnicę, opowiadając przyjście ich z nad Wisły i Dniestru w VI wieku ery chrześciańskiéj i osiedlenie się nad Sawą. Nie przywiązując wiary bezwzględnie do zapisanego u Porfirogenity podania o braciach i siostrach, którzy z za Karpat Serbów przyprowadzić mieli, przypuszczać można, ba należy, że w skutek przyczyn, których historya bliżéj nie wyjaśnia, odbyła się w wiekach VI i VII znaczna emigracya Słowian z północy na południe. Zdaniem naszém, Słowianie owi przybywali pomiędzy swoich. Brzegi Drawy, Sawy, Dunaju, kraj od wybrzeży Adryatyku do morza Czarnego, cały może, z wyjątkiem Peloponezu, półwysep Bałkański, posiadał zdawien dawna zaludnienie słowiańskie, które pod panowaniem rzymskiém, pozostając w stanie niewoli, znajdowało się, że się tak wyrazimy, przy saméj ziemi, rosło, rozrastało

się na równi z płodami gleby miejscowéj, szło w rachunek na równi z bydłem. Musiało zaludnienie to być potulném bardzo. Potulność owa, widzi się nam, przechowała się w Bulgarach, którzy, w swoim czasie, posłużyli za materyał surowy do budowy państwowéj dla Wolgarów, przybyszów z nad Wołgi. Coś podobnego stało się śród Słowian zamieszkałych w ziemiach do Adryatyku przylegających, z tą atoli różnicą, że przybyszami byli tu nie obcy, a swoi, Słowianie, tém od tubylców wyżsi, że posiadali organizacyą własną, niezależną, którą téż szczepili. Organizacya ta nie miała państwa na widoku. Przybysze nie przychodzili jako zdobywcy; przychodzili jako wychodźcy, gromadami, osiadali i wywierali wpływ wprost z wyższości ich wynikający: nadawali ludności miejscowéj formy bytu, odmienne od tych, jakie posiadała z ręki rzymskiéj. Historya, wspomniawszy o przyjściu ich w w. VI, następnie, przez ciąg półtrzecia wieku z górą, nie wié o nich nic. Nie znikli przecie — pozostali na miejscu; z tego zaś, czego się późniéj o Serbach już dowiadujemy, wnioskować się godzi, że w ciągu owego półtrzecia wieku odbywał się ferment asymilacyjny pomiędzy przybyszami a ludnością miejscową, która, jako słowiańska, jako bierna, miała do udzielenia przybyszom, albo nic, albo bardzo niewiele. W Mezyi dolnéj, przybysze nadali ludności miejscowéj formy i nazwę, przejmując od niéj język i zwyczaje. Tu także odbyło się nadanie form i nazwy; co się jednak przejęcia tyczy, takowe istnieć nie mogło, ze względu na to, że Serbowie mówili językiem tubylców i, co do zwyczajów, różnić się od nich musieli, nie tak atoli znacznie, ażeby wyrównanie we względzie tym nastąpić nie miało prędko i łatwo.

Z półtrzeciawiekowego pomroku wynurzają się na jaśnią dziejową żupy słowiańskie i zaznaczają dążność wyraźną egzystencyi samoistnéj. Tu także nastręcza się sposobność wykazania różnicy pomiędzy Bulgarami a Serbami. Samoistność tamtych ma za punkt wychodni władzę najwyższą,ześrodkowaną w rękach rodu królewskiego, który stanowi pestkę państwową; samoistność tych wychodzi z żup, z ogółu, z gromady, z narodu: nie wyskakuje przeto od razu, jak bulgarska, wnet po podboju przez Wołgarów dokonanym, lecz rozwija się powoli, stopniowo, przebija pracowicie skorupę, co ją otacza i, nie inaczéj, jeno zniewolona, przyjmuje kształty bytu od tych, z którymi toczy walkę zaczepno-odporną. Zaczepność znamionuje dążność owa; odporność—wstręt do przypuszczania obcych do mięszania się w sprawy domowe. Serbia prezentuje się w brzasku dziejowym tak samo, jak brać jéj zakarpacka, jako rzesza gmin jedna od drugiéj niezależnych. Składu

gmin tych dzieje nie przechowały, tak, że dociec trudno, były li to osady oddzielne, czyli téż do gminy jednéj, „*żupaństwem*“ zwanéj, należało osad więcéj. Zdaje się, że to ostatnie istniało. Żupaństwa obejmować musiały pewne większe kraju przestrzenie, mieszczące w sobie grody i sioła, ciążące ku jednemu punktowi środkowemu, w którym przebywała władza, spoczywająca w ręku „*żupana*“ obieralnego? czyli téż najstarszego pomiędzy starszymi? czy dziedzicznego? pytanie. Sądząc o przeszłości wedle teraźniejszości, wnioskować należy, iż nie było pod względem tym reguły stałéj, czyli, że działo się, jak się trafiło, raz żupana obierano, jak obiera się dziś „*oborkneź*,“ znów dostojeństwo to dostawało się najpoważniejszemu wiekiem i wziętością, jak się dzieje obecnie w „*zadrudze*,“ albo téż z rodów, który uzyskiwał zaufanie, skutkiem którego po ojcu następował syn i wchodziło to w zwyczaj, wciągało się i pozostawało jako reguła, gruntująca się tém silniéj, że wzorem, na który się Serbowie zapatrywali, było Cesarstwo Wschodnie. Bądź co bądź jednak, władza żupańska nie była nieograniczoną: stała nad nią „*skupsztyna*,“ złożona z wszystkich bez wyjątku członków żupy, z mężów dojrzałych i z młodych, z niewiast i dzieci. Wszystko co żyło zgromadzało się w razach pewnych w koło radne, słuchało przedstawień i rozstrzygało sprawy w instancyi ostatniéj za pomocą okrzyków, wyrażających przyjęcie wniosku, „*otiemo!*“ (*choczemo*, chcemy), lub téż, wyrażających odrzucenie, „*nie tiemo!*“ (nie chcemy). Tak się nam przedstawia organizacya żup, przyniesiona przez przybyszów z po za Karpatów i zaszczepiona nad Sawą. Węzeł, jaki je łączył, nie mógł być inny, jeno federacyjny i to luźny bardzo, ze względu na to, że organizacya owa istniała sposobem przekradanym pod okiem dozoru greckiego, przestrzegającego interesów państwowych, którym wręcz sprzeciwiało się łączenie się żup ścisłe. To ostatnie odbywało się jednak. Żupy się łączyły, sprzymierzały, a to w skutek podniety podwójnéj, jednéj co z narodu wprost płynęła, drugiéj, która się na takowéj opierała. Naród dążył do niezależności—domagał się jéj, dobijał się o nią i nie mógł onéj dopiąć inaczéj, jak pod wodzą naczelników, żupanów, którzy, ze swojéj strony, na téj opierając się dążności, dążyli do szerzenia i potęgowania władzy w rękach ich spoczywającéj. W tym celu otaczali się drużyną dobraną, która nieznacznie wzrastała na stan uprzywilejowany. Wzory greckie dopomagały dążności téj. Organizacya społeczna krystalizowała się powoli; w miarę zaś jak się rozwijała i utrwalała, naród, właściwy naród, ten co w skupsztynach występował, na znaczeniu tracił. Tworzyły się stany; stanęło wreszcie, dzięki słabości pań-

stwa zwierzchniego, Królestwo Serbskie; królestwo na moment zaświetniało, zaświetniało i zgasło, zdławione ręką otomańską, która miała do czynienia nie z narodem całym, a z tą częścią onego, co tron otaczała i z przywilejów korzystała. Przywileje nie zdały się na nic w obronie ojczyzny. Serbski naród przeszedł pod panowanie tureckie, pod którém utracił stany uprzywilejowane i pozostał na ciąg wieków czterech pod rodzajem klosza politycznego, pod którym zakonserwował się takim, jakim był poprzednio, nim jeszcze stanów uprzywilejowanych z łona swego nie wydał. Czasy niepodległości pod Niemaniczami przeszły dla niego niby sen, który pięknym stał się wówczas dopiéro, gdy w legendowych wspomnień szatach wystąpił. I znów dawna dążność narodowa snuć się poczęła. I znów dążność ta z narodu wyszła i w ręce naczelników się dostała. Historya, *mutandis mutandum*, powtórzyła się mniéj więcéj. Słabość względna państwa otomańskiego dozwoliła Czarnogórzu i Serbii wywikłać się z więzów niewoli wiekowéj.

Uczyniliśmy ten retrospektywny rzut oka na dziejowe koleje serbskiego narodu dla dwóch powodów, raz, dla wykazania, a raczéj, umotywowania różnicy pomiędzy Serbami a Bulgarami, powtóre, dla wytknięcia paraleli pomiędzy tém co było, a tém co jest. Z paraleli konkluzyą wyciągniemy późniéj, co się zaś różnicy tyczy, o téj powiemy jeno, w rodzaju założenia, z którego łatwo się da wniosek wysnuć, że Serbowie są bardziéj, wyraźniéj, dobitniéj Słowianami, aniżeli Bulgarowie. Jest w nich ten akcent, po którym się Słowianin rozpoznaje śród ludzi szczepów innych. Posiadają oni w charakterze swoim słowiańskie zalety i słowiańskie przywary, których pierwowzór zawiera się w najmocniéj pomiędzy Słowianami słowiańskich Polakach. Zaprzeczyć jednak nie można temu, że w charakterze Serbów znajdują się zboczenia niejakie, których przyczyna tkwi we wpływach zewnętrznych, pod naciskiem których długie spędzili wieki. I tak, naprzykład, w Serbach napróżnobyśmy szukali szczerości owéj, jaka odznacza Słowian w ogólności. Są gościnni, są serdeczni, umieją być szlachetni i wspaniałomyślni, umieją jednak co innego myśléć, co innego mówić. Stosunki z Byzancium najprzód, następnie długa niewola turecka urobiły ich na dyplomatów z urodzenia. Jestto rys charakteru im właściwy, który się od razu w oczy nie rzuca: potrzeba pomiędzy nimi pomieszkać czas jakiś i obyć się z nimi. Zatém idzie, że i na słowo Serba spuszczać się bezwarunkowo nie można. Odbija się na nich *greca fides*, zkąd pochodzą niekiedy w czynnościach ich, politycznych zwłaszcza, zwroty niespodziankowe a nie-

przewidziane. Wojna, którą Rosya w roku 1828—29 z Turcyą toczyła wszczętą została za ich powodem i na ich korzyść: owóż oni, nietylko w wojnie téj udziału nie wzięli, ale zamiast, jak to zastrzeżoném było, prowiantować armią rossyjską, prowiantowali armią turecką. W latach 1853—56, ani się ruszyli, pomimo odgrażania się, jakie ustawicznie w ustach mieli. Spolitykowali raz, spolitykowali drugi raz—stawiali świeczkę i Panu Bogu i diabłu. Śmialo powiadamy, że żaden ze słowiańskich narodów nie zdobyłby się na powściągliwość podobną. Dyplomacya nie wyszła im na dobre w czasach ostatnich, to jednak kwestya inna, któréj dotykać nie będziemy, poprzestając na zaznaczeniu rysu charakterystycznego, wyznaczającego Serbom, we względzie moralnym, odrębne w rodzinie słowiańskiéj stanowisko. Łatwo w nich ujrzeć serce na dłoni—ochocić się lubią i ochocą się radzi, ale, w stanie podchmielenia nawet, mają na celu wyprowadzenie kogoś w pole. Nieboszczyk Miłosz Obrenowicz, głowa panującéj obecnie dynastyi książęcéj, był uosobieniem Serba: człowiek ten, nie umiejąc pisać ani czytać, wprawiał nieraz w wielkie kłopoty mężów, co na dyplomacyi zęby zjedli.

Serbskie plemię pod tureckiém panowaniem zajmuje przestrzeń całą na zachód, od lewego brzegu Timoku poczynając, wzdłuż Dunaju, wzdłuż Sawy, po Unę; granicę zachodnią stanowi łańcuch Alp Dynarskich, ciągnący się równolegle do wybrzeża morskiego; na południe, na wysokości miasta Bar (Antivari), poczyna się granica albańska, która okala jezioro Skadarskie, bieży w góry Driny i gubi się w południowych wąwozach Szar-płaniny. Serbów w państwie otomańskiém obliczają na dwa miliony i pół, do trzech milionów, zamieszkujących krainę pochyłością swoją ciążącą ku Dunajowi i Sawie. Obsiadują oni porzecza Timoku, Morawy, Kałubary, Driny, Bośny, Wrbasa i Uny. Jedna Nerenta płynie w kierunku od wschodu na zachód i wpada do morza Adryatyckiego, tworząc kotlinę i nawiązek gór, usprawiedliwiające topograficznie odłączenie Hercegowiny i istnienie Czarnogóry, które inaczéj nie miałyby powodu najmniejszego niewchodzenia do jednolitości serbsko-bośniackiéj, rozlewającéj się w porzeczach równoległych na stokach wciskających się pomiędzy rzeki wyż wymienione i pomiędzy przytoki owych gór, tworzących iście labiryntowe poplątanie terenu. Dolina Morawy, téj Morawy, co pod nazwą bulgarskiéj wkracza w granice Serbii księstwa i, połączywszy się z przybywającą z zachodu Morawą serbską, płynie daléj ku Dunajowi, dzieli górzystość serbską na dwie nierówne połowy, na wschodnią i na zachodnią. Połowa wschodnia obszedłszy źródła

Timoku, wiąże się z systemem Bałkanów bulgarskich, połowa zachodnia towarzyszy wciąż brzegom morskim, które najeża cyplami i, za pośrednictwem gór albańskich, łączy się z peloponeskiemi. W téj ostatniéj, w widłach Morawy serbskiéj i Morawy bulgarskiéj, góry się skupiają w zawęźlenie, z pośrodka którego wznosi się Kopaonik, szczyt najwyższy, 1892 metry. Od Kopaonika na południe znajdują się źródła rzeki Ibar, sąsiadujące ze źródłami rzeki Wardar. Wyżyna, stanowiąca podział wód, służy w okolicy téj górzystéj za rodzaj grobli, po któréj przechodzi trakt wojenny, prowadzący z Rumelii do Bośnii. Traktem prowadzącym do Serbii, jest dolina Morawy bulgarskiéj. Na pierwszym z nich rozlega się pamiętna w dziejach plaszczyzna, zwana Kossowém Polem, która wraz z Metochią, przerzniętą przez Białą Drinę, uważaną niegdyś była za najżyzniejszą w Serbii całéj okolicę i była nią w rzeczy saméj, aż ją podeptali Turcy. Według przekonania ludowego, stopy tureckie posiadają własność ujałowiania gruntu.

Własność ta ekonomiczno polityczna ciąży na zamieszkałéj przez serbską ludność krainie, niby zmora. W Serbii księstwie, od czasu wyłamania się z pod władzy tureckiéj, rozwijać się poczęło życie ekonomiczne, słabo jednak. Serbia, równie jak Bośnia, posiada bogactwa w dwóch naturalnych złożone magazynach: w górach—lasy, kamieniołomy, kopalnie i wypasy; na dolinach—gleba żyzna. Sposoby wyzyskiwania pozostawiają wiele do życzenia. Kamieniołomy pominiemy, te bowiem, bez zapewnionych komunikacyj, bez miast wielkich rozbudowywujących się, niewielki zarobek dostarczyć są w stanie. Lasy jednak zasługiwałyby na względy większe od tych, z jakiemi obchodzą się z niemi, z wyjątkiem bowiem miejscowości, gdzie trudność dostępu czyni je pięknym, acz bezużytecznym gór ornamentem, wszędzie indziéj podlegają one zniszczeniu. W Bośnii, tam gdzie przetorowane drogi dozwalają drzewo przez góry przeprowadzać, dostawiają takowe po cenach niskich do portów austryackich na budowę okrętów. Z tego powodu przetrzebiono już lasy tak, że w wielu miejscach pozostały same jeno krzaki. W Serbii dzieje się nie lepiéj. Brak opieki nad lasami przyprawia je o szybko postępujące wyniszczanie bezpożyteczne, polegające na marnowaniu drzewa na użytek domowy. Lasy się trzebią z brzegu poczynając i ku głębi sięgając. Jedyną ich ochronę stanowi szczupła liczba ludności w stosunku do ziemi. Gospodarstwo kopalniane idzie jak najgorzéj. W Bośnii, w czasach niepodległości jéj, istniały mnogie huty eksploatowane przez magnatów; przetapiano w nich żelazo i miedź,

a nawet złoto i srebro, z których w Dubrowniku złotnicy wyrabiali klejnoty. Huty te znajdują się obecnie w stanie zaniedbania zupełnego. Kupy żuzli jeno świadczą o istnieniu onych. W Serbii, rząd otworzył hutę w miejscowości Majdanpek zwanéj, w któréj przetapianie rudy posiadały wysoki procent żelaza i miedzi, jak to stale wykazywały doświadczenia i próby w laboratoryach zagranicznych dokonywane. Przetapianie nawet żuzli starych korzystném być miało. Nad hutą jednak ową fatalność jakaś zawisła. Eksploatowanie przez rząd przyniosło straty tak wielkie, że znaleziono się w konieczności zaniechania robót. W celu uniknienia ostateczności téj, oddano kopalnią w ręce prywatne. Sformowało się towarzystwo na akcyach, założone przez Francuzów, którzy akcye rosprzedali, pieniądze stracili i bankructwo ogłosili. Kopalnią znowu rząd objął;—nie wiemy co się z nią dzieje obecnie, wątpić jednak należy, ażeby się w kwitnącym znajdować miała stanie. Majdanpek zabudowany był pięknie; huta zaopatrzoną była we wszystko co do eksploatacyi należy zbytkownie: Francuzi opuścili miasteczko w ruinie, hutę w stanie rozbicia zupełnego. Nastąpiło to w roku 1866 i od czasu onego, jak słyszeliśmy, zawiązało się towarzystwo angielsko-serbskie, które Majdanpek z ruin dźwiga i do porządku przyprowadza. Ponoć jednak racyą mieli senatorowie owi dawni, którzy, gdy wytoczyła się na stół kwestya otwarcia kopalni majdanpekskich, sprzeciwiali się temu, a to na téj zasadzie, że ponieważ w Majdanpeku znajdują się skarby, więc najpewniejszém i najbezpieczniejszém na skarby schowaniem jest wnętrze ziemi.

— Póki tam są, póty je posiadamy — powiadali senatorowie niepiśmienni. Wydobędziemy, roztrwonimy i stracimy...

Nie przewidywali, że nietylko skarby stracą, ale stracą jeszcze i nakład, dopłacając przytém do eksploatacyi.

Trudno podać niepowodzenia tego przyczyny inne, jak te tylko, które się w ogólności do początków wszelkich odnoszą. Serbowie, nie mając techników własnych, sprowadzali takowych z zagranicy. Posługiwali się zrazu Niemcami; używali Czechów, Polaków; uciekli się w końcu do Francuzów. Ani ci, ani owi nie zdołali kopalni na dobréj postawić stopie. Ta próba jedna zraziła do próbowania w innych miejscach. Bogactwa kopalniane leżą bez użytku.

Największą stosunkowo korzyść ciągną Serbowie z wypasów, które same niejako nadają się do wyzysku. Trawa rośnie; bydło się rodzi. Bydło spożywa trawę chodząc po lesie samopas i wracając na noc do zagrody: oto trud cały około hodowli onego. Trud ów opłaca się. Sprzedaż bydła do Austryi stanowi najwa-

żniejszą gałęź handlu krajowego, niewyzyskiwanego atoli w obszerności całéj, raz dla tego, że hodowla sama, pozostawiona naturze, nie daje rezultatów takich, jakieby dawać mogła, gdyby zajmowano się nią ze zwracaniem uwagi na rasę i na gatunek, powtóre dla tego, że z nabiału najmniejszego nie robią użytku handlowego. Serbia, która mogłaby fabrykować sery na sprzedaż, jak Szwajcarya, nie ma masła własnego do zaopatrywania stolicy. Masło, śmietanę, sér dostarcza do Belgradu Banat, równie jak wiele innych artykułów, któreby na miejscu produkować się dały.

Mówiąc o korzyściach, jakie przynoszą góry, pominąć nie można hodowli świń, będących tak w Serbii, jak w Bośnii, przedmiotem nietylko handlu, ale i poszanowania, a to z powodu prześladowania, jakiemu stworzenia te podlegają ze strony Turków, którym koran wieprzowiny zabrania. W Bośnii hodowla świń odbywa się ukradkowym sposobem. Tak było i w Serbii za czasów panowania tureckiego. Gdy takowe upadło, upadła racya ukrywania się ze „świnkami," poszanowanie atoli pozostało, tak, że dziś nawet, w głębi kraju, biada śmiałkowi, którýby się odważył czynnéj względem świni dopuścić zniewagi. Poszanowanie atoli nie przeszkadza bynajmniéj wyprowadzaniu trzody chlewnéj na sprzedaż i podawaniu onéj pod nóż rzeźnicki. Świnie znaczny przynoszą dochód. Dochodu tego atoli, równie jak dochodu z bydła nie jesteśmy w stanie podać w cyfrach. Zaznaczamy jeno istnienie onego, poprzestając na określeniu ogólnikowém „znaczny," mając na poparcie ogólnika tego dwa przykłady historyczne. Kara-Georgi, wódz serbski w walce o niepodległość, był hodowcą i handlarzem bydła; Miłosz Obrenowicz, głowa dynastyi panującéj, hodował trzodę chlewną i prowadził takową handel. Jest we względzie tym szczegół jeden do zaznaczenia. Podania polskie przedstawiają pierwszego męża dziejowego pod postacią kołodzieja; w podaniach czeskich, fundator państwa orze rolę, w chwili gdy mu koronę przynoszą: w Serbii obaj mężowie, którzy przewodniczą odrodzeniu państwowemu narodu, są handlarzami.

Mówiliśmy o pożytku, jaki niosą góry w ogólności, nie odróżniając Serbii od Bośnii, Hercegowiny, Czarnogóry i Staréj Serbii. Do odróżniania nie ma punktów wiele. Charakter gór tu i tam jest jednaki, co się zaś mieszkańców tyczy, różnica cała polega na tém, że w Serbii i w Czarnogórzu poczynają sobie na swobodzie, podczas gdy wszędzie indziéj krępuje ich zależność niewolnicza od państwa i od panującéj warstwy ludności. Bośniacy, Hercegowińcy i Staroserbowie, uciskani i szykanowani przez wła-

dze rządowe, przez system fiskalny, przez bejów zresztą, krępowani są w ruchach, muszą się z dochodami ukrywać, wielu zaś poprzestaje na hodowli kóz i na zarobkach dorywczych.

Przechodząc od gór do dolin, nie mamy, niestety, o tych ostatnich do powiedzenia pomyślnego nic. Gospodarstwo rolne w wielkiém znajduje się zaniedbaniu i to ogólnie, tak w krajach pod berłem tureckiém, jako téż w tych co swobody zażywają. Reguła ogólna: roli uprawia się tyle, ażeby do przednówku starczyło na zaspokojenie potrzeb domowych. Zboże téż stanowi w handlu artykuł niezawalający skiel dunajskich. Ozime bodaj czy gdzie sieją. Robocizna cała odbywa się na wiosnę, bez systemu i bez ładu, często bardzo od ręki, w czém pomoc ogromną stanowi żyzność gleby, która do wydania plonu potrzebuje być jeno zlekka podrapaną i obsianą. To téż widziéć się zdarza nierzadko rolnika serbskiego, jak za pomocą sapy przysposabia pod zasiew pola kawałek, nie tykając obszarów rozlegających się do koła. Żal serce ściska, patrząc na te obszary, któreby w ilości ogromnéj produkować mogły pszenicę, żyto i kukurydzę, zaspakajać potrzeby domowe i, za pomocą zbytu do krajów sąsiednich, pomnażać bogactwo krajowe.

Staranniéj, aniżeli około zboża, chodzą około uprawy wina i tytuniu. Staranność ta atoli bardzo jest względną, nie wpływa téż na podniesienie gatunków, przez co wina serbskie mogłyby stanąć do współzawodnictwa z węgierskiemi. Mimo to gatunki niektóre nie lękają się porównania. Wina kraińskie, inaczéj negotyńskiemi zwane, dają się konserwować i nie ustępują węgierskim najwyborniejszym. Toż samo powiedziéć się da i o tytuniu.

O fabryczności, w krajach przez Serbów zamieszkałych, i mówić nie ma co. Rządowa fabryka broni w Kragujewcu,—tyle świécy i wosku. Dodawać nie potrzeba, że fabryka ta złamanego szeląga zysku nie przynosi, przeciwnie naraża kraj na straty, figurujące rok rocznie w budżecie pod postacią wydatków na uzbrojenia. We względzie fabryczności przemysłowéj, przytoczyćby się dało prób kilka nieudanych, zrażających do próbowania. Taką, naprzykład, była próba huty szklanéj, założonéj przez Petroniewicza. Cała przeto fabryczność trzyma się w granicach rękodzielnictwa, w którém Serbowie, z wyjątkiem kobiét przędzeniu i tkactwu się oddających, biorą udział tak mały, iż można go uważać jako żaden. Rzemiosła wszystkie prawie prowadzą Niemcy, ilość których tak jest znaczna po miasteczkach i miastach, że w Belgradzie naprzykład, uledz można niekiedy złudzeniu i, słysząc na ulicach lub

po kawiarniach język niemiecki, wziąść stolicę Serbii za jedno z miast germańskich.

Przedstawiliśmy stan rolnictwa i przemysłu w świetle niekorzystném. Nie możemy faktu tego pozostawić bez komentarza, nie podając przyczyn, dla których bogactwa krajowe pozostają w stanie nietykalności. Podanie przyczyn poprzedzić musimy zastrzeżeniem, odnoszącém się do Bośniaków, Hercegowińców i Staroserbów. Tym za wymówkę służy ucisk turecki; wymówka zaś ta tak jest ważną, że obwiniać ich nie śmiemy o nic, najmniéj zaś o to, o co obwiniamy obywateli Serbii wolnéj. Główną jedyną przyczyną opłakanego stanu rolnictwa i przemysłu jest, przykro wyznać, nie co innego, jeno wielki, bardzo wielki wstręt do pracy.

Jeżeli pisanie nasze niniejsze dojdzie do wiadomości pobratymców naszych, nie sądzimy, ażeby za złe brali otwartość, z jaką wytykamy im wadę ich pryncypalną.

Dla czego hodowla bydła i trzody chlewnéj w kwitnącym stosunkowo znajduje się stanie? — dla tego, że najmniéj wymaga zachodu.

Dla czego rolnictwo odłoguje, a zakładanie fabryk niemożliwém jest?—dla tego, że robotników sprowadzać należy zdaleka, albowiem Serb żaden roboty się nie imie, uważając takową za ubliżającą godności własnéj—godności wolnego obywatela, rycerza, powołanego do odbudowania wielkiego onego carstwa Duszana, które sięgało aż po mury Carogrodu.

Brak robotnika stanowi w Serbii plagę bardzo dotkliwą, a to tém cięższą, że trwającą ustawicznie. Przy roli, w winnicy, przy uprawianiu tytuniu rzadko jeno widzieć można Serba rodowitego: przychodzą Bulgarowie i wynajmują się, albo téż przybywa robotnik z za Dunaju lub z za Sawy. Robotnik ten przybywa sam w pewnych roku porach i pyta o robotę,—jest więc tańszy od robotnika fabrycznego, którego sprowadzaćby należało. Serb woli sejmikować za stołem w mehanie, popijając *crwleno* lub *bielo ładne wińce*. To jego rozkosz—choroba chroniczna jego. Popija *wińce* i słucha *slepca*, który, wtorując sobie na gęśli, snuje opowiadanie rytmiczne bez końca i w opowiadanie to wplata zręcznie imiona słuchaczów. Z opowiadań tego rodzaju powstała niepodległość Serbii. „Pieśń gminna" była dla niéj rzeczywistą „arką przymierza między dawnémi a młodszemi laty," i rzeczywiście dzierżyła „miecz archanioła." Nie dziw téż, że Serbowie piastują dla niéj w duszach cześć głęboką; ale jednak i tego im chwalić nie można, iż ołtarze czci owéj mieszczą w izbach szynkowych, okadzając je dymem fajek i oblewając strugami wina. Z czci takiéj wyradza się pró-

żniactwo, sprowadzające następstwa wcale niewesołe. Jako jedno z następstw wymienimy grę w karty. Przywara ta grasuje w Serbii straszliwie; jest polipem społecznym, rozgałęzionym obszernie. Grają w karty wszyscy, wszędzie. Smutek głęboki przejmuje, widząc wieśniaków próbujących losu kartami zatłuszczonemi. Nie znamy widoku boleśniejszego. Grę w karty uważać można, jako bezpośredni wynik próżniactwa, z którego wyradza się też i choroba niezaradności ogólnéj, widna na wszystkich przedsiębierstwach.

Tu znów nastręcza nam się sposobność uczynienia porównania pomiędzy Polakami a Serbami.

My także przyznać się musimy do choroby próżniactwa, wykwitłego na tle rycerskiém a opartego o rolę. Rycerz Polak był rolnikiem—ziemianinem: ziemiaństwo uważaném było w Polsce jako zajęcie jedyne, nieubliżające godności rycerskiéj. Od łokcia, od kwarty, ziemianin stronił. W Serbii pzzeciwnie. Rycerski Serb stroni od roli, garnie się zaś do łokcia i kwarty. *Trgowla* jest w mniemaniu jego zajęciem wielce zaszczytném; o tytuł *trgowac* ubiega się Serb każdy, marzy o nim i chyli głowę z uszanowaniem przed tym, którego on zdobi.

Cóż to jednak za *trgowla*?

Handel wówczas jeno posiada doniosłość pewną, gdy go podpiera rolnictwo lub przemysł, albo też rolnictwo i przemysł. Wykazaliśmy stan jednego i drugiego: nie dziw przeto, że stan ów odbija się na handlu, który nie dochodzi do tych rozmiarów, do jakichby dojść mógł, gdyby w kraju własnym zasoby czerpał, inaczéj, gdyby bilans ogólny przeważał na stronę wywozu. Tu stajemy znów w obec braku cyfr na poparcie słów wyrzeczonych i braku owego zastąpić nie możemy inaczéj, jak ogólnikami. Serbia wywozi przeważnie bydło i świnie, idące w zamian za wszelkie wyroby fabryczne, jako też za sól i żelazo. Weźmy na uwagę wkradający się po miastach, a nawet i po wsiach zbytek; weźmy na uwagę jeszcze i to, że część znaczną kapitału, któryby do obrotu mógł służyć, więżą klejnoty niewieście. Kobiéty serbskie, te co się europeizują, zaopatrują się w gałgany, te zaś, co się starego jeszcze trzymają obyczaju, nie umieją obchodzić się bez naszyjników, bransolet, napierśników i ozdób we włosach, robionych z dukatów. Mnóstwo w ten sposób dukatów wisi bezpożytecznie na postaciach niewiast serbskich, przydając im wdzięków, lecz uszczerbek niemały handlowi przynosząc. Mężczyzni ze swojéj strony czują się obowiązanymi świecidłami blask osób własnych podnosić. Choroba ta dotyka szczególnie Czarnogórców, plemię rycerskie *par excellence*, ale też próżniaków, jakim rownych znaleść

trudno w Europie. Próżniactwo, powiadają, jest występków rodzicem. W ziemiach serbskich jest ono przyczyną bodaj czy nienajważniejszą zastoju ekonomicznego, niedającego się uczuwać krajowi dla tego jedynie, że małe stosunkowo zaludnienie broni go od pauperyzmu. Chleba kawałek w krainie niewyeksploatowanéj znajdzie się dla każdego. Z głodu ludzie nie umierają w Serbii, w Bośnii, w Hercegowinie, w Czarnogórzu nawet, w Staréj Serbii. Starczy im z roku na rok na przeżywanie i na wyczekiwanie czasów jakiś lepszych, widniejących w przyszłości nieokreślonéj co do odległości. Coś kiedyś stać się ma — coś takiego, co sobie ludzie przedstawiają, w Serbii inaczéj, w Bośnii inaczéj, w Hercegowinie inaczéj, w Czarnogórzu inaczéj.

„U nas inaczéj, innaczéj, inaczéj!"

Zachodzi jednak w przedstawianiu przyszłości podobieństwo pewne ogólnikowe, z którego to wynika następstwo, że każdy z działów, na jakie rozpada się kraina przez serbskie zamieszkała plemię, eskontuje przyszłość na własny rachunek i na własną korzyść. Ztąd powstaje w dążnościach spółzawodnictwo, którego wynikiem prostym a naturalnym jest antagonizm, tłómaczący się przez znane francuskie sformułowanie dążności tego rodzaju: „*ote toi que je m'y place.*" Serbia ma na widoku carstwo Duszana, obejmujące cały świat serbski, łącznie z Bulgaryą; każda jednak z części świat ten składających ma na widoku toż samo niemal, tak, że antagonizm skupia się na jednym i tym samym przedmiocie, w jednym i tym samym punkcie, stając się przez to, nie antagonizmém, a raczéj owém spółzawodnictwém, jakie rozwija się śród psów kilku, gdy chodzi im o kość jednę. W razie takim tryumfuje najmocniejszy.

Najmocniejszą jest Serbia, z racyi warunku niezależności, który posiada, a który nie przysługuje innym częściom. Rzecz ciekawa, jaki téż ona z warunku tego użytek zrobiła.

Wszystko, cośmy powiedzieli powyżéj, wchodzi w zakres użytku; w zakresie tym atoli nie powiedzieliśmy jeszcze wszystkiego, ograniczając się na tém jedynie, co wynika wprost z charakteru narodu, bez względu na to, w jakiém on znajduje się położeniu. Łączyliśmy cechy wspólne, należące do Serbów w ogólności.

Niezależność, uzyskana przez część jednę Serbów w r. 1830, dała części téj możność rozwijania, kształcenia i doskonalenia sił przyrodzonych i stawania się przez to rodzajem pewnym punktu oparcia, odnośnie do dążności odwiecznéj ku uniezależnieniu się, jaką, rzec można, natura sama złożyła w łonie świata serbskiego.

Na drodze rozwijania, kształcenia i doskonalenia sił rzeczą najpierwszą, warunkiem najnieodzowniejszym jest pojmowanie zadania własnego. Serbia to zrozumiała. Nie zrozumiała ona tego sposobem intuicyjnym, ale uznać i przyjąć umiała rady, z jakiemi pośpieszono do niéj, jak skoro zaświtał nad nią brzask niepodległości politycznéj.

Trzeba się uczyć!...—wołano na nią.

I Serbia rzuciła się do nauki z zapałem młodzieńczym. W pierwszych już chwilach istnienia niezależnego, widzimy szkołę wyższą, około któréj grupować się wnet poczęły szkoły średnie i szkółki elementarne. Szkoły istnieć nie mogą bez biblioteki: powstala więc biblioteka publiczna, założona w stolicy. Ruch czytelny wywołał potrzebę dziennikarstwa i pism czasowych; z ruchu naukowego wyrodziło się piśmiennictwo, które ze swojéj strony wytworzyło ognisko pod postacią towarzystwa literackiego, zmienionego następnie w naukowe. Brano się do tego gorączkowo. Zapał zrazu był taki, że ludzie starzy nie wzdragali się w obec elementarza, współzawodnicząc z dziećmi w uczeniu się czytania i pisania. Prawda, że w czasach owych umiejętność czytania i pisania stanowiła nauki szczyt najwyższy. Ogół nie domyślał się, ażeby po za nią pozostawać miało co jeszcze. Uczono się gorliwie, a uczenia się tego owoc był ten, że na dziesięciu jeden zaledwie dotrwał do końca, inni ustawali w połowie drogi. Zapał pierwotny, który odpowiednio a umiejętnie wyzyskany, mógł był do świetnych doprowadzić rezultatów, ostygł niebawem, a to dla téj przyczyny, że oświatę na nieodpowiednim budować jęto się gruncie, na gruncie urzędniczym. Szkoły zakładała władza, a zakładała je w tym celu, ażeby mieć kim obsadzać biura. Nie obwiniamy jéj o to. Płynęło to z natury władzy, z owéj *prima charitas ab ego*, któréj zrzec się nie była w stanie, tém bardziéj, że nie mogła nie ulegać wpływowi wzoru, jaki pod bokiem miala, nie mogła nie zapatrywać się na Austryą, w któréj biurokratyzm rozkwitał na szeroką skalę. Skrzywiono więc oświatę w zarodku samym i spętano ją. Ztłumiono w niéj ducha obywatelskości, którego miejsce zajął popęd mający promocyą na widoku. To pozbawiło oświatę podniety szlachetnéj, jakkolwiek bowiem popęd rzeczony podnietą jest, obraca się jednak w kółku za zbyt ciasném i za nadto specyalném, a przytém podległym jest względowi pewnemu, ciążącemu nad nim niby zmora. Świat urzędniczy, raz stworzony, staje się od razu zamkniętym—wyradza kastę—wywołuje nepotyzm. Wchodzi weń, nie kto chce, ale kogo wpuszczą. Ogół prędko poznał tę właściwość biurokratyzmu i stracił do uczenia się ochotę. Szkoły, w jakimkolwiek

zakładane celu, niosą korzyść, nie tak jednak rychłą, nie tak powszechną i nie tak doniosłą, jakąby nieść musiały, gdyby oświatę przenikała idea wspólnego dobra, gdyby posiadała ona znaczenie kapitału spółkowego, przynoszącego członkom pojedynczym odsetki w stosunku do wkładek. Kto więcéj włożył, ten na znaczniejsze korzyści liczyć ma prawo. Przy takiém postawieniu kwestyi oświaty, garnięcie się do niéj byćby musiało trwalsze i powszechniejsze. I tak się téż ona była postawila sama. I byłaby, przypuszczać się godzi, wydała owoce dobre, gdyby jéj rząd nie skrzywił. Zabsorbował ją całkowicie świat urzędniczy, który, władzę otaczając a emanacyą onéj będąc, w duchu jéj postawił ideał, wyrażający dążność państwową, mającą na celu nie co innego, jeno srzerzenie władzy. Jak książę z tronu, tak urzędnik najniższy z podnóżka onego wpatruje się w Serbią Duszana, bez względu na to, że Serbia taka razi Bośniaka, Hercegowińca, Czarnogórca, że się na nią nie godzi Bulgar, że jest rękawicą, ciśniętą pod nogi Grekowi, że zniechęca Rumuna rojącego o Dako-Romanii, że trudności pochodzące od Państwa Otomańskiego potęguje trudnościami, które sama tworzy. W przyszłości, po doświadczeniach zwłaszcza ostatnich, może się to naprawi i Serbia stanie się dla słowiańszczyzny południowéj tém czém być powinna, to jest, ogniskiem oświaty, którą bez nieufności przyjmować będą Słowianie inni, garnąc się do szkół serbskich w ilości większéj aniżeli dotychczas.

Szkół Serbia, według sprawozdania oficialnego z roku 1874, posiada tyle: początkowych dla chłopców 470, dla dziewcząt 47, progimnazyów czteroklasowych 5, trzyklasowych 2, gimnazyów pełnych 2, szkół realnych niższych 8, wyższa 1, szkoła panieńska 1, seminaryum nauczycielskie 1, seminaryum teologiczne 1, akademia 1, szkoła rolnicza 1, szkoła wojskowa 1. Ludność kraju wynosi 1352522 mieszkańców. Uczących się we wszystkich szkołach z końcem roku było 25278. Przypada więc szkoła jedna na mieszkańców 2500, uczeń jeden na mieszkańców $53\frac{1}{2}$. Obcokrajowców, to jest słowian z prowincyj tureckich, liczono 262, z których do seminaryum teologicznego uczęszczało sześćdziesięciu kilku, a do gimnazyów niższych stu kilkudziestu. Ci zaś wchodzą do obrachunku stosunku uczniów do mieszkańców, stosunku, którym Serbia niestety chwalić się nie może, mając jednak na usprawiedliwienie swoje to, że późniéj od krajów innych zajmować się poczęła szkolnictwem. W roku 1840 nie było szkoły ani jednéj. Jedyny resurs do nauczenia się czytać i pisać, stanowiły klasztory. Niepiśmienność panowała powszechnie, będąc udziałem tych nawet co narodowi przewodniczyli w walce o niezależność. Nie umieli

pisać ani czytać, ani Karageorgi, ani Miłosz Obrenowicz, ani hajduk Welko, ani żaden z wodzów bardziéj dystyngowanych. W przeciągu przeto czasu dość krótkiego, w półwieku niespełna, w zakresie szkolnictwa, ludowego zwłaszcza, Serbia stanęła obok Portugalii, któréj niepodległość oblicza się na lat setki. Z tém wszystkiém mogłaby pod względem tym stać lepiéj, gdyby Serbowie zapatrywali się na oświatę własną, jako na najważniejszą, jeżeli niejedyną, przyszłości rękojmią, w stosunku tak do nichże samych, jak do pobratymców ich najbliższych.

Zakres programu szkół niższych, pomimo że zawiera w sobie geografią i historyą, nie przekracza jednak nauki czytania, pisania, rachunków i katechizmu, nauki, która dla większéj uczniów części staje się ziarnem na jałowym zasianém gruncie. Część większa, dla braku ćwiczenia w latach późniejszych, zapomina tego, czego się w dzieciństwie w szkole nauczyła. Brak ćwiczenia pochodzi z braku podniety stosownéj w życiu praktyczném. Wieśniacy serbscy nie czytają, bo nie mają co, nie piszą, bo nie mają o czém; doszli więc do tego, że naukę szkolną uważają, jako właściwą niedorostkom, dla dojrzałych zaś ludzi zbyteczną i przydatną jeno dla tych, co z niéj chléb jedzą.

W urządzeniu szkół średnich nie ma do zaznaczenia osobliwego nic. Szkoła wyższa, akademia, mieszcząca się w Belgradzie, w budynku wystawionym i narodowi ofiarowanym przez jednego z kupców nazwiskiem Misza Anartasiewicz, dzieli się na wydziały: filozoficzny, rozpadający się na historyczno-filozoficzny i fizyczno-matematyczny, prawny i techniczny. Kursa na wydziale filozoficznym trwają lat trzy, na prawnym i technicznym cztery. Od założenia akademii liczba słuchaczów, która w r. 1838 wynosiła 16, wzrastała stopniowo i w roku 1874 doszła do cyfry 194 zwyczajnych i 13 nadzwyczajnych, razem 207, a mianowicie: na wydziale filozoficznym 49, na prawnym 121, na technicznym 37. W ciągu pierwszych lat dwudziestu pięciu istnienia szkoły wyższéj, słuchaczów wpisało się 1216, z liczby téj ukończyło kurs nauk pełny 237, mianowicie zaś wyszło prawników skończonych 210, filozofów 27. Ztąd widzimy, że młodzież serbska garnie się najbardziéj na wydział prawny, co posłużyć może jako dowód we względzie tego, cośmy powiedzieli powyżéj o kierunku ogólnym, nadanym w Serbii edukacyi publicznéj. Na prawo idą młodzi Serbowie nie z zamiłowania szczególnego do nauk na wydziale tym wykładanych, a z téj przyczyny, że znajomość nauk tych otwiera szeroko wrota do karyery w zawodzie urzędniczym. Wszakże, w czasach ostatnich, i duch obywatelskości począł się przejawiać śród uczącéj się mło-

dzieży. Zawiązało się stowarzyszenie, pod nazwą *Omładina*, które wytknęło sobie cele, tyczące się dobra ogólnego, cele postępowe i polityczne, upodrzędniające widoki osobistości pojedynczych. Omładina rozpoczęła działalność swoję od wydawania pisemek zbiorowych; uwieńczyła takową wydaniem wojny Turcyi. Nie wysnuła jednak tego z saméj siebie. Rok rocznie niemały młodzieży procent wyjeżdża zagranicę, szukając światła po uniwersytetach europejskich, przeważnie w Paryżu i Wiedniu, jakotéż w zakładach technicznych szwajcarskich, w Zurichu zwłaszcza. Są to powiększej części wychowańcy szkoły wyższéj belgradzkiéj, którzy uzupełniają wiadomości, powzięte na ławach zakładu naukowego rodzinnego. Wraz z uzupełnianiem wiadomości przychodzą ideje, odnoszące się do życia społecznego i politycznego. Te, ludzie młodzi przenoszą do kraju w postaci ziarn plon obiecujących. W ten sposób przedostają się do Serbii pojęcia i dążności, krążące wśród społeczeństw europejskich najbardziéj zaawansowanych. W łonie Omładiny, naprzykład znaléść można republikanów z przekonania, zakreślających dla słowiańszczyzny południowéj plan organizacyi na téj podstawie, na jakiéj zorganinizowaną jest federacya szwajcarska. Plan ten, zrodzony śród wypadków roku 1848, pokutuje w głowach pod nazwą „Federacyi dunajskiéj". Niektórzy pragnęliby zastosować go do całego zbiorowiska narodów, zaludniających półwysep Bałkański, do słowian, do Albańczyków, do Greków, do Rumunów, do Turków nawet, ażeby w ten sposób, bez ujmy dla odrębnych indywidualizmów narodowościowych, wytworzyć spójnią silną i wymogom postępu zadośćczyniącą. Można też śród młodzieży téj znaleść i socyalistów, przejętych teoryami naj skrajniejszemi, internacionalistów i nihilistów. O przekonaniach ich, odnośnie do gruntu rodzinnego, powiedzieć należy, że wiszą one w powietrzu, pomiędzy niebem a ziemią. Wspominamy o nich, dla oddania o ile można najdokładniéj fizyognomii Serbii dzisiejszéj, na któréj obok rysów ogólnych, znajdują się i zmarszczki szczególne, piętna, brodawki, piegi bez których podobieństwo obrazu byłoby niezupełném.

W Belgradzie, w budynku akademii, mieści się biblioteka publiczna, gabinet numizmatyczny i galerya portretów historycznych, oraz w próbkach, gabinet historyi naturalnéj. Na wszystkiém tém znać początkowość. Biblioteką zarządzał przez długi czas zmarły niedawno Janko Szafarzyk, synowiec znakomitego P. J. Szafarzyka. Jest ona przystępną dla każdego, korzystają z niéj jednak przeważnie profesorowie i młodzież akademicka. Zapytywaliśmy

jakiéj téż treści dzieła najwięcéj śród téj ostatniéj mają czytelników. Romanse—niestety! Biblioteka belgradzka nie należy do bogatszych; jest ona przeważnie historyczną i w tym jednak względzie brak jéj wiele, zwłaszcza co się źródeł tyczy, tak że zawiódłby się srodze, ktoby przy pomocy jéj zechciał pracować nad dziejami, chociażby serbskiemi tylko. Posiada wszakże cenne bardzo, zrobione przez nieboszczyka Janka Szafarzyka wyciągi z archiwów weneckich, odnoszące się do stosunków pomiędzy Wenecyą a Słowiańszczyzną południową;—powoli téż gromadzą się w niéj dokumenta różne, które z czasem uczynią ją ciekawą i zadaniu swemu odpowiadającą.

Najwyższą naukową instancyą jest *Towarzystwo naukowe serbskie* (*Srbsko uczeno drużstwo*), które rozpoczęło żywot swój pod nazwą „Towarzystwa piśmiennictwa serbskiego“, a nazwę i organizacyą nową uzyskało w roku 1864, na mocy dekretu podpisanego przez panującego podówczas Michała Obrenowicza III. Towarzystwo naukowe podzielone na cztery oddziały, literacki, nauk przyrodniczych i matematycznych, historyczny i sztuk pięknych, pełni funkcyą przypadającą w krajach innych akademiom nauk. Organem onego jest *Głaśnik*, wychodzący od lat dwudziestu dziewięciu, w formie książki, ukazującéj się raz na rok. Skromne zrazu rozmiary Głasnika rozszerzają się stopniowo. Najważniejszą w roczniku tym rubrykę zajmuje historya narodowa, z czasów zwłaszcza powstań serbskich pod Karageorgiem i pod Miłoszem. Towarzystwo daje temy konkursowe, za które wyznacza nagrody pieniężne i utrzymuje stosunki z towarzystwami naukowemi zagranicznemi; posiedzenia wydziałów odbywają się w miarę jak się potrzeba okaże; posiedzenia komitetu miewają miejsce regularnie raz na miesiąc; posiedzenia ogólne raz na rok, w dniu św. Sawy, patrona Serbii. Świadectwo działalności Towarzystwa złożoném jest całkowicie w Głasniku, do którego też odsyłamy ciekawych, sami przechodząc na pole działalności narodu w zakresie piśmiennictwa.

W zakresie tym jest do poświadczenia dużo dobrych chęci, krępowanych obojętnością ogółu. Prace literackie nie znajdują powodzenia i poparcia należytego. Dzienniki i czasopisma trzymają się jeno te, które z jakiegobądź tytułu pobierają subsydya od rządu,—trzymają się gdy nawet czytelników nie mają. Za czasów bytności naszéj w Belgradzie, wychodził *Świetowid*, dziennik poświęcony polityce, naukom, literaturze i sztukom pięknym. Redakcya cała składała się z jednego człowieka. Człowiek ów był za-

razem drukarzem i jedynym czytelnikiem; gdy chorował zawieszał publikacyą na tak długo aż do zdrowia przyszedł. Dowiadywano się o tém z tych egzemplarzy, które z obowiązku posyłał do zakładów publicznych. Dziennik ów, kiedyśmy się z nim spotkali, wychodził już od lat szesnastu i, zapewne, wychodzi po dzień dzisiejszy, jeżeli mu subsydyów nie odjęto, albo też jeżeli zasłużony onego redaktor z życiem się nie rozstał. Na podstawie subsydyów wychodzą urzędowe *Srbskie Nowiny* i półurzędowy *Uidow dan*, dwa pisma najbardziéj czytane. Próby dziennikarstwa niepodległego nie wiodą się. Niepodległość tego rodzaju istnieje, ale nie na gruncie serbskim. Pisma niesubsydyowane wychodzą w Nowym Sadzie, w Peszcie nie w Belgradzie, gdzie żadne jeszcze utrzymać się niemogło siłami własnemi. W oczach naszych zgasł dobrze bardzo redagowany tygodnik literacki *Wila*, przeżywszy niedłużéj jak lat pięć. Wydawnictwo książkowe także w chorobliwym znajduje się stanie. Drukarnie belgradzkie istnieją dla odtłaczania druków urzędowych i książek szkolnych, i lat temu dziesięc stolica nie posiadała księgarni więcéj nad jednę, właściciel któréj oddawał się drzemce ustawicznéj. Mało miał i towaru i kupujących. Mimo tę obojętność, jednak literatura rozwija się, talenta pojawiają się coraz to nowe, i wątpić nie należy, że z czasem dla pracujących na tém polu nastaną dni jaśniejsze.

„Nie od razu Kraków zbudowano". Nie można wymagać, ażeby Serbia, która rozpoczęła życie niezależne bez żadnych zasobów literackich, stanęła od razu na równi z narodami, których przeszłość upłynęła pod względem tym w warunkach pomyślniejszych. A i dla niéj zdarzały się momenta ożywienia. Gdy Urek Karadźicz wytoczył na stół sprawę joty, Serbia zawrzała do głębi, tak że po wsiach nawet o jocie rozprawiano szeroko.

Dla Serbii mitręgę wielką stanowi nie tyle różnica kościoła, co różnica alfabetu, jaka zachodzi pomiędzy nią a Kroacyą, to sprawiająca, że jedna i taż sama literatura w dwóch równoległych płynąć musi korytach. Gdyby koryta złączyć się mogły, przybyłoby przez to zasobów i sił tak jednéj jak i drugiéj. Nastąpi to kiedyś. Dziś już, w pisaniu odręcznem, a nawet i w druku, Serbowie litery niektóre, takie jak *l*, *s*, *r*, zastępują chętnie literami pzez Kroatów używanemi. Modyfikacye wkradają się nieznacznie i we względzie tym słabsi ulegają wpływowi potężniejszych, jakiemi są Kroaci i Serbowie węgierscy, którzy posiadają dzienniki niepodległe, w których drukują się książki bez stępla rządowego, w których we wszystkich piśmiennictwa gałęziach odbywa się ruch

żywszy i bardziéj samoistny. Literatura dwukorytowa powołaną jest do oddziaływania jedna na drugą. Oddziaływanie ma miejsce i dziś, lecz częściowo, a zatém słabo. Sami jeno uczeni praktykują wzajemność piśmienniczą, obcą dla ogółu trzymanego, dzięki różnicy alfabetycznéj, w niewiadomości absolutnéj tego, co się dzieje o miedzę, u sąsiada, będącego nietylko sąsiadem, ale pobratymcem wedle krwi, ducha i języka. Literatura Serbska w Kroacyi jest dla Serbów tém samém niemal, co niemiecka lub francuska.

(D. c. n.)

POSTRZELONA

POWIEŚĆ

Williama Black'a,

przekład

Maryi Faleńskiéj.

Tom drugi.

ROZDZIAŁ I.

Przesilenie.

Gdy następnego poranku, wędrowcy nasi wyjrzeli z kaju swoich na świat Boży, zrozumieli od razu, że na cały dzień ten,t nie ma co myśleć *Kormoranowi* o dalszéj podróży. Najlżejszy powiew nie poruszał żagli, nie marszczył nigdzie wygładzonéj powierzchni morza. Postanowiono tedy poświęcić tymczasem wolne chwile polowaniu, i w tym celu zaopatrzywszy łódkę w zapasy żywności i we wszelkie potrzebne przybory wybrał się nią Drummond z Millerem, mając z sobą dwóch wioślarzy, oraz chłopaka do posługi i zbierania spodziewanéj zwierzyny. W ostatniéj chwili, kiedy już mieli odpływać od statku, Violetta tak usilnie poczęła nalegać aby wziąść udział w téj wyprawie, że się wreszcie musiał na to zgodzić Drummond, pomimo wyraźnego niezadowolenia swego młodego towarzysza. Łódka poczęła się błąkać po wszystkich stronach zatoki, a ilekroć zbliżała się do miejsca, gdzie ptastwo zdawało się liczniejszém, Drummond nie omieszkiwał zalecać Violecie, aby się jak najciszéj zachowywała, co mu jednak nie przeszkadzało wdawać się zaraz potém w długie rozprawy, dotyczące bystrości wzroku i słuchu ptaków, oraz dziwnéj zręczności dzikich ludzi do polowania i rybołówstwa. Słuchała go cierpliwie, ale z figlarnym nieraz uśmiechem na ustach; on go jednak nie widział, bardziéj we własną myśl zapatrzony, swoim zwyczajem, niż

w to co go otaczało. Wyprawa ta myśliwska dosyć się dobrze powiodła, dzięki zwłaszcza celności strzałów Jerzego, z których żaden prawie nie był daremnym; co do Drummonda, doznał on i w tym razie przygody w rodzaju tych jakie mu się często przytrafiały w jego łowieckich wycieczkach. Zabiwszy bowiem dużego szarego ptaka, przy samym już wybrzeżu, cieszył się nim niesłychanie, dowodząc że to jest wyraźnie albatros, kiedy wtém z pobliskiéj chatki wypadła stara baba z krzykiem i wymyślaniem, i okazało się, że ów albatros był poprostu swojską gęsią, którą skusiła chęć kąpieli w sąsiedniéj zatoce. Zdarzenie to wprawiło w tak wielkie zdumienie Drummonda, że skłonny był prawie widzieć czarodziejską jakąś sprawę w tém przeistoczeniu się ptaka, będącego koniecznie w jego przekonaniu tém, czém go wyobraźnią swą wytworzył. Sprawa dała się wszelako zagodzić za pośrednictwem Violetty, która zapłaciła gęś sowicie jéj właścicielce: a tyle było z tego wypadku śmiechu szczerego, że wystarczyło go jeszcze do wieczornéj pogawędki przy herbacie, gdy już całe towarzystwo znalazło się znowu razem na pokładzie *Kormoranu*.

Miller jednak, stanowił ciągle wyjątek w tém rozweseleniu naszéj gromadki, a nawet usposobienie tego młodzieńca coraz się bardziéj zdawało złowrogiém. Jeśli przypuszczenia jego były uzasadnione, a teraz był tego prawie pewny, uważał za stosowne jak najprędzéj rzecz całą wyjaśnić. Nie chciał uchodzić za starającego się o pannę w kim innym zakochaną; skoro tak jest, niechże odrazu każdy się dowie o prawdzie i niech ta niesmaczna komedya raz będzie skończona.

Nie długo mu wypadło czekać na sposobność do wywołania stanowczego przesilenia w tém drażliwém położeniu. Dzień następny był Niedzielą; od rana pogoda zapowiadała się cudowną, a dziwna przejrzystość powietrza dozwalała wzrokowi dostrzegać najdrobniejsze szczegóły urozmaiconych widoków, jakie mieli wokoło siebie nasi podróżni. O znalezieniu kościoła w pobliżu, nie było co myśleć w téj odludnéj okolicy, któréj ciszę przerywał tylko teraz głos jednego z majtków, czytającego ustęp z Biblii swym towarzyszom. Drummond leżący na pokładzie, w cieniu rozwieszonego nad nim żagla, zatopiony był w książce, którą czytał i całkiem nieświadomy tego co się działo wkoło niego. Nie chciał też na ląd się wybrać z resztą towarzystwa, gdy go na to namawiano; zatém Miller zostawiwszy go w spokoju, odczepił łódkę i, wprowadziwszy do niéj kobiety, sam wziął się do wioseł, by je przewieść na wybrzeże.

Miejsce, w którém na ląd wysiedli, nadawało się wybornie do przechadzki bez innego celu, jak nacieszenia się pięknym dniem słonecznym i czarownym krajobrazem. Wąska drożyna, wspinająca się na skaliste wzgórza, wśród wrzosów i młodych brzóz, porastających na ich spadach, doprowadziła wkrótce naszych wędrowców do wyniosłości pokrytéj dębami, zkąd się odkrywał cudowny widok na morze.

Ale podczas gdy się panie nim roskoszowały, myśli Millera czém inném były zajęte. Wyczekiwał on niecierpliwie chwili w któréj by mógł znaleść się sam na sam z Violettą, co jednak zdawało się z razu całkiem niepodobném, gdyż młoda dziewczyna ciągle się trzymała swych towarzyszek, a nie wypadało w żaden sposób Jerzemu prosić ją, aby mu udzieliła krótkiego posłuchania. W końcu wszelako, traf dopomógł jego zamiarom. Gdy mieli przechodzić przez drewniany mostek, rzucony w dosyć znacznéj wysokości po nad głęboką rozpadliną, Violetta zatrzymała się, dla rzucania kamyków w czystą wodę, która w dole przebłyskiwała po przez krzaki i skaliste odłamy na dnie téj szczeliny nagromdzone.

— Violetto, rzekł Jerzy z wyrazem dosyć stanowczym, musisz tu zostać ze mną na chwilę. Dajmy odejść tym paniom, abyśmy się mogli swobodnie z sobą rozmówić. Czas wreszcie, aby się rzeczy pomiędzy nami wyjaśniły.

Uciążliwemi jéj były i bardzo przykremi te nagabania jego, powtarzające się ilekroć zapomniała zabezpieczyć się od nich; tą razą wszelako nic mu nie odpowiedziała i tylko czekała dalszych słów jego, z wyrazem uwagi i powolności całkiem w niéj niezwykłym.

— Wiész dobrze co mam na myśli, mówił szybko, jak gdyby się lękał aby mu czasu nie zabrakło. Zdaje mi się, że nie możesz mi zarzucać braku cierpliwości, lub téż chęci sprawienia ci przykrości. Wszelako uznasz sama, że czas abyśmy się z sobą otwarcie rozmówili i aby to wszystko miało raz swój koniec.

Ostatnie te słowa wymówił z mimowolną żywością, pomimo wysilenia z jakiém się starał o pozorny spokój.

— Cc takiego ma mieć raz swój koniec? spytała.

— Ów rodzaj nadziei, czy choćby przypuszczenia, że masz kiedyś zostać moją żoną.

— Jabym sama bardzo rada była, aby temu stał się wreszcie koniec.

Słowa te nie były mu niespodziewane; więcéj téż go one zagniewały, niż zdziwiły. Ale powstrzymał się od wszelkiego objawu

swych wrażeń, częścią przez uczucie własnéj godności, częścią dla tego, iż czuł że wszelki wybuch namiętny, bardziéj mu jeszcze może w téj chwili zaszkodzić.

— Zdaje mi się więc, rzekł, że nie mam już czego dłużéj wyczekiwać. Postanowiłaś tedy stanowczo, że nasz stosunek ma być zerwany?

—Sądziłam... to jest... życzyłam sobie, aby ten stosunek ustał, rzekła cichym głosem; zdawało mi się, że wiedziałeś pan już o tém.

— A jakiż masz powód do tego żądania?

— Doprawdy, przykrą mi jest bardzo myśl, że możesz pan być na mnie urażony, lub doznać pewnego zawodu, mówiła daléj, pominąwszy milczeniem jego pytanie. Kiedy mi powiedziałeś poprzednio, że chcesz czekać cierpliwie, bardzo mię to zmartwiło;—i dziś, skoro sam uważasz że lepiéj tę sprawę zakończyć...

—Jakto? powiadasz że ja to za lepsze uważam? przerwał jéj z żywością pełną goryczy. Nie moja to chęć, ale twoja Violetto, sprowadza to zerwanie; a jeśli mi nie chcesz wyznać dla czego pragniesz tego, w takim razie ja ci to wypowiem. Zdaje ci się,ześ mię otumanić potrafiła—ale tak nie jest. Całą tę komedyą wybornie widziałem.

Spojrzała na niego swemi dużemi, wymownemi oczami, wyrażającemi zdziwione zaciekawienie; nie uszła w téj chwili uwagi Jerzego, że twarz jéj zlekka pobladła.

— Co chcesz pan przez to powiedziéć? spytała spokojnie.

— Czy myślisz Violetto, żeś mię oszołomić potrafiła do tyla, żem nie umiał jasno spoglądać wkoło siebie? Mogłem że nie dostrzegać w jak opłakany sposób stałaś się istną niewolnicą tego człowieka—jak wtórowałaś wszystkim jego zdaniom, zdając się w nich upatrywać całą mądrość tego świata—jak mu nieustannie dogadzałaś i schlebiałaś wszystkim jego dziwactwom.

Podniosła dumnie głowę i wyprostowana rzekła mu, wyniośle i chłodno.

— Sam pan temu nie wierzysz co powiedziałeś.

— Mówię to, czego pewien jestem, odparł gwałtownie; utracił był już bowiem wszelką moc nad sobą i zraniona miłość własna wzburzała go do głębi. Powtarzam ci, że każdy może to widzieć wybornie,—każdy, z wyjątkiem może jego jednego, bo on, to dziecię poprostu. Ty sama wiesz dobrze, że to co mówię jest prawdą. Spójrz mi w oczy—wyzywam cię na to—i odważ się zaprzeczyć temu, że kochasz tego człowieka.

Było to w istocie wyzwanie, wszystka krew Violetty, gorąca i burzliwa, uderzyła do serca. Pierwszym popędem takiéj jak ona

kobiety, nie mogło tu być ukorzenie się przed oskarżycielem, zaparcie się najwznioślejszego i najświętszego uczucia, jakie zaznała kiedykolwiek jéj istota. Dziwnie dumny wyraz rozjaśnił bladą jéj twarz, podczas gdy mu odpowiadała:

— A jeśli téż nie myślę temu zaprzeczać? Niejednéj rzeczy powinnam się wstydzić, wiém to dobrze; ale nie tego w każdym razie. O nie: gdyby mi teraz umrzeć przyszło, to bym życie żegnała z przekonaniem, że w nim szczęście poznałam, znalazłszy w takim człowieku przyjaciela.

Było to dla Jerzego uderzenie gromu. Widział był nie jedno i więcéj sobie jeszcze wyobrażał; ale do tego nie był przygotowany. W zdumienie go wprawiała zuchwała śmiałość téj młodéj dziewczyny; cóż mogło znaczyć to dumne rozpromienienie jéj twarzy, jeśli nie to, że całą jéj istność owładnęła gorąca miłość, wykluczająca wszelki wpływ rozsądku i zastanowienia.

Zrozumiał tedy, że sprawa jego była ostatecznie przegrana; ale zarazem znalazł w miłości własnéj, któréj posiadał pewien zasób, siłę do stawienia mężnie czoła swéj klęsce.

— Zdaje mi się Violetto, rzekł, z przymuszonym uśmiechem, że skoro się raz zdobyłaś na podobną szczerość, nie mamy nic więcéj do powiedzenia sobie w tym przedmiocie. Żałuję tylko, że nie byłaś dawniéj ze mną tyle otwartą—ale już nie pora teraz mówić o tém. Rozejdźmy się lepiéj przyjaźnie z sobą, skoro rozejść się musimy.

To mówiąc, podał jéj rękę.

— Więc chcesz pan odjechać? spytała z cicha.

— Ma się rozumieć, odpowiedział z udaną swobodą. Nie chciałbym domowego waszego spokoju zakłócać. Żegnam cię Violetto; nie zostawaj tu dłużéj, aby się o ciebie nie zaniepokoiła pani Warrener.

Stała, jakby wahając się, ale mu nie wzbroniła uścisnąć swéj ręki. Potém Jerzy odwrócił się i odszedł.

-- Panie Miller... odezwała się po chwili.

Zatrzymał się i spojrzał po za siebie. Szła zwolna ku niemu, wzrok ku ziemi mając spuszczony i usta cokolwiek drżące.

— Chciałabym, mówiła daléj głosem tak słabym, że ją ledwie mógł dosłyszeć, poprosić pana o przebaczenie mi wszystkiego zmartwienia jakiego byłam ci powodem. Wierzaj mi pan, nie małą jest to dla mnie przykrością; sądziłam kiedyś, że się to wszystko inaczéj może zakończyć...

— Nie troszcz się tém więcéj, odpowiedział. Wszystko już załatwione jak należy. Bywaj zdrowa Violetto.

Zawrócił się znowu i ze wzgórza począł zstępować; ona tymczasem odeszła w przeciwną stronę, by zejść się ze swemi towarzyszkami, czując w sercu, że w życiu jéj zaszło ważne zdarzenie, którego wyników nie była wcale w stanie przewidzieć. Rozumiała, że lepiéj było dla nich obojga, iż przyszło wreszcie do tych ostatecznych wyjaśnień, oraz do zerwania tego położenia bez wyjścia, a jednak pamięcią zwracała się z pewnym wyrzutem sumienia o jakie lat parę w przeszłość i w głębi ducha lękała się ażali nie będzie zbyt surowo osądzona z czasem przez wzgardzonego dziś wielbiciela.

— Gdzież jest pan Miller, moje dziecię? spytała jéj pani Warrener, gdy się z sobą zeszły.

— Wybrał się z powrotem na statek, rzekła młoda dziewczyna.

Twarz jéj przyjaciółki wyraziła zdziwienie.

— Więc znowu posprzeczaliście się z sobą? spytała.

— Nie; bynajmniéj.

— No, wszystko to się skończy, jak raz pójdziesz za mąż; pewna tego jestem, rzekła pani Warrener z uśmiechem. Tak to zawsze bywa, narzeczeni wiecznie miewają z sobą zajścia, bo zwykle bywają zazdrośni, wymagający i nierozsądni; ale potém poznają się lepiéj nawzajem, skoro się pobiorą i wszystko dobrze wtedy idzie.

Twarz Violetty gorącym oblała się rumieńcem.

— Nie ma co mówić o tém, kochana pani, rzekła. Nie będę nigdy żoną pana Millera.

Pani Warrener uśmiechnęła się; dosyć się już młodych par zakochanych napatrzyła była w swém życiu i wiedziała co należy sądzić o ich nieporozumieniach.

— O tak, nigdy, rzekła. W takich razach, rozstanie ma być zawsze wiecznem, rzecz to wiadoma. Po uroczystém pożegnaniu na całe życie, zwaśnione strony schodzą się znowu z sobą nazajutrz, jak gdyby nic nigdy nie było. O cóż więc teraz wam poszło Violetto?

— Droga pani, jeśli pozwolisz, wolałabym o tém nie mówić, odpowiedziała z łagodną prośbą młoda dziewczyna, i na tém skończyła się rozmowa.

Z tém wszystkiem, podczas gdy Jerzy Miller zstępował z pochyłości wzgórza i szedł daléj brzegiem ku zatoce gdzie stał yacht na kotwicy, wewnętrzne jego usposobienie o wiele mniéj było spokojném i wesołém, niż jego obejście z Violettą przy pożegnaniu. Nie było to w każdym razie, rzeczą przyjemną dla tyle praktycznego młodzieńca, przekonać się, że stracił parę lat życia na

staraniach całkiem bezowocnych i mieć przed sobą drażliwe zadanie przyznania się do téj pomyłki w obec przyjaciół, którym zwierzył się był ze swych zamiarów. Czyż podobna było przewidzieć coś podobnego? Któż się mógł domyśléć, że ta dziwaczna dziewczyna przełoży nad niego człowieka blisko czterdziestoletniego i wcale niepowabnego, który zamknie swą żonę w ubogim domku, gdzie stanie się poprostu rodzajem służącéj i wyrzec się będzie musiała wszystkich tych przyjemności życia ludzi zamożnych, do których córka Sir Actona North była przyzwyczajona od dzieciństwa?

Cóż za czar dziwny, co za niepojęty obłęd mógł tak umysł jéj otumanić? Im więcéj się nad tém zastanawiał, tém większa gorycz go przejmowała; aż w końcu doszedł do przekonania, że współzawodnik jego całe lata poświęcił stopniowemu opanowaniu duszy téj młodéj dziewczyny, aby dopiąć zamierzonego celu, którym było poślubienie bogatéj dziedziczki. Gdyby Miller znajdował się w zwykłym stanie umysłu, samby się roześmiał z podobnego przypuszczenia; ale ponieważ był obecnie w całkiem wyjątkowém usposobieniu, wyobraźnia jego coraz jaskrawszych barw dodawała własnemu wytworowi, tak iż nareszcie uwierzył, że statek spoczywający naprzeciw niego na wygładzonych toniach zatoki, mieści na sobie jednego z najchytrzejszych i najprzebieglejszych niegodziwców, jakich świat kiedy oglądał.

Wsiadł w łódkę i podpłynął ku *Kormoranowi.* Drummond wziął linę od niego i, przytwierdziwszy ją na zwykłym miejscu, dopomógł Jerzemu do dostania się na pokład.

— Agdzież reszta towarzystwa? zapytał.

— Poszli daléj niźli ja miałem ochotę.

Drummond zabrał się z powrotem do swojéj książki, a młodzieniec zeszedł na dół. Po kilku chwilach ukazał się znowu na schodach i rzekł:

— Czy mógłbym pana poprosić o nożyk, który mu pożyczyłem wczoraj wieczorem?

— Jest gdzieś w mojéj kajucie, jeśli go potrzebujesz, pójdę po niego.

— Wdzięczny panu będę, była krótka odpowiedź Millera.

Drummond wstał tedy i poszedł za nim na dół, ale jakże się zdziwił ujrzawszy leżącą na stole wspólnéj kajuty torbę podróżną Jerzego w części już upakowaną.

— Cóż to robisz takiego? zapytał, patrząc na niego wielkiemi oczami.

— Zamierzam pożegnać państwa, odpowiedział młodzieniec spokojnie. Winien panu jestem piętnaście ładunków; oto je tu odłożyłem. A teraz poproszę o ten nożyk, jeśli łaska.

James Drummond nie przestawał zdziwionym wzrokiem spoglądać na niego.

— Cóż ty chcesz robić?

— To com panu powiedział. Wybieram się ztąd.

— Ale jakiż temu powód?

— Żaden.

— Dokądże chcesz się udać?

— Dojdę pieszo do Loch Aline, a tam zapewne znajdę jaki statek.

— Jerzy, powiedzno, co ci się stało? Nie możesz się dziś wybierać do Loch-Aline, nie znasz wcale drogi, a przytém nie wiém czy tam jest jaki hotel.

— Mniejsza o to; w każdym razie zrobię jak postanowiłem, odparł młodzieniec z szorstką stanowczością.

Ktoś inny w podobnym razie byłby się tém zniechęcił i zaprzestał dalszych rad przychylnych, ale Drummond żywił szczerą życzliwość dla tego chłopaka.

— Czyś się o co poróżnił z Violettą? zapytał.

— Pewien byłem, że natrafisz pan na to, rzekł Jerzy z drwiącym przekąsem. Jak uważam, spodziewałeś się tego. Cóż tedy? czy cię to bardzo cieszy?

Wyraz jego twarzy, podczas gdy to mówił, był całkiem niezrozumiały dla Drummonda. Przyszło mu na myśl, że może ten chłopak wypił gdzie parę kieliszków wódki, i że mu trunek uderzył do głowy. Ale nie miał czasu zapuszczać się w dalsze przypuszczenia; albowiem wzrastające wzburzenie młodzieńca przemogło udany jego spokój, i wybuchnął nawałem gorzkich oskarżeń. Wyrzucał Drummondowi, że starał się odciągnąć Violettę od jéj rodziny, że pochlebiał miłości własnéj młodziutkiéj pensyonarki, robiąc sobie z niéj towarzyszkę, że wszystko to czynił, wiedząc, iż przyrzekła swoję rękę człowiekowi, któremu ojciec jéj sprzyja, i że doprowadził ją swemi zabiegami do złamania danego słowa. Mówił długo w ten sposób, coraz się bardziéj zapalając; Drummond zaś słuchał tego wszystkiego widocznie zdziwiony, ale nie przestając ani na chwilę nad sobą panować.

— Wielka mię chęć bierze, rzekł w końcu, wyprowadzić cię na pokład i rzucić do morza, aby cię chłodna kąpiel uleczyła z twego szaleństwa. Któż u licha włożył ci w głowę wszystkie te głupstwa?

— Nie próbój pan dłużéj mię oszukiwać, odparł Miller, którego usta blade były od gniewu i wzburzenia. Dosyć ci się to długo udawało. Wiedziałeś, że mam poślubić to dziewczę—wiedziałeś, że życzy sobie tego jéj ojciec, a pomimo to usiłowałeś odciągnąć ją odemnie...

— Jakimże więc sposobem tu jesteś? rzekł Drummond. Jeśli takie były moje zamiary, na cóżem cię tu sprowadził? Zdaniem mojém, wyglądało to bardziéj na chęć zbliżenia was z sobą.

— Nie otumanisz mię pan więcéj! zawołał Jerzy ze śmiechem pogardliwym. Wiedziałeś dobrze, że już roboty swéj dokonałeś. Wiedziałeś, że ta młoda dziewczyna gotowaby rękę sobie odciąć, gdybyś tego od niéj zażądał—wiedziałeś, że dumna jest z własnego obłędu...

— Posłuchajno Jerzy, rzekł James Drummond, którego brwi poczynały ściągać się złowrogo. Chcę wierzyć, żeś na dobre oszalał i pozwalam ci prawić o mnie takie brednie, jakie ci tylko do głowy przyjdą; ale chciéj po za ich obrębem pozostawić Violettę. Jak mi Bóg miły, pojąć ciebie nie umiem, człowieku! Powiadasz, że kochasz to dziewczę, a głowę sobie zawracasz tak dziecinnemi przywidzeniami. Czemuż się do niéj nie udasz z całą otwartością; dowiedziałbyś się z jéj ust, że wszystko coś sobie uroił jest szaleństwem i wytworem twéj chorobliwéj wyobraźni...

— Wyborna rada! przerwał mu z gwałtownością młodzieniec. To samo właśnie zrobiłem i cóż mi ztąd przyszło? Oto wyniosłą mi dała odprawę—przechwalała się swą miłością dla ciebie—nie miała nawet tyle wstydu, aby jéj się zapierać! A pan chcesz mi wmawiać, że nie wiesz o niczém! O, za nadto mię sądzisz naiwnym!

Zabrał się znowu do swojéj torby i daléj ją pakował. Przez czas jakiś, James Drummond stał przed nim w milczeniu. W końcu rzekł:

— Jerzy, czy wiesz ty na pewno coś przed chwilą powiedział?

Nie usłyszał na to żadnéj odpowiedzi.

— Czy było to kłamstwo—powiedz?

— Wiesz pan dobrze, że nie skłamałem. Odkradłeś mi serce tego dziewczęcia. Cóż za potrzeba, abyśmy dłużéj o tém mówili.

Drummond odszedł na pokład. Piękny, słoneczny, cichy świat boży, jaki miał wkoło siebie, zdawał mu się do snu jakiegoś należéć. Radby był, aby w téj chwili grom błyskawicy przerwał to przerażające milczenie; pragnął czegośkolwiek, coby mu

dało pewność, że żyje... Doznawał udręczenia, od którego nie był w stanie się wyswobodzić; znajdował się w położeniu kogoś, co walczy we śnie ze swojém marzeniem i usiłuje przebudzić się. Nie ucieszyła tego człowieka wiadomość, że młoda dziewczyna podarowała mu skarb swéj pierwszéj miłości. Niewysłowiony smutek napełniał jego serce i wzrok mu zaciemniał; szalone tętna, uderzające jakby młotem w jego piersiach, zdawały się wtórować wyrzutom sumienia; wyobraźnię raziło ponure wrażenie czegoś nieodwołalnego.

Nie poruszył się z miejsca, ujrzawszy wchodzącego na pokład Jerzego. Patrzał na niego, jak gdyby on także był cząstką owego szalonego i dziwacznego przywidzenia, podczas gdy młodzieniec spuszczał na wodę łódkę i rzuciwszy najprzód swój pakunek, sam w niéj miejsce zajmował:

— Jerzy!

— Cóż takiego?

— Jest w tém wszystkiém jakieś straszliwe nieporozumienie. Poczekaj, chociaż dopóki one nie wrócą.

— Nie; dziękuję panu i żegnam. Położyłem adres na futerale od mojéj strzelby; jeśli mi ją zechcesz pan odesłać pocztowym parowcem, wdzięczny za to będę.

Potém słychać było plusk wioseł uderzających o wodę, i łódka szybko pomknęła się ku wybrzeżu.

Upłynęła godzina zanim James Drummond dostrzegł jakikolwiek ślad życia na tém pustkowiu; w końcu pojawiły się trzy postaci na skalistéj pochyłości spływającéj ku morzu, a gdy już z niéj zeszły, jedna z nich chustką powiewać zaczęła. Zawołał dwóch majtków i wysłał ich mniejszą łódką ku wybrzeżu. Ta godzina, spędzona na wewnętrznem z samym sobą obcowaniu, zostawiła była ślady zmęczenia na jego twarzy.

— Gdzież jest pan Miller? spytała go siostra, która domyślała się, że młodzieńca już nie ma na statku, zobaczywszy łódkę zostawioną u brzegu.

— Wybrał się ztąd całkiem i udał się do Loch-Aline, odpowiedział spokojnie Drummond. Chcę się o tém sam na sam rozmówić z Violettą. Czy zechcesz, dodał zwracając się ku niéj, zejść ze mną na chwilę do saloniku?

Zeszła za nim po schodach, a gdy się oboje znaleźli w głównéj kajucie, zamknęła drzwi za sobą. Czuła się drżąca, sama prawie nie wiedząc dla czego. Nie umiała także zrozumieć dziwnego wyrazu smutku, jaki miał Drummond na twarzy, gdy wzrok swój zwrócił ku niéj.

— Violetto, rzekł, czy jest to prawdą, co on powiada?

Mimowolnie cofnęła się trochę i palce jéj nerwowym ruchem wkoło złożonych rąk się zaplotły.

— Więc on to panu powiedział? spytała cichym głosem.

— Tak jest. Mówmy szczerze z sobą. To nie jest prawdą; moje dziecię—moje dziecię—musisz mi powiedzieć, że to nie jest prawdą.

Wziął jéj ręce w swoje, przez chwilę zlękła się siły wzruszenia przebijającego się w jego rysach, lecz wrodzona śmiałość nie opuściła jej nawet w téj chwili. Twarz miała bardzo bladą, ale bez drżenia w głosie wyrzekła cicho:

— A dla czegoż chcesz pan, abym to powiedziała?

— Alboż tego nie wiesz, biedne moje dziecię—alboż się tego nie umiesz domyśleć? Czyżbym tak dobrze umiał dochować swéj tajemnicy? Czyż nie wiesz ilem cię kochał — i jak w najdalszych głębiach serca ukrywałem tę miłość moję — tak, żem wierzył, iż najmniejsze jéj podejrzenie, nigdy cię nie zdoła zasmucić? A wszystko to dla tego, abym cię widział szczęśliwą, ile nią może być młoda, jak ty dziewczyna, z ukochanym małżonkiem, otoczoną przyjaciołmi i mającą same dni radosne przed sobą. A teraz— czyżbym się samemu sobie przeniewierzył?... Ale nie, Violetto, to nie może być prawdą — wyście poprostu sprzeczkę jakąś mieli z sobą...

Pochłaniała całą duszą każde jego słowo — oczy jéj zalane łzami w twarz mu patrzały, z wyrazem najwyższego wzruszenia i niepewności. A gdy wreszcie zdała się w zupełności już pojmować znaczenie słów jego, przerwała je nagłym krzykiem radości i skryła twarz swoją przy jego piersiach. Posiadała już teraz pewność, któréj tak gorąco pragnęła.

Położył obie ręce na bujnych splotach jéj ciemnych włosów i przechylając w tył głowę Violetty, spojrzał jéj w oczy dziwnie tkliwém i posępném wejrzeniem.

— Co się stało, rzekł, odstać się nie może—pragnąłbym dla ciebie, moje dziecię, aby było inaczéj. Złamałem twoje życie i to wtedy, kiedy dopiéro pojmować zaczynałaś ile rozkosznym i pięknym jest ten świat...

— A któż mię nauczył widzieć go takim, jeśli nie ty? odrzekła mu z cicha. Czyż nie ty byleś mi zawsze przykładem szlachetności, dobroci i zaparcia się siebie? Tyle tylko miałam dni radosnych w życiu, ilem ich spędziła w waszym domu; po za jego obrębem szczęścia nie znałam. Bogu codzień dziękuję za to, że mię obdarzał takim jak ty przyjacielem.

— O, gdybym ci był pozostał tylko przyjacielem, rzekł —lepiéjby ci z tém było z pewnością, Violetto.

Dziwną mu na to dała odpowiedź! Łagodnym ruchem oswobodziła się z jego objęcia i, wziąwszy jego rękę, pocałowała ją nieśmiało.

— Więcéj mi jesteś niż przyjacielem—jesteś mi panem i mistrzem—rzekła z pokorą, w któréj się jednak duma mieścila; potém w milczeniu ku drzwiom podszedłszy, otworzyła je i wyszła z kajuty. Rozmowy podobnéj starczyć mogło na wątek do myśli przez resztę życia, temu co w niéj miał udział.

Przez resztę dnia tego, lekki odcień smutku zdawał się unosić po nad tą wędrowną gromadką, co pani Warrener nie czemu innemu przypisywala, jak poróżnieniu się Violetty ze swym ulubionym. Poczciwa kobiecina z zajęciem się rozpatrywała w szczegółowéj mapie okolicy, obliczając przestrzeń, jaką miał Jerzy do przebycia; przyczém wyrażała nadzieję, że w razie gdyby się okazała zbyt wielką, praktyczny ten chłopak potrafi sobie zaradzić i wystarać się o jakikolwiek nocleg po drodze. Amy dosyć źle się czuła usposobiona względem swéj przyjaciółki; nie umiała bowiem zrozumieć, jakim sposobem istota tak dobra i uprzejma, w stosunku ze wszystkimi co ją otaczają, mogła być i tyle okrutną dla gentlemana ze wszech miar przyzwoitego, który czynił jéj tę grzeczność, że ją chciał mieć za żonę. Violetta przeciwnie czulszą się okazywała niż kiedykolwiek dla swéj dawnéj koleżanki, a nawet ofiarowała jéj w dniu tym parę bardzo pięknych chusteczek haftowanych, przypadkowo w drogę zabranych, a także piękne pudełko ze słoniowéj kości, służące im za schowanie.

— Czy wiesz ty Violetto, rzekła jéj Amy, co o tobie wczoraj mama powiadała?

— Nie wiem; ale spodziewam się, że nie było to w każdym razie nic złego.

— Oto mówiła, że wielkie to dla ciebie szczęście, iż się twoje uszy tak mocno głowy trzymają.

— Alboż sądzi, że pogubiłabym je, gdyby tak nie było?

— Nie, ale mówi, że z pewnością podarowałabyś je drugim do użytku, tak jak wszystko zawsze oddajesz.

Wieczór upłynął im na pokładzie, gdzie do późna pozostali, błądząc wzrokiem po srebrnych toniach morza i przypatrując się stopniowym przemianom krajobrazu, podczas gdy księżyc z po za gór się podnosił na niebie. Ale rozmowa mniéj była ożywiona jak zwykle i nieraz ją długie milczenie przerywało. W końcu ko-

biety zeszły do swéj kajuty, zostawiając Drummonda samego na pokładzie.

Gdy jednak myślą rozpatrywał, wtedy swobodniéj wszystko co zaszło było w ciągu dnia tego, a także tę nową przyszłość, jaką miał teraz przed sobą, dziwna, a pocieszająca zmiana wrażeń poczęła w nim się pojawiać. Skłonny się czuł do przyjęcia cennego daru, jaki mu był ofiarowany, nie na to, aby się nim cieszyć jako nabytkiem, ale aby go tkliwie pielęgnować niby skarb otrzymany na przechowanie. Skoro zdawało się pewném, że ta młoda dziewczyna złożyła swą przyszłość w jego ręce, należało mu wypłacić się za to zaufanie nieustannèm przywiązaniem i poświęceniem. Powiedzmy to nawet, że myśl jego coraz się bardziej ośmielała. Uważał tę chwilę swego życia, jako dosięgnięcie jego zenitu; kiedy oddawna wyrzekł się był nadziei szczęścia, zajaśniała mu znagła najpiękniejsza pora życia ze wszystkiemi swemi czarami wiosna darzyła go rozkoszami, które miał za stracone, kobiece serce radością i dumą wzbierało na jego widok. Nareszcie—nareszcie! Zdawało mu się, że wszystkie szczęśliwe czasy, jakie ludzkość miewała kiedykolwiek, były tylko wstępem i drogą ku téj najwyższéj szczęśliwości. Teraz, niechby już nawet w nim życie zagasło—niechby nawet pękło to serce—mniejsza o to, skoro już ono tuliło do siebie to, co najlepszego świat w sobie mieści!

ROZDZIAŁ II.

Przyjazny powiew.

Dla dziewczyny tak młodéj jak Violetta i zupełnie z życiem nieobeznanéj, niepodobieństwem było pokochać człowieka, któregoby zarazem czcią nie otaczała. Cała jéj istota zbuntowałaby się była przeciw popędowi serca, gdyby jego wyboru nie mógł zatwierdzić sąd umysłu, i w takim razie umiałaby walczyć mężnie ze swém uczuciem, by je pokonać za jakąbądź cenę. Dodajmy też, że zanim w końcu, postawiona przez Jerzego w konieczności dania mu stanowczej odpowiedzi, zdobyła się na odmowę, usiłowała długo ze szlachetną wytrwałością upatrywać w nim jak najlepsze strony; — bądźto, że pozostawały w niéj resztki zajęcia, jakie zbudził kiedyś w wyobraźni pensyonarki, bądź też, że lękała się zarzutu, iż zachęcając jego zamiary, nie miała jednak na celu sprzyjania im do ostatka. Już sam przez się, co prawda, stosunek

ich rozprzęgał się oddawna coraz bardziéj i nie było najmniejszego podobieństwa, aby kiedy przyszło do ich połączenia, ale żadne z nich nie zdawało sobie dotychczas z tego sprawy. Uważając siebie, za związaną słowem poniekąd, Violetta czyniła co mogła, aby siebie w błąd wprowadzić co do istotnéj natury Millera, ale na nic się to nie przydało. Bystrego swego objęcia nie była w stanie żadnemi rozumowaniami oszukać; po przez ujmującą i powabną powierzchowność tego młodzieńca dostrzegała nędzne jego cele i tuzinkowe upodobania i widziéć w nim musiała owe poziome dążenia i zacieśnione przesądy, jakie cechują nieuleczoną miernotę. Dwudziestoletnie to dziewczę nie wyobrażało sobie bynajmniéj, że czyni rzecz trudną, lub téż niezwykłą, odrzucając z przekonania rękę młodzieńca bogatego i przystojnego i przekładając nad związek prostą przyjaźń człowieka, nieraz dziwacznego i drażniącego w obejściu, a do tego skłonnego do żartowania sobie z ludzi, zwłaszcza zaś z młodych jak ona panienek. Nie było w tém wyboru dla Violetty. Młodociana jéj dusza owładnięta została urokiem téj szlachetnéj duszy, dla któréj pieniądz tak mało miał ceny; pokochała tysiączne jasne strony tego bystrego umysłu, tryskającego tylu pięknemi promieniami, a także dobroć i serdeczność cechującą każdy czyn życia zewnętrznego tego człowieka. Będąc przy nim, czuła się w swobodniejszéj atmosferze duchowéj, nie słysząc już o samych bankowych lub klubowych sprawach. Pokorną była uczennicą tego mistrza swego, mając sobie za szczęście, że może siedziéć u nóg jego i słuchać jego nauki.

Któż tedy zdoła wypowiedziéć ile dumną i rozradowaną się uczuła, gdy po raz pierwszy poznała, że dla tego przedmiotu czci swojéj, była nawzajem najdroższym skarbem na świecie, w głębi duszy starannie ukrywanym; że w miejscu chłodnego promienia duchowéj przyjaźni, pięknego wprawdzie, ale bladego jak słońce zimowe, jaśniał obecnie dla niéj o wiele gorętszy ogień, w samém jądrze serca tego człowieka? Cóż to za roskosz była niewysłowiona! Na razie nie umiała pojąć całego ogromu swego szczęścia; świat zdawał się jéj przeistoczony i stokroć piękniejszy, uczucie wdzięczności za dar tak niezasłużony napełniało całą jéj istotę. Potém, stopniowo, zdawać sobie poczęła sprawę ze swego położenia, ale ani na chwilę nie pomyślała o podzieleniu się z kimkolwiek uczynioném odkryciem, tém mniéj zaś o układaniu sobie czegokolwiek na przyszłość; a to samo można i o nim powiedziéć. Było to tylko dla nich obojga błogie przeświadczenie, wzajemne porozumienie nadto święte w ich przekonaniu, aby miał świat zewnętrzny być o nim powiadomiony. Miał on dosyć i bez tego

swych tuzinkowych wiadomostek i zaprzątnień. Prawdopodobnie, nie przyszła dotąd żadnemu z nich myśl o możliwym na kiedyś pomiędzy niemi ślubnym związku; jemu wystarczało na teraz prawo do troskliwszéj jeszcze o nią niż dotąd pieczołowitości, jéj zaś to, że mogła tém większém przywiązaniem i posłuszeństwem wywdzięczać się swemu panu i mistrzowi.

Jakże szybko z każdą chwilą życie jéj zdawało się rozrastać i rozprzestrzeniać! Po za sobą widziała tylko pensyonarskie zachcianki i uczucia dopiéro w zawiązku; lata owe we wspomnieniach zaledwie miały wartość godzin; teraz zaś każda godzina przepełniona życiowemi doświadczeniami kobiety, starczyła za lata całe. Z przerażeniem przypominała sobie czas, w którym uważała Drummonda za człowieka już niemłodego, mającego raczéj prawo do trwożnego poszanowania, niż do ufności serdecznéj. Ściśle zaś rzeczy biorąc, jakże się to inaczéj przedstawia! Ona ma lat dwadzieścia, on trzydzieści ośm. Na pozór, wielka to różnica, ale istnieje-ż ona w rzeczywistości? zapytywała siebie Violetta. Na to odpowiadała sobie, że w ciągu paru lat ostatnich, dojrzała była na kobietę, kiedy zaś jego ta sama przestrzeń czasu w niczém nie zmieniła. Rzec było można, że umiał odkryć zdrój młodości niewyczerpanéj. Któż inny posiadał wesołość umysłu tak łatwo udzielającą się, tak czarującą pełnią życia, żywemi tryskającego iskrami? A zresztą, powiadała sobie z pełnym dumy uśmiechem, że gdyby włosy jego były jak śnieg białe, a wzrok już wszystek blask dzisiejszy postradał, niemniéj pozostałaby mu wierną przyjaciółką i miałaby to sobie za chlubę, aby zechciał w dani przyjąć wszystkie skarby jéj miłości i poświęcenia. Czas bezsilnym jéj się zdawał w obec uczucia, które panowało nad umysłem równie samowładnie jak nad sercem.

Ale wszystko to należało do dziejów ich życia wewnętrznego i było tajemnicą dla nich samych świętą; pozornie zaś stosunki ich takie same pozostały jak i przedtém. Zanadto miał on upodobania w psotném drażnieniu się z nią, ona zaś nazbyt dobrze go znała pod tym względem i umiała się do jego usposobienia zastosować, ażeby teraz bezpotrzebna powaga miała krępować ich wzajemne obejście. Jakbądź dusze przepełnione mieli uczuciem równie tkliwém jak głębokiém, w zachowaniu się z sobą bywali nieraz oboje bardziéj sprzeczni i wyzywający niż dawniéj; tak, iż nawet czasem pani Warrener uznała potrzebę gderania na brata za to, że tak dokuczał Violecie. Zwykła była mówić, że nigdzie się ludzie tyle z sobą nie kłócą, co na okręcie, zwłaszcza gdy cisza na

morzu nastanie, i wnosiła, że niezgoda owa ustanie wtedy dopiéro, gdy *Kormoran* z miejsca się ruszy.

Stało się to w poniedziałek po południu. Violetta zajęta była na dole, gdy ją ztamtąd zwołał Drummond na pokład.

— Chodź tu prędko, powiadał wesoło; cudowny wietrzyk się podnosi, radzibyśmy co prędzéj w podróż się puścić, a nie damy tu sobie rady bez ciebie; tak przynajmniéj kapitan dowodzi.

Gdy nadeszła, zastała ruch wielki na statku, gdzie wszystko gotowano do wyruszenia w drogę, korzystając ze sprzyjającego powiewu. Niebawem téż *Kormoran* wysunął się z zatoki, z którą wiązały się teraz dla Violetty wspomnienia tak stanowczego przełomu w jéj życiu. Resztę dnia spędziła słuchając ze wszech miar zajmujących objaśnień kapitana Immy, wybornie obeznanego z brzegami, w pobliżu których trzymał się statek, i opowiadającego różne szczegóły dotyczące miejscowości okolicznych. Pogodny wieczór zgromadził znowu całą gromadkę na przedniéj części pokładu, gdzie pozostała, aż dopóki księżyc dosięgnąwszy krańców widnokręgu, nie zapadł za nie zwolna, niby okręt tonący w morskich przestrzeniach, zostawiając noc za sobą, rozjaśnioną już tylko gwiazdami.

Cóżby ztąd komu przyszło, gdybyśmy tu chcieli odtworzyć cały szereg myśli, jakie nawiedzały duszę tego człowieka, podczas długich przerw rozmowy, wśród téj ciszy nocnéj tak przejętéj posępną zadumą? Nie byłoby to nikomu zabawném czytaniem do wagonu, ani téż pożądaną rozrywką po smacznym obiedzie. To tylko powiemy, że wyobraźnia jego z upodobaniem stroiła z kolei to młode dziewcze we wszystkie powaby, jakiemi darzyli kiedykolwiek poeci idealne swoje twory. Podczas gdy towarzyszki jego wypowiadały niektóre ustępy z ulubionych arcydzieł, on widział żywą przed sobą tę, któréj wdzięki te wiersze opiewały. Raz mu była psotną Campazpą, która odkradła Kupidowi łuk jego i strzały, raz znowu piękną Pamelę, niezrównaną w szlachetnym powabie, ale najczęściéj ową Cynthią, lasów królowę, na widok któréj odzywały się śpiewem ptaki rozradowane. Jedném słowem, wszystkie skarby poezyi, nagromadzone w jego pamięci, służyły mu w téj godzinie zachwytu do strojenia swéj ukochanéj w coraz nowe i coraz cudowniejsze szaty, a każda zdawała mu się być jéj własną, tak umiał przeistaczać gorącą swą wyobraźnią tę piękną istotę w uosobienie wybranego ideału.

Ona tymczasem, siedząc w milczeniu obok Amy, któréj szyję ręką obejmowała, wzrokiem to błądziła po morskich toniach, to znowu powracała do światełka błyszczącego niby gwiazdka w o-

kienku głównéj kajuty. O czém myślała, podczas gdy jéj postać tak wdzięcznie się zarysowała w półświetle téj nocy gwiaździstéj? Ona także powtarzała sobie słowa poety:

Każ mi umrzeć, a w téj chwili
Zycie na żądanie twe oddam...

Nie byłoż to szczerą prawdą? Według zdania jego o każdéj rzeczy sądziła i chciała także, aby we wszystkiém jego wola była dla niéj prawem. I kiedy wśród milczenia téj czarownéj nocy, zapytywała siebie czy rzeczywiście zdolnąby była oddać życie w dowód posłuszeństwa człowiekowi, którego całą miłością ukochała, radośne uderzenia jéj serca aż nadto wymowną dawały odpowiedź.

Ciemne wód tonie z pluskiem rozpryskiwały się o boki statku; żółte światło morskiéj latarni zdala jaśniało w stronie południa, a po nad ich głowami szczyt masztu *Kormorana*, posuwającego się zwolna, zdawał się krążyć wśród iskrzących się klejnotów konstelacyi Kassiapei, pod którą się właśnie znajdowałł. Która była godzina? Mało ich to obchodziło. Gwarzyli z sobą zcicha, lub urywki z pieśni powtarzali; czasem téż w milczeniu przysłuchiwali się staréj szkockiéj baladzie, którą nucił majtek, czuwający na drugim końcu pokładu.

Rzecz to godna uwagi, że żadne z nich dwojga nie czuło się zakłopotane owém ciągłém z sobą zbliżeniem, na jakie ich narażał wspólny pobyt na jednym statku. Nie mieli żadnéj dla siebie tajemnicy, z wyjątkiem téj wielkiéj, jedynéj, o któréj nie pragnęli nawet z sobą rozmawiać. Na cóż się mogło przydać rozprawianie o tym świętym skarbie, którym ich obdarzyła tak niespodzianie hojność niebios? W téj chwili życia swego, czuli, że im niczego nie braknie. Samo już istnienie było im szczęściem; mało się téż przyszłością zaprzątali; nie potrzebowali naradzać się z sobą co do niéj, tém mniéj zaś z kimbądź innym; wiarą wzajemną przejęci, czuli się niezależni od wszelkiego obcego wpływu, lub téż zdania. Była to naprawdę przecudownie szczęśliwa noc, którą mogli na długo zapamiętać.

W końcu jednak, ponieważ nie zdawało się, aby *Kormoran* mógł przed świtem dopłynąć do Ornsay, wypadło naszym podróżnym zejść na spoczynek do swoich kajut — aczkolwiek z żalem niemałym. Niewiele spała Violetta w ciągu pozostających godzin nocy, a nawet i późniéj, gdy już przy słabém świetle jutrzenki, usłyszała ciężko zapadającą kotwicę, spuszczoną w mor-

skie głębie, sen nie nawiedził jéj jeszcze. Wśród mrocznéj ciszy swéj szczupłéj kajuty, leżała myśląc o niejednéj rzeczy, niesmutnéj wcale, ukołysana do marzeń słabym szmerem fali, dochodzącym do niéj z zewnątrz.

I tak, to dumając rozkosznie, to znowu powtarzając w duchu poetyczne ustępy, w których własne dzieje widziała, doczekała pierwszego słonecznego promienia z ukosa zaglądającego w jéj okienko, a gdy wtedy i ruch statku ustał, pierzchać poczęły jedno po drugiém te radosne rojenia i szczęście do snu ukołysało jéj serce.

ROZDZIAŁ III.

Niepokojące przeczucia.

Gdy wyszła na pokład następnego poranku, pierwsze wrażenie otaczających ją cudów przyrody tak było silném, że mimowolne łzy wezbrały z serca do jéj oczu. Błękitne tonie morza drżały pod lekkim wietrzyku powiewem; góry zdawały się do fantastycznego świata jakiegoś należéć, tak urozmaicone a zarazem łagodne barwy stroiły ich szczyty; tak tajemnicze były cienie zapełniające ich wklęsłości. W powietrzu czuć było orzeźwiający chłód wiejący od wody; promienie słońca igrały z kołysanemi miękko falami; byłoż gdziekolwiek na świecie miejsce, w którémby mogła podziwiać wspanialsze obrazy gór, morza i nieba, jednocześnie przedstawiające się oku?

Zastała Drummonda samego na pokładzie. Gdy dotknął jéj ręki, czekała w skromnéj postawie na pocałunek, który potém na jéj czole złożył, jako poranne powitanie.

— Pamiętne nam będą, rzekł, te dni spędzone w Highlandach. Dla mnie każdy z nich starczy za lata całe.

Podniosła ku niemu oczy i wtedy dopiéro spostrzegł, że miała rzęsy od łez wilgotne.

— Mam nadzieję, że nie zostawią nam one przykrych wspomnień? rzekła z żywością, uderzona dziwnym jakimś oddźwiękiem w jego głosie.

— O nie; dla czegożby tak być miało? Ale cóż cię to tak zasmuciło, Violetto?

Śmiać się poczęła po przez łzy swoje.

— Czy mam to koniecznie powiedziéć? rzekła.

— Chciałbym—jeśli w tém nie ma wszelako jakiéj strasznéj tajemnicy.

— Oto poprostu zbytek szczęścia mnie zasmucił. A komuż to wszystko zawdzięczam—to że tu jestem—i co zatém poszło?...

To jéj zupełne zapomnienie o wartości tego co sama dawała, wzruszyło go głęboko w téj chwili, ale nie była to rzecz do rozbierania za pomocą oklepanych frazesów.

— Podaj mi rękę Violetto, rzekł wesoło, musimy odbyć naszę poranną przechadzkę.

Przeszli się parę razy po pokładzie. Najobojętniejszy nawet człowiek uczułby się był rozweselony wyrazem szczęścia, jaki jaśniał na twarzy tego dziewczęcia.

— Kiedy się pan myślisz zabrać do pisania listów? spytała nieśmiało. Mówiłeś, że ci się ich już dosyć nazbierało.

— O, sam tego nie wiem. Na teraz, najpilniejsza nam sprawa, używać jak najlepiéj naszych wakacyj.

— Kiedym była z ojcem w Kanadzie, rzekła, często pisałam listy, które mi dyktował.

— Doprawdy? odpowiedział nie domyślając się ku czemu ona zmierza.

Milczała przez chwilę, wreszcie zdobywszy się na odwagę, dodała:

— Czy nie zdaje się panu, żebym mogła w tym względzie przydać się na co? Piszę dosyć prędko, więc może...

Zatrzymał się w miejscu; ona oczy ku niemu zwróciła, zmięszana i zarumieniona. Obiema rękami łagodnie odgarnął prześliczne jéj włosy od czoła i, przechyliwszy nieco w tył głowę, popatrzał na nią wejrzeniem, w którego głębokiéj tkliwości był jednak pewien odcień smutku.

— Violetto, rzekł, nie pytaj nigdy o to, czy mi się możesz na co przydać. Mówisz, jak gdybyś wyobrażała sobie, żem ci łaskę jakąś wyświadczył. Bóg widzi, że tak nie jest—przeciwnie, tyś dla mnie cały świat przeistoczyła.

Uczuła z radością w téj chwili, silniejszy uścisk jego ręki. Pomimo to, rzekła jednak:

— Nie będę tak mówiła, skoro sobie tego nie życzysz, ale czuję, że stanowisko, jakie sobie obrałam, słusznie mi się należy.

Dotąd wszystko szło jak najlepiéj; ale to, co zaraz potém nastąpiło, wcale się nie godziło z pokorą owego twierdzenia. Amy Warrener przyszła wkrótce na pokład, i po naradzie, którą z sobą odbyły obie panny, zeszły razem do swéj kajuty. Niedługo potém

powróciwszy, zabrały się bardzo gorliwie do odwiązywania liny przytwierdzającéj łódkę do statku. Zastała je wśród téj pracy pani Warrener, która za niemi nadeszła śpiesznie:

— Co to znaczy? cóż tu macie z sobą takiego? spytała.

To mówiąc, odbierała im niewielkie zawiniątka, w które każda z nich była zaopatrzona.

— A! domyśliłam się tego. Wybierałyście się jak widzę na wybrzeża.

— Tak jest, wybierałyśmy się i wybieramy; cóż w tém tak dziwnego? rzekła zuchwale Violetta, wcale nierada temu badaniu.

— Więc chciałyście się udać na to pustkowie, gdzie ducha żywego nie widać?

— To nas właśnie do téj wyprawy zachęca, odpowiedziała panna North.

— To także ciekawy pomysł, szukać sobie na chybił trafił miejsca do kąpieli; ani się o to pytając na jakie się natrafi prądy lub warunki przypływu! Powiadam ci Violetto, że kiedykolwiek utoniesz, przez tę twoję nieostróżność.

— A może téż i nie utonę.

W niewielkiéj odległości od Caztle—Bandbox, było w osłoniołonéj skałami zatoce, miejsce dogodne do morskiéj kąpieli i stosownie urządzone; używały téż jéj często obie panienki; zbyt często nawet, zdaniem pani Warrener, gdyż wtedy nawet, kiedy morze bywało wzburzone, Violetta nie chciała w żaden sposób wyrzekać się téj przyjemności. Amy, daleko mniéj odważna, przesadzała może nieco w swych opowiadaniach niebezpieczeństwa, na jakie się narażała jéj przyjaciółka, i tém budziła w swéj matce nieustanne obawy. Dla tego téż, spostrzegłszy, że młode dziewczęta pozabierały z kajuty swe przybory kąpielowe, pani Warrener pośpieszała za niemi, by je odwieść od powziętego zamiaru.

Ale na nic się nie zdały jéj napomnienia.

— Morze jest całkiem spokojne i przypływ się zbliża, mówiła Violetta. Znajdziemy sobie z pewnością zaciszne jakie miejsce do kąpieli.

— Więc chcecie się koniecznie potopić?

— Tak jest; sprzykrzyło się nam życie, odpowiedziała spokojnie panna North.

— Chodź no tu Jamesie, zawołała pani Warrener, i dopomóż mi do zatrzymania tych niedorzecznych dziewcząt.

Czy mogę pana poprosić, rzekła Violetta, abyś mi dopomógł do odczepienia téj łódki? Potrafimy wybornie dowieść się same do brzegu.

Słyszał całe zajście poprzednie; teraz widząc się wezwany do rozsądzenia go zastanowił się w milczeniu przez chwilę.

— Zdaniem mojém, rzekł w końcu, sprawa ta ma dwie strony, z których każda inaczej się przedstawia; ale gdybym przedsięwziął zbadać ją szczegółowo i to w nadziei wywarcia jakiegokolwiek wpływu na dwie kobiety roznamiętnione w swoim uporze, czy wolno mi daléj rzecz prowadzić?—w takim razie stałbym się podobny do pająka, który nastawiwszy swe sieci na muchę, znajduje w nich wołu lub jelenia. Główne zarysy obecnego położenia rzeczy....

— Lepiéjbyś zrobił zabierając je z sobą na dół, gdzie już czeka śniadanie, przerwała mu siostra.

.... Dadzą się z łatwością określić. Nie ma żadnego słusznego, ani prawowitego powodu, dla któregoby wypadało zabronić tym młodym osobom poszukania rozrywki kąpieli przy wybrzeżu.

— No, no, słuchajmy co daléj będzie!

— Co prawda, w razie gdyby utonęły, mogłoby to być uważaném za samobójstwo; a wtedy, kto wie, czyby nas nie pociągnięto do odpowiedzialności jako *participes criminis*. A zatém i także ze względu na to, że człowiek jakąbądź by miał sprężystość ruchów, nie potrafi się nigdy oderwać od siły przyciągającéj do środka ziemi—co, nawiasem mówiąc, mogłoby dać nieco do myślenia wyznawcom antropomorfizmu....

I tak daléj, do nieskończoności. Cóż za cel miał zapuszczając się w tę wędrówkę po coraz to nowych manowcach? Gra jego była aż nadto zrozumiała. Przebrał z umysłu miarę od razu, i, prześcignąwszy zakres jaką miał sądzić sprawy, zostawił ją tąk daleko za sobą, aż mu z oczu całkiem znikła, po pewnym czasie, skończywszy mówić, poprosił kapitana Immy, aby kazał swoim ludziom podnieść kotwicę, gdyż wszystko już na statku gotowe do podróży; pannom zadał pytanie, czy się czują na siłach po kąpieli wpław dopędzić *Kormorana*, który w dalszą wędrówkę puszcza się w stronę północy. Nie było innéj rady, jak poddać się bez szemrania. Tak też uczyniły młode dziewczęta, mocno jednak niezadowolone swą przegraną i nie wyrzekając się nadziei odwetu.

Ale gdy po śniadaniu znalazły się znowu obie na pokładzie, zapomniały o wrażeniu doznanéj urazy, pod wpływem uroku nowych obrazów jakie nastręczały się teraz ich oczom. *Kormoran* swobodnie już płynął wśród szerokich modrych przestrzeni, a ła-

godny wiatr południowy, który wzdymał jego żagle zdawał się też z sobą unosić chmurki nagromadzone na tych czołach młodocianych. Dziwnie bo piękne i urozmaicone widoki przesuwały się przed oczami naszych wędrowców. Wzdłuż brzegów, już oddalonych, widać było góry, miejscami obrzucone mgłą prawie przejrzystą; na lewo zaś, daleko bliższe wybrzeża pławiły się w blaskach słonecznych, a przestrzeń dzieląca od nich statek, tak była niewielka, że oko z łatwością dostrzegało ciemną zieloność drzew, kupkami po nich rozsianych, czerwonawe płaty wrzosem porosłe, oraz szarawo fioletową barwę skał nadbrzeżnych. Samotne przestrzenie ożywiały tylko stada ptaków morskich różnego rodzaju, które, za zbliżaniem się statku, odlatywały spłoszone z piaszczystych ław, gdzie wygrzewały się rozkosznie na słońcu i szły szukać gdzieś dalej bezpieczniejszego ustronia. A gdy w końcu, pojawiać się poczęły wśród tych samotnych obszarów jakiekolwiek ślady ludzkiego bytu, w postaci chatek zrzadka porozsiewanych na skalistych pochyłościach, drobne te domostwa zdawały się raczej należeć do szczątków, które, zmywane przez wiekowe deszcze, popływały z tych wzniosłych i słonecznych szczytów, piętrzących się po nad niemi?

— Spójrz no w tę stronę, powiadał pewien niewyczerpany gawędziarz, zwracając mowę do jednej wyłącznie osoby; ciekawy też jestem czy ci biedacy, którzy tu żyją, zastanowili się kiedykolwiek nad tém, w jaki się sposób dostali w to miejsce. Zapewne nie przyszło im to nigdy do głowy. Raczej sądzą oni, że te wysokie góry stworzone były na to, aby się po nich pasały ich owce, i zapewne nawet znajdują, że je urobiono niecałkiem doskonale, skoro są tak strome i nagie. Nie tyle widzi pracownik w rzeczach tego świata, ile próżniaczy przechodzień, co na nie spogląda po drodze. Ale co do mnie, nie przepróżnowałem dzisiejszego poranku.

— Na czémże panu zeszedł? spytała Violetta.

— Wykończyłem ostatecznie grobowy napis, który przeznaczam całemu rodowi wydawców.

— Albo zabierają się oni wszyscy do pożegnania życia?

— No, nie od razu, na nieszczęście. Ale możnaby kłaść każdemu z nich ten napis na nadgrobku, w miarę potrzeby. Zdarzało mi się też nieraz, kiedy błądziłem pośród mogił na cmentarzu, że mi przychodziła chętka układać dla różnych znanych osób takie wspomnienia pośmiertne.

— Cóż to za przyjemna musiała być rozrywka! Jakżebym rada poznać te utwory!

Prawie wszystkie te napisy były łacińskie. Ale dajmy temu pokój,—nie pamiętam ich zresztą. Spójrz na te góry Violetto— nie od kilkudziesięciu wieków patrzą one na nas, ale od kilkudziesięciu milionów wieków. Zresztą, mniejsza tam o to—niczém jest zagadka stworzenia, w porównaniu z wielką tajemnicą istnienia wszech rzeczy. Chemia rozebrać potrafi części składowe świata na pierwiastki, ale zkąd się téż wzięły owe początkowe zasoby? Niepodobna przecięż wyobrazić sobie czegośkolwiek bez zawiązku bytu—tak samo jak nie podobna zrozumiéć... ale jak uważam, zaczynamy wdawać się w metafizykę, co jest może wpływem wiatru wiejącego właśnie ku nam od strony Szkocyi. Spójrz no na tego imiennika naszego statku, co tam siedzi na skale skrzydła rozpościerając, tak jakby się prosił o to, żeby ku niemu lufę strzelby skierować.

— Jamesie! zawołała na niego siostra, ukazując się u góry schodów, za których poręcz trzymała się obiema rękami; co to jest? Chyba przypływ już się rozpoczął, że morze takie wzburzone?

— Zaledwie się zaczyna; ale jesteśmy teraz w dosyć ciasném przejściu.

— Jeśli tak dłużéj statek będzie skakał po falach, to się nam wszystko w kawałki porozbija na dole; a co gorsza, rozchoruję się z pewnością.

— Skoro się dostaniemy do przylądka Kyle Rea, natrafimy na zaciszniejsze miejsca; tutaj wiatr spotyka się z przypływem, i tém się wszystko tłómaczy.

Przepowiednia ta nie w zupełności jednak została spełniona. W dalszym ciągu swéj nadbrzeżnéj wędrówki, yacht napotykał jeszcze nieraz silne wiatry, które zrywając się niespodzianie z po nad gór sąsiednich, przerywały ciszę najzupełniejszą. Ciągłe te przemiany w jego ruchu, dały się we znaki pani Warrener i Amy; ta ostatnia zwłaszcza, po niedługim czasie, zmuszona była pójść się położyć. Jedna tylko Violetta mężnie pozostała z Drummondem na pokładzie, podziwiając z nim istnie cudne krajobrazy, zachwycające oczy coraz to nowemi pięknościami; i tak się całą duszą oboje téj roskoszy oddawali, że mało nawet zwrócili uwagi na dosyć zatrważające kołysanie się statku w pewnem wązkim przejściu pomiędzy skalistemi rafami, które zapowiedział im był kapitan Immy jako nie całkiem bezpieczne. Ale co prawda, wzmiankę tę jego przypomnieli sobie dopiéro, gdy już dostawszy się na miejsce obrane do wypoczynku, usłyszeli zgrzyt łańcuchów kotwicy, zapadającéj w głębie podwodne.

Jak się tego łatwo domyślić, każdy uczuł wtedy ochotę na ląd się dostać; najbardziéj zaś tego pragnęły kobiety. Nie widziały bowiem sklepu od nie wiedzieć jak dawna; a można było przypuszczać, że znajdzie się choć jeden w owéj gromadce białych domostw, która zajmowała część wciętego wybrzeża. Sternik, dobrze obeznany z tą miejscowością, zmniejszył nieco nadzieje, jakie mieli nasi podróżni, że się tu zaopatrzą w świeże zapasy żywności, zapewniając ich, że w takim tylko razie mogą na to liczyć, jeśli kto wypadkiem zabił w osadzie barana w tym dniu, lub jeśli parowiec z Glazgowa przywiózł dostateczną ilość pieczywa. Bądź co bądź jednak, nie zaniechano zamiaru téj wycieczki, i cała nasza wędrowna gromadka wesoło się na nią wybrała—nie wyłączając Amy, już teraz uzdrowionéj — skoro tylko kapitan mógł dać ludzi do łódki, ukończywszy robotę na statku.

Z wielką uciechą, nasi wędrowcy dotknęli po raz pierwszy stopą wybrzeży wyspy Skye, koło niéj to bowiem zatrzymali się byli obecnie; wysiadłszy tedy na ląd, szli rozpatrując się ciekawie w uśmiechniętym krajobrazie, ożywionym zielonością drzew pokrywających miejscami pochyłości gór, i gwarząc wesoło. Ale w tém, ni ztąd ni zowąd i w jak najlepszéj myśli, swoim zwyczajem, pani Warrener rzekła: Violetto, czy obiecał pan Miller dać ci wiedzieć, jak mu się udała ta jego piesza wędrówka, owéj niedzieli, w któréj nas pożegnał?

Sama już wzmianka o tém nazwisku zmięszała młodą dziewczynę, jak gdyby się w niéj mieścił pewien rodzaj oskarżenia; jakże niepamiętną była, jak nielitościwie samolubną, w tém wyłącznem oddaniu się wrażeniom własnego szczęścia!

— Nie pani... szepnęła niepewnym głosem, a pani Warrener mocno się zdziwiła, spostrzegłszy na jéj twarzy wyraz mocnego zakłopotania, podczas gdy właśnie sądziła, że ją swém zapytaniem raczéj ucieszy. Wszakże się w niém mieściło przypuszczenie, że pomiędzy zakochaną parą nastąpiła już zgoda po owém chwilowem nieporozumieniu?

— Myślałam, dodała, że odbierzesz od niego lada dzień wiadomość. Wiedział przecię gdzie się mamy zatrzymywać po drodze.

Violetta wcale się nie zdawała rada z tego przypuszczenia. Nic na to nie odpowiedziała pogrążona w zakłopotaném zamyśleniu, co widząc Amy, przyszła jéj w pomoc i wziąwszy ją pod rękę poszła z nią przodem, zabezpieczając ją tym sposobem od dalszego ciągu tyle drażliwéj rozmowy.

Przeszedłszy przez wieś, gdzie w istocie nie znalazła nic do kupienia, nasi podróżni udali się do małego budynku stojącego na

uboczu pośród drzew, który im wskazano jako mieszczący w sobie biuro pocztowe. Kobieta średniego wieku, spełniająca urząd pocztmistrza, przyjęła ich z największą uprzejmością i nietylko im udzieliła wszelkich żądanych objaśnień co do miejscowości, ale zaprosiła ich do swego ogródka, gdzie zerwawszy piękny bukiet, ofiarowała go Violecie. Ale listów żadnych nie było tu do nikogo z naszych turystów.

— Z pewnością, dostał się szczęśliwie do Londynu, rzekła spokojnie Violetta.

— Więc tam się wprost udawał z powrotem? spytała jéj pani Warrener.

— Tak przypuszczam. Nie mówił mi nic o swoich zamiarach.

Poczciwa pani Warrener, kochająca tak szczerze Violettę, z wielką przykrością widziała, że to drobne zajście pociągnęło za sobą tak opłakane skutki. Nie byłoż to dziecińśtwem zasmucać sobie z umysłu najpiękniejsze lata życia, jak to czyniła ta para dzieciaków, i wyszukiwać sobie trudności tam, gdzie wszystko zdawało się sprzyjać ich przyszłemu połączeniu? To ostatnie zdawało się tak pożądaném i tak pewném zacnéj przyjaciółce Violetty, że postanowiła dołożyć wszelkich starań, aby sprowadzić jak najprędszą zgodę pomiędzy zwaśnionemi stronami, i w tym celu szukała sposobności do rozmowy sam na sam z młodą dziewczyną.

Nastręczyła się ona niebawem. Wybrali się byli wszyscy na przechadzkę po wzgórzach bliższych wybrzeża, albowiem panowała znowu cisza zupełna, i nie mieli powodu śpieszyć się z powrotem na statek.

— Violetto, odezwała się swym łagodnym głosem pani Warrener, odszedłszy z nią nieco daléj, cała ta sprawa mocno mię martwi i chciałabym wiedzieć, czy nie mogę w czém złemu zaradzić. Powiedz mi to, moje dziecię; tylko zastanów się pierwéj i nie mów mi znowu, że cię on wcale nie obchodzi i że wolałabyś nie zobaczyć go więcéj. Czcze to są wyrazy, jakiemi lubią zwykle szafować młode dziewczęta, ilekroć się z ukochanym swoim poróżnią, i tak same siebie udręczają własną samowolą. Cóż tu za powód przedłużać nieporozumienie, któremu tak łatwo byłoby położyć koniec? Czy chcesz abym do niego napisała? powiedz mi Violetto?

Cóż mogła ona na to odpowiedzieć? Po raz pierwszy, uczuła w téj chwili w jak osobliwém położeniu znajduje się obecnie względem téj kochającéj przyjaciołki, która ją może o nieszczerość posądzić. A jednak, nawet pod groźbą tego zarzutu, nie byłaby się za nic w świecie podzieliła z nikim tą świętą tajemnicą, którą tak tkliwie pieściła w głębi serca; za nic nie zgodziłaby się na to,

aby ten skarb jéj przeszedł na własność czyjéjkolwiek myśli lub rozmowy.

— Moja droga pani, rzekła posępnie, w rzeczy samėj nie jest to zajście żadne, ale raczéj nieporozumienie. Tylko—tylko że powodów jego... nie mogę teraz pani powiedzieć.

Chciała zapytać Drummonda, jak ma sobie w tym razie postąpić, bo jego pragnęła mieć we wszystkiém za kierownika i wolała narazić się na zarzut skrytości, niźli cośkolwiek uczynić coby on mógł zganić.

— Więc nie chcesz, abym napisała do pana Millera? spytała ją przyjaciółka.

— O nie, droga pani.

Szły dalėj w milczeniu, a Violetta smutna była ciągle i pomięszana. Teraz, gdy prawdopodobnie wyjaśnić się miało jéj położenie względem Jerzego, lękała się wydawać okrutną względem niego. Czyż nią nie była w istocie? zapytywała siebie? Wprawdzie, pomyślała o nim nieraz z politowaniem od czasu owego rozstania, czyniła sobie wyrzuty, co prawda dosyć zasłużone; ale zarazem nie mogła przed własnym sumieniem zataić uczucia swobody jakiego doznawała, odkąd go przy niéj nie było. Teraz, wyrzucała sobie gorzko to rozweselenie, które napełniało jéj serce, podczas gdy człowiek, który ją kochał od tak dawna i z tak cierpliwą wytrwałością, widział się odepchnięty przez nią w sposób tak nielitościwy.

— Nic ze mną nie poradzisz, rzekła wesoło poczciwa pani Warrener. Chociaż wiém, że nie zawsze jest rzeczą bezpieczną palce pomiędzy drzwi wkładać, gotowa jestem na niejedno się narazić dla ciebie. Niepodobna, abyś na te wszystkie cudowne rzeczy patrzała z tą zasmuconą twarzyczką jaką masz teraz; jeśli więc nie chcesz, abym napisała do pana Millera, w takim razie zapytam się Jamesa...

-- Ach! nie rób pani tego! zawołała Violetta w najwyższém zakłopotaniu.

— Chodź no, chodź ze mną, moje dziecię. Zaraz się z nim rozmówię.

Młoda dziewczyna wstrzymała ją żywo za rękę.

— Uczyń mi pani tę łaskę rzekła, zaniechaj tego zamiaru. Zaczekaj trochę... aż się dowiész...

— Ważnéj jakiejś tajemnicy? spytała z uśmiechem pani Warrener.

Violetta nic nie odpowiedziała.

— Niechże się więc stanie według twojéj woli, rzekła łagodnie pani Warrener. Czekać będę cierpliwie; ale pamiętaj moje dziecię, że jeśli się troski twéj nie pozbędziesz, koniecznie w pomoc ci przyjść zechcę.

Potém zawróciły się obie w stronę wybrzeża; czas im było ku niemu się kierować, gdyż słońce za chwilę skryć się miało po za góry, już obrzucone żywèmi barwami zachodu. Amy i Drummond czekali przy łódce, ale tak trudno się było im wszystkim oderwać od czarownych widoków krajobrazu, mieniącego się fantastycznie, w miarę jak zmrok coraz bardziéj zapadał, że już żółta tarcza księżyca poczęła się wynurzać na widnokręgu od strony południa i chłodne cienie wieczorne na wzgórza zapadły, kiedy łódka z miejsca wyruszyła, kierując się ku *Kormoranowi*.

— Zdaje mi się Violetto, żeś się trochę zmęczyła? rzekł Drummond, patrząc na nią z uwagą.

— O, wcale nie, odpowiedziała; bardzo to owszem przyjemnie módz się przejść dobrze, po spędzeniu kilku dni na morzu. Ale kiedyż to dostaniemy się do Portree? Wszak podobno nie jutro jeszcze?

— Najpewniéj dopiero po jutrze. Czy chciałabyś być tam prędko?

— Ach nie, bynajmniéj mię to nie obchodzi.

Pani Warrener, słuchająca z boku téj rozmowy, nie omieszkała wyprowadzić pewnych wniosków z zapytania Violetty. Portree było pierwszą miejscowością, w któréj mogli się spodziewać zastać listy, gdyż się tam znajdowało biuro pocztowe.

Przez cały wieczór następny, Violetta nie znalazła sposobności do pomówienia choćby przez chwilę na osobności z Drummondem, albowiem prześliczna pogoda zgromadziła całe towarzystwo na pokładzie do wspólnéj pogawędki. Nie szła ona jednak tak raźno jak nieraz bywało, chociaż Drummond, nie zdając się żadnéj zmiany dostrzegać, w jak najlepszym był humorze. Pani Warrener czyniła w duchu tę uwagę, że jeśli Violetta jest jakaś nie swoja od pewnego czasu, to w zamian James nie bywał nigdy przez tak długo, w usposobieniu tyle jednostajném i rozweseloném.

Gdy się już kobiety zabierały do odejścia na spoczynek, Violetta z umysłu pozostała nieco z tyłu i, wróciwszy od schodów na pokład, podeszła ku Drummondowi. Zwrócił się żywo ku niéj, gdy nieśmiało dotknęła jego ręki.

— Czy zechcesz mi pan jednę łaskę wyświadczyć? rzekła mu zcicha. Powiesz o tém twojéj siostrze.

— I owszem, czemużbym tego nie miał zrobić? odpowiedział jéj ze swobodą prawie wesołą. Nie wiedziałam jakie jest w tym względzie twoje życzenie; ale w każdym razie musi przecięż ona o tém wiedzieć, a im prędzéj to nastąpi, tém lepiéj będzie.

— Ale nie dziś jeszcze... nie zaraz, wyszeptała młoda dziewczyna.

— Nie zaraz więc, skoro sobie tego nie życzysz, odpowiedział; potém spojrzawszy się na nią uważniéj i dostrzegłszy ile była wzruszoną, dodał:

— Co ci jest takiego, Violetto?

— Taka mię straszna trwoga przejmuje... rzekła, i uczuł, że gdy to mówiła, ręka jéj drżała.

— Trwoga? a to z jakiego powodu?

— Ach! gdyby tylko wszystko mogło było tak daléj pozostać, zawołała z namiętnym wybuchem uczucia; gdybyśmy mogli mieć dalszy ciąg tych dwóch dni tyle szczęśliwych, czegożby nam więcéj życzyć potrzeba? Ale teraz, skoro się każdy będzie musiał dowiedzieć...

— Nie każdy wcale, tylko.

— Tylko twoja siostra, a ona mię wtedy znienawidzi, przerwała mu gwałtownie.

— Pokocha cię bardziéj jeszcze — będziesz jéj siostrą jedyną. Ale zkądże się stałaś od razu tak trwożliwą? Gdzież się podziała owa odważna Violetta? Uspokój się i chodź zaraz ze mną na dół; chcę rzecz tę załatwić jak najprędzéj. Wierzaj mi, tak najlepiéj będzie. Ale nawet, pocóż masz koniecznie być temu obecną? Toż to najprostsza rzecz w świecie; nie ma nawet nad czém tu rozmyślać.

— Proszę cię, odłóż to do jutra, rzekła z żywością w któréj była prośba gorąca; a potém pocałowawszy rękę, którą ciągle trzymała podczas téj rozmowy, odeszła śpiesznie na dół. Drummond nie umiał wcale zrozumieć, co znaczyło to wszystko.

Co do niéj, gdy sama została wśród nocnéj ciszy, usiłowała wszystką mocą ducha swego walczyć przeciw przeczuciom jakie uporczywie udręczały jéj umysł. Dla czegożby się ona dziś lękać miała téj łagodnéj kobieciny, która jéj zawsze okazywała tyle przychylności? Jakiż powód mógł mieć ktokolwiek do stawiania przeszkód jéj szczęściu? Potém znowu, wymawiała sobie, że o własném tylko myśli szczęściu, i wyobraźnią poszuka kogoś, coby miał wiele więcéj od niéj powodów do użalania się; powtarzała sobie nieustannie: „czyż moja w tém była wina? czy moja?...“

ROZDZIAŁ IV.

Loch Cornisk.

Drummond nie czuł się ani zmięszanym, ani téż zatrwożonym, gdy udzielał téj wiadomości swéj siostrze, zastawszy ją nazajutrz zrana samą w dolnym saloniku. Tyle wierzył w jéj przywiązanie, że ani wątpił o tém, iż zapragnie gorąco módz bliższym jeszcze węzłem serdecznym połączyć się z Violettą.

A jednak, podczas gdy do niéj o tém mówił w półcieniu kajuty, ze zdumieniem widział, że twarz jéj coraz bardziéj blednie. Cofnęła się o krok od niego; w oczach jéj trwożnie w nim utkwionych, był wyraz smutku, niepokoju i przerażenia.

— Ach Jamesie, jest że to prawdą? spytała drżącym głosem.

Rzecz cała jasno jéj się przedstawiała; u kresu tego wszystkiego widziała najniezawodniejsze nieszczęście tych dwóch istot, które po własnéj córce, najdroższe jéj były na świecie.

— Cóż tedy? spytał zdziwiony. O cóż ci chodzi Saro, że tak wyglądasz strapiona?

— Jamesie, ty nie rozumiesz tego wszystkiego tak jak ja. Tego się właśnie lękam... Teraz, nie wiém sama, kto z was więcéj godzien politowania; ona dumna jest i za nic nie zechce się cofnąć...

— Co przez to rozumiesz, Saro? Żądam koniecznie, abyś się jaśniéj wytłómaczyła rzekł stanowczo.

— Czyż sam nie widzisz dokładnie zkąd to powstało? odpowiedziała żwawo, ale z wyrazem tkliwego politowania w wejrzeniu. Biedne to dziewczę poróżniło się ze swym kochankiem; on się uraził i odjechał; ona zaś czuje się obrażona w swéj godności i przez dumę postanawia zerwać z nim na zawsze; potém szukając odwetu, zwraca się ku tobie, a ty pozwalasz jéj wierzyć, że ta przyjaźń jaką jéj zawsze okazywałeś, wynagrodzić jéj potrafi stratę kochanka. I cóż za koniec będzie temu wszystkiemu? Albož się codzień nie zdarzają podobne rzeczy? Młode dziewczęta żałują, ale poniewczasie tego co zrobiły—wtedy, gdy odtrąconego kochanka niepodobna im już odzyskać; gdy związek lekkomyślnie i wbrew woli serca zawarty, związał na całe życie udręczeń dwie istoty, skutkiem opłakanéj pomyłki.

Na chwilę, uczuł się zachwiany. To co mówiła zdawało się straszliwie jasno określone, prawdopodobne, jakby żywcem wzięte z rzeczywistości. Wyraźném téż było, że ta kobieta tak słodka nie czerpie słów swych w żadném nieprzychylném uczuciu wzglę-

dem Violetty, że ją owszem szczęście tego dziewczęcia tyle obchodzi ile jéj własne.

— To co powiadasz Saro jest szczerą prawdą, odpowiedział spokojnie a przynajmniéj jest nią w wielu razach, ale nie w tym, wypadku! Opowiedziałem ci powód owego zajścia ....

— Powód to najzwyczajniejszy, jaki tylko być może, przerwała mu żywo. Młodzi ludzie zawsze bywają skłonni do zazdrości, z pewnością zdawało mu się, że ona nie jest dosyć nim zajętą, a w ślad za tém przyszło przypuszczenie, że daleko więcéj myśli o tobie. Było téż w tém cokolwiek prawdy, Violetta okazywała ci najwyższy szacunek, powiedziałabym nawet wielkie przywiązanie. Znasz ile jest w niéj dumy; jeśli jéj wspomniał o czemś podobném w sposób drażniący, czyżby to znieść potrafiła? Gotowa była od razu go odprawić, dać mu uwierzyć coby mu się podobało; a potém w przystępie zranionéj dumy, zwróciła się ku tobie i saméj sobie usiłuje teraz wmówić, że cię dosyć kocha na to, aby cię poślubić. Cóż z tąd może wyniknąć? Sam o tem pomyśl Jamesie. Alboż ci się zdaje, że ona o nim zapomniała? Czyś nie uważał wczoraj, ile była zmięszana, kiedym wspomniała o tém, że może będą do niéj jakie listy? pewna jestem, że tak samo jak ja widzisz ile jéj śpieszno dostać się do Portree.

Wszystko to wyglądało przerażająco uzasadnione i prawdopodobne, rozsądek mu to powiadał, wszelako silny duch jego nie mógł od razu przerzucić do przekonania, które mu wpoić usiłowano.

— Nie spieram się z tobą, rzekł do siostry; może téż trafnie o tém sądzisz. Kto wié, czy w istocie, ta biedna dziewczyna nie wpadła w błąd mimowolny, i czy nie znajdujemy się dziś oboje w bardzo przykrém i fałszywém położeniu. Jeśli tak jest, musimy wyjść z niego.

Mówił to całkiem spokojnie, i na jego twarzy nie było znać wzruszenia, a jednak serce jego doznawało w téj chwili męczarni konania. Ciężkim nad wszelki wyraz było mu samo przypuszczenie, że tym dwóm ostatnim dniom radośnym, przyświecały blaski tylko złudnego szczęścia, i że tych zwodniczych nawet uciech należy już wyrzec się bezpowrotnie.

— W każdym razie starannie nad tém będę czuwał, mówił daléj Drummond, aby nie było w téj sprawie żadnego nieporozumienia. Otrzymałem jednak od Violetty zapewnienia, które ona jedna ma prawo cofnąć. Jeśli przypuszczenia twoje są sztuczne, to najprostszą będzie rzeczą, szukać u niéj ich potwierdzenia; tak téż chcę zaraz uczynić.

Wzięła go za rękę i rzekła:

— Mój drogi bracie nie odzywaj się do mnie w taki sposób, jak gdybym ci chciała krzywdę wyrządzić. Alboż nie czujesz ile mię boli, żem ci to musiała powiedzieć? I czyż sądzisz, że jest ktokolwiek na świecie, coby się więcéj odemnie radował twojém połączeniem z Violettą, gdyby ono mogło uszczęśliwić was oboje.

— Wiem o tém, Saro, odpowiedział. Wiem także, iż chęci twoje są jak najlepsze. Ale musimy nasamprzód zbadać ile w tém wszystkiém jest prawdy.

— Jamesie, nie rozmawiaj z nią teraz o tym przedmiocie, rzekła. Nie wiesz czém są w takich razach młode dziewczęta. Podniecisz jéj miłość własną i będzie chciała trzymać się za jakąbądź cenę przyjętego zobowiązania. Za mało miała jeszcze czasu do namysłu.

— Więc chcesz, abym dał przystęp do siebie tym podejrzeniom, nie mówiąc o nich ani słowa téj którą dotykają? zapytał z żywością.

— Tak jest, żądam tego od ciebie, i to dla *jéj* dobra właśnie, odpowiedziała śmiało pani Warrener. Ty pragniesz jéj szczęścia, mnie potrzeba widzieć was oboje szczęśliwemi. Powtarzam ci raz jeszcze Jamesie, że gdybyś odwołał się teraz do niéj, wstyd by jéj było przyznać, że się pomyliła i uważałaby się za obowiązaną dotrzymać danego ci słowa; prawdopodobnie jest dotąd wzburzona wrażeniem owego zajścia z Millerem i nie zdobędzie się na zimną krew bez któréj niepodobna, aby się mogła w sobie saméj rozpatrzéć. Na cóż tu z resztą potrzebny pośpiech? i cóż stracisz na tém, że poczekasz?

Uznawał, że miała słuszność. Szczęście Violetty o wiele go więcéj od własnego obchodziło. Jeśli tedy, chociaż nie umiał jeszcze temu uwierzyć, uczyniła ona w chwili urazy krok nierozważny, należało zostawić jéj czas i sposobność do wycofania się z niego.

Świat boży nie wydawał się już wcale temu człowiekowi tyle piękny i rozjaśniony co przedtém, gdy wyszedłszy po chwili na pokład, objął wzrokiem morze i góry nadbrzeżne. Na twarzy jego przebijał znowu wyraz znużenia, jaki miewał nieraz dawniejszemi czasy w Londynie;—ów wyraz, którego Violetta, mocno nim zawsze zaniepokojona,—nie widywała odkąd Drummond przybył w Highlandy. Jednocześnie prawie ukazała się i ona ,w towarzystwie Amy; wracały obie z wycieczki odbytéj łódką, w celu wyszukania sobie gdzie przy brzegu dogodnego miejsca do kąpieli porannéj. Zdrowie i wesołość ożywiały twarze obu młodych dziewcząt, gdy

na pokład wstępowały; promienie słońca, igrające wokoło po morskich przestrzeniach, nie więcéj miały blasku od ich oczu tryskających życiem i weselem. Znagła jednak, ów wyraz radosnéj swobody pierzchł z twarzy Violetty North. W przelotném wejrzeniu, które rzuciła na Drummonda, oczy ich spotkały się, i uczucie trwogi przejęło ją do głębi. Byłaby chciała podbiedz ku niemu i zapytać o powód jego smutku, ale nie odważyła się tego uczynić, a nawet wolała trzymać się na uboczu, sądząc, że miała już miejsce owa rozmowa jego z siostrą i lękając się zastanawiać nad tém, co z niéj mogło wyniknąć.

Po śniadaniu, według ułożonego naprzód planu, nasi wędrowcy udali się na ląd, gdzie już w pobliżu czekał zamówiony powóz odkryty, którym mieli odbyć przejażdżkę po najbardziéj malowniczych częściach wyspy. Pogoda była prześliczna, i coraz to nowe krajobrazy zachwycały ich, podczas gdy jadąc krętą drożyną, zapuszczającą się w ciasne wąwozy, to znowu pnącą się po wzgórzch, zbliżali się coraz więcéj do stromych skał, wśród których mieli znaléść jezioro Cornisk, na dziś główny cel ich wycieczki. Wszystko się składało, na uprzyjemnienie téj chwili, a jednak dziwnie jakoś milcząca była w dniu tym cała nasza gromadka. Większą część rozmowy brała tym razem na siebie pani Warrener, która też bardziéj niż kiedy okazywała się czułą dla Violetty. Drummond zaś wyraźnie był zadumany; prawdopodobnie przedmiotem jego rozmyślań była zagadka nie do rozwiązania, a może to jest prawdą, że on nie ma pojęcia o usposobieniu młodéj dziewczyny? Alboż nie mogą tu istnieć sprzeczności, zdania, porywy, całkiem odmienne od tego, co napotykał u kobiét z któremi miewał bliższe stosunki? „Nie wiesz czém jest młoda dziewczyna!"—powiedziała mu siostra, a ona przecięż musi mieć o tém dokładne pojęcie.

Po pewnym czasie, nasi podróżni ujrzeli znowu przed sobą otwarte morze, lśniące od słonecznych promieni jak nieskończona równina jasnością zalana; a niedługo potém powóz ich zatrzymał się na odkrytém miejscu wybrzeża, gdzie przesiedli się do dużéj i ciężkiéj łodzi, obsługiwanéj przez czterech Highlanderów, nędznie odzianych, ale przystojnych i tęgo zbudowanych, którzy mieli najniegodziwsze wiosła jakie sobie można wyobrazić, ale bardzo raźno pracowali niemi podczas dosyć długiéj przeprawy, która tu wypadła naszym turystom. Musieli bowiem opłynąć strome skały, tworzące przylądek, po za którym znajdowało się pomiędzy górami, w niewielkiéj odległości od brzegów, jezioro Cornisk.

Gdy wreszcie z łódki wysiedli, zapuścili się śpiesznym krokiem pomiędzy skały nadbrzeżne, chcąc jak najprędzéj się dostać do celu swéj wycieczki. Po niedługim czasie, ujrzeli najprzód przed sobą milczące tonie jeziora Seavaig— nieciemne jednak i grozą przejmujące jak zwykle, ale rozjaśnione od słońca i cudnie piękne w swéj ciszy posępnéj. Pomimo pogody, w dniu onym wszystko rozweselającéj, widok ten wywoływał wrażenie nieokreślonego smutku; potężne skały, piętrzące się po nad temi przejrzystemi wodami roziskrzonemi od słońca, odbijały się w nich ponuro, tworząc dziwną sprzeczność z ich rozjaśnieniem. Nigdzie, jak daleko słuch mógł zasięgnąć, żaden odgłos nie przerywał uroczystego milczenia jakie tu panowało; zdawały się je szanować nawet morskie ptaki, szybkim lotem przemykające się od czasu do czasu po nad temi zdradliwemi falami, których zwykłéj burzliwości niktby się w téj chwili nie domyślił.

Zapuściwszy się daléj w góry, pod kierunkiem przewodnika, który ich nieraz na dosyć trudne przejścia narażał, nasi podróżni dostali się wreszcie do jeziora Cornisk, mniéj rozległego od poprzedniego, ale samotniéj jeszcze i posępniéj rozpływającego się w kotlinie zacienionéj wysokiemi skalistemi ścianami, które zewsząd ją obejmują. Po prawéj stronie, te szczyty nagie i poszczerbione oświetlone były od słońca i wykreślały się jasno na błękitném tle nieba, ale na lewo obrzucał je cień tajemniczy, którego głębi nie przejrzało nawet południe tego pięknego dnia letniego. Kobiety poszły przodem by obejrzeć brzegi tych toni ponurych i zaciemnionych, James Drummond tymczasem usiadł na odłamie skały i smutnéj oddał się zadumie, wśród któréj otaczające go obrazy przedstawiały mu się jakby we śnie.

Sam jeden był wśród téj pełnéj grozy samotności, żadnéj twarzy ludzkiéj nie napotykało jego oko, żaden szmer życia tu nie dochodził. Spoglądając na te przerażające szczyty, wyrastające stromo z pośród ciemnych toni, coraz wyraźniéj upatrywał w nich potężne nieme istoty, żyjące chociaż nieruchome, niby olbrzymów wieczności, z sobą tylko samemi mogących obcować przez wszystkie czasy. „Oczy ich,“ powiadał sobie, „przenikać umieją te cienie tajemnicze, a zamykają się te oczy zaledwie po lat tysiącach. Gdy rozwścieczony Atlantyk roztrąca swe fale o brzegi, chmurnieją także i oni, inaczéj chłodni pozostają i niewzruszeni; jedni na drugich spoglądając, bezmyślnie i bez zaciekawienia, lecz z ponurą posępnością, która coraz się wzmaga w miarę jak w przyszłość spływają wieki, żadnéj nie przynoszą im—zmiany. Ludzkiego istnienia wzrok ich nigdy niedostrzegł; drobne stworzenia, jakie pełzały nie-

kiedy chwilowo u ich podnóża, przeszły niepostrzeżone i zaraz potém znikły znowu na morskich przestrzeniach. Czy mogą oni z sobą rozmawiać? Nie. Słyszą huczący w pobliżu ocean, ale same żadnym głosem nie przerywają swego wiecznotrwałego spoczynku. Gdy chmury okłębią w nocy ich czoła, a błyskawice iskrzącemi smugami przeszywają ciemności, gdy morze rozgłośnie wyje u ich stóp, przerażająca groza występuje wtedy na ich oblicze, zdaje się chcieliby dźwignąć się ze swego wiekuistego letargu i rozkazać żywiołom, aby się uciszyły; ale mija to wkrótce, niby wrażenie chwilowego zajścia małéj wagi. Dla nich, mają tylko znaczenie zwolna upływające wieki, które coraz więcéj zasmucenia dodają ich wejrzeniu stęsknionemu; na wieczną samotność skazani, obcować nawet nie mogą z gwiazdami nocą zaludniającemi niebiosa.“

— Rojenia antropomorfizmu! rzekł do siebie Drummond, powstawszy z miejsca i próbując odegnać od siebie uprzykrzone myśli. Wpływy tego tajemniczego półcienia usposobiają umysł do owych zuchwałych marzeń, w których nędzna ludzka istota własne usposobienia wciela w szczyty odwieczne i swoim smutkiem chce zaciemnić samo niebo.

— Ale czyż naprawdę jestem ja smutny? zapytał siebie po chwili. Mam że do tego powód? I wyrzucał sobie, że wśród szczęścia jakiego niedawno doznawał w obec tych uroczych obrazów przyrody, w otoczeniu osób najdroższych jego sercu, parę uwag osnutych na niepewnéj może podstawie i pozbawionych wszelkiego prawdopodobieństwa mogło tak silne na nim sprawić wrażenie. Postanawiał otrząsnąć się z tego chorobliwego, niczém nieusprawiedliwionego niepokoju. Czyż nie mogły istnieć młodociane dusze dziewczęce, sięgające po za kres nabytków doświadczenia jego siostry? A w razie nawet gdyby cała ta sprawa najgorszy dla niego wzięła obrót, to czyżby jeszcze czuł się smutny, widząc Violettę za jakąbądź cenę, oswobodzoną z fałszywego położenia i szczęśliwą w całém znaczeniu tego słowa?

Broniąc się od zasmucającego wpływu téj samotni, nie chciał w niéj dłużéj pozostać i, szukając przejścia pomiędzy skałami, zwrócił się w stronę małéj zatoki, gdzie na piaszczystém wybrzeżu zastał swe towarzyszki oczekujące na niego. Zasiadłszy tam z niemi, wdał się odrazu ze swą siostrzenicą w jakąś myśliwską rozprawę i niezmiernie był wesoły podczas śniadania, które w tém miejscu zostało spożytém. Gdy zaś znowu wsiedli wszyscy do łódki, wziął na siebie robotę jednego z wioślarzy, który skaleczył był sobie rękę, i przez całą drogę wyręczał go dzielnie. Ósma już była wieczorem, gdy nasi turyści powrócili do Breadford.

Zmiany pogody bywają nader szybkie w tych okolicach. Ze względu na to, kapitan Iimmy bardzo mało ufał bezpieczeństwu zatoki Breadfordzkiéj, którą uważał za otwarty gościniec dla północnych wichrów, ilekroćby im się zachciało wyprawiać swe harce. Ponieważ zaś uważał, że od kilku godzin kierunek wiatru, przedtém południowo zachodniego poczynał się zmieniać i dawał przewidywać bliski jego zwrot mniéj pożądany, skoro więc ujrzał Drummonda z powrotem, zapytał go czy nie uważałby za lepsze na noc do Portree się dostać?

— Alboż uznajesz pan tego potrzebę? rzekł na to James. Czyż nam tu co zagraża, jeślibyśmy chcieli w téj zatoce zanocować?

— No, nie koniecznie; ale wiatr coraz bardziéj się jakoś odmienia, a wiadomo panu jakie to on umié sprawiać niespodzianki przy tych wybrzeżach.

— Tym sposobem, nasze panie bedą miały noc bezsenną.

— Ach, nie zważaj na to, Jamesie, rzekła mu na to siostra; wiész przecię dobrze, że Violetta radaby jak najprędzéj w dalszą drogę się puścić.

Obejrzał się po pokładzie; nie było na nim panny North. Zeszedł więc na dół i wywołał ją z kobiecéj kajuty.

— Chcielibyśmy wiedzieć, rzekł do niéj, czy wolałabyś tu na noc pozostać, czy dopłynąć do Portree; wiatr nam sprzyja ku dalszéj podróży.

Namyśliła się przez chwilę, potém rzekła nieśmiało:

— Jeśli nic temu nie przeszkadza, to wolałabym abyśmy odpłynęli zaraz do Portree.

Wrócił do siostry i powtórzył jéj odpowiedź Violetty.

— Pewna tego byłam, rzekła usłyszawszy ją.

ROZDZIAŁ V.

List.

Wśród nocnéj ciszy rozgłośnie się odezwał zgrzyt łańcuchów kotwicy z miejsca ruszonéj; wiatr podnosił się coraz bardziéj, a lekkie obłoki zasłaniały nieco księżyc. Gdy nasi podróżni ujrzeli się na otwartém morzu, tak mało było ono rozkołysaném, że zaledwie ruch łagodny dawał się uczuwać na pokładzie, wszyscy woleli téż na cały czas swéj nocnéj rozprawy tam pozostać. *Kormoran* pomyślnym wiatrem pędzony mknął szybko po falach, nieraz dosyć

blisko podpływając ku skalistym ścianom, które tworzy w tém miejscu pasmo stromych urwisk Skye, po nad samym brzegiem morza. Ze względu na liczne rafy podwodne, które tu wypadało omijać, wielką baczność zachowywał ciągle kapitan Iimmy; a podwoiła się ona jeszcze odkąd księżyc, zaszedłszy za gór szczyty, przyświecać przestał ich podróży, zostawiając za sobą szarą pomrokę, tyle zdradną na morzu. Noc ta w ogóle, nie była w niczém podobna do poprzednich, w których nasi wędrowcy do późna rozkoszowali się na pokładzie cudowną pogodą i nocnemi krajobrazami fantastycznie oświetlonemi. Teraz wszystko jakoś ponuro wyglądało wokoło; wiatr dąć poczynał coraz silniéj, w wicher już się prawie zmieniając; i już niepokuj raczéj niż inny powod zatrzymał ich na pokładzie w ciągu téj nocy ciemnéj i chłodnéj. Jakże dalekie zdawały się im dziś owe urocze wieczory, spędzane nieraz na wesołych pogadankach, wśród łagodnéj ciszy, która tak samo w ich duszach panowała, jak i w świecie zewnętrznym, jakże wszystko było teraz odmienne i jak się tam te czasy wydawały niepowrotne!

Była już pierwsza po północy, gdy się statek dostał do Portree, którego domy, odznaczające się na tle drzew pokrywających sąsiednie wzgórza, zaledwie były widoczne wśród nocnéj pomroki! Żadne z nich światełko nigdzie nie błyskało i w całém miasteczku panowała cisza spoczynku, którą téż nie długo przerywała robota majtków, zajętych przygotowaniem noclegu *Kormorana*. Po krótkim czasie i tam już także wszystko do snu się układło.

Następnego poranku Drummond bardzo wcześnie wszedł na pokład, powierzchowność jego zdradzała niepokój i zakłopotanie. Pani Warrener najpierwsza przyszła go powitać.

— Cóż za dziwne mieliśmy dzisiaj widoki! rzekła na wstępie. Osobliwego rodzaju opary jakieś nagromadziły się od świtu wzdłuż wybrzeży, zwiększając każdy przedmiot i oddalając go niby dla oka w sposób najdziwaczniejszy.

Nie usłyszał wcale téj uwagi i po chwili zapytał:

— Saro, czyś ty rozmawiała o tém wszystkiem z Violettą?

— Nie; bom nie miała sposobności znaleść się z nia sam na sam ani na chwilę. A gdybym ją nawet napotkała, to nie wiém czy należałoby mi dotykać tego przedmiotu. Nie pragnę bynajmniéj wywierać jakiego bądź wpływu na to biedne dziewczę. O ile mi się zdaje, najlepiéj zostawić jéj zupełną swobodę, aby pójść mogła za popędem własnego serca.

— Wszelako milczenie twoje może ją zadziwić; gotowa w niém upatrywać pewną naganę z twojéj strony, skoro wie, że cię o wszyst-

kiém zawiadomiłem. Przytém, muszę i ja z nią teraz pomówić, a sam nie wiém doprawdy...

Przeszedł się parę razy po pokładzie; wyraźnie chciał stłumić objawy uczuć powikłanych, sprzecznych, jakie w nim walczyły.

— Straszny jest naprawdę Saro ów stan niepewności, rzekł w końcu. W każdym innym razie, nie umiałbym znieść go ani na chwilę. Ale masz w tém słuszność, że nie należy nam przynaglać jéj do jakiego bądź postanowienia. Musimy zostawić ją swobodną. Może téż teraz, jeśli odbierze jaki list od Millera, zdobyć się potrafi na coś stanowczego.

Zawołał jednego z majtków i napisawszy parę słów na swoim bilecie wizytowym, oddał mu go, mówiąc:

Alek, udasz się zaraz na ląd i dowiész się na poczcie czy tam nie ma do nas jakich listów. A śpiesz się tylko z powrotem.

Pani Warrener zeszła na dół zobaczyć czy śniadanie jest gotowe. Niemniéj od brata czuła się zaniepokojona całą tą sprawą. Pocieszała się nadzieją, że Violetta otrzyma tu od Millera list, który położy koniec ich nieporozumieniu; że wtedy zrozumié ile nierozważnie postąpiła i zechce jak najprędzéj błąd swój naprawić. W takim razie, po przebyciu kilku chwil przykrych, można się było spodziewać powrotu jéj stosunku z Jamesem do dawnego stanu rzeczy, przerwanego z powodu opłakanéj pomyłki, i pani Warrener uspokajała się tém, że od nieszczęśliwych jéj skutków zostaną ochronione dwie istoty tyle drogie jéj sercu.

Alek wkrótce powrócił, przywożąc kilka listów, z których jeden nosił adres panny North. Pismo to poznał od razu Drummond; położył spokojnie list na stole, przed miejscem, które zwykle zajmowała Violetta.

Śniadanie już było podane, gdy się ona pojawiła. Ujrzawszy koło swego nakrycia kopertę ze stemplem pocztowym, wzięła go żywo i rzuciwszy nań okiem, zaraz do kieszeni schowała. Skoro usiadła, pani Warrener zauważyła, że twarz jéj pobladła cokolwiek.

Podczas śniadania, nie była w stanie zataić wzruszenia. Palce jéj drżały, gdy brała szklankę którą jéj podawano. Ilekroć kto probował odezwać się do niéj, nie zdawała się prawie tego słyszeć, a w ogólnéj rozmowie nie brała wcale udziału.

W końcu, nie mogąc już dłużéj panować nad dręczącym ją niepokojem, przeprosiła swych towarzyszy i otworzywszy list, czytać go spiesznie poczęła. Treści nie musiał być obszernéj, po chwili bowiem Violetta wstała nagle z miejsca i z wybuchem płaczu wybiegła z pokoju. Nastąpiło potém dziwnego rodzaju milczenie.

Po kilku minutach, wyszła za nią pani Warrener.

— Co jéj stać się mogło takiego, wujaszku? spytała naiwnie Amy Drummonda.

— Przypuszczam, że odebrała jakieś złe wieści, odpowiedział, sam się temu dziwiąc że mógł wymawiać te słowa tak pewnym głosem i w sposób prawie obojętny.

Wkrótce siostra jego powróciła i rzekła:

— Jamesie, rozkaż któremu z wioślarzy żeby zawiózł do brzegu Violettę. Potrzebuje ona wyprawić jakiś telegram.

— Zaraz każę łódkę przyrządzić, odpowiedział, odchodząc na pokład.

W kilka chwil potém, odprowadzał wzrokiem małe czółenko, mieszczące na sobie dwie postaci i zdążające ku wybrzeżu. Gdy w końcu zniknęło mu z oczu, rozpływając się we mgle słonecznéj, która zarysy lądu przysłaniała, zwrócił się ku jednemu z majtków i rzekł:

— Chciałbym mieć spuszczoną drugą łódkę. Czy moglibyście z Alekiem dowieść mię do téj małéj zatoki, gdzie to bywają dzikie kaczki po nad brzegiem?

— Gdzież się wybierasz, Jamesie? spytała go nadchodząca właśnie siostra. Toż przecię nie jadłeś jeszcze śniadania.

— Dziękuję ci, nie jestem wcale głodny, odpowiedział jéj łagodnie. Na twarzy miał wyraz trochę zmęczony i przygnębiony— ale na tém był koniec; nic zresztą nie zdradzało wewnętrznego stanu jego duszy. Już dosyć jadłem dodał, a śpieszno mi rozprawić się z temi kaczkami, których podobno tam mnóstwo.

(D. c. n.)

ZARYSY
ŻYCIA LUDOWEGO
NA SZLĄSKU

przez

Lucyjana Malinowskiego.

(Dalszy ciąg).

VII.

Szlązacy wogóle są zamożni. Zapewniano mnie w okręgu Kozielskim, że niektórych gospodarzy w tych stronach liczą na trzydzieści, czterdzieści, a nawet i więcéj tysięcy talarów majątku. Po większéj części zajmują się tu rolnictwem; wielu jednak Szlązaków handluje zbożem i dochodzą na téj drodze do znacznych fortun. Nieposiadający ziemi służą zwykle jako parobcy u gospodarzy i zarabiają tyle, że mogą przyzwoicie utrzymać się z rodziną. W ostatnich lat dziesiątkach tłumy robotników ze wszystkich okolic Górnego Szląska i z dalszych poczęły gromadzić się na zarobki w okręgu Bytomskim i Gliwickim, gdzie przemysł górniczy i fabryczny ciągle się rozwija. Zbyt krótki czas przepędziłem w tych stronach, abym mógł ocenić, o ile byt klasy roboczéj na fabrykach jest zapewniony. To jednak pewna, o ile sądzę, że rozwój przemysłu górniczego i fabrycznego na Szląsku Górnym bynajmniéj nie wpłynął korzystnie na polepszenie bytu ludności wiejskiéj. Górno-Szlązacy, nie posiadając specyalnego ukształcenia, ani téż nieobdarzeni z natury zbytnią przedsiębierczością, nie mogą wytrzymać konkurencyi z Niemcami, którzy téż wyłącznie zajmują wszystkie wyższe stanowiska przy fabrykach, pozostawiając

miejscowéj ludności jedynie ciężką robotę ręczną z nędznem wynagrodzeniem (1).

Tam jednak, gdzie ludność oddaje się rolnictwu, dobrobyt jest kwitnący i ogólny. I nic dziwinego. Szlązak od dzieciństwa przywykł do pracy, a ztąd trudno spotkać człowieka, któryby nie miał stałego zajęcia. W ciągu trzechmiesięcznego pobytu na Szląsku w r. 1869 nie zdarzyło mi się spotkać ani jednego żebraka. Być może, iż wówczas w zbyt różowych kolorach przedstawiały mi się stosunki na Szląsku; mogę jednak zapewnić, iż patrzyłem na nie bez uprzedzenia. Wrażenie zaś, które wyniosłem, najlepiéj scharakteryzują następujące wyrazy, wyjęte z listu, pisanego przezemnie w czasie podróży do jednego z przyjaciół: „Na Szląsku nie ma ludzi, którzyby nie mieli co jeść i w czém chodzić; nie ma ludzi, którzyby nie umieli pracować; nie ma ludzi, którzyby, mając chęć do pracy, nie mogli jéj znaléść; nie ma człowieka, któryby co dzień nie jadł mięsa; nakoniec: nie ma ludzi, którzyby się wstydzili pracy!“

Na Szląsku Austryackiém ogół ludności, kto wié, czy nie jest jeszcze zamożniejszy od Górno-Szlązaków. Między Dolakami spotkać można nawet pewien zbytek, dowodzący, iż przywykli do życia wygodnego i przyjemnego. Tak naprzykład, podczas jednéj z pieszych wycieczek, spotkałem porządny powóz na resorach, zaprzężony dobremi końmi, powożony przez parobka w zwykłym szląskim kaftaniku niebieskim (kamuzola). W głębi siedział poważny, już w wieku, siodłak w płaszczu granatowym, obok niego matrona w stroju ludowym, siedzenie na przodzie zajmował syn i córka, również w ubiorach szląskich. Miły to, a niezwykły był dla mnie widok! Pierwszy raz w życiu oglądałem chłopka polskiego w powozie!

Pan Emil Śniegoń, wiślanin, podówczas uczeń gimnazyum w Cieszynie, który mi towarzyszył właśnie w owéj wycieczce, zapewniał mnie, że nie jest to rzecz wyjątkowa, że wielu gazdów trzyma powozy dla własnéj wygody.

Badając przyczyny dobrobytu ludności szląskiéj, nie można przemilczéć jednéj okoliczności. Po miasteczkach szląskich nie

(1) Dokładniejszéj wiadomości o stanie ludności fabrycznéj na Szląsku Górnym zasięgnąć można w dziele pod tyt.: „Der Oberschlesische Industriebezirk mit besonderer Rücksicht auf seine Cultur und Gesundheitsverhältnisse. Nach Amtlichen Quellen dargestellt von Dr. I. Schlockow Kreiswundartzt. Breslau 1876 bei Korn. Książki téj jednak nie mam pod ręką i znam ją tylko z tytułu.

masz owych ciemnych mas ludności izraelskiéj, które w innych prowincych, jak np. w sąsiedniéj Galicyi, opanowały cały drobny handel, a nawet przemysł rolniczy i wyzyskują okoliczną ludność wiejską. Tu na Szląsku drobny przemysł, rękodzieła, handel pozostaje w rękach ludności wiejskiéj. Każda wieś ma swego kupca, który ją zaopatruje w potrzeby codziennego życia, ma swego krawca, stolarza i t. p., tak, że Szlązak, nie wychodząc po za kołowrót wsi, w któréj mieszka, może zaspokoić wszystkie swoje potrzeby. Wszyscy ci przemysłowcy werbują się zpośród miejscowych włościan.

Rolnictwo na Szląsku stoi bardzo wysoko. Z okręgów, które zwiedziłem, odznaczają się pod tym względem szczególniéj: na północy Kluczborski, gdzie staranna uprawa wynagradza rolnikowi jałowość gruntu. Mniéj kwitnące gospodarstwa spotykać można w okręgach środkowych. Tak np. około Dojutrka, Malapane, piaszczysty grunt czyni daremnemi wszelkie usiłowania rolnika. W téj okolicy widziałem bardzo mizerne żyta. Również, stosunkowo, nie tak świetne plony widzieć się dają w Opolskiém, gdzie i uprawa nie jest tak staranna. Za to w okręgach: Kozielskim, Głupczyckim i Raciborskim grunta są bardzo żyzne, a gospodarstwa wzorowe. Gościńce wysadzane drzewami owocowemi, które dostarczają cieniu tak pożądanego dla strudzonego wędrowca. Każdy kawałek gruntu starannie uprawiony, nawet ustępy po obu stronach traktu skrzętna ręka rolnika zasiała kartoflami. Wszędzie uderza ład i porządek; zdaje ci się, że wędrujesz wśród olbrzymiego ogrodu. W Baborowie i w okolicach wieśniacy wywożą na swoje pola torf z łąk i tym sposobem jeszcze więcéj je użyzniają W Cieszyńskiém, w dolinach i okolicach pagórkowatych koło Cieszyna gospodarstwa są równie kwitnące. W górach zaś głównem źródłem bogactwa są stada owiec i bydła. Tu sieją tylko jęczmień, owies i kartofle. Żniwa są bardzo późne,

Pierwsze wrażenie, którego doznałem, wjeżdżając na Szląsk koleją górno-szląską, opisałem w Listach z podróży (str. 290) temi słowy:

„. . . . Już na wstępie uderza cię ruch, krzątanie się; piękne budynki, jakie tylko w Prusiech zdarzyło mi się widzieć. Znać pewną szkołę w charakterze budowli pruskich. Czuć tu Schinkla w najmniejszéj wioszczynie, w skromnem partykularném miasteczku,“

„Zaraz przy wjeździe otacza cię czarny pył węgla i jego zapach. Na stacyach mnóstwo szyn do mijania się parowozów, masy robotników, ludzi wsiadających i wysiadających na każdéj

stacyi, są dobitnemi objawami szybko pulsującego życia. Widać zaraz, że przedsiębierczy przemysłowièc przyszedł tu zakłócić spokojną pracę rolnika, zbogacając się, kto wié, czy nie z jego krzywdą. Zielone, jak przejrzał, niwy z niemiecką starannością uprawione; nigdzie odłogu, każdy kawałek ziemi zużytkowany świadczą o zabiegliwości i dobrobycie ludu."

. . . .

. . . . . „Droga żelazna górno-szląska aż do Gliwic i daléj ku Koźlowi biegnie wśród okolicy zapełnionéj hutami. Co chwila błyskają tu i owdzie na horyzoncie jakby łuny pożarów. Są to piece różnycb fabryk. Widok jednak wiosek ten sam, co u nas. Znać, że to ten sam lud polski rozsiadł się na łanach i uprawia je od lat tysiąca... Gdzieniegdzie tylko zwraca uwagę w rzędy ustawiona gromada kamienic czerwonych, ale jéj jakoś nie do twarzy wśród starych, odwiecznych sadyb słowiańskich. Są to nowe kolonie fabryczne przez Niemców założone. Największa z nich w okręgu Gliwickim należy do Borsiga."

VIII.

Wieś szląska (1) składa się zwykle z jednéj lub kilku, prostopadłych do siebie, lub równoległych ulic. Po obu stronach ulicy stoją domy, stare zwykle z drzewa, nowe z cegły; kościół wznosi się najczęściéj w środku wsi. Zagroda składa się z domu mieszkalnego, stodoły i obory dla dobytku. Budowle te zwykle rozłożone są w sposób następujący. Całą zagrodę otacza płot; środek zajmuje obszerne podwórze prostokątne, połączone z ulicą, wrotami i furtką. Z jednéj strony tego podwórza stoi dom mieszkalny, najczęściéj szczytem do ulicy, a frontem do podwórza zwrócony. Naprzeciw domu stoi obora z różnemi przystawkami, a w głębi podwórza stodoła. Za stodołą rozciąga się ogród owocowy i warzywny; dalej pole. Dom składa się z sieni, jednéj lub dwu izb i komory, stanowiącéj rodzaj domowego skarbca, gdzie chowają skrzynię z odzieżą, cenniejsze sprzęty i t. p.

Rozkład wsi, budowa i wnętrze domów różne są w różnych okolicach Szląska. Żałuję mocno, iż zajęty głównie badaniem języka, w swych wędrówkach zbyt mało zwracałem uwagi na inne strony życia Szlązaków, jak np. na mieszkania i sprzęty domowe.

---

(1) Porównaj Listy z podróży, str. 298.

Podaję tu przeto zbyt niedokładne pod tym względem wiadomości, o ile wystarczają notatki, czynione dorywczo na miejscu.

Wnętrze izby Szymona Tomanka w Michałkowicach (okrąg Bytomski) „Izba, do której wszedłem, ma dwa okna. Zaraz u drzwi, na lewo, stoi komin; daléj ogromny piec. Na ścianie, naprzeciw drzwi, w kącie, wiszą obrazy. Łóżko w przeciwległym kącie izby, stół, ławy, wysoka skrzynia i szafa z naczyniem stanowiły sprzęty izby.“ (porów. Listy, 305).

Wsi, w których znajdują się zakłady górnicze, jak np. Niemieckie Piekary, Szarléj (okrąg Bytomski), różnią się od zwykłych wsi rolnych. Domy tu są porządniejsze, piętrowe, murowane. W Szarleju (kopalnie galmanu) jest oświetlenie gazowe, kto wié, czy nie lepsze, jak w Warszawie.

W okręgu Opolskim, gdzie nie masz zakładów górniczych, domy są najczęściéj słomą kryte, mają zupełnie inny charakter; więcéj są podobne do chat innych prowincyj polskich.

W okręgu Kozielskim na zachód, ku Pawłowiczkom (Gnadenfeld) i daléj, znowu spotykasz budynki staranniejsze: murowane, piętrowe, pokryte łupkiem. W Pogorzelcu i Ostrożnicy sami chłopi wyrabiają cegłę i budują z niéj domy. Im bliżéj okolic morawskich, tém wioski wydają się porządniéj. Nocowałem często u siodłaków; wszędzie dawano mi pościel z piérza, powleczoną bielizną, acz grubą, jednak odznaczającą się największą czystością.

W okolicach Kluczborka wsi protestanckie wyróżniają się od katolickich czystością. Domy po większéj części drewniane, (lecz nowe są murowane piętrowe). Ulice wysypane żwirem. W drewnianych domach wewnątrz izba nie bielona; do koła na ścianach wiszą kilkoma rzędami dzbanki polewane, (należy to do elegancyi). Podłoga i sprzęty z prostego drzewa, starannie wymyte, swiécą czystością. Nad łóżkiem wiszą wizerunki Lutra i Melanchtona. Biblia leży na stole. Piec kaflowy, bronzowy polewany, uzupełnia umeblowanie.

Na Szląsku Austryackiém, na *Dolakach* czyli *Lachach* i na *Wałachach*, widok ogólny wsi jest takiż, jak na Szląsku Górnym. Domy tu są porządne, podobne do naszych dworów szlacheckich; ściany często okryte winogradem. Oto wnętrze dworku Jana Glajcara w Sibicy pod Cieszynem: Sień na przestrzał. Na prawo izba czeladnia, obszerna, jasna; okna duże. Dokoła ławy, w rogu stół wielki. Na lewo *świetnica*, to jest pokój gościnny, ma sprzęty wykwintniejsze. Tu pośrodku stoi długi stół, przykryty białym obrusem; naokoło niego ze dwadzieścia krzeseł. Kanapa. Szafy politurowane, zastawione porcelaną. Tu także znajduje się łóżko

porządnie zasłane; jednem słowem, znać zamożność i dostatek. Zabudowania gospodarskie porządne, murowane; konie dobre, dobytek piękny i starannie utrzymany.

Rzućmy teraz okiem na osady góralskie w Bieskidach, rozciągających się w południowych okolicach księstwa Cieszyńskiego. Nie znam nic więcéj uroczego, jak tutejsze górskie widoki. Już w drodze od Bogumina ku Cieszynowi, koleją Koszycką, spostrzegasz sinawe masy, ciągnące się w stronie południowéj od wschodu ku zachodowi, a stanowiące piękne tło dla miasteczka, którego białe, wieńcem usiane domy dobrze odbijają od téj ciemnéj ściany. Zdaje ci się, że góry wznoszą się zaraz tuż nad miastem, gdy tymczasem są one od niego blisko trzy mile odległe. Bieskidy rozwinęły się nakształt wachlarza kilkoma pasmami, między któremi ścielą się doliny, stanowiące łożyska strumieni. Górskie te potoki, wyswobodziwszy się ze swych kolébek, wyrastają powoli w większe lub mniejsze rzeki.

Takim potokiem jest tu nasza Wisła, przez którą nieraz suchą nogą po kamykach przeskakiwałem.

Od dolin głównych rozgałęziają się pomniejsze; a po nich spływają małe strumyki do potoków większych i rzek. Wśród takich dolin, między pasmami gór rozsiadły się wsi podgórzańskie, zwane tu *dziedzinami*. Wieś górska zajmuje zwykle ogromną przestrzeń; niekiedy obszar, wynoszący pięć mil w średnicy, należy do jednéj dziedziny. Zagrody nie ciągną się tu rzędem, jak w nizinach, lecz oddzielnemi gromadkami kryją się w dolinach między górami. Typową wsią górską jest naprzykład Wisła. Samo jądro wsi zalega dolinę główną, nad rzeczką. I tu jednakże zagrody nie łączą się w jednę całość, lecz gromadzą się w osobne kupki, z których każda stanowi jakby oddzielną wioskę. W téj części dziedziny wznosi się kościół, szkoła, oberża; tu znajduje się urząd gminny, którego naczelnik, zazwyczaj zpośród ludności wiejskiéj wybiérany, zwie się tu *burmistrzem*. Inne gromadki domostw pochowały się w boczne doliny. W górach trafiają się zatracone samotne chaty, o których niekiedy trudno powiedzieć, do jakiéj wsi należą. O takiéj chacie przypominają sobie we wsi chyba kiedy, gdy potrzeba dać rekruta, lub pobrać podatek. Kiedy patrzysz z wierzchołka sąsiednich szczytów (wyrchów) na te grupy chat, pogubione w dolinach, na czarne od dymu strzechy z dranic (*szędzioły*), zdaje ci się, że to stada wron, szukających żeru.

Każda taka grupa składa się z cztérech, pięciu i więcéj domostw, z których każde stanowi oddzielną zagrodę i należy do innego gospodarza. Cała jednakże część dziedziny ma swoje na-

zwisko, bądź to od położenia, jakie względem główněj wsi zajmuje, np. *Zdwodzie*, lub od sąsiedniéj góry, potoku, i t. p. Najczęściéj zaś nosi nazwisko górala, który kiedyś pierwszy pobudował się w téj miejscowości. Z czasem familia się rozrodziła, stanęło więcéj domostw; a przez małżeństwa lub przedaże pojedyncze zagrody przeszły w obce ręce. Nowi jednak posiadacze, obok swych nazw rodowych, przybiérają nazwę osady, w któréj zamieszkują. Jeżeli tedy pierwszy dziedzic, założyciel osady, zwał się *Pilch*, to cała część wsi nosi nazwę: *do Pilchów*, chociażby właścicielami byli *Mędrkowie*, *Cieślary* lub *Raszkowie*. Nikt téż nie mówi, że idzie do Mędrka, do Cieślara, lecz zawsze *do Pilchów*.

Cały majątek górskiego gospodarza, (który tu, jak w całych Karpatach, zwie się *gazda*), składa się z krów i owiec, lub kóz. Stąd téż mało potrzebuje zabudowań przy domu: chléwek dla świń stanowi całe obejście. Bydło i owce całe lato pasą się w górach w tak zwanych *sałaszach*. W zimie siedzą w oborach, również w górach pobudowanych.

W całych Karpatach chaty góralskie budują się jednakowo— z okrąglaków. Są to grube kłody, rozrąbane na dwoje i okrągłą stroną nazewnątrz kładzione na węgieł bez żadnego spojenia. Po zbudowaniu szpary zapychają się mchem. Chata najczęściéj stanowi kwadrat. Dach wysoki, spadzisty, ostrołukowy, aby śnieg łatwo mógł się zsuwać, kryty dranicami. Są to wielkie gonty które tu nazywaja *szendzioły*, z niemieckiego *schindel* od *schinden*; *gontkami* zaś zwą tu nieobrobione deski, z których *szendzioły* wyrabiają. Sień obszerna bez powały, po obu stronach izby. Jedna z nich, w któréj góralska rodzina ciągle przebywa, obszerna bez komina, cała czarna, zwie się *kurlawá*. Tu w kącie, zaraz przy drzwiach, wznosi się piec ogromny, obok niego ognisko, które tu zwie się *watra*; nad ogniskiem wisi kociół na drągu (klucz). Ławy dokoła, stół z nogami na krzyż; wszystko to grube i niezgrabne, lecz za to trwałe; w kącie szafa z naczyniem. Dym z ogniska, na którém płonie ogień, rozchodzi się po całéj izbie. Górale są do tego przyzwyczajeni, co do mnie jednak, musiałem ciągle zostawać w postawie siedzącéj, gdyż stojąc, nie mogłem oddychać. Kiedym robił uwagę, że chaty takie są niezdrowe, starzec jeden zapewniał przeciwnie, że dym jest bardzo zdrowy, a zwłaszcza na oczy, że dymek całą chorobę z oczu wyciągnie. Nie wiem, co o takim, wcale nowym poglądzie powiedzą lekarze; to jednak pewna, że górale naród dorodny, zdrowy i żyją długo. Starców tu widziałem ośmdziesięcioletnich bardzo krzepkich. Widać, że sposób życia, górskie powietrze równoważą te ujemne warunki, do

których tutejsza ludność ze czczią religijną jest przywiązana. Na drugiéj stronie znajduje się *świetnica*, izba pobielana, z piecem, z którego dym wychodzi pod dach przez rurę. Tu jednak góral przebywa niechętnie, chociaż tu są lepsze sprzęty i nie masz dymu. Widać, że to już nabytek nowych czasów, że to ustępstwo cywilizacyi, wciskającéj się powoli aż w te górskie zakątki. Przy świetnicy znajduje się *kómora* bez pieca.

W niektórych wsiach górskich widziałem oryginalny świecznik. Jest to trójnóg drewniany, wysoki 2 do 3 łokci, mający u gory rączkę chwytającą łuczywo, którém tu oświetlają izbę.

IX.

Pożywienie Szlązaków jest obfite i zdrowe. Oto jest dyeta Szlązaka: na śniadanie piją kawę z mlékiem i jedzą chléb z masłem. Kawa (*kafej*) nie jest tu zbytkownym napojem; na Szląsku Górnym piją ją powszechnie, nawet pachołki i dziéwki. Obiad koło godziny pierwszéj w południe składa się z poléwki, mięsa i sałaty, lub zsiadłego mléka z kartoflami i mięsa. Jedzą z jednéj miski, gospodarz z rodziną i służba razem. Koło godziny czwartéj na podwieczorek (*swaczyna*, *swaczyć* znaczy jeść podwieczorek) dostają chléb z masłem i z wybornym sérem. Wieczór kolacya gotowana. Chléb wszędzie jest biały, czarnego, razowego nigdzie na Szląsku nie widziałem.

Na Szląsku Austryackiém, pod Cieszynem, gościnni Glajcarowie w Sibicy częstowali mnie przedwieczorem piwem wyborném grzaném ze śmietaną, twarogiem i grzankami. Zwali to *kawą szląską*.

Pożywienie górali stanowi przeważnie nabiał w rozmaitéj formie i kartofle. Z mąki kartoflanéj robią tu sławne *liśniki* czyli *poleśniki*. Są to placki smarzone na maśle, a potém rwane w kawałki i w maśle roztopioném z bryndzą podane. Wszędzie w górach podają tę potrawę w ogromnych miskach, jako szczególny specyał.

Tu kiłka słów o odzieży Szlązaków.

W okręgu Bytomskim ubiór mężczyzn jest taki, jak przyległych okolic Królestwa koło Będzina; różni się zaś wybitnie od odzieży mieszkańców innych okolic Szląska. Noszą tu kapelusze (kłobuk) czarne, zajęcze z niskiém denkiem i nadzwyczaj szerokiemi skrzydłami. Za ubranie służy *westa*, rodzaj żupana bez rękawów z połami, granatowa, z amarantowemi wyszywaniami koło guzików; guziki są mosiężne, małe, na jeden rząd. Na to wdziéwają

kamuzolę, to jest surdut także granatowy, z rękawami, trochę dłuższy od westy, amarantowo wyszywany koło guzików i kieszeni. Spodnie (*galoty*) obcisłe, łosiowe, w buty, których cholewy sięgają do kolan. Ogół tego stroju wygląda dobrze. Ubiór kobiét w tym okręgu nie przedstawia nic wybitnego. Mężatki noszą czépce białe, z białemi wstążkami, obszytemi karbowaną listewką; wstążki te spływają po obu stronach na szyję i zataczają półkole, łącząc się ze sobą na piersiach. Ubiór stanowi koszula zwykła, chustka, lub kaftanik granatowy z rękawami (*jakla*) i spódnica z fartuchem kolorowym. W zachodnich okolicach okręgu Bytomskiego, kobiéty w czasie robót w polu używają pasterskich kapeluszów z ogromnemi skrzydłami. Kapelusze te bywają słomiane lub filcowe.

Protestantki w okolicach Kluczborka noszą kaftany granatowe z rękawami bufiastemi u ramion; spódnice niebieskie; czépki białe z ogromną szlarką naokoło przewiązane. Ubraniem odróżniają się one od kobiét katoliczek. Te ostatnie noszą czerwone chustki na głowie.

W okolicach Gliwic odzież męzka: krótki do pasa *brzuslek* czyli *westa* granatowego koloru, z sukna; guziki mosiężne na dwa rzędy z wyszywaniami. Na wiérzch *kamuzola* ze stojącym kołnierzem z rękawami, również bez pół, z kieszeniami wyszywanemi czerwono lub biało. Kapelusz ma skrzydła mniejsze, niż w okolicach Bytomia.

W okręgu Kozielskim ubiory nie odznaczają się niczém charakterystyczném. Mężczyźni noszą *kamuzole*, lecz także i surduty z połami (*kapudroki*). Spodnie na buty, lub w buty. W ubiorze kobiét również nic nie ma godnego uwagi. W zimie, kobiéty zamężne noszą ciepłe czepki z sukna popielatego z futrzaną popielatą obkładką dokoła.

Staruszek jeden koło Koźla w Kłodnicy opowiadał mi, że przed laty noszono tu pończochy i harcapy i wogóle całe niemieckie ubranie.

W całym okręgu Raciborskim noszą *kamuzole* i granatowe płaszcze, spodnie w buty, które muszą być wałkowane.

W miasteczku Baborowie kobiéty noszą czarne spódnice, z ciężkiej materyi, mocno wypchane i z tyłu fałdowane, fartuchy, na głowie chustki. Mężczyźni w surdutach.

Ubiory w okolicach Opola. Strój kobiét: włosy noszą z rozdziałem po środku. Dwa warkocze, u dziewcząt zaplecione we troje, u mężatek we dwoje, wiszą spuszczone z tyłu, lub spięte na przodzie głowy. Do kościoła noszą na głowie chustki rogówki,

częstokroć białe, haftowane (co stanowi elegancyą), niekiedy czerwone, fularowe z żółtemi palmkami lub kwiatkami. Róg haftowany spada na plecy z tyłu głowy. Mężatki i dziéwki pod chustką noszą na głowie czépiec (*kapla*), który uszu nie zakrywa, tylko włosy chowa, przylegając do głowy; czépiec ten jest na czole wykrojony w kształcie serca. *Snurki* jest to széroka wstążka, biała, haftowana, którą mężatki pod kaplą, dziéwki na kapli noszą na głowie. Koszula ma rękawy na ramionach haftowane czerwono, niebiesko lub czarno: haft ten zwie się *przyramiąska*. Rękawy sięgają do łokcia, tak, że reszta ręki jest obnażona; zwyczaj ten przyjęto tu od niemek; lub téż dochodzą do pięści. W każdym razie są zakończone mankietami haftowanemi w taki sam sposób, jak przyramiąska. *Oplecek* (gorset), zwykle koloru zielonego, przyszyty jest do *mazelonki* (spódnica), na piersiach wycięty. Stan krótki. Do kościoła noszą sukienny kaftanik granatowy z rękawami bufiastemi, marszczonemi u ramion; sięga do pasa. Kaftanik ten jest ściągnięty z tyłu w staniku w siedm lub dziewięć fałdów i wtedy zwie się *jakla*, albo poprostu jest spięty i wtedy nazywa się *spendzer*. Spódnica, zwana tu *fryzką* czyli *mazelonką*, czerwona z grubéj materyi, fałdowana, z zieloną wstęgą u dołu, niekiedy niebieska z jasno-niebieską wstęgą. Po domu noszą spodnicę z kieszeniami (*raska*). Pończochy szare, lub niebieskie z klinami czerwonemi. Trzewiki bez korków. Fartuchy jasne. Stare kobiéty noszą płaszcze (*mantlik*) z peleryną w zęby.

Ubiór mężczyzn. Kamuzoła krótka, do pasa sięgająca, sukienna, granatowa, guziki czarne kościane lub z masy. Rękawy bufiaste, u ramion marszczone, u pięści wązkie. Z tyłu w pasie dwie fałdki z guzikami. Westa takiegoż koloru z guzikami mosiężnemi. *Galoty* zwykłe. Kapelusz (*cápka*) filcowy szary; starzy noszą kapelusze czarne. Starzy noszą płaszcze granatowe z rękawami i krótką fałdowaną peleryną (zwaną *kragiel*), lub bez peleryny, i wtedy płaszcz zwie się *bornus*.

W Chełmie koło Bierunia chłopi noszą koszule na spodnie; jak w Krakowskiém,

W okolicach Pszczyny kobiéty ubiérają się podobnie, jak w Cieszyńskiém (patrz niżéj); z tą tylko różnicą, że spódnice nie muszą być koniecznie niebieskie i stan nie jest tak krótki. Spódnica zwie się tu *letnik*, gorset—*żywotek*, kaftanik—*kabatek*.

Mężczyźni noszą granatowe lub białe płaszcze sukienne z pelerynami. Spodnie białe płócienne, spuszczane na buty.

Ubranie ludu szląskiego w księstwie Cieszyńskiém jest bardzo charakterystyczne. Wyróżnić tu należy odzież mieszkańców dolin (dolaków i wałachów) i górali.

Ubiór mieszkańców dolin. Strój kobiét w dolinach charakteryzuje przedewszystkiém tak zwana *suknia*. Jest to spódnica niebieska w białe centki, z cwilichu, mocno fałdowana, do połowy łydek długa, z bardzo krótkim, prawie pod pachy sięgającym stanem. Jest ona podtrzymywana na ramionach za pomocą tak zwanego *żywotka*; jest to rodzaj gorsetu, albo raczéj szelek wyszywanych. Części *żywotka* są: *oplecek*, *ramiączka* i *przedniczki*. Z przodu gors przykrywa biała koszula, sięgająca pod szyję, bez kołnierza. Rękawy koszuli są szerokie, bufiaste, sięgające nieco niżéj łokcia, tak, że część ręki pozostaje obnażona. Końce rękawów są zwężone i niekiedy ozdobione szeroką szlarką. *Fortuch*, nieco dłuższy od *sukni*, jasny, w deseń, lub (u dziewcząt) biały, okrywa cały przód i boki. Pończochy białe, trzewiki płytkie, w kształcie pantofelków bez korków. Dziewczęta włosy noszą gładko uczesane z rozdziałem pośrodku i warkoczem spuszczonym na plecy. Mężatki noszą na głowie chustki pod spodem białe, wyglądające rąbkiem nad czołem, na wiérzchu kolorowe, gładko przypasowane do głowy, ściągnięte za uszy i z tyłu głowy związane. Mężczyźni noszą *jaklę* czyli *kamuzolę* sukienną granatową, z czarnemi guzikami, która wygląda jak frak bez szosów. Pod spodem kamizelka (*bruclek*) tegoż koloru, zapinana na dwa rzędy pod szyję, guzikami mosiężnemi. Spodnie sukienne granatowe na buty dopełniają ubrania. Kapelusz czarny filcowy z małém rondem. Na szyi chustka i kołniérz od koszuli.

Ubiory góralskie całkiem się różnią od odzieży mieszkańców nizin. Są one bardzo fantastyczne i co wieś, to inne. Każda wieś góralska ma swój strój odrębny; różnice, niekiedy drobne, jak np. sposób zawiązywania *kyrpców* (obuwia) i kształt wyszywania *guni*, tak są znane, że świadomi rzeczy na pierwszy rzut oka poznają, z któréj wsi pochodzi przybysz.

Ze wszystkich wsi góralskich najbardziéj fantastycznym strojem, zwłaszcza kobiét, odznacza się Wisła. Oto jest ubiór *wiślanki*. Koszula bardzo obcisła, przylegająca do ciała, płócienna. U dołu sięga do kolan; rękawów nie ma i u góry dochodzi tylko do biustu; jest zaś podtrzymywana za pomocą sznurka na jedném ramieniu. Nazywa się *ciasnocha*. Dla przykrycia szyi i piersi przywdziéwają wiślanki *kabátek*. Jest to krótki, płócienny biały kaftanik z rękawami, zaledwie biust przykrywający, co sprawia, że ruchy wiślanki nie mogą, a przynajmniéj nie powinny być zbyt śmiałe. Spódnicę zastępuje *for-*

tuch czyli *kiecka*; jest to wązkie i krótkie okrycie, zaledwie za kolana sięgające. Stan jest bardzo niski, kiecka jest przyszyta w pasie do *lemca*. Jest to széroki pas płócienny, obejmujący kibić. Z przodu zapasują *fortuszek* długi, sięgający prawie do kostek. Na głowie *czépiec*; na ramionach noszą *wobrus*, t. j. długą białą chustkę płócienną; niekiedy krótką, zwaną *woktuszka*. Biała chustka na głowę zwie się *szatka*. Gdy dészczowo, noszą *gunie* czarne, z grubego samodziału, jak mężczyźni, rzadko je jednak wdziéwają na rękawy. Na nogach maią czerwone wełniane pończochy, długie na sążeń. Pończochy te na nodze fałdują się tak, że noga staje się przez to niepomiernie grubą, jak u słonia. Za obuwie służą tak zwane *kyrpce* skórzane, rodzaj postołów; te zaś zasznurowane są *nawłokami* (*nawuoki*), które się owijają koło nogi powyżéj kostki. Że zaś pończochy nie mają stóp, więc pod kyrpcami obwijają nogę tak zwanemi *kopycami* białemi, wełnianemi. Do kościoła niekiedy odziéwają się po cieszyńsku w suknie z żywotkiem, przybrane u dołu we wstęgę (*galonka*).

Górale na Wiśle noszą koszule cwilichowe z szerokiemi rękawami; *bruclek* (kamizelka) zwyczajny, *galaty* z wałaskiego białego sukna, ciasno szyte, nogi obute w *kopyce* i *kyrpce* z *nawłokami*, długiemi na trzy sążnie. *Gunia* czarna, *kuobuk* (kapelusz) széroki z niskim, okrągłym wiérzchem; z *opaskiem* szérokim na dziewięć cali.

Ubiór górali we wsi Istebno różni się od stroju wiślańskiego. Noszą tu buty z cholewami, niedochodzącemi do kolan. *Bruclek* (kamizelka) bez rękawów, jak na Wiśle, na jeden rząd z 12 guzikami mosiężnemi, wielkiemi, niezapinana, tylko u spodu związana tasiemką. Chusteczka związana na węzeł na szyi. Na piersiach sprzączka niezbędna, spinająca koszulę. Galaty z sukna białego, ciasno szyte. Na głowie *kłobuk* z wielkiemi skrzydłami. Koszula z szérokiemi rękawami. Mieszczanie w Jabłonkowie w dni uroczyste noszą strój węgierski, czarny, podobny do husarskiego z wyszywaniami. Kobiéty noszą gorsety, wykrojone na piersiach do połowy z guzikami i listewkami z jednéj strony, stanowiącemi szamerowanie, zwykłe spódnice i fartuchy. Na głowie chustki czarne lub kolorowe, zawiązane pod brodą.

X.

Nazwiska Szlązaków rzadko kończą się na *ski* jakkolwiek zdarzają się i takie. Tak naprzykład między innemi są tutaj: *Kochanowscy*, *Czernachowscy*, *Wągroccy*, *Stradomscy*, *Milarscy*, *Leszczyńscy*,

Birscy, *Wiśniowscy*, *Wysoccy*, *Floryńscy*. Rzadziéj jeszcze z innych przymiotników: *Skudelny*, *Porketny*, *Promny*, *Cichy*. Najwięcéj jednak nazw rodowych spotykać można z imion pospolitych, jak *Kopyto*, *Dziura*, *Łebek*, *Psiuk*, *Pietruszka*, *Ruzga* (*Rózga*), *Ogórek*, *Pośpiech*, *Skrzydło*, *Skop*, *Szmiga*, *Czapla*, *Pogoda*, *Praczka*, *Drzyzga*, *Kołeczko*, *Skura*, *Słota*, *Dudek*, *Pelka* (*Pełka*), *Stypa* (*Szczypa*), *Rosa*, *Gałeczka*, *Chruszcz*, *Wyderka*, *Gawron*, *Piłka*, *Słomka*, *Chrobák*, *Szeliga*. Wiele téż utworzonych przez sufiksy, wyrażające pierwotnie zdrobniałe na *-ák*, *-ik*, *-ek*, np.: *Drewniák*, *Górniák*, *Nowák*, *Pniák*, *Plewniák*, *Żywczák*, *Achtelik*, *Adamik*, *Gorczyk*, *Krawczyk*, *Rzęzik* *Dymarczyk*, *Cieślik*, *Izydorczyk*, *Klimczyk*, *Niemczyk*, *Macioszek*, *Joneczek*, *Poloczek*, *Suchanek*, *Urbanek* i t. p.

Godne są uwagi nazwy utworzone z form słownych i z całych zdań jak: *Gaś*, *Trzęsimiech*, *Pierdziwór*, a nawet *Jakotochce*. Na *-ácz*, *-ác*, *-árz*, w Cieszyńskiém *-ar*: *Dygácz*, *Kurzác*, *Jeglárz*, *Cieślár*.

Z imiesłowów: *Dostál*, *Porwál*, *Przybyla*, *Dybała*, *Niedbała*, *Świtała*, *Skubała*.

Oto jeszcze niektóre nazwiska górali wiślańskich: *Pilch*, *Cieślar*, *Szarzec*, *Bujok*, *Szturc*, *Czyż*, *Szalbot*, *Raszka*, *Cichy*, *Wrzecionko*, *Mędrek*, *Poczek*.

We wsiach górskich w Cieszyńskiém nazwy rodowe żeńskie tworzą się od męzkich za pomocą sufiksu *-ula* np. *Mędrek* - *Mędrkula*, *Boruta*, *Borutula*. Nazwy dziewcząt tworzą się od ojcowskich za pomocą sufiksu *-jent*; np.: *siedlák* - *siedlaczę*, *Kisza*-*Kiszę*, *Loga*-*Lodżę*, *Grabowski* - *Grabowszczę*; odmieniają się zaś jak *dziéwczę*: *siodlaczęcia*, *kiszęcia* i t. p.

W okolicy Opola i we wsiach górskich w Cieszyńskiém, podobnie jak u Kaszubów (1), jest zwyczaj, że każda zagroda siodłacza (*statek*) ma swoje nazwisko, zapewne od swego pierwszego założyciela. Jeżeli gospodarstwo w kolei czasu przejdzie do innéj rodziny, zawsze nazwę pierwotną zatrzymuje, a nawet nowi nabywcy, obok swego rodowego nazwiska, przyjmują drugie od *statku*, który posiadają. Tak np. we wsi Dambio w okolicy Opola:

	Kil	od statku zwie się	*Madej*,
inny	*Kil*	„ „	*Stotko*,
	Záwórka	„ „	*Wróbel*,
	Mularczyk	„ „	*Kurek*,

(1) A. Hilferding. Ostatki Sławian na južnom bieregu Bałtijskaho moria. S. Peterb. 1862. str. 55.

	Walecko	„	„	*Pasoń,*
	Pasoń	„	„	*Liboda,*
W Chmarowicach:	*Więchuła*	„	„	*Michen,*
	Gordoń	„	„	*Osiecki,*
W Dębskiéj Kuźni:	*Nowák*	„	„	*Sawlok.*

Szlązacy witają się w sposób następujący: Katolicy, wchodząc do izby, lub przy spotkaniu, powiadają: „*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus,*" na co odpowiadają: „*na wielki.*" Do tych słów, gdy kogoś witają w izbie, dodają: „*witajcie pięknie do izby.*" W ten sposób witają każdego podróżnego, bez różnicy narodowości i polaka i niemca. W Baborowie przy spotkaniu witają słowami: „*Boże wóm daj zdrawí,*" odpowiadają zaś: „*Boże wóm przeżehnej.*"

Protestanci witają: „*dobry dzień,*" odpowiadają: „*daj Boże zdrowie*". W Szywałdzie pod Kluczborkiem dzieci na ulicy witały mnie po niemiecku: „*guten morgen,*" lecz to przypisać należy wpływowi szkoły. W stosunkach z obcymi nie masz uniżoności: mnie zawsze podawali rękę i mężczyzni i kobiéty.

Przechodzący, spotkawszy w polu pracujących, mówi: „*Boże pomóż,*" odpowiadają mu: „*Boże usłysz.*" Szlązak, zwracając się do sobie równego, zwłaszcza po wsiach, używa staropolskiego „*wy.*" Gdy jednak chce dać dowód pewnéj grzeczności i ogłady, przemawia z niemiecka w osobie trzeciéj liczby mnogiéj: „*Niech sobie siędą,*" „*a skąd oni są.*" Byłem sam świadkiem w Hutach Królewskich, jak jeden młody rzemieślnik sprzéczał się z wieśniakiem, jak lepiéj jest mówić: „*wy,*" czy „*oni.*" Zdecydowali, że pierwszy sposób mówienia przystoi wieśniakom, drugi mieszczanom.

W Cieszyńskiém w górach nawet członkowie rodziny: jak ciotka, siostra cioteczna do krewnych (krewny zwie się tu *przáciel*) mówią *wy*. Nawet dzieci w szkole mówią tak samo, naprzykład: *Krześniczku bydźcie tak dobrzi a pojczejcie* (pożyczcie) *mi pióra.*" W tych stronach zauważyłem téż osobliwy sposób użycia rodzajów. We wsi Wiśle, a w części w Ustroniu kobiéty, gdy mówią w osobie pierwszéj o sobie samych, używają przymiotników i imiesłowów w rodzaju męzkim. W tenże sposób przemawiają nawzajem w osobie drugiéj. I o kobiecie w osobie trzeciéj mówią w rodzaju żeńskim tylko wtedy, gdy chodzi o uniknięcie dwuznaczności i nieporozumienia. Nawet imiona żeńskie przybiérają sufiks męzki - *k* -: *Zuziák*, *Haniák*, i t. p. Naprzykład: „*Haniák, coś dziś robıu* (robił)? — „*Śrutych práu*" (Bieliznę prałem). Gdy prosił jednéj dziewczyny, aby mi opowiedziała jaką powiastkę, odrzekła: „*Dybych já wiedziáu, toch by já im wyuożyu, ale já nie wiem.*" (Gdybym ja wiedział, tobym ja im (panu) wyłożył, ale ja nie wiem).

„*Galana (kochanka) nié mám, to nie będę wykuadau o nim*“ mówiła inna dziewczyna. Podobne zjawisko spotykamy w języku starogreckim cf. u Matthiae § 436; porównaj także Miklosich: Vergl. Gramm. IV, 37.

W sąsiednich wsiach, jak w Bystrzycy, Goleszowie, Godziszowie, Gródku, Náwsi, młode dziewczęta do czasu konfirmacyi, a nawet i dłużéj, mówią o sobie w rodzaju nijakim: „*jách byuo, jách szuo* i t. p. Inaczéj wyśmianoby je, że chcą odgrywać rolę dorosłych kobiet. Takiż sam sposób mówienia ma być używany w Łęczyckiém.

Na całém Szląsku panuje zwyczaj, że gospodarz, doszedłszy lat sędziwych, oddaje całe gospodarstwo (*statek*) synowi, z tym warunkiem, aby ten dostarczał mu środków utrzymania w pewnéj umówionéj ilości; wymawia téż dla siebie i dla żony mieszkanie. Nazywa się to: „*żyć na wycugu*,“ czyli „*na wyminku*“ (po morawsku), na Szląsku zaś Austryackim „*na wymowie*.“ Sam zaś starzec, który oddał statek, na Szląsku Górnym, w okręgach czysto polskich zwie się „*wycużnik*.“ W okręgach, sąsiadujących z Morawą: jak w Głupczyckim, Raciborskim „*wyminkárz*,“ w Cieszyńskiém— „*wymownik*.“ Niekiedy syn nie wypełnia zobowiązań, a natenczas starzec doznaje niedostatku. Mimo to jednak zwyczaj ten jest powszechny, i wyznać trzeba, praktyczny, gdyż starzec, którego siły opuściły, nie byłby w stanie energicznie prowadzić gospodarstwa, któreby z tego powodu uległo zniszczeniu.

Na Wiśle widziałem szpetny zwyczaj. Gospodyni (gaździna) wniosła cebrzyk z pożywieniem do izby kurlawéj, zawołała świń i w izbie jeść im dała. Zdziwiło mnie to mocno, gdyż górale wogóle są nader ochędożni. Kiedy zrobiłem gaździnie uwagę, że przecieć przynajmniéj w lecie świnie mogłyby karmić się na dworze, odpowiedziała mi, że to jest „*stary zwyk*,“ że świnie dobrze się chowają, kiedy im się jeść daje w izbie.

Głównym majątkiem górali jest dobytek: krowy, kozy a przedewszystkiém owce. Dobytku tego nie trzymają w dziedzinie, gdyż trudnoby go było wyżywić, a pędzić w góry i przypędzać napowrót nie podobna. Trzymają go więc w górach. W tym celu kilku (najwyżéj dziesięciu) gazdów stanowią spółkę i tworzą jeden, tak zwany *sałasz*, to jest miejsce w górach, gdzie się owce i t. p. pasą. Miejsca te są stałe i mają swe nazwiska. Dobytek zimą i latem przebywa w górach. *Sałasz* składa się z tak zwanéj *sałasz*; jest to niewielka buda, zrobiona z dranic, gdzie ciągle płonie ognisko (*watra*); nad ogniem wisi *kocioł* z wodą, zawieszony na haku drewnianym (na Wiśle *kluka* w Istebnem *klucz*). Wszystko to przy-

czepione jest do żerdzi poprzecznéj, opartéj na belkach (*wr-zal*), jak w izbie kurlawéj. Tu stoi naczynie do robienia séra, putnie (cebrzyki), tu górale, leżąc, odpoczywają wśród skwaru letniego wtedy, kiedy owce są w *koszarze*. *Koszar* jest to miejsce obszerne, ogrodzone, przedzielone na dwie połowy. Podczas dojenia w środkowém przegrodzeniu wyjmują kilka dranic i napędzają owce do otworu. Skoro owca wlézie w dziurę do połowy, jeden z pasterzy przytrzymuje ją, drugi doi. Wydoiwszy, puszcza ją do drugiéj części koszaru. Doją w południe. *Bacza* (zwiérzchnik sałaszu) robi sér: do mléka, wpuszcza *klagu* (*klág*, *zaklagać*; inaczéj się to nazywa *reńska;* jest to żołądek cielęcy) i gotuje mléko w kotle, potém *żenczycę* czyli *żyburę* albo *mulkę*, odléwa, a z twarogu robi sér. Sérem i żenczycą dzielą się gazdowie w stosunku do ilości owiec, które posiadają w *sałaszu*. Pasterze mają strzelbę w sałaszu przeciwko wilkom. Psy strzegą owiec i pomagają je zaganiać.

Do sałaszu należy *szopa*, obora zbudowana w pobliżu sałaszu, gdzie owce zimują. Zwykle na sałaszy wybiérają miejscowość, gdzie wytryska źródło, w którém poją owce. W zimie owce żywią się delikatnemi igłami jodeł, które obcinają z gałęziami. *Gielata* nazywa się naczynie, do którego doją mléko. To cedzi się przez cedzidło, zwane *bucarka*. Tłusta *żenczyca* zwie się *horda*. *Przednikiem* nazywają pierwszego owczarza, *sałasznikiem*, albo *baczą*, rządcę sałaszu. Oto ustęp o życiu pastérzy, który zapisałem z ust pastérza na górze *Czantoryi*. „*Chléb też jadamy, mulke pijemy, sér też jemy. To zaś je obrany jeden taki, co robi sér. To jes zagrodzony taki koszar, tak go potém przenoszo, coby gnoja moc w nim nie było. Wowce to cały rok pasą sie na gorach, w zimie siano jé, a w lecie sie pasie. Drzewo sie nazywa jedla, tak sie weńdzie, a gałęzi sie obrąbie, to wowce jedzo w zimie. W lecie sie pasie, rano sie puści, jak jest oto tak sześć godzin, tak sie pasie do dwanástéj a sztyry godziny odpoczno. Jak są sztyry, to zaś sie idzie paść. Bacza robi sér. To taka buda (sałasz) jes tak, a do téj budy bacza nanosi drew, nakładzie sie wogień, a dokoła sie kole niego leży. To jest takowny bucior, nazywa sie putyra, to sie naleje mléka, a potę sie to zaklagá, jest taki klág, dy sie ciele małe zar-znie, to z tego żołądka sie to posoli a ususzy, a potę sie to rozmoczy, tak tą wodą zaklagá mléko a potę sie to wleje do takiego szrutu (naczynie) śe potem ta mulka, no żenczyca, albo mulka wyleje, a sér w tém szrucie dostanie (zostanie), a mulkę potem też do Ustronia dlá panów noszą. My tu są trzo (trzej): jeden krowiárz, kozidrz i wowczárz. Já doję krowy, a wowce wowczárz z koziárzem; bacza jest na dole w dziedzinie. No to są gazdowie, do tego jest ich osiem. W zimie wowce siedzą w szo-*

pic. Zaś mamy złób tam w lesie, co sie tam idą napić. Wilków teraz niéma, kiejsik to bywały wilki. Wowce strzigo sie na wiosne po Jurzim trefi (wypadnie). A na jcsień kole Bartomieja.“

Na Wiśle między żniwem a *kopaczkami* (kopanie kartofli) idą na „*list*“, ściél dla bydła grabić; nazywają tę porę roku „*psi dni*.“

XI.

Podaję tu opisanie niektórych zwyczajów, obyczajów, obrzędów, zabobonów *(powiarki)* i podań miejscowych. Już kilka razy wspominałem o pracowitości Szlązaków. Nowym jéj dowodem jest zwyczaj, że wszędzie parobcy (ludzie dorośli) pracują tu zawsze bez dozorcy; powiadają, że byłaby *gańba* pilnować chłopów przy robocie.

Kobiéty wszędzie młócą w stodołach razem z mężczyznami. Orzą tylko końmi. Używać do tego wołów lub krów, jak to się dzieje w innych dzielnicach, byłoby wstydem dla gospodarza szląskiego.

Dzieci zwykły paść krowy po miedzach, między polami pokrytemi zbożem, trzymając je na łańcuchu, aby w szkodę nie lazły. Zwyczaj ten panuje na Szląsku Górnym i w Cieszyńskiém w dolinach. Ztąd górale wyśmiéwają się z dolaków, utrzymując o nich, że mają ślepe krowy, gdyż wodzić je muszą na łańcuchach na paszę.

W Michałkowicach (okrąg Bytomski) opowiadano mi o dawnym, już teraz nie zachowywanym zwyczaju, zwanym *siudowajki:* „...Dawniéj dziewczęta schodziły się na prządki do jednego gospodarza, siedziały do północy. Przychodzili i parobcy, bawili się razem, śpiewali pieśni, opowiadali bajki. Jak kilka niedziel tak chodzili, to potém urządzili takie *siudowajki*, takie wesele, na świętego Szczepana. To była pierwsza zabawa po Bożém Narodzeniu. Tam pili, tańcowali, śpiewali pieśni *frantowskie* (wesołe, świeckie).“

W okolicy Opola, słomą, która stała w izbie podczas wieczerzy, we wiliją Bożego Narodzenia, okręcają drzewa w sadzie, aby obficie rodziły owoce.

Na Wiśle w Cieszyńskiém, w wiliją Bożego Narodzenia obchodzą ogród ze szczypą, aby był urodzaj na owoce.

Tamże podczas wieczerzy w wiliją B. N. kładą siekiérę pod nogi, co ma zabezpieczać od niemocy nóg.

Tamże po wieczerzy we wiliją B. N. gaszą świéczkę; gdy dym idzie prosto do góry, ma to być znakiem, że ten, co świécę zdmuchnął, długo żyć będzie.

Tamże we wiliją B. N. po jedzeniu kładą kawałek czosnku do chleba i dają to psu, aby był zły w ciągu całego roku.

Tamże jest przesąd (*powiarka*), że we wiliją Bożego Narodzenia o północy konie opowiadają sobie, jaki miały przeszły rok, jako téż o losie *poganiczów* swych czyli *pachołków* (fornali). Pewnego razu jeden *gazda* o północy położył się na progu w stajni i podsłuchiwał, co konie będą mówiły. Te zaś zaczęły opowiadać, że pierwszą pracą, która je czeka, będzie wywiezienie gazdy na cmentarz. Nieborak tak się tego przeląkł, że na drugi dzień umarł.

W Pogorzelcu pod Koźlem w ostatki chłopcy chodzą po chałupach z jednym przebranym za niedźwiedzia z muzyką i z konikiem, w szaty ubranym. Dziewczęta dają im pieniądze, a potém w karczmie razem tańcują.

W Radzionkowie (okrąg Bytomski) we środę popielcową kobiéty zabiérają na ulicach czapki pachołkom, którzy się muszą okupywać.

W okolicach Kluczborka na Wielkanoc chłopcy chodzą z kogutem i, śpiéwając pieśni, zbiérają datki.

W Barowie, na święty Jan, na drzwiach domów, gdzie są dziewczęta, wywieszają wianki.

Tamże na święty Jan dziewczęta szkolne biednych rodziców chodzą po domach ze śpiewami i zbiérają datki.

W całém Cieszyńskiém jest zwyczaj przy uroczystościach kościelnych ewangelickich strzelać z moździerzy. Pastorowie noszą tu białe komże, jak księża katoliccy. Lud zwykł ich całować w rękę. Tytułują ich: „*Panie Tatulku.*"

W czasie zbiérania lnu na Wiśle, jak mi mówiono, są obrzędy ze śpiewami; lecz nic bliższego o téj uroczystości dowiedzieć się nie mogłem.

Na Wiśle zachowano następujące *powiarki* i t. p.:

Kiedy na świętego Wawrzyńca stodołę zamknie, a nikt do niéj przez cały dzień nie wejdzie, to potém myszy przez cały rok zboża nie psują.

Kiedy kury na jesień daleko od chałupy idą, a ziarnka sobie zbiérają, to ma być przyszły rok nieurodzajny.

Kiedy osy w lecie mają wiele gniazd w ziemi, to ma być tęgo roku tęga zima.

Kiedy jest obfitość jeżyn (*wostrężnice*) na ścierniu, to ma być tęga zima.

Gdy kto na jesień znajdzie trzy szyszki z dębu, a skoro w pierwszéj, którą otworzy, znajdzie muchę lub robaka, to ma być rok urodzajny, gdy zaś wodę,—to nieurodzajny.

Gdy jarzębina obficie urodzi, to na rok przyszły będzie urodzaj pszenicy.

Gdy późno na jesień grzyby rosną, to téż i zima nierychło przyjdzie.

Gdy się pajęczyny ciągną, to taki czas jest najlepszy do siania.

Gdy jest *jarząbkowate* niebo (pokryte drobnemi chmurkami), wtedy najlepiéj jest len siać.

Gdy w zimie bardzo marznie, to ma być bardzo suche lato.

Gdy kto na Józefa *przisadę* (rozsadę) sieje, to jest potém piękna kapusta.

Gdy zając komu przebieży drogę, tego nieszczęście spotka.

Gdy przy chałupie wrona kracze (*wrzeszczy*), to jest potém krzyk i zwada w téj chałupie.

Gdy grusza albo jabłoń gruszek nie ma, to gazda z gaździną idą do ogrodu; on chce ściąć drzewo, ta zaś mu nie pozwala. Po takim obrzędzie drzewo rodzi.

Gdy kto pierwszy raz na wiosnę usłyszy kukułkę, to powinien pieniędzmi brząkać, aby był bogaty.

Gdy kto jaskółkę (*łastówkę*) po raz pierwszy na wiosnę usłyszy, to powinien się umyć, aby był przez cały rok rzeźki (*gibki*).

Przy wsi Łędzinach (w okręgu Pszczyńskim) jest pagórek, zwany przez lud „Kępa ś-go Klimonta,“ na nim wznosi się kościół, według podania, najdawniejszy w téj okolicy. W wiliją św. Jana lud zapala tu sobótki na owéj kępie, skoro zobaczy ognie rozniecone w sąsiednich okolicach Krakowskiego i po górach Tatrzańskich. Tak bratnie plemiona, wyrokami dziejów rozłączone przed wiekami, rozmawiają z sobą ognistym językiem.

W miasteczku Ligotce Gnojnickiéj (w Cieszyńskiém) wierzą, że ziele zwane *rojnik*, *trojan* czyli *gromotrzask*, po niemiecku *Hauswurzel*, jeżeli rośnie na dachu, tedy ochrania dom od uderzenia piorunu.

W okolicach Raciborza w niektórych wsiach istnieją od stu lat bractwa, zwane „*prawo pacholcze.*“ Cytuję tu dosłownie relacyą parobka, który mi o tém opowiadał: „*Tu w Krzyżanowicach jest prawo pacholcze, rząd jak gmiński, jest jeden fójtem* (wójtem) *wolóny* (wybrany), *burmister, przytém i prawny. Przytém*

w dniu w drugie święto wielkanoczne to ustanowióm a trwa to aż do świętego Ducha do drugiego święta. Przez tén czas jest kożdy pod strofóm (karą) *obowiązany pachołek i dziéwka do procesyje w niedziela iść, a przitém nie śmi żáden pachołek ku dziéwce wieczorem czasem iść, bo dyby go to prawo trefiło, żeby z dziewkóm stál, abo siedział, tak musi patndst* (piętnaście) *czeskich* (srebrnych groszy) *sztrofy zapłacić; to sie ddwá do kościelne kasy. Na procesyi, kieby dziéwka nie szła, abo pachołek, to są sztrofowani dwiema groszami. Dwa razy przez ten czas jest w procesyi składka podle każdego wóle, to też idzie do kościelny kasy, a sprawujóm se za to korągle. A to trwa uż przez sto lát. A we Tworkowie a Roszkowie, to też jest to samo, w Bukowie, w Seryni, w Rogowach i Rudyszwałdzie, w Benkowicach. To sie raz stało, tak była prziszła w nasze okolicy wielká niemoc, tak, że ludzie byli bardzo wymrzyli, że uż nie pómogały żadne prożby, choć ludzie prosili, żeby ta niemoc ustała. Tak księdzowie w té okolicy byli sie urządzili, żeby szkolne dzieci, pacholcy i dziéwki z procesyjóm nakoło wsi szli, ażeby Bóg był tak dobry, miłosierny, żeby ta choroba od nas oddalił i od tego czasu choroba ustała, i tak te prawo i te procesyje na pamiątka dosawad dzierżóm.*"

(Dok. nast.)

ETER I JEGO ZNACZENIE

W FIZYCE.

Znakomity przeciwnik Kopernika Tycho Brahe w jednym z listów do Rothmanna, przyjaciela swego, a jednego z pierwszych stronników nowéj teoryi świata, pisze: „A jeżeli ruch dzienny ziemi nie istnieje, do jakiegoż celu posługiwać ma jeszcze ruch roczny?“

W podobny sposób sformułowane słyszałem inne pytanie: Skoro fizycy wygonili urojenie świetlika i cieplika, po cóż zatrzymują jeszcze eter; skoro tryumfują z obalenia niedorzecznéj hypotezy nieważników, po cóż okrywają naukę swą inną tajemniczością eteru?

Pytanie to zapewne zgoła nie jest błahem; sięga owszem najogólniejszych zadań nauki i zasługuje na wyczerpującą odpowiedź,—sprobujemy ją tu udzielić.

I.

Niezbyt odległemi są od nas czasy, gdy dla ujęcia zjawisk ciepła, światła, elektryczności, uciekano się do nieważników, do płynów nieważkich. Jędrzéj Śniadecki traktuje cieplik i świetlik poprostu jako pierwiastki chemiczne, mówi o nich jakby o tlenie lub wodorze. A pojęcia te były wonczas panującemi. Na publicznėm posiedzeniu, czyli, jak *mutatis mutandis* wtedy mówiono, na jawnéj sesyi warszawskiego towarzystwa przyjaciół nauk z dnia 5 Maja r. 1803 członek tego towarzystwa Kortum w rozprawie za-

tytułowanéj „O niektórych łączeniach się światła“ (1), gwałtownie powstał przeciw tym, co pragnęli światło uważać za objaw jakiegoś ruchu; światło, mówił on, wchodzić może w związki z ciałami, podobnie jak jakikolwiek inny pierwiastek chemiczny. Lecz po cóż tak dawnych sięgać czasów; toż Radwański jeszcze, w przesadnéj swéj gorliwości o polszczenie nazw naukowych fizykę nazywał nieważnictwem! A już o wiele wcześniéj, co do światła przynajmniéj, zwycięztwo było stanowcze po stronie nieprzyjaciół nieważnictwa.

Dla wyjaśnienia zjawisk światła dwie od początku otwierały się drogi, które przedstawiają się najwyraźniéj, jeżeli, według Eulera, zestawimy zmysł wzroku ze zmysłami powonienia i słuchu: światło może być tylko materyą albo ruchem, rozchodzić się może albo jak woń, albo jak głos. Zapach czujemy przez to, że oderwane cząstki ciała wonnego bezpośrednio dotykają naszego zmysłu powonienia, — jest to rzecz niewątpliwa. Co do sposobu rozchodzenia się głosu, również nie masz wątpliwości. Grecy już wiedzieli, że głos powstaje przez ruch drgający ciała dźwięczącego, a przez podobnyż ruch powietrza do ucha naszego dochodzi. „Ton powstaje,“ mówi Arystoteles, „gdy ciało jakie porusza powietrze; powietrze ulega przytém ściskaniu i rozciąganiu; przez impuls oddechu zostaje ono pociąganém lub odpychaném, jakoby uderzaném.“ Objaśnienie Witruwijusza jest jeszcze dosadniejszém: „Ton,“ mówi on, „jest lotnym tchem, który powietrze wstrząsa. Przytém powietrze porusza się w niezliczonych kołach współśrodkowych niby fale wody, w którą kamień rzucono.“ Sądzi on już przeto, jak my obecnie, że głos rozchodzi się po przez ruch falowy powietrza, powstający przez wpływ ciała drgającego.

Obie wskazane tu drogi wyjaśniania zjawisk światła współcześnie niemal podjęte zostały. Newton (1642—1726), którego wielkie nazwisko błyszczy w historyi optyki jako twórcy teoryi barw, obiera pierwszą drogę,—zestawia światło z rozchodzeniem się woni, uważa je za substancyą nader subtelną, nieważką, jaką ciało świecące na wszystkie strony rozlewa. Huyghens (1629—1695) uważa światło za objaw ruchu, za zjawisko spokrewnione z głosem. Jak ciało dźwięczące zostaje w ruchu drgającym, tak i ciało świeci wtedy, gdy cząstki jego ulegają pewnemu, nader żywemu ruchowi; jak głos rozchodzi się przez to, że ruch ciała drgającego udziela się otaczającemu powietrzu i po nim się rozchodzi, tak i ruch czą-

(1) Roczniki tow. przyj. n., t. II.

stek ciała świecącego przenosi się na cząsteczki otaczającego żywiołu,—tajemniczego, nieznanego, a wypełniającego całą przestrzeń wszechświata; jak głos słyszymy przez to, że fale powietrza uderzają o ucho nasze, tak wrażeń świetlnych doznajemy, gdy fale owego powszechnego żywiołu do zmysłu wzroku dochodzą.

Dla tego to zagadkowego, nieujętego żywiołu użyto nazwy zapożyczonéj z mitologii heleńskiéj. Według Hezyoda syn Ereba i Nocy (Nyx), dzieci Chaosu, według Hygina syn Chaosu i Kaligony (ciemności), święconym był eter w hymnach orfijskich jako dusza świata, z któréj wszelkie życie początek swój i trwałość czerpie, identyfikowanym następnie ze strzenią niebieską, z mieszkaniem bogów, z samym nawet Zeusem. W filozofii starogreckiéj był eter piątym żywiołem, zasadą życia, istotą samego Boga, źródłem bytu, życia i myśli, ogniem twórczości.

Téj to nazwy dawnéj duszy świata użyła wskrzeszona nauka na oznaczenie zasady światła, które niewątpliwie duszą jest świata, a co język polski wspólnym pierwiastkiem nazw wybornie wyraża.

Nie rychłém atoli było zwycięztwo tak odrodzonego eteru. Walka między stronnikami Newtona a Huyghensa, między hypotezą wypływu a hypotezą drgań, między teoryą emanacyjną a teoryą undulacyjną przeciągnęła się aż do trzeciego niemal dziesiątka lat bieżącego stulecia i zajmuje jednę z najokazalszych kart dziejów umysłowości ludzkiéj.

Pod wpływem aureoli, tak zasłużenie zresztą, opromieniającéj pamięć Newtona, teorya wypływu długo górowała nad teoryą drgań, któréj w wieku ośmnastym jedynym prawie obrońcą był Euler; genialny ten matematyk wyłożył ogólne jéj zasady nawet w sposób popularny w listach do pewnéj księżniczki niemieckiéj („*Lettres à une princesse d'Allemagne sur quelques sujets de physique et de philosophie*“ —1768—72). Przyznać téż należy, że początkowo stronnicy obu teoryj podawali argumenta jednakiéj mniéj więcéj doniosłości: zjawiska światła wtedy znane obie hypotezy tłómaczyły z dostateczną dokładnością, lubo już i w pierwszych latach walki czuć było pewne, jakoby wymuszone naciąganie teoryi wypływu. Ale były to już czasy, gdy umysł ludzki, zerwawszy raz ze światem urojeń i obłędów średniowiecznych, starał się być jak najtrzeźwiejszym i w przyjmowaniu wszelkich hypotez okazywał oględność równie trwożliwą, jak dziecinną była poprzednio pochopność w ich stawianiu. A daléj nastąpił okres pamiętny w dziejach nauki—czas pierwszego rozwoju chemii; nigdy i nigdzie, zapewne, nie potrzeba było większéj baczności i ostróżności, większéj

sumienności w badaniu, nigdy i nigdzie nie trzeba było tak uporczywie trzymać się dziedziny faktów, jak w chwili, gdy na gruzach marzycielstw i szalbierstw alchemii stawiano istotną naukę materyi. Istotném było wtedy zaiste zuchwalstwem, głosić istnienie eteru, którego chemik ani na szalkach swych nie mógł zważyć, ani żadnym ująć odczynnikiem, który był obojętnym na wszelkie oddziaływania, który na żadne zapytania chemika odpowiedziéć nie mógł.

Tymczasem atoli mnożyły się odkrycia w dziedzinie optyki, poznawano zjawiska nieznane twórcom teoryj światła, a które trzeba było wyjaśnić za pomocą jednéj lub drugiéj hypotezy. Ale tu teorya emanacyjna napotykała trudności coraz większe, coraz mozolniejszych wymagała nakręcań, coraz bardziéj naciąganych wybiegów. Rywalka jéj natomiast zawsze wychodziła zwycięzko, każdą nowo nastręczającą się zagadkę tłómaczyła łatwo i bez wysileń. Już gdy Hooke w r. 1664 pierwszy zauważył barwy cienkich blaszek, jakie objawiają się np. w bańkach mydlanych, Newton wyprowadził wprawdzie wszystkie prawa, jakie powstawaniem ich rządzą, to jest wykazał zależność ich rozwijania się od warunków zewnętrznych, ale dla wyjaśnienia ich uciec się musiał (1675) aż do przypuszczenia pewnego wyboru dróg przez światło, niemal do przypisania światłu istotnych kaprysów. Ale poznano też zjawiska, które za pomocą teoryi wypływu zgoła już objaśniać się nie dawały. Takiém było uginanie światła czyli dyfrakcya, zauważana już przez Grimaldiego (1665), ale należycie zbadana dopiéro przez Schwerda (1792—1870); zjawisko to zostaje w bliskiém powinowactwactwie z objawami krzyżowania, czyli interferencyi światła, odkrytemi przez Younga (1775—1829). Zjawiska te w najprostszy sposób dadzą się streścić w tém, że w miejscu przecinania się dwu promieni światła, zamiast silniejszego blasku, powstawać może zupełna ciemność. Z faktem tym teorya wypływu, teorya materyalności światła zgoła już pogodzić się nie mogła, bo gdzie dwa promienie się spotykają, tam więcéj jest przecięż cząstek materyi świetlnéj, więcéj świetlika—tam przeto zawsze silniejsze być musi światło. Co innego, jeżeli światło jest objawem ruchu; w dwu krzyżujących się promieniach ruchy te mogą być skierowane w strony przeciwne, a wtedy, spotykając się, mogą się nawzajem znosić, jak dwie kule niesprężyste, jednakiéj wielkości, toczące się ku sobie, po zetknięciu zatrzymują się w miejscu. Gdy przeto ruch eteru ustaje, to i światło, będące jego objawem, gasnąć musi; zjawiska zatém interferencyi, tak sprzeczne z hypotezą wypływu, przedstawiają się jako niezbędne następstwa teoryi drgań. I to

zadecydowało zwycięztwo téj ostatniéj, to zmusza do przyjmowania eteru, jako żywiołu, którego drgania wywołują w oku naszém wrażenia światła. Prace Fresnela (1788—1827) i Cauchy'ego (1789—1850) dopełniły tryumfu i zakończyły walkę.

II.

Czém jest owa materya, którą nazywamy eterem, a raczéj jak ją sobie wyobrażamy. Wytworzymy sobie należyte o eterze pojęcie, jeżeli, jak już Euler się wyrażał, uważać go będziemy za substancyą podobną do powietrza, z tą tylko różnicą, że eter niesłychanie subtelniejszym jest od powietrza. Gdy nadto powietrze tylko w pobliżu ziemi naszéj jest skupioném, rozlanym jest eter po wszystkiéj przestrzeni wszechświata.

Wszystkie znane nam ciała są więcéj lub mniéj dziurkowatemi; owa zaś materya, którą zowiemy eterem, jest tak subtelną, że przenika pory wszystkich ciał i wdziera się w ich wnętrze. Wszystkie zatém przestrzenie świata, choćby wypełnione cialami lotnemi, cieklemi czy téż stałemi, są współcześnie przeniknięte ową materyą eterową.

Musimy tedy rozróżnić dwa rodzaje materyi; jedna z nich jest nader subtelna, niedająca się ująć zmysłami i wypełniająca całą przestrzeń wszechświata; druga jest grubsza, stanowiąca istotę ciał i podpadająca pod zmysły nasze. Gdy pierwszéj nadajemy nazwę eteru, materyi eterowéj, nazywamy drugą materyą ważką.

Ciało świecące wywołuje drgania w sąsiednich cząstkach eteru, a ruchy te rozprzestrzeniają się daléj, w postaci fal rozbiegających się na powierzchni wody: ruch się rozchodzi, udzielając się coraz dalszym cząsteczkom, same zaś cząsteczki pozostają na miejscu, jak to uwidocznić może korek rzucony na powierzchnią wody falującéj:—odbywa on kołysanie około pewnego punktu stałego, ale nie przepływa daléj. I dopóki fala eteru nie napotka na drodze swéj jakiego ciała, jakiéj zawady, rozprzestrzenia się jednostajnie, jak fala wodna; wszystko atoli ulega zawikłaniu, gdy ciało jakie stanie na drodze rozchodzeniu się fali.

Wyobraźmy sobie gromadę wysepek na powierzchni otwartego morza; wyobraźmy sobie falę w morzu tém wzbudzoną i dążącą ku owéj gromadzie wysepek, przesuwającą się między niemi i rozbiegającą się daléj po za tą gromadą znów po otwartém morzu;

a mamy obraz tych pojęć, jakie sobie tworzymy obecnie o istocie zjawisk świetlnych.

Morze przedstawia nam eter, owa gromada wysepek—jakiekolwiek ciało przezroczyste, a oddzielne wysepki wyobrażają cząstki materyi ważkiéj, z których ciało przezroczyste jest złożoném. Fala morska nakoniec jest obrazem fali świetlnéj, która pada z zewnątrz na ciało przezroczyste, przedziera się przez nie i następnie daléj się rozprzestrzenia.

Podobnie jak fala morska w przebiegu przez ową gromadę wysepek ulegać musi istotnym zmianom w całéj swéj postaci, a może i w swéj prędkości,—tak samo i fala świetlna przedstawia inne własności, gdy ciała przezroczystego dosięga, inne, gdy je opuszcza. Zmiany, jakim fala morska ulega, są różne, zależne od sposobu grupowania się wysepek; zmiany fali eteru zależne są od zestawienia cząstek materyi ważkiéj ciała przezroczystego, innemi słowy od budowy wewnętrznéj tego ciała.

Jeżeli przeto pragniemy tłómaczyć zmiany, jakim ulega światło w przebiegu przez ciało przezroczyste, potrzeba bliższéj znajomości budowy wewnętrznéj tego ciała. O tém bardzo mało wprawdzie dotąd wiemy,—to zaledwie tylko, co wypływa bezpośrednio z zewnętrznéj postaci ciała, z jego formy krystalicznéj, jego łupliwości i t. p. Atoli i te nieliczne dane wystarczają już w ogólności do założonego tu celu, to jest do tłómaczenia na ich zasadzie zjawisk świetlnych.

Taką jest treść najogólniejsza dzisiejszéj optyki teoretycznéj, nauka o świetle jest nauką ruchów eteru, dynamiką oceanu eterycznego. A dodać tu należy, że i nauka o cieple, a przynajmniéj ta jéj część, która ma za przedmiot ciepło promieniste, wiąże się bezpośrednio z optyką, bo promień ciepła identycznym jest z promieniem światła; taż sama fala eteru, która w oku sprawia wrażenie światła, wywołuje téż i zjawiska cieplikowe; a jeżeli są promienie ciemne, to różnica ich od promieni światła jest tylko ilościową, a nie jakościową. Drgania bowiem eteru wywołują światło, mianowicie czerwone, dopiéro wtedy, gdy liczba ich na sekundę dochodzi czterystu trylionów (t. j. 400 z dwunastu zerami); gdy są wolniejsze, objawiają się tylko ciepłem. I wyższa granica światła również istnieje, bo najszybsze drgania, jakie wydają światło fioletowe, wynoszą ośmset trylionów; drgania prędsze już na oko wrażenia nie wywierają. I tu widzimy analogią z głosem, bo i ucho ujmuje drgania materyi tylko w pewnych granicach, — najniższe słyszalne tony polegają na trzydziestu na sekundę drganiach, najwyższe na trzydziestu sześciu tysiącach drgań na sekundę.

Staraliśmy się przedstawić, jak nauka dzisiejsza wyobraża sobie eter, jak używa go do tłómaczenia zjawisk światła. Ale pytanie na czele postawione nie zostało zgoła rozstrzygniętém; widzieliśmy wprawdzie, że zjawisko interferencyi nie pozwala przyjmować materyalności światła, ale możemy się pytać daléj, czy w istocie możemy mówić, że tłómaczymy zjawiska światła, gdy wyjaśnianie to opieramy na tak hypotetycznym bycie eteru; czy osiągamy istotną korzyść, gdy jednę tajemniczość tłómaczymy inną, gdy w miejsce jednéj rzeczy nieznanéj inną podstawiamy?

Aby pytanie to rozstrzygnąć, aby ocenić korzyść, o któréj tu mowa, sięgnąć musimy do kwestyi bardzo ogólnéj, — należy nam wyjaśnić, jaki jest cel i zadanie nauk przyrodzonych. Jakkolwiek ostatnie lata sprowadziły znaczne rozszerzenie zakreślanych tu dawniéj granic, i jakkolwiek dziś niełatwo dać tu stanowczą odpowiedź, możemy jednak dla celu, o który nam tu idzie, przyjąć stanowisko nieco ograniczone i skorzystać z wytwornego wykładu profesora tubingskiego Karola Neumanna (1).

Zwykło się mówić w ogólności, że nauki przyrodzone mają na celu tłómaczenie zjawisk przyrody. A jakkolwiek prostém jest to orzeczenie, jakkolwiek łatwém wydaje się do zrozumienia, wymaga atoli bliższego wyjaśnienia.

Zastanówmy się nad jakiémkolwiek prostém zjawiskiem przyrody; rozważmy np. bieg kamienia rzuconego w dowolnym kierunku; kamień ten przez pewien czas wznosi się w górę, dochodzi najwyższego wzniesienia, następnie zaczyna się obniżać, opada coraz bardziéj i nakoniec pada na ziemię. Jakżeż tłómaczymy okoliczności, które przy tém zjawisku zauważać się dają; jak objaśniamy np., że droga opisana przez kamień rzucony jest parabolą?

Jeżeli rozbierzemy dokładnie tłómaczenie tego zjawiska, jakie podaje fizyka, znajdziemy, że polega ono na dwu wyobrażeniach, — mianowicie na wyobrażeniu o bezwładności wszystkich ciał i na wyobrażeniu o przyciąganiu ziemi.

Gdyby przyciąganie ziemi nie istniało, kamień rzucony w górę ulegałby li tylko działaniu bezwładności i zatrzymałby do nieskończoności kierunek, w jakim pierwotnie rzuconym został; posuwałby się przeto po drodze prostolinijnéj, biegnąc po niéj statecznie z prędkością jednostajną do nieskończoności.

Gdyby znów nie istniała bezwładność materyi, gdyby przeto kamień ulegał tylko sile przyciągania ziemi, to uderzenie, które

(1) „Der gegenwärtige Standpunct der mathematischen Physik (1865).

go pierwotnie wyrzuciło, nie miałoby na ruch jego żadnego wpływu. Po ustaniu owego uderzenia, przerwałoby się wszelkie jego działanie; kamień znajdowałby się wtedy przez chwilkę w zupełnym spoczynku, a następnie, ponieważ przyciąganie ziemi nań działa, poruszyłby się ku ziemi najbliższą drogą.

Otóż, mówi fizyka teraz, obie te przyczyny zachodzą; istnieje bezwładność materyi, a współcześnie z nią i przyciąganie ziemi. W skutek współdziałania tedy obu tych przyczyn powstaje ruch, przy którym kamień przebiega krzywą drogę paraboliczną.

Ale, zapytamy teraz, jakże się tłómaczą obie te przyczyny tu występujące? Zkąd to pochodzi, że ciała są bezwładne i zkąd to pochodzi, że ziemia przyciąga ciała? Na pytania te fizyka nie daje odpowiedzi: bezwladność materyi i przyciąganie ziemi są dla niéj pojęciami zasadniczemi, — są to rzeczy, których daléj tłómaczyć nie umiemy, których zgoła nie możemy pojąć.

Rzecz zatém, która nam daną została do objaśnienia—ruch kamienia rzuconego w górę,—zostaje sprowadzoną do istnienia dwu iñnych rzeczy, do bezwładności i do przyciągania materyi; a obie te rzeczy zostają niewyjaśnionemi! Wydaje się przeto, jakoby z tego drobna wypłynęla korzyść; cóż zyskujemy w istocie, jeżeli w miejsce rzeczy danéj do wyjaśnienia mamy dwie inne rzeczy, które również wymagają tłómaczenia.

Atoli pominęliśmy tu jednę okoliczność. Kamień rzucić możemy w dowolnym kierunku i z dowolną prędkością. Nadajmy mu prędkość nieco odmienną lub nieco odmienny kierunek, a otrzymamy za każdym razem nieco odmienny rodzaj ruchu, droga, jaką przebieży, będzie za każdym razem nieco odmienną linią krzywą. A znając tę pierwotną prędkość rzutu i kierunek jego, będziemy umieli z góry określić drogę, jaką kamień przebieży, będziemy umieli przepowiedzieć wszystkie szczegóły zjawiska.

Mamy tu przeto nie z jedném, szczególném zjawiskiem do czynienia, ale z nieskończenie wielu zjawiskami. A wszystka ta nieskończona liczba zjawisk daje się sprowadzić do obu przytoczonych wyżéj pojęć zasadniczych. Przez to sprowadzanie liczba zjawisk zagadkowych, liczba rzeczy danych do objaśnienia ulega nader znacznemu ograniczeniu; w miejsce bowiem owéj nieskończonej liczby zjawisk, mamy teraz tylko dwie niewytómaczone rzeczy—bezwładność i przyciąganie ziemi.

Co większa,—do tychże samych dwu pojęć zasadniczych sprowadza się i teorya ruchu planet. Newton, jeżeli się wyrazimy ściśle, zgola nie objaśnił ruchów planet; ale teoryą swoją sprowadził olbrzymią rozmaitość zjawisk, jaką nam ruch planet przed-

stawia, do dwu tylko rzeczy niewyjaśnionych, do bezwładności planet i do przyciągania istniejącego między niemi a słońcem.

Cośmy widzieli na tym przykładzie, powtarza się w każdéj oddzielnéj części nauk przyrodzonych.

Jeżeliśmy przeto poprzednio powiedzieli, że zadaniem nauk przyrodzonych jest tłómaczenie zjawisk, jakie w przyrodzie dostrzegamy, to możemy teraz określenie to ująć ściśléj, jeżeli powiemy, że nauki przyrodzone mają za zadanie sprowadzić wszystkie zjawiska, jakie nam natura przedstawia, do jak najmniejszéj liczby pojęć zasadniczych, to jest do jak najmniejszéj liczby rzeczy niewyjaśnionych.

Im większą jest liczba zjawisk objętych przez pewną teoryą, a im mniejszą jest współcześnie liczba rzeczy niewyjaśnionych, do których owe zjawiska sprowadzić się dadzą, tém teoryą tę uważać należy za doskonalszą.

Uwagi te podają nam skalę, wedle któréj ocenić możemy wartość wyobrażeń o istocie światła, jakieśmy wyżéj wskazali.

Uderza nas tu przedewszystkiém prostota, istotnie godna podziwu. Wyobrażenia te polegają bowiem jedynie na przypuszczeniu istnienia rozlanego wszędzie eteru i na przyjęciu sił, którym poddane są najdrobniejsze cząstki eteru, zarówno jak i najdrobniejsze cząstki materyi ważkiéj.

Wszystkie przeto zjawiska światła, a zarówno i ciepła, dają się sprowadzić do ogólnych praw równowagi i ruchu, którym obie te materye ulegają.

Możemy wskazać przystępniejszy nawet sposób oceny danéj hypotezy naukowéj; tym kamieniem probierczym jest zdolność przepowiadania, możność wyprowadzania i przewidywania zjawisk nieznanych. Tak Leverrier, wziąwszy pod rachunek zboczenia, jakie już dawniéj uważano w ruchach Urana, i zastosowawszy do nich prawa ciążenia powszechnego, znalazł, jak położoną być musi planeta nieznana, która zboczenia te w ruchu Urana powoduje. To odkrycie Neptuna, planety krążącéj na kresach układu słonecznego, jest najwspanialszém potwierdzeniem Kopernikowego systemu świata i Newtonowych praw ciążenia, jest najwyższym tryumfem astronomii.

I teorya światła uwieńczoną została niejedném odkryciem, jakie jedynie tylko z jéj zasad wysnuto. Tak przewidziała ta teorya, że szybkość światła w wodzie musi być mniejszą, niż w przestrzeni wolnéj, i wynosić około 30000 mil na sekundę, na przekór teoryi emanacyjnéj, która sądziła, że szybkość ta musi być większą w wo-

dzie. I rzeczywiście Foucault sprawdził to wytwornem doświadczeniem. A z równąż pewnością dziś głosić można, że szybkość światła w szkle wynosić musi 26000 mil, lubo o liczbie tej bezpośredniem poszukiwaniem jeszcze się nie przekonano. I cały zresztą szereg zjawisk świetlnych, tak zawiłych i złożonych, że nigdyby doświadczenie bezpośrednie na nie nie wpadło, z góry przewidzianym został,—przytoczymy tu tylko polaryzacyą kołową, skręcanie płaszczyzny polaryzacyi.

W ten sposób teorya światła przebyła już próbę ogniową i podobnie, jak teorya ciążenia, może być uważaną za skończoną. Skończoną—rozumiemy w ogólnych zarysach; są w niej jeszcze trudności i niejasności, ale mają one zawsze znaczenie podrzędne: przez stopniowe uzupełnienia postępować ona będzie do coraz większej doskonałości i tracić będzie to, co w niej jeszcze ciemnem i sprzecznem się wydaje. Ze wszelkiem prawdopodobieństwem, które w granicach umysłowości ludzkiej pewnością już się nazywa, powiedzieć można, że od gwałtownych wstrząśnień ochronioną już będzie.

IV.

Umilkły przeto głosy przeciwników eteru: cała optyka stanowi jeden wielki dowód jego istnienia, podobnie jak astronomia cała jest dowodem obrotów ziemi. Ale podobnie, jak lubujemy się w bezpośrednich dowodach obrotu dziennego i rocznego planety naszej, tak też radowałby nas każdy bezpośredni dowód istnienia eteru. Przez długi czas zdawało się rzeczywiście, iż go posiadamy, mianowicie w zmniejszaniu się czasu obiegu komety Enckego; rozpatrzmy go nieco bliżej. Ruchy ciał niebieskich około słońca rządzone są dwiema siłami, przyciąganiem słońca i siłą żywą ciała niebieskiego—planety lub komety; zachodzi tu zupełnie toż samo, co w przytoczonym poprzednio przykładzie ruchu kamienia,—siła żywa odpowiada pierwotnej sile rzutu. Gdyby pierwsza tylko istniała, planeta padłaby na słońce, gdyby ostatnia tylko miała miejsce, to w skutek bezwładności planeta posuwałaby się do nieskończoności po linii prostej; działanie jednak pierwszej siły usuwa ją ciągle z tej linii prostej i zmusza do krążenia około słońca. Otóż, gdyby siła żywa planety dla jakiegokolwiek powodu ulegała zmniejszeniu, przyciąganie słońca musiałoby przeważać, planeta zbliżałaby się bardziej ku słońcu, miałaby mniejszą drogę do okrążania, czas jej obiegu stawałby się mniejszym.

Nawzajem, gdyby czas obiegu planety stawał się mniejszym, to mogłoby to następować jedynie w skutek zmiejszania się siły żywéj. Malenie zaś siły żywéj mogłoby pochodzić ztąd, że ruch planety odbywa się nie w zupełnéj próżni, a w pewnym środku stanowiącym opór, który posuwaniu się planety stoi na zawadzie. Otóż w biegu planet nie dostrzegamy zgoła podobnych zawikłań. Czyby należało wnosić z tego, że przestrzeń wszechświata jest zupełnie próżną, że żadnym nie jest wypełnioną środkiem, — że eter nie istnieje. Bynajmniéj, — powiedzieć tylko można, że eter w porównaniu z masami planet nieskończenie jest subtelnym, że przeto opór jego, uważany matematycznie, równa się zeru.

Jeżeli jednak eter nie zawadza ruchowi planet z powodu znacznéj ich stosunkowo gęstości, to można było się spodziewać, że o wiele rzadszym kometom eter stawiać będzie opór dobitniejszy. I to zdawało się istotnie wypływać z badań Enckego nad kometą noszącą jego nazwisko, a która ze wszystkich komet peryodycznych posiada najkrótszy czas obiegu, wynoszący około 1200 dni. Roztrząśnięcie obserwącyj téj komety w okresie 1819—1848 r. doprowadziło Enckego do wniosku, że czas jéj obiegu statecznie maleje, że za każdym obiegiem mianowicie staje się krótszym przeszło o jednę dziesiątą doby, około $2\frac{1}{2}$ godzin, —a ubytek ten stanowić miał dowód istnienia w przestrzeni światowéj środka, stawiającego opór ruchowi ciał niebieskich,—dowód istnienia eteru. Stopniowe to zmniejszanie się czasu obiegu komety Enckego uważaném było za fakt tak niewątpliwy, że bardzo niewielu było astronomów, którzy się ośmielali rzetelność tego zjawiska pociągać w wątpliwość, lubo anomalia ta jest jedyną w astronomii. I istotnie niespodzianą była komunikacya udzielona akademii nauk petersburskiéj przez E. Astena i odczytana na posiedzeniu jéj majowém r. 1874. Zestawienie sumienne obserwacyj téj komety z lat 1865, 1868 i 1871 zmusiło tego badacza do odrzucenia faktu podanego przez Enckego, owszem znalazł on nawet niewielką różnicę w kierunku przeciwnym hypotezie Enckego, to jest pewien nieznaczny przyrost czasu obiegu. Lubo wszakże trzy obserwacye komety wystarczają do roztrzygnięcia téj kwestyi, to jednak zadanie to, z powodu małéj odległości przysłonecznéj komety Enckego i jéj wielkiego mimośrodu, przedstawia wyjątkowe trudności. Dla tego też autor (1) nie uważa się jeszcze za upoważnionego do zaprze-

(1) Bulletin de l'académie impériale des sciences de St. Petersbourg T. XX, str. 187.

czania istnieniu środka stawiającego opór. „Tyle wszakże,“ kończy on, „utrzymywać mogę z pewnością, że, jeżeli środek taki w ogólności istnieje, gęstość jego uważaną być winna za znacznie mniejszą, niż tego wymaga opracowanie Enckego postrzeżeń w peryodzie 1819—1848 r.“

Tak więc jedyny—niby bezpośredni dowód istnienia eteru, z takiém upodobaniem przytaczany po traktatach fizyki, co najmniéj stracił wiele na swéj dosadności. Ale w obec wspaniałych wywodów dedukcyjnych całéj optyki, nie może to poprowadzić nikogo do zaprzeczania panującéj dziś teoryi światła, podobnie jak niktby się nie ośmielał zaprzeczać obrotowi dziennemu ziemi, choćby nawet wspaniałe doświadczenie Foucault'a nie okazało wszystkim obrotu tego naocznie, dotykalnie.

V.

Nie wyczerpaliśmy jeszcze przedmiotu. Są głosy, które zaprzeczają istnienia eteru, jako materyi odrębnéj od zwykłéj, dla zmysłów naszych przystępnéj; chcianoby nadać mu byt realniejszy, rzetelniejszy, powiązać go z ogólną, ważką materyą. W istocie, względy mechaniczne poglądowi temu zgoła się nie sprzeciwiają, a z różnych powodów wypełnienie przestrzeni światowéj materyą ważką, istotną, miałoby pewien urok. Rozejrzyjmy się w tych uwagach.

Mniemanie silnie rozprzestrzenione nadaje atmosferze ziemskiéj wysokość dziesięciu mil. Początek tego poglądu bardzo jest odległym: pochodzi on bowiem od badacza arabskiego Alhazena, żyjącego w XI wieku. Takie oznaczenie granicy atmosfery, podane zupełnie dowolnie, utrzymywało się długo, bo nie miano możności ani potrzeby odparcia go. Astronomia z matematycznéм swojém zapatrywaniem się mogła na pogląd taki przystać, bo dla jéj celów gęstość atmosfery w téj wysokości można już przypuścić równą zeru. W istocie, przypuściwszy, że prawo Mariotte'a stosować można do ciśnień tak małych, wypływa z niego, że gęstość atmosfery w wysokości dziesięciu mil wynosi zaledwie 0,000156 téj gęstości, jaką ona posiada przy powierzchni ziemi, a w wysokości trzydziestu mil jest ona 250 bilionów razy rzadszą od powietrza, którém oddychamy na dnie oceanu atmosferycznego.

Z drugiéj jednak strony ważne fakta zmuszają nas do znacznego usunięcia górnéj granicy atmosfery. Rozjaśnianie meteorów spadających na ziemię przypisywać musimy tarciu się ich o atmosferę, zagęszczaniu się pod niemi atmosfery: zużyta na to

praca mechaniczna wytwarza ciepło, skutkiem którego meteory się rozżarzają. A jak okazali Forbes, Herschel, Petersen, Erman i Airy, meteory zaczynają świecić w wysokości 30 do 100 mil geograficznych. Należałoby więc przypuścić aż tam istnienie powietrza atmosferycznego.

Różnych używano dróg dla oznaczenia granic atmosfery naszéj. Uwagi teoretyczne, jakie tu stosowano, mają właściwie tylko znaczenie—że tak powiem—rachunkowe; uczą nas zapewne, jak daleko —co najmniéj—sięgać musi atmosfera, ale nie przekonywają, iżby po za granicą tak oznaczoną powietrze już nie istniało. Według Laplace'a, granica właściwéj atmosfery przypada tam, gdzie siła odśrodkowa rosnąca z wysokością równoważy siłę ciężkości. W téj wysokości masa powietrza posiada dążność do oddalania się od ziemi i wypełniania przestrzeni światowéj.

Ufni w nieomylność badań matematycznych, lubimy uważać za pewne wyniki z umowań rachunkowych, ale i droga ta, jak każda inna z dróg umysłu ludzkiego, wymaga baczności i ostrożności. Rozumowanie każde matematyczne, zastosowane do badań fizykalnych, opiera się na pewném przypuszczeniu, które nam służy za punkt wyjścia,—a jeżeli ta podstawa jest rzekomą, rozumie się, że i wyniki, do których rachunek nas doprowadzi, błędnemi być muszą; gdy zaś nie posiadamy możności sprawdzenia doświadczalnego owych wyników, nie mają one często żadnéj zgoła wartości. Tak np. Schmidt w Giessen starał się oznaczyć kresy atmosfery, opierając się na uwadze, że z powodu ubytku temperatury atmosfery w miarę posuwania się w górę, rozprężliwość powierza szybko maleje, działanie zaś przyciągania ziemskiego w nieznacznych odległościach jest niemal takiém samém, jak przy powierzchni ziemskiéj,—znajdować się przeto winna wysokość, w któréj obie te siły równoważyć się muszą, po za nią zatém nie masz już powietrza. Prawo jednak, według którego temperatura atmosfery w miarę wznoszenia się w górę maleje, nie jest dokładnie znaném; opierając się na prawie tego malenia podaném przez Humboldta, znalazł Schmidt 6 do 7 mil na wysokość atmosfery; gdy zaś użył za punkt wyjścia prawa Lamberta, doszedł do rezultatu 27,5 mil. Atoli pominął on tu zupełnie siłę, która dosyć szybko z wysokością wzrasta—siłę odśrodkową.

Nie do wiele lepszych wypadków prowadzi droga użyta przez Bessla, lubo na pozór wydaje się pewniejszą. Bierze ona za punkt wyjścia długość trwania zmierzchu, to jest zjawiska, że powietrze przed wschodem i po zachodzie słońca jest jasném: górne mianowicie warstwy powietrza otrzymują jeszcze promienie słoneczne,

gdy słońce znajduje się pod poziomem miejsca i rozpraszają takowe w warstwy dolne; gdyby nie ta okoliczność, natychmiast po zachodzie słońca następowałaby ciemność zupełna. Opierając się na przypuszczeniu Laplace'a, że kres zmierzchu następuje przecięciowo, gdy słońce pochyla się na 18^0 pod poziom, czyli, co na jedno wychodzi, że zmierzch trwa przecięciowo godzinę minut 20 po zachodzie słońca, Bessel obliczył, że w wysokości 9 mil atmosfera się kończy. Trwanie wszakże zmierzchu nie jest zgoła ilością stałą, zmienia się ono wraz z szerokością geograficzną, porą roku i wilgotnością oraz czystością powietrza. Ażeby zaś oznaczyć kres atmosfery, nie należy na czas trwania zmierzchu przyjmować wypadku średniego, ale wybierać należy wartość największą, jaką w ogólności zauważyć można. Atoli podczas wielu nocy letnich zmierzch zgoła nie ginie, ale zlewa się stopniowo ze zmierzchem rannym, czyli jutrzenką, t. j. trwa przez całą noc. „Cudowne rozjaśnianie całych nocy", mówi Humboldt w Kosmosie, „zostaje w zupełnéj sprzeczności ze wszystkiém, czego nas uczą najbystrzejsze poszukiwania o teoryi zmierzchu i o wysokości atmosfery.

VI.

Nie mamy żadnych wskazówek, któreby nas o granicy atmosfery nauczyć mogły; dokąd sięga ten ocean powietrzny, na dnie którego toczą się sprawy naszego życia, zgoła nie wiemy.

I po niepowodzeniach oznaczenia kresu atmosfery wynurzył się pogląd, iż atmosfera zgoła granicy nie ma; że gazy, składające ocean powietrzny i utrzymywane przy ziemi siłą jéj przyciągania, rozlane są w stanie niesłychanego rozrzedzenia po całéj przestrzeni światowéj.

Pod jednym zwłaszcza względem pogląd ten przedstawia wiele powabu, mianowicie ze stanowiska kosmogonii Laplace'a, która dotąd jest ostatnim wyrazem pojęć naszych o początku światów, i któréj ostatnie badania fizycznéj natury światów tylko gruntowniejszą nadawać zdają się podstawę.

Główną teoryi téj zasadą jest wspólny początek całego systemu słonecznego. Tak często mówić się zwykło o téj hypotezie, a tak mało jest ona w istocie znana, że czytelnicy wybaczą nam zboczenie od głównego toku naszego przedmiotu, jeżeli podamy tu główne jéj zarysy.

Mówić się zwykło pospolicie, iż według Laplace'a, planety powstały przez oderwanie się od słońca. Tak wszakże być nie mogło; według bowiem praw ciążenia powszechnego, musiałyby one przy każdym obiegu swym około słońca dotykać pierwotnego punktu wyjścia, a drogi ich eliptyczne byłyby bardzo wydłużone i bardzoby odstępowały od okręgu koła. Laplace przyjmuje, że słońce i planety wytworzyły się z pierwotnéj masy materyi kosmicznéj, rozciągającéj się w stanie jakoby lotnym po za kresy całego układu słonecznego.

Cała ta masa kosmiczna zostawała w ruchu obrotowym, a granica jéj przypadała tam, gdzie siła ciążenia równoważyła się z siłą odśrodkową wywołaną przez obrót. Im szybszym jest ruch, tém większą siła odśrodkowa, tém przeto w ogólności atmosfera mniéj daleko się rozciąga. Masa ta lotna, będąca w stanie rozpalonym, musiała się ściągać w miarę stygnięcia i szybkość obrotu wzrastała. Wtedy skrajna warstwa atmosfery w okolicach równika musiała się oddzielić w postaci pierścienia, tam bowiem siła odśrodkowa jest największą i części okazują najsilniejszą dążność do oddalania się. Możność zresztą takiego oddzielenia się uzmysłowił następnie Plateau piękném bardzo doświadczeniem.

W ten sposób wytworzony szereg pierścieni obraca się około słońca a w każdym z nich prędkość bezwzględna jest po stronie zewnętrznéj większą, niż po wewnętrznéj. Aby jednak pierścień taki mógł się utrzymać, ruch jego i związek oddzielnych części musi być bardzo zgodnym, prawidłowym; znamy téż obecnie w układzie słonecznym jeden tylko przykład podobnych pierścieni około Saturna. W ogólności atoli pierścienie te ulegać muszą w różnych miejscach rozdarciu i w téj postaci odbywać będą dalszy swój ruch około słońca, czyli środkowéj części pierwotnéj materyi kosmicznéj. Ale że na brzegu wewnętrznym posiadają ruch, bezwzględny wolniejszy, niż na brzegu zewnętrznym, to części te zaczną obracać się około samych siebie w tym samym kierunku, w jakim krążą około słońca. Jeżeli z tak utworzonych planet z jednego pierścienia jest która dosyć wielką, to w skutek przyciągania połączy ze sobą inne, które z nią krążą po téj saméj drodze; przypadek taki pospolicie ma miejsce, drobne tylko planety, krążące między Marsem a Jowiszem, przedstawiają nam przykład planet rozbitych, niezłączonych. Każda nowa planeta jest znów niejako małém słońcem i wydaje znowu pierścienie, z których powstają księżyce. Powierzchnie planet i księżyców ulegają daléj stygnięciu i pokrywają się twardą skorupą, podczas gdy wnętrze ich pozostawać będzie rozpaloném. Im planeta jest większą, tém wolniéj

chłodnie, tak że Jowisz i Saturn, olbrzymy świata słonecznego, jak niektóre skazówki uczą, dotąd prawdopodobnie wydają własne światło.

Przy podobném wydzielaniu się pierścieni z pierwotnéj masy kosmicznéj, gazy trwałe mogły pozostawać rozlane po całych przestrzeniach międzypierścieniowych. Dotąd przynajmniéj nie mamy żadnych skazówek do przypuszczenia, iżby gazy trwałe, jak tlen, azot, wodór, mogły ulegać skropleniu, iżby oziębianie działało na nie jak na inne ciała.

Obserwacya nie może roztrzygnąć pytania, czy gazy są, czy téż nie są rozlane po przestrzeni światowéj. Natomiast spektroskop, ten cudowny przyrząd, który z astronoma czyni chemika, nauczył nas niewątpliwie, że Mars i Wenus posiadają atmosferę; światło Jowisza i Saturna okazuje podobneż linije ciemne, jakie w świetle słoneczném wywołuje atmosfera ziemska, co każe przypuścić, że i te planety otoczone są podobnemi gazami i parami, jak i ziemia nasza. Co do księżyca, przyjmuje się pospolicie, że atmosferą nie jest otoczony, ale to tylko dla tego, że żaden przyrząd astronomiczny nie był w stanie jéj wykazać. Ale i to nie jest istotnym zarzutem, masa bowiem księżyca wynosi zaledwie 0,0146 masy ziemskiéj, a łatwy rachunek okazuje na téj zasadzie, że siła przyciągania księżyca przy samé powierzchni wynosi tyle, co siła przyciągania ziemi w odległości 1122 mil od jéj powierzchni. Choćby przeto istniała atmosfera około księżyca, musiałaby uchodzić obserwacyom astronomicznym.

VII.

Stronnicy przeto poglądu, iż przestrzeń światowa wypełnioną jest gazami trwałemi, śmiało twierdzenie swe utrzymać mogą. Nie masz możności, ani nawet powodów odpierania tego przypuszczenia. Ale nie znamy téż żadnego zgoła wpływu, jakiby te rozrzedzone gazy przestrzeni kosmicznéj na atmosferę naszę wywierać miały. Wprawdzie Meibauer (1) tworzy teorye bardzo daleko sięgające, ale są to hypotezy bardzo mgliste. Sądzi on najpierw, że stateczny skład atmosfery, że jednostajną zawartość tlenu w naszéj atmosferze, zawdzięczamy owemu rozrzedzonemu powietrzu, wypełniającemu pustynie wszechświata. A daléj stosując do czą-

(1) Die physische Beschaffenheit des Sonnensystems, Wyd. 2 Berlin 1872.

stek tego powietrza szczęśliwą teoryą Schiaparell'ego gwiazd spadających, tłómaczy tém regularne, dzienne kołysania się ciśnienia atmosferycznego, które się objawiają prawidłowemi, dziennemi ruchami barometru. Wprawdzie powszednie to zjawisko należycie wyjaśnioném nie jest, ale i tłómaczenie Meibauera pozostaje jeno dowcipném naciąganiem.

A skorośmy już w dziedzinę tak mglistych przypuszczeń wpadli, to błąkajmy się w niéj i daléj, bo oto powietrze to wszechświatowe posłużyło za podstawę istnemu marzycielstwu; tenże sam Meibauer sądzi, że podobnie, jak wyspa wulkaniczna wynurzona z oceanu pokrywa się roślinnością przez nasiona doprowadzone do niéj wiatrem lub wodą, tak téż i życie organiczne na ziemi ma tenże sam początek: „pierwsze zarodki doprowadzone zostały do ziemi za pośrednictwem rozrzedzonego powietrza, wypełniającego przestrzeń światową".

Nie pamiętam już, które ze swoich dzieł znany popularyzator francuski Figuier wypełnia temiż samemi mrzonkami. Pozazdrościł on tu widać wziętości Flammarionowi. Ale bajarzom francuskim z rodzaju Flammariona lub Verne'a wolno bardzo wiele,—znajdują oni zawsze czytelników i wielbicieli, a ostróżny nakładca warszawski wydania przekładu każdego z tych utworow fantastycznych podjąć się może bez obawy.

VIII.

Wracamy do kwestyi eteru. Wywody powyższe uczą, iż wypełnienie świata gazami rozrzedzonemi nie należy zgoła do nieprawdopodobieństw. Obok eteru znajdywałyby się więc wprzestrzeni i gazy istotne, materya zwykła,—ważka. Cóż było prostszém nad utożsamienie obu tych żywiołów, nad przyjęcie eteru za materyą zwyczajną, ale znajdującą się w stanie niesłychanego rozrzedzenia.

Bodaj czy nie pierwszy wypowiedział to Grove w r. 1842, w słynném zresztą swém dziele. „O wzajemnym związku sił natury". Odtąd pojęcie takie snuje się tu i owdzie, po różnych dziełach i artykułach,—niekiedy wypowiadane otwarcie, częściéj nieśmiało.

Jakżeż chętnie chcielibyśmy je przyjąć. Wiele rzeczy w istocie dziwnie się upraszcza. Wspaniała teorya światła pozostaje w całéj swéj mocy, ale odrzuca hypotezę tajemniczego żywiołu, a zyskuje podstawę materyalną,—światło i ciepło promieniste są

objawami ruchu drgającego powietrza, podobnie jak głos,—światło i głos są to już zjawiska nie pokrewne a jednorodne, różnią się nie jakościowo a ilościowo tylko. Konieczność uważania dwoistéj materyi ustaje; nie masz substancyi, któraby uchodziła badaniu chemików. Światy w przestrzeni niebieskiéj rozrzucone łączy pośrednik materyalny, który posłużyć może do rozjaśnienia wielu zagadek, jakie przedstawiły się umysłowi ludzkiemu od chwili, gdy poznano, że światy oddziaływają na siebie nawzajem nie tylko przez objawy ciążenia, że np. zdaje się istniéć związek między plamami słonecznemi, zorzami północnemi i magnetyzmem ziemskim.

Ale—jakkolwiek ponętném wydawaćby się mogło to uważanie eteru za powietrze rozrzedzone, ważne, zasadnicze względy stanowczo temu się opierają.

Atomy bowiem gazów, nawet w stanie silnie zagęszczonym, są już tak bardzo między sobą odległe, że bardzo słabo tylko ruchy swoje nawzajem udzielać sobie mogą, że np. przewodnictwo ciepła w gazach zaledwie ująć się daje; a o ileż daléj znajdują się jedne od drugich cząsteczki tego rozrzedzonego gazu, co ma wypełniać wszechświat; przechodzenia ruchu od jednéj cząsteczki do drugiéj zgoła wyobrazić sobie tam niepodobna. Możnaby tu zarzucić, że przecięż przy rozchodzeniu się głosu ruch jednéj cząsteczki powietrza łatwo udziela się drugiéj,—ale tam zgoła co innego: przy przesuwaniu się fal głosowych w powietrzu, takowe ulega tylko rozrzedzaniu i zagęszczaniu, czyli jak się mówić zwykło, cząstki powietrza odbywają drgania podłużne. Drgania zaś świetlne odbywają się poprzecznie, to jest, jeżeli wyobrazimy sobie szereg cząsteczek żywiolu drgającego, to każda cząsteczka drga tu prostopadle do kierunku tego szeregu,—jak do tego wniosku prowadzą z koniecznością zjawiska polaryzacyi światła. Chcąc nie chcąc przeto, zgodzić się musimy na przyjęcie substancyi, któréj atomy są nieskończenie drobne, nieskończenie bliskie siebie i wszędzie rozprzestrzenione. Taki tylko żywioł wyjaśnić może nadzwyczajną szybkość promieni światła, wynoszącą czterdzieści tysięcy mil na sekundę; taki tylko żywioł umożliwia rozchodzenie się drgań poprzecznych, tylko cząstce nieskończenie bliskiéj inna cząstka może ruch swój udzielić.

Ale i druga istnieje trudność, mianowicie przechodzenie światła przez ciała przezroczyste; nieprzyjaciele eteru przyjmują, że światło przechodzi przez nie w postaci drgań samychże cząstek materyalnych ciała. Gdy jednak cząstki ciała zostają w takich drganiach, które wywoływać mogą światło, to ciała te same stają

się świecącemi, a światło przechodzi przecięż przez szkło, wodę, sól kamienną, nie sprowadzając by najmniejszego rozświetlenia tych ciał. Rozchodzenie to zatém nie może się odbywać za pośrednictwem drgań materyi ważkiéj, a jedynie przez drgania substancyi niezależnéj od cząstek materyalnych, a przenikającéj wszystkie ciała.

Substancyą tą jest eter, „ostatni z nieważników", często napastowany, ale niepokonany, bo niczém zastąpić go nie możemy.

Sam nieznany, nieujęty, tajemniczy, dozwolił nam rozświetlić wielką zagadkę natury światła, o którém mówił Newton, że nic nad nie nie ma ciemniejszego „*nil luce obscurius*".

Stanisław Kramsztyk.

PRÓBY NOWEGO PRZEKŁADU ILIADY.

Czy Iliada znana była przodkom naszym przed drugą połową wieku XV, jest to pytanie, na które nie odpowiedzieli dotychczas badacze jakimś faktem wyraźnym, chociażby odosobnionym tylko; a jeżeli się zważy, że nawet we Włoszech Boccaccio mógł twierdzić, iż do jego czasów (wiek XIV) może ani jednego greckiego egzemplarza w Europie nie było; że następnie pierwszém tłómaczeniem łacińskiém Iliady było to, którego dokonał Leontius Pilatus na życzenie twórcy Dekamerona: to okoliczność powyższa nie będzie potrzebowała usprawiedliwienia w naszém literackiém sumieniu. Druk dopiéro, poczynając od roku 1488, w którym po raz pierwszy wytłoczono Iliadę, miał roznosić tysiące podobizn po całym ucywilizowanym świecie. Przypuszczać więc można, że studya humanistyczne, od połowy XV stulecia w Akademii Krakowskiéj pielęgnowane, skierowały uwagę ukształconych i na arcydzieło epopei. Czytano wówczas Iliadę, wykładano z katedry i zachwycano się jéj pięknościami; a ślad tego zainteresowania się najstarszym utworem geniuszu starohelleńskiego pozostał w słowach uwielbienia i w licznych cytatach, jakie wyczytać możemy w dziełach pisarzy naszych „złotego okresu.“ Według świadectwa Groddka, który przeglądał bibliotekę Zygmunta Augusta, legowaną testamentem Akademii Wileńskiéj, w zagranicznych nawet księgozbiorach nie zdarzyło mu się nigdzie napotkać tak pięknego, tyle rzadkich wydań zawierającego zbioru pisarzów starożytnych

nad ten, jaki znalazł w pomienionéj bibliotece (1). Że w nim i Iliada znajdować się musiała, to nie może ulegać najmniejszéj wątpliwości.

Mimo to jednak studya klasyczne stanowiły zawsze napływowe jedynie warstwy naszéj oświaty i nie stawały się nigdy stałym fundamentem, na którymby ogół narodu gmach wykształcenia swojego budował. Szczególnie uzdolnionych jednostek, zamiłowanych w greczyznie i łacinie, nie brakowało u nas w żadnym wieku; ale to, co publicznością wykształconą nazywamy, zadawalniało się praktyczną wprawą w języku łacińskim i najogólniejszém, nieraz powierzchownem zaznajomieniem się z mitologią, historyą, literaturą i starożytnościami głównie rzymskiemi. Ztąd poszło, że naukową część filologii, krytykę, ustalanie tekstu pisarzów, rozprawy dotyczące zarówno poezyi jak nauki sprowadzaliśmy zazwyczaj z zagranicy, poprzestając na domowych owocach beletrystyki. Ztąd poszło, że wielkie jakieś przedsięwzięcie, np. wydanie zbiorowe celniejszych autorów greckich i rzymskich, albo nie przyszło nikomu na myśl, jak było w wiekach dawniejszych, albo téż upadało w samym zaraz początku, jak się to stało z wydawnictwem Raczyńskiego w naszém stuleciu.

Znając charakter naszych humanistycznych usiłowań, nie będziemy się dziwili, że wydań Jliady w oryginale lub w przekładzie łacińskim nie posiadaliśmy ani w wieku XVI, ani późniéj. Nie było *szkoły* filologii klasycznéj takiéj, jak we Włoszech, w Hollandyi, Francyi, a potém w Anglii i Niemczech; nie poczuwano się na siłach do lepszego wydania, niż były zagraniczne; poprzestawano więc na korzystaniu z prac obcych. Nie starano się nawet uprzystępnić tego utworu dla ogółu, tak, że ostatecznie z XVI wieku, kiedy prawdziwie humanistyczna oświata najsilniéj u nas promieniowała, mamy przekład jednéj zaledwie pieśni Iliady, podczas gdy nietylko już Włochy, nietylko Francya i Anglia, ale nawet Hiszpania może się z tego samego czasu bez porównania większym plonem poszczycić. We Włoszech Badessa i Newizano po pięć, Leo da Piperno 12 pieśni przełożył; w Anglii Arthur Hall przetłómaczył 10 pieśni, a Chapman wszystkie w r. 1600; we Francyi Jan Samxon, Hugh Salel wraz z Amadeuszem Jamyn, w Hiszpanii Peresi całéj Iliady dokonali tłómaczeń. W porównaniu jedynie z Niemcami możemy

(1) Ob. Jochera Obraz bibl.-hist. 1840, T. I, str. XI.

być pierwsi; oni bowiem, religijnemi pochłonięci sporami, o Iliadzie marzyć nawet nie mogli naówczas i, dopiéro od XVIII stulecia, zwycięzko z innemi narodami na polu badań filologicznych walczyć zaczęli (1).

Przekład 3-éj pieśni Iliady przez Jana Kochanowskiego jest więc jedynym wyraźnym i trwałym pomnikiem naszych nad nią studyów w stuleciu XVI. Nie należy on jednak do najudatniejszych prac wieszcza z Czarnolasu i nosi na sobie cechy młodzieńczych jego usiłowań. Rozwlekłość i słabe rymy—to nie najgorsza jeszcze strona tego tłómaczenia; wynagradza ją bowiem prostota i naturalność dykcyi poetycznéj; o wiele natomiast przykrzejsze jest zatarcie charakterystycznych cech pierwowzoru: unikanie epitetów jednostajnych, przemiana imion greckich bogów na łacińskie i powlekanie modlitw starohelleńskich kolorytem chrześciańskim. Kilka miejsc pięknie oddanych stanowiło istotny dla literatury naszéj nabytek.

Po Kochanowskim aż do końca wieku XVIII głucho u nas było o Iliadzie. Wspomnienia o niéj pozostały się w dziełach pisarzy tego czasu; ale téż nie więcéj nad blade, coraz bardziéj zacierające się wspomnienia. Podczas gdy w innych krajach liczba wydań, komentarzy, tłómaczeń Iliady wzrastała z każdym niemal lat dziesiątkiem; podczas gdy nadzwyczaj żywe, namiętne nawet a długotrwałe o jéj wartości toczyły się spory, spowodowane najprzód wystąpieniem nieprzyjazném Perrault'a (1687), ożywione sceptycznemi uwagami d'Aubignac'a, a potém gwałtowną obroną pani Dacier (1711); u nas czytano i tłómaczono Lukana, Stacyusza i tym podobnych poetów, a o wielkim Homerze wspominano tylko. Upadek nauki języka greckiego pomagał oczywiście takiemu odosobnieniu się od spraw literackich, zajmujących naówczas świat nietylko specyalistów, ale i ukształconych profanów. Od reformy dopiéro Akademii Krakowskiéj przez Kołłątaja lepsze nastały dla poematu greckiego czasy. Nagórczewski przetłómaczył 18 pieśni Iliady, ale te pozostały w rękopiśmie, Przybylski Jacek, Dmochowski Franciszek ze swojemi wystąpili próbami. Rozpraw atoli, ocen estetycznych jak dawniéj tak i wówczas nie było. Ażeby się przekonać, jak smutnym był stan naszych pojęć o Homerze, dosyć

(1) Ob. Sulzer's Allgemeine Theorie der Schönen Künste, 2 wyd. 1792, Tom II. str. 675 do 677.

przeczytać błahe wiadomostki o nim, znajdujące się w „Zbiorze potrzebniejszych wiadomości“ (r. 1781) Ignacego Krasickiego (I, 373) lub w jego piśmie. „O rymotwórstwie i rymotwórcach“. Dopiéro z „Nowego Dykcyonarza Historycznego“, który *Boelcke* z francuskiego przełożył, dowiedziano się w r. 1784 o sporach toczonych wśród Francuzów (Tom IV, część I, str. 126—129) i o ówczesnych sądach, dotyczących Homera. „Ludzie dobrego gustu,“ —czytano tam— „zgadzają się powszechnie, że Homer byłto wielki gieniusz, najpierwszy i najpiękniejszy natury malarz. Jego uwłóczyciele mają prawdziwie mało *duszy* (sic) i gustu, skoro nie są ożywieni przez jego poezyą *żwawą*, szlachetną, pełną dzielności, *składu* i upiększoną najśliczniejszemi kolorami. Lecz najgorliwsi jego wielbiciele mieliby téż bardzo grubą na oczach zasłonę, gdyby nie widzieli w Iliadzie a nadewszystko w Odysei owych *przemów*, *wygórowania nudnego*, opisań nadto przeładowanych, *słów przydanych nie na swojem miejscu*, *przyrównań bardzo mało odmiennych*, przedłużeń, miejsc słabych.“ Warto sobie zanotować to wytknięcie mniemanych wad, gdyż jak się łatwo przekonać, późniejsi tłómacze polscy a mianowicie Dmochowski przyswoili je sobie i niém kierując się, przekładów swoich dokonywali. Autor jednak artykułu o Homerze w „Nowym Dykcyonarzu“ należał do bardzo umiarkowanych sędziów i stawał w obronie wieszcza greckiego przeciwko jego „uwłóczycielom.“ „Nie mówimy bynajmniéj“—dodaje—„o naganie, którą mu czynią, że, nie dosyć był *szlachetny* w swoich wyobrażeniach. Jego bogowie powiadają, są dziwaczni; zaś bohaterowie prostacy aż do wieśniactwa. Jest to przyganiać jednemu malarzowi (mówi jeden znający się) że on dał figurom swoim strój podług swego czasu. Homer odmalował bogi tak, jak o nich wierzono, a ludzi tak jakiemi byli; przeto ci, co go mają jak za ów zardzewiały medal, który nie może mieć swego kursu, pokazują delikatność zdoprawdy fałszywą i dziecinną“. (T. IV, I, 127). Opuszczam ciąg dalszy oceny, zawierający wyjątek z dzieła abbé Trublet, który porównywał Homera z Wirgiliuszem raczéj dowcipnie niż prawdziwie.

Tak to wówczas sądzono o Homerze. Dla wyrafinowanego gustu dworaków francuskich zarówno Homer jak Szekspir byli barbarzyńcami, których należało okrzesać i ogładzić, zanim się ich do porządnego towarzystwa wprowadziło. Tak téż zrobił francuz La Mothe, co według własnego zeznania nie umiejąc po grecku, w przekładzie jedynie pani Dacier przeczytawszy Iliadę, osądził za rzecz nieodzowną skrócić ją do połowy, wypolerować i wówczas dopiéro Francuzom do czytania podać. Otóż wyobrażenia nie

te same wprawdzie, ale zmodyfikowane na korzyść Homera, zaczęły się wraz z literaturą francuską rozpowszechniać i u nas. Samodzielne studya były jeszcze w kolébce i nie śmiano z własnemi występować zdaniami tak dalece, że nawet Dmochowski, który dziesięć lat na przekład Iliady poświęcił, wolał zamieścić na jego czele sądy Barthelemy'ego i Pope'a, aniżeli na własne odważyć się sądy; Przybylski zaś w dziełku swojém, p. n. „Wieki uczone Starożytnych Greków i Rzymian" (1789), zdobył się zaledwie na parę ogólnikowych, samę niemal zewnętrzność tylko określających frazesów. „Dla szkoły literatury"—powiada on—„ocalone są Iliada i Odysea, poemata pełne dowcipu i wdzięków nieśmiertelnego Homera, ojca epopei greckiéj i śmiałego malarza równie natury jak towarzystwa. W tych dwóch dziełach obrazy bohatyrów są tak rozmaite, tak szczere i tak proste, jak ich przymioty i skłonności." Następnie mówi o czci oddawanéj Homerowi przez starożytnych wogóle, a przez Aleksandra W. w szczególności; przypisuje Homerowi Batrachomyomachią (!); wreszcie dodaje: „Żeby myśléć *tak porządnie* i pisać *stylem tak gładkim*, jak Homer, trzeba żyć w wieku oświeconym. Okazuje się jednak, że wiek Homera albo był ćmiony zabobonem, albo hańbiony prześladowaniem uczonych; bo wiadomo, że ten sławny *wieszczek*, którego ubóstwiano po śmierci, pędził dni nieszczęśliwe, żebrał chleba w wędrówkach, nie znalazł wsparcia w swojéj ślepocie i walczył z głodem mimo swój boski talent" (str. 22 do 24). Jak na profesora uniwersytetu, zbyt mało w téj wzmiance sądów trafnych i spostrzeżeń głębokich, choćby dorywczych jedynie.

Wiek XVIII przygotowywał się więc dopiéro do poznania Iliady i do przyswojenia jéj naszéj literaturze; zdziałał on w téj mierze więcéj nawet od „złotego okresu," gdyż zostawił niejednę, lecz kilka pieśni w przekładzie; chwała atoli dokonania dzieła w całości należy się już stuleciu bieżącemu. W samym jego początku wydał Franciszek Ksawery Dmochowski swój przekład, który się tak dalece podobał, że nietylko pozyskał jednogłośne a entuzyastyczne pochwały literatów, ale i wśród publiczności wielu znajdował czytelników, gdyż tysiąc egzemplarzy pierwszego wydania ukończonego w r. 1801 rozeszły się w ciągu lat dwóch. Zapał ten nie był bynajmniéj chwilowy, ani sztuczny; z drugiego bowiem wydania (r. 1804—1805) sprzedano 1000 egzemplarzy również w ciągu lat dwóch, a chociaż sprzedaż pięciuset pozostałych przeciągnęła się, prawdopodobnie z powodu wojen, aż do 1821, niedługo jednak potém, bo w r. 1827 zrobiono trzecie wydanie z 1500 egzempla-

rzy (1). Nie trudno nam pojąć przyczyny tego niezwykłego powodzenia. Dmochowski trafił wybornie w gust wykształconego społeczeństwa i unikał w przekładzie swoim wszystkiego, co tylko zbyt wybitnie odznaczoną pierwotnością razić mogło. Wiersz dźwięczny i gładki, styl zabarwiony retorycznie, powtarzane epiteta usunięte, wyrażenia charakterystyczne zamienione na pospolite, ale nieodskakujące] od ówczesnego sposobu mówienia zmniejszały przedział wieków oryginału i tłómaczenia jak można najbardziéj; a ponieważ ówczesny smak lubował się w konwencyonalnéj poprawności, w gładkości i w sztucznéj wzniosłości, przyjął więc przekład Dmochowskiego nader wdzięcznie i długo w uwielbieniu swojém dla niego pozostawał wiernym. Jakoż w r. 1814 do 1816 wyszła Iliada w tłómaczeniu Jacka Przybylskiego; w r. 1815 Stanisława Staszica; Dmochowski jednak nic na tém nie stracił. Zarówno jeden jak i drugi przekład daleko więcéj miał wad, aniżeli zalet; Przybylskiego był rozwlekły i pozbawiony wszelkiego niemal poczucia estetycznego, Staszica—przedstawiał się jako nieudatna parafraza, choć niektóre miejsca nacechowane były siłą. I potrzeba było przewrotu estetycznych pojęć, ażeby zachwiać znaczenie przekładu Dmochowskiego. Pierwszy Mickiewicz w „Przemowie do krytyków i recenzentów warszawskich“ zrobił zarzut, że Dmochowski ani historycznie, ani krytycznie poezyj homerycznych nie rozumiał, że styl i tok opowiadania właściwy Iliadzie zniknął, albo się zupełnie odmienił w jego tłómaczeniu; jakkolwiek przyznawał, że w ostatnich zwłaszcza pieśniach Iliady wiersze harmonijne, w wyrażeniach ścisłe i lubo wszelkiéj *śmiałości poetyckiéj* pozbawione, nie zamieniają się w rymowaną prozę. Słowa te, pochwycone przez ślepych naśladowców, przechodząc z ust do ust, stawały się coraz jaskrawszemi, tak, że w końcu zarzucono Dmochowskiemu brak znajomości języka greckiego i tłómaczenie z tłómaczenia francuskiego. Napróżno Dmochowski syn ujmował się za czcią należną pamięci ojca (2); napróżno wystawiał jego zasługi i twierdził, że „Iliada w jego tłómaczeniu, chociażby nawet styl Homera zbliżony w niéj został do stylu Wirgiliusza, jest jedną z najpierwszych ozdób literatury naszéj“; wyrok potępienia został

---

(1) Żob. artykuł F. S. Dmochowskiego (syna) w „Pamiętniku Naukowym“, 1866, t. V. str. 193.

(2) Zob. F. S. Dmochowskiego odpowiedź na pismo P. Mickiewicza, 1829 str. 90 — 107.

wydany i bardzo długo nikt się nie ośmielil sprawiedliwości jego zaprzeczyć. W naszych dopiéro czasach powiodło się Dmochowskiemu synowi artykułem swoim o „Tłómaczeniach wogólności, a mianowicie poetów starożytnych“ (w Pamiętniku Naukowym z r. 1866), w którym zestawił i porównywał trzy całkowite przekłady Iliady z tłómaczeniem dosłownem, sądy literatów na stronę ojca swego zjednać.

Co do pojęć o naturze i istocie poezyi homerycznéj, Dmochowski stał na stanowisku „Nowego Dykcyonarza historycznego“ a o przypuszczeniach i dowodach Wolfa z r. 1795 nie słyszał. Uwielbiał gieniusz Homera, piękność i żywość obrazów, usprawiedliwiał prostotę, lecz ducha poezyi ludowéj oczywiście w Iliadzie nie przeczuwał. Tymczasem i w tym kierunku miały nastąpić zmiany. W tym samym roku, kiedy wychodził ostatni tom Iliady w drugiém wydaniu jego tłómaczenia, Groddeck, znakomity filolog Uniwersytetu Wileńskiego, pomieścił w Dzienniku Wileńskim (r. 1805, miesiąc Czerwiec i Lipiec) artykuł p. n. „Wykład nowego mniemania względem poematów Iliady i Odysei Homerowi przypisywanych“, gdzie rozwinął pogląd Augusta Fryderyka Wolfa, że rozmaite pieśni z których się składa Iliada i Odyseja nie wszystkie należą do jednego autora. Groddeck najzupełniéj podzielał domysły Wolfa i dogmatyzował je zarówno w swoim podręczniku historyi literatury greckiéj, dwukrotnie wydanym, jak i w wykładach swoich, których tak znaczna liczba młodzieży słuchała. Też same wreszcie zapatrywania się na poemata starogreckie rozszerzał „Obraz literatury Starożytnéj i Nowożytnéj“ Fryderyka Schlegla, przełożony na język polski w r. 1831. Do dokładnego ich jednakże rozwinięcia i uzasadnienia szczegółowego nawet i w tym najświetniejszym dla filologii klasycznéj okresie nie zabrano się wcale. Jedynym mającym wartość naukową artykułem pozostała rozprawa Groddka.

Po roku 1830 Homer, opromieniony aureolą poezyi gminnéj, nie popadł w pogardę, jak inni autorowie greccy i łacińscy; poeci owszem z chęcią zwracali się do najpierwszego wieszcza europejskiego; nawet Juljusz Słowacki zajmował się przekładem a raczéj przeróbką kilku ustępów Iliady, (1) a Siemieński przedsięwziął tłómaczenie Odysei; długoletni jednakże brak uniwersytetu, i za nim idąca nieznajomość tak języka jak i zwyczajów starogreckich od-

(1) Przełożył on następujące kawałki. Z pieśni I wiersz 1—492; z pieśni XVIII wiersz 1—131; z pieśni XXI wiersz 342—396.

biły się w całości literatury i w ukształconym ogóle głębokim śladem zapomnienia. Jeżeli jeszcze pojawił się artykuł o Homerze, to albo jedynie dyletantyzmem się odznaczał, albo téż był poświęcony rozbiorowi jakiegoś szczegółu niemającego związku z poezyą, jak np. rozprawka o Homerze w „Przeglądzie naukowym“ z roku 1842 (tom I i II), w której autor starał się wykazać, co nam Homer o *Słowianach* mógł powiedziéć... Rozwój badań nad sposobem powstania epopei greckich pozostał dla nas tajemnicą; dawno antywolfowskie poglądy przeważały wśród ogółu literatów, którzy hypotezę Wolfa nazywali *niedorzeczną* (jak np. p. Lewestam w Hist. lit. powszechnéj T. I, str. 131) lub *nielogiczną* (jak np. p. Tyszyński w „Pierwszych zasadach krytyki powszechnéj“, T. I, str. 218). Krytyki jednak szczegółowéj poglądów Wolfa a mianowicie *Lachmanna* nikt nie podawał, odwoływano się jedynie do *jedności* poematów, do harmonijnego przeprowadzenia wątku poetycznego i do tym podobnych bardzo ważnych bez wątpienia, ale zbyt ogólnikowo odkreślonych cech Iliady i Odysei. Specyaliści tymczasem, t. j. filolodzy z powołania, podtrzymywali hypotezę Wolfa, Lachmanna i ich sprzymierzyńców i przytaczali dowody, przekonywające o stopniowém i częściowém powstawaniu i składaniu się owych poematów. Wyrazem przekonań tych specyalistów jest p. Zygmunt Węclewski w dziele: „Historya literatury greckiéj“ (str. 34—48), który sprawę tę w krótkości tak przedstawia: „Myt o wojnie Trojańskiéj w dwóch wiekach, po tym wypadku następujących, niewątpliwie pod każdym względem się przeobraził i w wykończonych, jeno rozerwanych czyli raczéj niepowiązanych jeszcze pieśniach brzmiał po kraju, ustnie od pokolenia pokoleniu przekazywany. Po upływie dwóch wieków od czasów opisanego w tych pieśniach okresu bohaterskiego, a zatém w IX stuleciu wystąpił mąż, wyższym obdarzony duchem i pojedyncze części w całość porządną złożył; związek ogólny, już z samego początku w nich będący, do jedności poetycznéj doprowadził i wycisnął na nich równe wzniosłe piętno gieniuszu swojego. Temu gieniuszowi poetycznemu wiek spółczesny i następny z wdzięczności i uznając wielkie jego zasługi nadał nazwisko zaszczytne *Homeros*, t. j. spoiciela. Nazwisko to dla trafności powszechnie przyjęto i zapomniano imię właściwe poety... Pierwszym Homerem był niezawodnie ten mąż, który zestawił główne części Iliady; drugim zaś Homerem o wiele póżniejszym jest ten, który złożył pieśni, opiewające tułactwo i powrót Odyseusza do ojczyzny.... Że Iliada i Odysea powstały w sposób powyżéj opisany, tego dowodzą następujące szczegóły. Po pierwsze, częstokroć poeta spajający da-

wniéjsze od niego utwory, nie rozumiał ozdób poetyczno-alegorycznych, w jakie się przyoblekły filozoficzne lub fizykalne nauki. Nie rozumiał ich zaś dla zmiany zaszłéj w pojęciach religijnych. Powtóre, ślady rozmaitego pochodzenia i pierwotnéj samoistności niewszystkie zatarły się pomimo to, że oba poemata owiane i nacechowane są duchem spajającego je poety. Nie we wszystkich częściach równe jest uniesienie, równy polot geniuszu; niewszędzie równie jasne są opisy, niezawsze z jednego źródła czerpano obrazy i porównania. Nie było zaś zadaniem poety spajającego usuwać nierówności te i drobne niedokładności, gładzić małoważne różnice językowe, poprawiać drobne uchybienia w budowie wiersza, wyrównać niejednostajności w pojęciach mytologicznych, mianowicie gwałtem prostować niezgodę i sprzeczności w chronologii" (str. 36—38). Trzech pisarzy, co już po p. Węclewskim o poematach Homera pisali, nie przychyliło się do jego zdania. Zarówno p. Siemieński, tłomacz Odysei, jak Hugo Zathey, autor artykułu „Homer w Polsce" w „Przeglądzie Polskim" z 1874 i p. Feliks Jezierski, który przekład swój XXII pieśni Iliady krótkim poprzedził wstępem, walczą w obronie osobistości Homera i gieniuszowi jego wyłącznie przypisują albo Iliadę tylko, albo téż Iliadę i Odyseę. I oni atoli dowodów szczegółowych, któreby mogły przeciwważyć dowody Wolfa i Lachmanna, dotąd nie złożyli i raczéj politeracku niż naukowo kwestyą powstania owych poematów traktowali. Nie powinniśmy się bynajmniéj dziwić temu podziałowi zdań, który we współczesnéj literaturze europejskiéj tak samo jak u nas istnieje; wynika on bowiem najprzód ze względności pojęć o tém, co nazywamy jednością poematu, a powtóre z różnic poglądu na naturę i skalę uzdolnienia ducha ludzkiego w czasach, kiedy cywilizacya w pierwszém dopiéro znajdowała się stadyum. Nie może być mojém zadaniem ani godzić te sprzeczne zapatrywania się, ani téż występować w obronie jednego lub drugiego, gdyż należyte obrobienie tak ważnego przedmiotu wymagałoby obszerniejszéj dyskusyi. Chodziło mi właściwie o zaznaczenie obecnego stanu kwestyi homerycznéj u nas i o zwrócenie uwagi na brak wyczerpujących nad nią studyów, nie zaś o rozstrząśnięcie krytyczne i estetyczne punktów spornych.

Wykończenie przekładu Odysei przez p. Siemieńskiego obudziło chęć posiadania i Iliady w równie pięknym, równie nowszym wymaganiom odpowiadającém tłómaczeniu. Chęć ta zrodziła dwie najnowsze próby: wierszem rytmicznym przez p. Pawła Popiela; wierszem zaś rymowym przez p. Feliksa Jezierskiego.

Pierwszy wystąpił Dr. Popiel ze swoim przekładem (w styczniowym zeszycie „Przeglądu Polskiego“ z r. 1875), dając pierwszą rapsodyą, a w rok przeszło potem *szóstą* (tamże 1876 zeszyt kwietniowy). Dokonał go heksametrem, czyli wierszem sześciostopowym, odpowiadającym miarze oryginału. Ponieważ heksametr składa się ze spondejów i daktylów, zakończonych czasami w ostatniéj t. j. szóstéj stopie trochejem, spondej zaś powstaje z dwóch, daktyl z trzech zgłosek, ztąd wynika, że liczba sylab czyli zgłosek w jednym wierszu nie zawsze jest ta sama co w drugim. Ponieważ daléj, spondéj tworzą dwie *długie* zgłoski, a w polskim języku nie posiadamy obecnie zgłosek długich, lecz tylko akcentowane i nieakcentowane, zastąpił go przeto p. Popiel trochejem, t. j. stopą dwuzgłoskową, albo daktylem, t. j. stopą trzyzgłoskową albo nawet czterozgłoskową. Skutkiem tych przyczyn powstały wiersze nierówne a bardze długie, bo 15, 16, 17° zgłoskowe. Łatwo można odgadnąć, dla czego autor użył takich wierszy; chciał on bez wątpienia, najprzód uniknąć nużącéj jednostajności wiersza trzynastozgłoskowego, którego w poematach epicznych zazwyczaj się używa, a powtóre pragnął się jak można najbardziéj zbliżyć do oryginału, który wyjątkowo tylko miewa trzynastozgłoskowe wiersze a zazwyczaj większą liczbą sylab się posługuje i o jednostajność wierszy po sobie następujących bynajmniéj się nie ubiega. W zasadzie takie pojęcie i zastosowanie heksametru polskiego jest dosyć słuszne, ze względów jednakże praktycznych nie wydaje mi się szczęśliwém. Gdybyśmy byli przyzwyczajeni do czytania wierszy rytmicznych, gdyby wyobrażenia o ich układzie przeszły już w zastosowaniu, a nie w teoryi tylko do składu przekonań estetycznych ukształconego ogółu; to możeby niejednostajna liczba zgłosek w wierszach po sobie następujących nie raziła nas bardzo. My atoli, którzy zaledwie parę udatnych prób wiersza rytmicznego posiadamy, których język nadto, pomimo usiłowań kilkakrotnych, nie ma nawet ustalonych i powszechnie przyjętych zasad metrycznych, musimy zrobić ustępstwo naszym uszom i postarać się nie o jednostajność wprawdzie istotną, ale o prawidłowość w następstwie wierszy. Trudno nam przyzwyczaić się do tych ustawicznych skoków w głosie, jakie z konieczności przedstawiają się uchu, gdy słyszy zmienianą dość często długość wierszy. Wprawdzie, p. Popiel starał się utrzymać wiersz szesnastozgłoskowy jako zasadniczy, przeplatając go od czasu do czasu piętnastozgłoskowym; ale w tém przeplataniu nie trzymał się stałéj reguły i pozwalał sobie nieraz wierszy 17° zgłoskowych. Tak np. trzy wiersze (116—118) rapsodyi VI brzmią jak następuje:

Rzekłszy oddalił się Hektor o powiewającym szyszaku.
Potrącała go brzegiem o szyję i kostki włosiasta
Skóra ciemna, wisząca około tarczy wypukłéj.

Każdy z tych trzech wierszy ma inną liczbę zgłosek: pierwszy—17, drugi—16, a trzeci—15. A takich ustępów jest dość znaczna liczba, np. w. 165—170 téjże rapsodyi, 325—330, 403—405 i t. d. Powtóre, zastępowanie spondeja stopą czterozgłoskową wydaje mi się rzeczą niewłaściwą; uzasadnienia jéj nie podobna nawet znaléść w metryce greckiéj. Kładzenie trocheja zamiast daktyla daje się usprawiedliwić, gdyż my nie czujemy różnicy długich i krótkich zgłosek, a nadto używając trocheja a nie daktyla w zastępstwie spondeja, oszczędzamy sobie w stopie jednę zgłoskę. Inaczéj się rzecz ma z niepotrzebném rozszerzaniem jéj, gdyż im dłuższy wiersz, tym trudniejszy do wymówienia, a więc tym przykrzejszy dla naszego smaku. Dla tego téż taki wiersz jak 52 rapsodyi VI:

Chciałby go już zaraz powierzyć słudze, by tenże do szybkich
Zaprowadził go łodzi achajskich i t. d.

uważać muszę za całkiem nieudatny. Nadmienić mi jednak wypada, że wierszy do powyższego podobnych nadzwyczaj się mało w przekładzie p. Popiela znajduje.

Tyle o budowie samego wiersza, który zresztą nie razi ani szorstkością, ani brakiem dźwięczności; owszem jest gładki i dosyć potoczysty. Na szczególną pochwałę zasługuje to, że p. Popiel najstaranniéj unikał jambu, którego, mianowicie na początku, mało kto u nas dotychczas ustrzedz się umiał.

Stosunek przekładu do oryginału da się wyrazić jedném słowem—*wierność*. Istotnie p. Popiel starał się zachować nietylko myśl tekstu, nietylko właściwy styl Iliady, ale nadto wyrazy i wyrażenia, które zupełnie odpowiadają greckim, w zmienionym jedynie porządku. Zaleta takiego tłómaczenia daje się określić tém, że nam kalkuje oryginał, o ile oczywiście kalka w zakresie słowa jest możliwa. Takie tłomaczenie wybornie przydać się może dla studyujących Iliadę uczniów (starych czy młodych) nieobeznanych jeszcze dostatecznie z językiem greckim; ale jeżeli jest pozbawione tchnienia poetycznego, nie może oczywiście odtworzyć nam wrażeń, jakich się doznaje przy czytaniu oryginału. Zdaje mi się, że tego tchnienia brakuje przekładowi p. Popiela, a to zdanie moje postaram się poprzéć kilku przekładami, wziętemi z szóstéj rapsodyi, najpowszechniéj znanéj, przynajmniéj z treści, gdyż w niéj obok

innych zdarzeń mieści się pożegnanie Andromachy z Hektorem. Ten właśnie ustęp, nad którym p. Popiel najdłużéj zapewne pracował, wybieram dla porobienia niektórych spostrzeżeń:

Andromache się zaś do niego łzami zalana
Zbliża i *bierze za rękę* i słowo wygłasza i mówi:
Dziwny! kiedyś cię zgubi twe męstwo, *ach* nie masz litości
Nad niemowlęciem i mną nieszczęsną; ja wkrótce zostanę
Wdową po tobie, bo wnet cię zamordują Achaje,
Napadając *pospołem*. *Zaprawdęby lepiéj mi* było
Skryć się pod ziemię, gdy ciebie mi *braknie*, bo wtedy pociechy
Żadnéj nie będzie, gdy ty *przeznaczenia swego dokonasz*,
Ale sam smutek;—już nie mam ni ojca ni matki dostojnéj.
Ojca albowiem naszego *uśmiercił* boski Achilles
Również i ludne miasto Kilików do szczętu *wyburzył*,
Thebę *o bramach wysokich* i zabił Ejetiona;
Broni mu *zaś* nie odebrał, bo wielce się tego obawiał;
Ale go spalił na stosie z rynsztunkiem całym ozdobnym,
W miejscu usypał mogiłę; wiązami ją poobsadzały
Nimfy górskie, Diosa *co trzęsie egidą* potomstwo“ i t. d.

Przekład ten, co do słów wierny, powtarzający niemal wiersz w wiersz tekst Iliady, jest jednak niewiernym pod względem poetycznym; wyrażenia bezbarwne lub pospolite zastępują w nim dykcyą energiczną, np. *bierze za rękę*, ma oddawać greckie ἔν τ' ἄρα οἱ φῦ χειρί, t. j. dosłownie: ręką do niego przyrosła, a więc choćby tylko, „*pochwyciła* go za rękę“; słowa używane w tonie komicznym *(uśmiercił)* tłómacz użył w mowie epicznéj; styl prosty wprawdzie, ale niepozbawiony przecież pewnego kunsztu, p. Popiel zmienił w jedném miejscu na zupełnie luźny („ja wkrótce zostanę wdową po tobie, gdy w oryginale jest: *która* wkrótce i t. d.); a w innych bez potrzeby rozwlekłym go uczynił („*również* i ludne miasto“, gdy w tekście czytamy: miasto *zaś*); epitety tak poetyczne i tak właściwe Iliadzie przez niefortunne tłómaczenie za pomocą trzech wyrazów („o bramach wysokich“, „co trzęsie egidą“) zupełnie prozaicznemi utzynił; niektórych wreszcie wyrazów użył niewłaściwie lub téż w nieużywanéj formie („przeznaczenia dokonasz“—„wyburzył“).

Pomiędzy podkreślonemi wyrazami znajduje się jeszcze jeden, któregom nie objął zadną z dopiéro co wymienionych kategoryj słów słabych, nie właściwych lub prozaicznych; mówię o przymiotniku *dziwny*, rozpoczynającym przemowę Andromachy. Od-

powiada on greckiemu *dajmonios* i znajduje się istotnie w wykazie słownikowym wyrazów, któremi można go oddać po polsku. Kto jednakże nie poprzestaje na smaku słownikarzy i stara się pochwycić *estetyczną* wartość słów, ten nie wiém czy przymiotnik *dziwny* uzna za właściwy w tém miejscu. *Dajmonios* oznacza właściwie tyle, co „pochodzący od bóstwa", a służy bardzo często do wyrażenia podziwu, przerażenia i politowania, t. j. uczuć, w których powstaniu lub przyczynie upatrywano wpływ bóstwa. Wyraz ten oprócz wskazanego miejsca znajduje się jeszcze, również w formie apostrofy, dwa razy w VI rapsodyi; raz go używa Hektor ganiąc Parysa a drugi raz chwaląc go. Pan Popiel we wszystkich tych trzech wypadkach użył tegoż samego przymiotnika *dziwny* zapewne dla tego, ażeby utrzymać jednostajność epitetu w oryginale zachowaną. Przyczyna ta jest istotnie ważną; ale wybór epitetu wydaje mi się niefortunnym. Trzebaby poszukać wyrażenia ludowego, któreby mniéj więcéj odpowiadało greckiemu, a takiém podług mojego zdania jest „Bóg z tobą", którego lud używa tak samo jak Grecy wyrazu *dajmonios* w formie apostrofy dla oznaczenia podziwu, przerażenia i politowania. Ma ono bez wątpienia wielką wadę, bo jest złożone a nie pojedyncze, ale przynajmniéj brzmi poetycznie i odpowiada istotnemu znaczeniu epitetu greckiego.

Ażeby dotykalnie dać poczuć różnicę poetycznego od niepoetycznego przekładu, przytoczę dawne tłómaczenie powyższego ustępu przez Dmochowskiego. Nie jest ono bezbłędne; ale wady jego są zupełnie innego rodzaju, tak że jedno tylko słabe wyrażenie dzieli z przekładem p. Popiela:

Andromacha zaś przed nim łzy lejąc obficie,
Bierze za ręce męża i tak mówić pocznie:
Mężu! męstwo cię twoje zgubi nieodwłocznie:
Nie masz żadnéj litości nad dziecięcia głową
Ni nademną nędznicą, wkrótce twoją wdową.
Na jednego Achiwi wszystkie złączą siły
I odbiorą ci życie. *Ach! mój mężu miły*,
Jeżeli cię mam stracić, obym legła w grobie!
Niémasz dla mnie pociechy żadnéj już po tobie,
Smutki mię gnębić będą aż do dni ostatka.
Zginął ojciec, *kochana* zginęła mi matka;
Ojca zabił Achilles, gdy Teby w perzynę
Obrócił silną możnych Cylików dziedzinę.
Tam potkała ostatnia Ecyona dola.
Jednak zbroi nie złupił, szanując w nim króla.

Ale ją z ciałem spalił, wysypał grób, który
Okryły drzewem Nimfy, pana niebios córy.

W tym przekładzie są wyrzutnie, są i dodatki; wiernością wyrazową nie odznacza się wcale; razi w nim konwencyonalny wykrzyk *ach! mój mężu miły*, który przypomina raczéj sentymentalne czasy niż epokę wojny trojańskiéj; razi także „kochana" zamiast „dostojna" matka;—ale koniec końcem poetyczności odmówić mu nie można, obfituje bowiem w wyrażenia silne i malownicze.

Nie podobna mi rozbierać tak szczegółowo wielu innych ustępów, któreby mogły dowieść braku poczucia poetycznego w tłómaczu Iliady, z konieczności więc ograniczyć się muszę na wskazaniu niektórych wierszy odznaczających się albo prozaicznością, albo rozwlekłością, albo niewłaściwością wyrażenia.

Niepoetycznym jest ustęp następujący z powodu użycia wyrazów i obrazów niestosownych:

Teraz atoli tu wstąp i spocznij na tem krzesełku
Szwagrze, bo głównie *turbacya* na twoim umyśle *zawisła*
Dla mnie niegodnéj kobiety i *grzesznych dzieł* Aleksandra.

Przytém ustęp ten nie odznacza się jasnością; potrzeba bowiem namysłu, ażeby zrozumieć, że wyrażenie „dla mnie" ma znaczyć „z mojéj przyczyny."

Niepoetycznemi lub rozwlekłemi są po większéj części epitety stale powtarzające się, jako to: Hektor „z powiewnym lub powiewającym szyszakiem" (ładny to szyszak, co *powiewał* na głowie!) Hektor „co męże morduje" Hektor „*prześwietny*"; co przypomina styl kancelaryjny, zamiast Hektor przesławny, Athena „co łupy gromadzi" Ares „do walki najskorszy", Dyomed „o głosie donośnym" i t. p.

Niewłaściwemi są wyrazy i wyrażenia: Ajas *zapora* Achajów zamiast *ochrona*, *między* łzami się śmiejąc zamiast *wśród* łez; „cierpią z powodu ciebie *zagłobę* zamiast ciężką walkę albo wielkie strapienie. Niewłaściwym jest również frazes w wierszach następujących:

Trzeba nam iść, ułożymy to potém, jeżeli dozwoli
Zews nam kiedyś, by bogom niebieskim, wiecznie żyjącym
Kielich *na cześć wolności nastawić* w naszych pałacach.

Najprzód niepodobna powiedzieć „nastawić kielich" zamiast ofiarować, postawić; a powtóre *nie na cześć* wolności, ale na cześć

bogów *za* wolność odzyskaną; nic innego bowiem „kretera eleutheron“ znaczyć nie może, chociaż Łazarewicz w swoim słowniku do Iliady, tłómaczy to wyrażenie tak jak p. Popiel.

Nie mniéj niewłaściwym jest wyraz użyty w często bardzo cytowanych wierszach:

...do Likii go wysłał i wróżby złowieszcze dołączył
W szczelnie zamkniętéj tablicy, *spisawszy nań wyrok* zagłady.

Czytając podkreślone wyrażenie znowu się przypomina styl kancelaryjny: „spisawszy wyrok.“ Nie będę się sprzeczał z tłómaczem, czy w tém miejscu mowa istotnie o piśmie a nie o rysunku, gdyż toby mię zadaleko zaprowadziło, bo aż do kwestyi, czy w czasie powstania Iliady upowszechnione było pismo; ale niepodobna nie zaprotestować przeciw nieszczęśliwemu „wyrokowi,“ o którym Iliada nie mówi tu wcale; a powtóre przeciw *wróżbom* złowieszczym, ponieważ wróżby te były poprostu owym „wyrokiem“, t. j. znakami, jak się to pokazuje z wiersza 176, gdzie p. Popiel znów ten sam wyraz tłómaczy przez „wieści.“ Wreszcie trudno się zgodzić na tłómaczenie „ptyktos“ przez „szczelnie zamknięty,“ bo gdyby tablica owa była szczelnie zamknięta, to poeta nie zaniedbałby dodać w czém ją mianowicie zamknięto.

Niewłaściwe są także niektóre połączenia zdań, a szczególniéj niestosowne używanie przeciwstawnego zaimka *lecz*, np.:

Temi słowami braterskie serce bohater odmienił
Słusznie *gadając*; *lecz* tamten odepchnie ręką od siebie
Adrestosa dzielnego.

Toż odepchnięcie Adresta było skutkiem przemowy Agamemnona, Menelaus więc nie zrobił nic takiego, coby mogło przeciwstawność względem słów brata wykazać. Podobnąż uwagę zastosować można do wierszy następnych:

Tak wypowiedział, lecz ona wracając do domu na sługi
Woła, by one po mieście zebrały godniejsze niewiasty.

Matka spełnia to właśnie, co kazał zrobić Hektor, tak że czynność jéj jest skutkiem słów jego; jakże to można wyrazić za pośrednictwem przeciwstawnego *lecz?* W obu wypadkach greckie *de* uważał niewłaściwie p. Popiel za przeciwstawne, kiedy ono *łączącem* tu jest właśnie, jak to łatwo wnieść nietylko z prawideł gramatycznych, ale z samego sensu.

Napomknąć wreszcie muszę o kilku uchybieniach gramatycznych. Często używa p. Popiel przysłówka *nakoło* zamiast naokoło; mówi: „już nie *na* długo żył,“ *zapytywując* (zamiast zapytując), *bądźkiedy* (zam. kiedy bądź), *słyszawszy* zam. usłyszawszy, rumak *wyobroczony* przy żłobie, „*pokrótce* (zam. wkrótce) brata Hektora boskiego dogonił.“ Spis ten wyrazów albo niewłaściwie użytych, albo nieużywanych, albo niegramatycznie uformowanych bardzo mało mógłby się powiększyć; widać zatém, że tłómacz dba o poprawność języka i nie lekceważy jego wymagań; cokolwiek więcéj uwagi, a byłby uniknął i tych kilku usterek.

Czyż więc oprócz wiersza metrycznie zbudowanego, wierności względem tekstu i poprawności języka nie ma tłómaczenie p. Popiela innych zalet? Ma bez wątpienia a mianowicie w tych ustępach, w których spokojne toczy się opowiadanie. Gdzie tłómaczowi nie nastręczały się trudności do pokonania w wyrażeniach obrazowych, w dykcyi silnéj, w epitetach jednowyrazowych; tam szczęśliwie się z zadania swego wywiązuje. Jest bardzo wiele udatnych miejsc w sławnéj rozmowie Glauka z Dyomedem, po któréj wrogowie z początku, przypomniawszy sobie wzajem związki gościnności, zamieniają zbroje i postanawiają unikać się wzajemnie wśród walki. Ładnie téż oddana została rozmowa Hektora z klucznicą. Miejsca natomiast, w których uczucie wstydu, miłości, zapału góruje; daléj w obrazowych porównaniach, pozostaje p. P. na stanowisku prozaicznego tłómacza, który szeroki, pełny styl Iliady robi rozwlekłym i pospolitym. Taką cechę ma przemowa Heleny do Hektora i cała tak piękna scena między Andromachą i Hektorem. I te ustępy są bez wątpienia lepsze w przekładzie p. Popiela niż u Staszica, który parafrazował i u Przybylskiego, który nie miał poczucia estetycznego; ale tłómaczeniu Dmochowskiego przyznać musimy wyższość. Nie mogę przesądzać o wartości przekładu innych pieśni, jakie może już p. Popiel wygotował; ale tym dwom, które czytałem, odmawiając niektórych zalet estetycznych, przyznać winienem znaczenie polskich podobizn greckiego oryginału, *pracowicie* dokonanych.

P. Feliks Jezierski, podejmując przedsięwzięcie nowego przekładu Iliady, nie opiera jego uprawnienia na pobudkach natury ujemnéj. I owszem, tłómaczeniu Dmochowskiego przyznaje budowę wspaniałą i prawdziwe poczucie artystyczne, a samą osobitość tłómacza broni przed posądzeniem o nieumienie języka oryginału. „Aby Dmochowski, powiada, miał nie umieć po grecku i tłómacząc z przekładów łacińskich psuć arcydzieła, już raz przez innych zepsute, na to zgodzić się trudno. Przekłady

łacińskie prowadzone w tym rodzaju, jak np. w książce *autorowie greccy* wydania Hachette'a albo Didota, niedosięgające nawet granic *do użytku Delfina*, nigdyby nie uzuchwaliły poważnego człowieka do mierzenia się z tego rodzaju potęgą, jak Homer" (1). Niebrak więc dobrego tłómaczenia spowodował p. Jezierskiego do przedsięwzięcia nowéj około Iliady pracy; ale to przekonanie, że „epos o gniewie Achillesa uważa za świątynią z relikwiami, do któréj pielgrzymka hołdu *od każdego pokolenia* wysyłaną być powinna." Jak zatém w czasie panowania kierunku klasycznego Dmochowski dokonał wybornego w tym duchu przekładu; tak dziś, wśród zmienionych znacznie pojęć estetycznych, zachodzi potrzeba tłómaczenia, któreby tym pojęciom czyniło zadość.

Pan Jezierski posiada wszelkie dane do szczęśliwego wykonania swego zamiaru: gruntowną znajomość języka greckiego i talent poetyczny, którego liczne a przekonywające dowody złożył w kilku przekładach z angielskiego i niemieckiego. Jednym dowodem więcéj jest tłómaczenie XXII pieśni Iliady, dokonane wierszem rymowym. (2) Tłómacz ma pobożne niemal dla téj epopei uwielbienie i nie chciałby w swoim przekładzie zatracić ani jednego klejnota, który ją zdobi; doskonale odczuwa jéj prostotę, niepozbawioną przecię ani siły ogromnéj ani lekkiéj ironii; rozumié wybornie jéj spokój wspaniały, z jakim miłość i nienawiść, gniew i błaganie, serdeczność i okrucieństwo, litość i wzgardę w posągowych maluje zarysach. Z prawdziwie artystyczną wrażliwością umié się przejąć myślami i uczuciami osób powołanych do życia przez wielkiego wieszcza i dobrać słów odpowiednich do wyrzeźbienia ich w opowiadaniu lub rozmowie. Przytém wiersz silny, dźwięcznie, wybornie rymowany, niegrzeszący ani leniwem zaniedbaniem, ani przesadną kunsztownością, stanowi istotnie piękną, estetyczną szatę treści poetycznéj. Przemowa szczególniéj Pryama do Hektora obfituje we wszystkie dopiéro co wymienione zalety: przytaczać jéj w całości niepodobna; poprzestanę na krótkim jedynie ułamku:

Wejdź, dziecię, wejdź do grodu zwlekając spór krwawy
Ocal Ilion, Ilianki; nie przyczyniaj sławy

---

(1) Historyą, że tak powiem, zewnętrzną powstania przekładu Iliady objaśnił w r. 1866 Dmochowski syn, mówiąc: „W tłómaczeniu Iliady Dmochowski *miał do pomocy* dosłowny *przekład łaciński*, a ducha poety pojmował własnym duchem. Posiadałem egzemplarz *tekstu* Iliady z tłómaczeniem łacińskiém, na którém on własną ręką postęp swojéj pracy zaznaczał." Zob. *Pamiętnik naukowy*, 1866, Tom V. str. 215.

(2) Biblioteka Warszawska. Grudzień r. 1876.

Mężobójcy a sobie śmierci żądzą czynu.
Wszakem żywy, nad żywym ulituj się, synu,
Nędzarzem; Bóg mi w życiu z troską nierozdzielném
Czarną zgotował dolę: na progu śmiertelnym
Patrzéć będę na synów, na córek zagubę.
Wróg stratuje ich łoża, wnuczęta mi lube
Z pieluch wyrzuci, mieczem rozpłata im głowę,
Sprośną ręką na brańśtwo powlecze synowe.
Nareszcie i mną samym pod pierwszemi drzwiami
Ciałożerna psów sfora zaciekły ząb *splami*;
Kiedy zbliska czy zdala *kłem miedzianéj broni*
Dłoń najezdnika duszę z tych członków wygoni;
Z moich stołów karmione, a potém bezkarnie
Napiwszy się krwi pana, rozwścieczone psiarnie
Rozłożą się w przysionkach... Bodajto za młodu
Legnąć w imię Aresa! to mi kres zawodu,
Bo młodemu i sama śmierć będzie do twarzy;
Ale kiedy psów zgraja pokalać się waży
Brodę i włos już siwy, kłami sromotnemi,
O, to już nie ma doli strraszniejszéj na ziemi.

Mickiewicz, jak wspomniałem, pochwalił przekład Dmochowskiego ostatnich pieśni Iliady; a przecięż każdy bezstronny, porównawszy dźwięczne wprawdzie ale jednostajne, silne ale retoryczne raczéj niż poetyczne wiersze jego, odda pierwszeństwo ostatniemu tłómaczowi. Pozostawiając czytelnikowi porównanie całéj mowy Pryama w obu przekładach, załączę tu tylko dla natychmiastowego zestawienia początek przytoczonego ustępu:

„Wnidź do miasta, *bądź jeszcze obroną twych ziomków*,
Zbaw Trojan, *zbaw* Trojanki, *zbaw drobnych potomków*,
Nie wystawiaj się śmierci, *powróć do nas cały*
Nie dawaj sam największéj Achillowi chwały.
Nareszcie miéj nad nędznym ojcem zmiłowanie
Mam jeszcze *czucie* w moim nieszczęśliwym stanie!
Mnie Bóg w starości zgubi najsroższym *wypadkiem*
Gdy wszystkich domu mego nieszczęść będę świadkiem
Ujrzę syny wyrznięte, córy me porwane,
Zgwałcone łoża, *ściany krwią moich spluskane*
W mordzie strasznym, rozbite o głaz niemowlęta
A synowe związane w *barbarzyńskie* pęta.“

Trzykrotne a niepotrzebne powtórzenie o powrocie do grodu; sentymentalne „czucie“ i retoryczne „barbarzyńskie pęta;“ nieszczęśliwy „wypadek“ i nadetatowe „ściany krwią spluskane w mordzie strasznym:“ stanowią razem achillesową piętę tłómaczenia Dmochowskiego, którą p. Jezierski szczęśliwie w styksowéj wodzie zamoczył; nie tylko w tym ustępie, lecz i w wielu innych.

Przyznając atoli p. Jezierskiemu wyborne odczucie ducha Iliady i wierność poetyczną, polegającą na westalskiém strzeżeniu ognia świętego natchnienia, muszę mu zrobić ważny zdaniem mojém zarzut niejednostajnego uwzględniania stylu, właściwego „epopei o gniewie Achillesa.“ Styl ten jest przedewszystkiém pełny i szeroki. Poeta lubuje się w szczegółach malowniczych, roztaczając porównania, nigdy się nie śpieszy do zakończenia ich, lecz owszem, z zamiłowaniem uwydatnia wszystkie punkta mogące mieć jakiekolwiek zastosowanie do danego wypadku; mówiąc o osobach, szczególny nacisk kładzie na ich nazwiska, powtarzając je często i rzadko zastępując zaimkami; ma wielkie zamiłowanie do stałych zwrotów całowierszowych i do epitetów przydawanych zarówno osobom jak i rzeczom. Powtóre, styl jego poetyczny zasadza się na przenośniach branych ze świata zmysłowego; tak, że użycie abstrakcyjnych wyrażeń, zaprzęganie *pojęć* do metaforycznego rydwanu, należy do nadzwyczaj rzadkich zjawisk. Potrzecie, styl ten przeważnie jest parataktyczny a nie hypotaktyczny, t. j. woli zestawiać ze sobą zdania spółrzędne, niż je wiązać w okresy, w których jedne zdania zależnemi od innych się stają. Cecha ta nie, występuje tu tak wybitnie, jak np. w pismach Starego Testamentu korrelatywny stosunek jest owszem częstym gościem; w każdym jednak razie charakteryzuje ona styl homeryczny i odróżnia go od stylu utworów późniejszych; o ile te oczywiście nie były prostemi naśladowaniami.

Zachowanie tych głównych cech stylu przynajmniéj liczyć się musi koniecznie do obowiązków tłómacza, który nietylko treść poetyczną, ale i jéj wyrazową rzeźbę odtworzyć pragnie. Dmochowski bardzo rzadko o obowiązku tym pamiętał i dla tego przekład jego mimo wielu zalet, nie odpowiada dzisiejszym wymaganiom estetycznym. Pan Jezierski, wtajemniczony we wszystkie szczegóły architektonicznego układu Iliady, rozumiał znaczenie jéj stylu, który, zostając w najściślejszym związku z treścią, połowę piękności poematu bez wątpienia stanowi, i starał się go oddać w przekładzie swoim. Przyzwyczajony atoli do stylu nowożytnego, lubującego się w zwięzłéj kunsztowności i porównaniach, branych ze świata *umysłowego*, niewszędzie jednakowéj dołożył pilności,

ażeby się z téj „drugiéj natury“ swojéj otrząsnąć. Już w przywiedzionym wyżéj ustępie, baczny czytelnik, rozważając wyrażenie „ciałożerna psów sfora mną samym *ząciekły ząb splami*,“ może dojść do przekonania, że ono pomimo całéj udatności swojéj, niebardzo licuje z prostotą homeryczną. Jakoż, istotnie czytamy w tém miejscu bardzo proste wyrażenie: „i mnie samego w końcu psy ciałożerne rozszarpią;“ a o „splamieniu“ *zaciekłego* zęba nie ma naturalnie ani słowa. Podobnież i następujący zaraz frazes, że „dłoń najezdnika *kłem miedzianéj broni* wygoni duszę z członków“ zawiera i trafną i plastyczną metaforę, która każdego oryginalnego wiersza byłaby ozdobą; ale ja sądzę, że Iliada ma dosyć własnych piękności, ażeby je wypadało podnosić kokieteryjnemi dodatkami... Ale to są przynajmniéj wyrażenia wzięte ze świata zmysłowego; są więc w pewnéj zgodzie ze stylem homerycznym; gdy atoli czytamy, że sokół „nie szczędzi nacisku,“ że Hektor „nie skąpił posłuchu;“ że „wielki Achilles *zaciekł się na połów,*“ że „na wszystkich *padło otruchlenie*,“ że ktoś „przywołuje otuchę,“ że „brat z Febem w *pomściwéj spółządzy* zgubią kiedyś Achillesa,“ że Pelid „począł na lud achejski *snuć* słowa *skrzydlate*,“ że Pryam „błagał w *bezsile* każdego;“ to nam się przypominają poemata spółczesne tak nieraz szafujące abstrakcyami i niedobranemi połączeniami *pojęć z wyobrażeniami*, ale nie przychodzi nam na myśl Homer ze swoją jasną, prostą, plastyczną dykcyą.

Powtóre, w stylu p. Jezierskiego dostrzedz można pewnego rodzaju zwięzłość, niemającą nic spólnego z tokiem dykcyi homerycznéj. Tłómacz nie waha się powtorzyć téj saméj myśli innemi słowami; ale unika ile możności powtarzania imion własnych i epitetów z niemi złączonych; jedne porównania skraca, inne zaś natomiast rozszerza własnemi dodatkami; radby uniknąć jednostajności wyrazów i wyrażeń; niecierpliwi się długiém opowiadaniem lub opisem i chciałby niemal skończyć je jak najprędzéj. Pobudką ku takiemu postępowaniu była bez wątpienia chęć wyrównania liczbą wierszy oryginałowi, co przy trzynastozgłoskowym wierszu i trudnościach rymu nader wiele przedstawiało przeszkód; ceniąc jednakże tę chwalebną pobudkę, trudno nie żałować skutków, przez nią sprowadzonych. Przypatrzmy się im trochę bliżéj. Oto przykład porównania:

Jak ten *wąż,* na przechodnia dybiący przed jamą,
Co z ziół *nassał się jadu*: wściękłe *płaza* oczy
Błyszczą straszliwie, w kręgi zwija się *ścierw smoczy*:
Tak *on* dybie, *krew* sama w żyłach *pomstą bieży*.

Pomijam tu kunsztowne wyrażenia: „nassał się jadu,“ „krew bieży pomstą“, jako należące do téj kategoryi właściwości stylowych, o któréj już mówiłem; zwrócę tylko uwagę czytelników na tę rozmaitość wyrazów, użytych do oznaczenia jednego gadu; którego raz tłómacz nazywa *wężem*, drugi raz *płazem* a trzeci raz *ścierwem smoczym;* chociaż poeta raz jeden tylko powiedział: *drakon* (smok); powtóre zaznaczę chęć unikania imion własnych, gdy tłómacz w początku drugiéj połowy porównania mówi: tak *on* dybie, chociaż zarówno oryginał, jak i jasność wyrażenia wymagały koniecznie nazwiska *Hektora*. Budowa porównań w Iliadzie odznacza się zawsze wielką prostotą, którą się zaciéra, gdy się zechce rzeźbić zanadto koronkę wyrazową. Zaznaczona tu chęć pomijania imion własnych najjaskrawiéj występuje w ustępie, w którym poeta opisuje gonitwę Achillesa za uciekającym Hektorem:

Tak dumał, aż *pogromca* podchodzi go zbliska
Istny Ares, bożyszcze krwawego igrzyska,
Jak on trzęsie przyłbicą; na prawém ramieniu
Drga mu włócznia *napierśna* (1); miedź szkli się w promieniu
Niby ognia lub słońca wschodzącego łuna;
Strach ogarnął Hektora, w obliczu *zwiastuna*
Śmierci ubiegł truchlejąc (2); za nim wokół grodu
Pędzi *pogońca*. Jako najściglejszy z rodu
Górnych skrzydlaczy, sokół, z niepochybnym ciosem
Mdłą golębicę ściga; ta mu się ukosem
Wywija, a ten, chciwy krwidajnego zysku
Bez wysileń a z wrzaskiem nie szczędzi nacisku:
Tak on gnał dufny w rączość, a *zbieg* potruchlały
Mknie podmurzem. *Zbiegowi* kolana się chwiały.“

Otóż w tym ustępie wyrazy podkreślone *pogromca* i *pogońca* zastępują nazwisko Achillesa czyli Pelida; a wyraz „zbieg“ położył tłómacz zamiast „Hektor.“ Tak samo trochę daléj zamiast „Achaje!“ mówi p. Jezierski „wróg;“ potém znów Achillesa wyparł zaimek *ten* i t. d. Wszelkie omówienia i wszelkie zastępstwa nazwisk lub w ogóle rzeczowników zaimkami mają miejsce u Homera dosyć

---

(1) W oryginale *pelijska* włócznia straszna.

(2) O ileż plastyczniejsze jest wyrażenie oryginału: „nie mógł już na miejscu pozostać, bramę w tyle zostawił i szedł przerażony.“ Tłómaczowi zbrakło cierpliwości do wykończenia szczegółów tego malowniczego opisu.

rzadko; i dopiero z rozwojem języka i stylu przybrały one te wielkie rozmiary, jakie w stylu dzisiejszym posiadają. Nie idzie mi więc o drobnostkę, jakby to na pozór wydawać się mogło, ale o istotną cechę dykcyi homerycznéj; a kto uznaje prawdę twierdzenia, że styl to człowiek, ten mi się dziwić nie będzie. Epiteta homeryczne i jednostajność zwrotów nie zostały również należycie uwzględnione. Prawda, że dobranie trafnych epitetów jest jedną z największych w języku naszym trudności; dla tego że nie łatwo nam tworzyć złożone przymiotniki; ale tłómacz, któremu zaraz z samego początku trudność ta musi przyjść na myśl, powinien dobrze je obmyśléć dla własnéj nawet wygody; raz bowiem pokonana przeszkoda staje się w dalszym ciągu niemałoważną pomocą. P. Jezierski miał przedewszystkiém dwa takie epiteta do przekładu; *korythajolos* dla Hektora, *ôkys podas* dla Achillesa. Pierwszy spolszczył dwojako: *lśniąco v. lśniwo hełmaty* i *potrząśca przyłbicy*; ani jednego ani drugiego niepodobna za udatny poczytać. „Lśniącohełmaty" nietylko nie da się usprawiedliwić wiernością, gdyż przymiotnik grecki nie ma takiego znaczenia; ale nadto jest rażący pod względem gramatycznym, gdyż nikt nie może powiedzieć: czapkaty, kapeluszaty, a więc i hełmaty, choć mówi się uszaty, włochaty i t. p. „Potrząśca przyłbicy" z powodu niefortunnego rzeczownika również za wyrażenie nieodpowiednie celowi poczytać wypadnie. Achillesa nazwał p. J. „rączobiegim;" nie wiém dla czego gardząc powszechnie przyjętym przymiotnikiem „szybkonogi." Inne epiteta tłómacz peryfrazuje; Pallas np. nazywa się „o sowiém oku," chociaż przymiotnik „sowiooka" byłby stosowniejszy, bo krótszy; Apollon dostaje przydomek „o srebrnym kołczanie" i *wszechcelny* łucznik (Hekaergos), który ma tę wadę, że jest zadługi dla trzynasto-zgłoskowego wiersza; Zeus zowie się „mocarzem błyskawic" lub chmurowładcą; Hektor (hippodamos) gromicielem koni (czyż nie lepiéj: *pogromcą?*) i t. d.

Każdą rozmowę wprowadza poeta za pośrednictwem całego wiersza; tłómacz skraca go po większéj części na „mówi, rzecze," wtrącone po pierwszym lub drugim wyrazie zaczętéj mowy; jestto również modernizacya, odbierająca Iliadzie cechę jéj właściwą. A ponieważ nadto tłómacz zmienia ciągle wyrażenia wprowadzające rozmowę, niezważając na tekst, zaciera przez to jedno z najbardziéj wpadających w oczy znamion poematu. Tak np. zupełnie ten sam wiersz powtórzony w tekście bez zmiany (w. 215 i 228) brzmi u p. Jezierskiego odmiennie; raz czytamy: „I tém słowem polotném głaszcze Pelejona" a drugi raz: „Tak go nęci do boju

polotnemi słowy.“ Przykładów skróceń jest znaczna liczba: „O nie, odparł—i wściekłym go wzrokiem uderza,“ „Chybiłeś, mówi Hektor“ i t. d.

Za niestosowne również uważam używanie rzeczowników zdrobniałych, pieszczotliwości bowiem ani politowania Iliada w ten sposób nie wyraża; stąd wiersze takie jak: „Bo na *ludek* śmiertelny spiekotę nasyła“ lub: „To ja, com cię powiła, *ździebełko* ty moje“ lub: „Przy mamce lub w *łóżeczku* wyściełaném wełną“ trochę się Homerowi urągają. Niemniéj tkliwość i sentymentalność nie przypada mu do lica; dla tego téż brzmi pewien dysonans w tym monologu Hektora:

„Lecz, co tu ważyć? ja mu korny pierś odkryję,
A on mię jak bezbronną niewiastę zabije
Bez litości; tu nie czas na *rzewne* szeptanie
Oblubieńca z *pasterką* o dębach i *łanie*.“

To *rzewne szeptanie* z *pasterską* trąci nieco idyllą z XVIII stulecia. Oryginał nie pozwalał na taką czułostkowość; czytamy tu poprostu co następuje: „Ależ zkąd mi to na myśl przyszło? Jeżeli do niego się zbliżę, on się nie ulituje nademną, ani mnie uczci, lecz mię zabije bezbronnego tak jak kobietę, skoro tylko zdejmę zbroję. Nie można przecięż gwarzyć z nim o dębie i skale, jak dziewica z młodzieńcem, kiedy dziewica z młodzieńcem gwarzą ze sobą.“ Ten sam ustęp niech posłuży jeszcze jako przykład nadzwyczajnéj zwięzłości tłómacza; to, co on wyraził w *czterech* wierszach, opowiedział poeta w *siedmiu*. Ze p. J. tak skracając, opuścił owo plastyczne rozwinięcie szczegółów sytuacyi, tak Iliadzie właściwe, to czytelnik sam spostrzeże, porównawszy przekład dosłowny z tłómaczeniem p. Jezierskiego.

W końcu muszę wytknąć i tę właściwość tłómacza, że się lubi posługiwać nieutartemi, częstokroć przez siebie utworzonemi wyrazami. Sądziłbym, że w przekładzie takiego poematu jak Iliada, która się odznacza tak wielką objektywnością—bez względu na rozstrzygnięcie pytania, czy ona powstała wśród ludu na drodze powolnego rozwoju, czy téż była dziełem jednéj gienialnéj osobistości, posługującéj się wyrażeniami będącemi w powszechném użyciu—indywidualność tłómacza powinna o ile możności ustępować miejsca powszechnym narodu przywyknieniom pod względem *mowy*; muszą więc zatrzéć się ślady jego przyzwyczajeń i sposobów wysłowienia. Takie atoli wyrazy, jak: *pzzedpierśnia* Ilionu, nocne *bezmgławie*, *złowróżbia* gwiazda, *złowróżbio* świecić, *podźródla*, *pogromny*, w *napręgu*, *zamgławia*, *kryjowie*, szata *przysobna* są istotnie

własnością indywidualną tłómacza i nie powinny były wejść do przekładu powszechnéj narodowéj księgi Hellenów.

Uogólniając moje zarzuty, powiedziałbym, że w tłómaczeniu swojem p. Jezierski, starając się wzbudzić we współczesnych czytelnikach zajęcie dla tak odległego pod względem epoki poematu, uważał za potrzebne podnieść skalę jego polotu przez śmiałe i kunsztownie zwięzłe wyrażenia. Mnie się atoli zdaje, że w ten sposób zmodernizował zanadto swój przekład, co téż usiłowałem kilkoma uwagami udowodnić; i chociaż ogólny nastrój poetyczny Iliady trafnie odtworzył, w szczegółach jednak zatarł tę barwę archaistyczną, która świetnego dodaje blasku epopei staro-helleńskiéj. W każdym atoli razie uznaję w p. Jezierskim dzielnego tłómacza, mogącego nam dać pożądaną wśród poetycznéj u nas posuchy karm' estetyczną. Gdyby się przecięż w piśmiennictwie naszém mogła zawiązać wyczerpująca dyskusya nad sposobami tłómaczenia arcydzieł greckiéj literatury i zostać prawomocną dla tłómacza wskazówką, nie wątpię, że Iliada doczekałaby się zadawalniającego pod każdym względem przekładu.

P. Chmielowski.

WYDZIAŁ MATEMATYCZNO-PRZYRODNICZY
AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE,
w latach 1873–1876

PRZEZ

Maryana A. Baranieckiego.

Skład wydziału. — Urządzenie wewnętrzne. — Przegląd prac, ogłoszonych w pierwszym i drugim tomie „Pamiętnika".—Rozprawy, ogłoszone w całości w trzech wydanych tomach „Rozpraw i sprawozdań z posiedzeń". — Komisya fizyograficzna. — K. antropologiczna.— K. balneologiczna.—Zakończenie.

Akademia umiejętności w Krakowie, powstała z byłego c. k. towarzystwa naukowego krakowskiego, składa się z trzech wydziałów: 1) filologicznego, 2) historyczno-filozoficznego i 3) matematyczno-przyrodniczego. Krótkie przedstawienie działalności ostatniego z tych wydziałów w latach 1873—1876 jest celem niniejszego artykułu. Jako materyał służyć nam będą rozmaite jego wydawnictwa, o których szczegółowiéj mówić niżéj będziemy.

Najprzód kilka słów o *składzie wydziału.*

Przy otwarciu akademii, wydział matematyczno-przyrodniczy (którego początek działalności można oznaczyć na d. 15 Marca r. 1873, jako dzień pierwszego jego posiedzenia naukowego) składał się z ośmiu członków czynnych, wybranych przez oddział przyrodniczo-lekarski b. towarzystwa naukowego ze swego grona i zatwierdzonych następnie przez Monarchę, na mocy przepisów przechodnich statutu akademii, któréj dalsze uzupełnianie się wyborem nowych członków już od niéj saméj zawisło. Tymi pierwszymi członkami wydziału zostali profesorowie (lub téż byli profesorowie) uniwersytetu Jagiellońskiego: Biesiadecki Alfred, Czer-

wiakowski Ignacy, Dietl Józef, Kuczyński Stefan, Majer Józef, Skobel Fryderyk i Teichmann Ludwik, oraz profesor uniwersytetu Lwowskiego, Żmurko Wawrzyniec. Pierwszym dyrektorem wydziału obrano d-ra Dietla, sekretarzem zaś prof. Biesiadeckiego. Frócz tego, statut akademii wszystkim członkom czynnym oddziału przyrodniczo-lekarskiego byłego tow. nauk. przyznaje prawo obecności na posiedzeniach naukowych i brania udziału w komisyach naukowych wydziału, a zarazem używania tytułu członka nadzwyczajnego akademii. (Ta kategorya członków, jako utworzona wyłącznie dla tych członków b. tow. nauk., którzy nie weszli w skład akademii, czy to jako jéj członkowie czynni, czy téż korespondenci, jest przejściowa, a tém samém nowi członkowie nadzwyczajni przybierani do akademii być nie mogą).

Ten pierwotny skład wydziału do końca r. 1876 uległ następującym zmianom.

1 Maja r. 1873 wybrani zostali na członków czynnych profesorowie: Alth Aloizy, Czyrniański Emil, Karliński Franciszek, Nowicki Maksymilian i Piotrowski Gustaw (Kraków), Domeyko Ignacy (Santiago), Frączkiewicz Augustyn i Szokalski Wiktor (Warszawa), Hyrtl Józef i Rokitansky Karol (Wiedeń), Strzelecki Feliks (Lwów). Na członków zaś korespondentów obrano profesorów: Brodowskiego Włodzimierza, Girsztowta Polikarpa i Hoyera Henryka (Warszawa), Skibę Edwarda (Kraków), Strassburgera Edwarda (Jena), Zajączkowskiego Władysława (Lwów), oraz budowniczego Tetmajera Józefa (Kraków).

3 Lutego r. 1874 członek czynny tego wydziału prof. Skobel, na własne żądanie, przeniósł się do wydziału filologicznego akademii; natomiast z wydziału filologicznego członek czynny, inżynier dr. Żebrawski Teofil (Kraków) zaliczony został 28 Lutego roku 1874 w poczet członków wydziału matematyczno-przyrodniczego.

Następnie jeszcze na członków korespondentów wybrano: 2 Maja r. 1874 prof. Radziszewskiego Bronisława (Lwów), 14 Czerwca 1875 prof. Frankego Jana (Lwów) i 2 Maja 1876 prof. Janczewskiego Edwarda (Kraków).

Sekretarz wydziału, prof. Biesiadecki, w Grudniu r. 1874 zrzekł się téj godności, do piastowania któréj powołano prof. Kuczyńskiego; gdy nadto dr. Dietl w Październiku r. 1875 prosił o uwolnienie go od obowiązków dyrektora wydziału, na dyrektora wydział powołał prof. Czerwiakowskiego.

Stosownie do przepisów o *„urządzeniu wewnętrzném akademii“*, wydział matematyczno-przyrodniczy odbywa 20-go każdego

miesiąca (prócz Sierpnia i Września) posiedzenia naukowe, na których mogą być przedstawiane takie tylko prace, które, mając na celu postęp umiejętności, a nie proste jéj rozpowszechnienie, są przez autora przeznaczone do publikacyj naukowych akademii. Prócz tych bywają jeszcze posiedzenia administracyjne, a także mogą być zwoływane posiedzenia nadzwyczajne. Wydział ma prawo wyznaczać czasowo komisye w miarę zachodzącéj potrzeby, a także tworzyć stałe „komisye akademickie“, mające uskuteczniać prace przygotowawcze w pewnym oznaczonym kierunku, jako téż gromadzić materyały, stanowiące podstawę a zarazem źródła do dalszych wywodów naukowych. Do komisyj tych mogą być przyjmowane osoby, do składu akademii nienależące, dla wzięcia udziału w czynnościach komisyi, jako jéj „członkowie przybrani“. Komisye stałe wybierają swego przewodniczącego i sekretarza, swoje posiedzenia odbywają oddzielnie, a w miarę potrzeby i środków publikują rezultaty swéj działalności. Takich stałych komisyj akademickich wydział matematyczno-przyrodniczy posiada trzy: fizyograficzną, antropologiczną i balneologiczną, z których pierwsza wydaje corocznie oddzielny tom (8-vo maj.) „Sprawozdań“ ze swych czynności.

Wydział zaś publikuje od siebie „Pamiętnik“ (in 4-to) i „Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń“ (in 8-vo).

W „Pamiętniku“ zamieszczane są prace obszerniejsze, prowadzące do poglądów ogólniejszych, na zasadzie w pewną całość ujętego szeregu badań. Prace te drukują się w miarę ich zakwalifikowania przez wydział, a gdy się ich nabierze 30 arkuszy druku, to zbiór ich stanowi tom oddzielny; wydawnictwo to nie jest więc terminowém. Dotąd wyszły dwa tomy „Pamiętnika“: pierwszy w r. 1874, drugi zaś w r. 1876.

W „Rozprawach i sprawozdaniach z posiedzeń“ zamieszczane bywają protokuły tak posiedzeń wydziału, jak i jego komisyj, uchwały co do zadań, nagród, oraz odpowiedzi na kwestye, stawiane przez organa władzy, jako téż rozprawy i pojedyncze spostrzeżenia, uznane przez wydział za godne druku, a nieweszłe do „Pamiętnika“. To wydawnictwo również nie jest peryodyczne: w miarę, jak się zbierze 24 arkuszy druku, powstaje tom oddzielny. Publikacyi téj wyszło dotąd tomów trzy: pierwszy obejmuje sprawozdania z posiedzeń wydziału i komisyj od 15 Marca r. 1873 do 20 Lipca r. 1874; drugi od 21 Grudnia r. 1874 do 22 Grudnia r. 1875; trzeci nakoniec od 20 Stycznia do 17 Lipca r. 1876.

Pierwszy tom „Pamiętnika“ zawiera 10 rozpraw, a mianowicie:

a) „*Anatomia patologiczna gruczołów skórnych*“ przez prof. Alfreda *Biesiadeckiego* (str. 44 z dwiema tablicami figur). Obszerne stosunkowo sprawozdanie o téj pracy pomieścił „Przegląd krytyczny“ (1874 N. 1), w którém szczegółowo są zestawione poglądy p. Biesiadeckiego z poglądami innych uczonych, jako téż ściśle oddzielone wywody własne autora. Powołując się na tę recenzyą specyalisty, któréj nie możemy tu ani w całości przytoczyć, ani téż streścić, jako będącéj objektywném rozpatrzeniem szczegółów pracy p. B., zaznaczymy tylko, że memoar dzieli się na dwie części; w pierwszéj opisuje autor zboczenia gruczołów potnych, tak pod względem ilości wydzieliny, jako nadmiarowe wydzielanie potu, lub nieprawidłowo zmniejszone wydzielanie, jako téż pod względem jakościowym, co do woni, barwy, domieszek obcych, np. krwi i t. d. Część ta jest tylko zestawieniem klinicznych spostrzeżeń, gdyż samoistnych zmian anatomicznych gruczołów potnych prawie nie znamy. W części drugiéj opisuje autor zmiany gruczołów łojowych, pod względem ilości wydzieliny, skutkiem jéj nagromadzenia w przewodach gruczołów, a także jakościowe zmiany wydzieliny gruczołów łojowych, choroby torebek włosowych i gruczołów łojowych, tudzież ich otoczenia, nakoniec nowotwory gruczołów i torebek łojowych.

b) „*O całkach osobliwych zwyczajnych równań różniczkowych rzędu jakiegokolwiek*“ przez prof. Władysława *Zajączkowskiego* (str. 12). W pracy téj p. Zajączkowski wyprowadza najprzód dwoma sposobami rozwiązanie osobliwe danego równania różniczkowego z jego całki zupełnéj. Zwięzły ten a jasny wywód zaleca się elegancyą i prostotą, oraz trafnie dobranym przykładem. Daléj p. Z. wyprowadza rozwiązanie osobliwe danego równania różniczkowego przy pomocy jego całki pierwszéj, t. j. równania różniczkowego o jedność niższego rzędu, niż dane, i z jedną stałą całkowania, a to bez uprzedniéj znajomości jego całki zupełnéj. Otrzymane przytém warunkowe równania poddane zostały troskliwemu roztrząsaniu. Potém p. Z. podaje sposób wyprowadzenia rozwiązania osobliwego, bezpośrednio z samego równania różniczkowego, bez pomocy jego całek, tak zupełnéj, jak i pierwszéj, przyczém Lagrange‘owskie warunki poddaje dyskusyi i uzupełnia, według wskazówki, jaką miał już poprzednio daną przez De Morgan‘a dla równań różniczkowych rzędu pierwszego. Pracę tę kończy kryteryum dla odróżnienia rozwiązania osobliwego od całki szczególnéj, które autor otrzymuje, jak sam mówi, tylko „uogólniając pewne twierdzenie Boole‘a, dowiedzione jeszcze pierwéj przez Cauchy‘ego“. Widzimy więc, że tą pracą p. Z. wnosi rozprzestrze-

nienie znanych metod na równania różniczkowe wyższych rzędów i częściowo uzupełnia dotychczasowe w tym kierunku badania. Dodajmy, że nader zręczny układ téj rozprawy, oraz przeprowadzenie rzeczy, mimo zwięzłości, zalecające się jasnością, powiększają wartość téj, dla saméj już treści, cennéj pracy p. Z

c) „*O styczności stożków obrotowych*“ przez prof. Wawrzyńca *Żmurkę* (str. 8). W téj rozprawie p. Żmurko bada własności stożka stycznego do trzech innych stożków obrotowych, podaje sposób wyznaczenia w danym stosunku układu harmonijnego punktów na łuku sferycznym za pośrednictwem rysunku na płaszczyźnie, a kończy rzecz podaniem sposobu wyznaczenia stożków stycznych do trzech innych stożków obrotowych, mających wspólny wierzchołek, oraz wyznaczenia kół stycznych do trzech danych kół, nakreślonych na powierzchni jednéj kuli. Skutkiem zbyt zwięzłego przedstawienia praca ta wiele traci na jasności wykładu.

d) „*Studya analityczne nad ruchem ciał stałych*“ przez prof. Jana Nepomucena *Frankego* (str. 36). P. Franke, znajdując, że tak Schell w „Theorie der Bewegung und der Kraefte“, jak i Somow w „Kinematika“, mimo dążności analitycznego traktowania cynematyki ciał stałych, nie zdołali się uwolnić od metody syntetycznéj, wnosi, że analityczne traktowanie ruchu ciał o kształcie niezmiennym, stanowiące podstawę i punkt wyjścia mechaniki analitycznéj, jest pożądane, tak ze względu na konieczność połączenia tego, co z poprzednich prac jest nam wiadome, jak i na możność osiągnięcia nowych rezultatów. W téj myśli podjęta ta praca ma służyć za wstęp do dalszych badań specyalnych i ich zastosowań. Ta praca p. F. zaleca się zręcznym układem, oraz jasnością i elegancyą wyłożenia, co usprawiedliwia w zupełności niecierpliwość, z jaką oceniający tę pracę w „Przeglądzie Krytycznym“ (1875 N. 9), oczekuje na dalszy jéj ciąg, choć według zdania tego recenzenta (prof. Skiba): „wszystko to, co autor wyprowadza o ruchu ciał stałych, jest już znaném z prac poprzedników“. A daléj: „zasługą autora jest jednak, że wszystkie twierdzenia wyprowadza podług jednéj metody analitycznéj, łącząc przytém teoryą chyżości z teoryą przyśpieszeń, za pomocą ogólnéj teoryi przyspieszeń *s*-ego stopnia. Za mało jest rozwinięta rzecz o przyśpieszeniach wyższych stopni nad pierwszy: autor nie wykazuje, czy przyśpieszenia wyższych stopni nad pierwszy przyczyniają się w czémkolwiek do ułatwienia badań ruchu ciał stałych. Byłoby tu pole dla autora do wykazania większéj samo-

dzielności, bo to przedmiot nowy, dopiéro przez Somowa cokolwiek obrobiony".

e) „*Przyczynek do teoryi równowagi i ruchu ciała sztywnego*" przez Władysława *Gosiewskiego* (str. 4). Zadanie o wyznaczeniu ruchu ciała sztywnego sprowadza się do zadania o wyznaczeniu ruchu któregokolwiek punktu ciała, pod wpływem wszystkich sił nań działających, i ruchu samego ciała około tego punktu—zadania, w zupełności i w sposób prosty oddawna rozwiązanego. Traktując ruch ciała sztywnego, p. Gosiewski ma jednak na celu oznaczenie warunków równowagi i ruchu w każdym punkcie ciała oddzielnie. Przy zestawieniu otrzymanych równań, wyrażających warunki równowagi w każdym punkcie ciała i na jego powierzchni, ze znanemi równaniami równowagi w teoryi sprężystości, autor zaznacza najciekawszą tu kwestyą, co do wyznaczenia ilości, wchodzących w owe otrzymane równania równowagi, którą jednak rozwiązać zamierza w nastąpić dopiero mającéj części téj pracy. Od siebie dodamy, że jedynie ów właśnie wciąż jeszcze nieogłoszony dalszy ciąg tych badań p. G. wykazać może wartość pracy, wydrukowanéj w „Pamiętniku", w którym znowu nie powinno być — że się tak wyrazimy — niedomówień naukowych, osobliwie w kwestyach matematycznych. Wprawdzie w protokule posiedzenia wydziału, jeszcze d. 21 Grudnia r. 1874 jest zaznaczony referat jednego z członków o nadesłanym dalszym ciągu rozprawy p. G., lecz ani sama rozprawa, ani jéj treść, przez wydział dotąd ogłoszoną nie została.

f) „*Teorya matematyczna pochłaniania światła*" przez prof. Edwarda Władysława *Skibę* (str. 27). W téj rozprawie przedstawia p. Skiba swoję matematyczną teoryą pochłaniania światła, opierającą się na tém, że eter w ciałach, skutkiem wpływu jego cząsteczek (czyli, jak autor nazywa: drobin), przybrać musi inną budowę, niż ta, którą posiada w stanie wolnym, co wytwarza około cząsteczek pewnego rodzaju atmosferę eteryczną i wywołuje zmienne pod wzgledem gęstości ułożenie eteru międzycząsteczkowego—zmienne jednak w pewien sposób okresowy. Z tego powodu fale świetlne pewnéj okresowości przebywać będą taki eter z całą swobodą, inne zaś z mniejszą lub większą trudnością. Opór, jaki stawiać będą w pewnych warunkach cząstki eteru, pobudzane do drgań niezgodnych, można uważać jako pewien rodzaj tarcia, osłabiający lub nawet niszczący pewne drgania. I gdy p. Stokes przyjmuje w swéj teoryi, że przy pochłanianiu światła przenosi się ruch z eteru na cząsteczki ciała, przy zgodności

drgań eteru z drganiami właściwemi cząsteczkom, to p. Skiba jako powód pochłaniania przyjmuje niezgodność drgań, odpowiadających pewnym barwom światła, z drganiami właściwemi eterowi międzycząsteczkowemu, czyli rodzaj tarcia, skutkiem czego ruch, wytwarzający się w cząsteczkach, nie będzie w ogólności taki sam, co pochłonięty ruch eteru. A taki pogląd na istotę pochłaniania światła, usuwający, według zdania autora, te trudności, na jakie w tłómaczeniu zjawisk pochłaniania natrafia teorya Stokes'a, służy za podstawę teoryi p. Skiby, rozwiniętéj w téj pracy. Co się tyczy opracowania téj teoryi, to, nie mogąc w tym artykule podnosić rozmaitych szczegółów, powiemy, że podobnie, jak i opracowanie poprzedniéj pracy p. Skiby („Nowa teorya rozszczepiania się światła"), zdradza ono swobodne panowanie nad przedmiotem i umiejętne a trafne władanie metodami rachunkowemi. Znać tu badacza, który dopiero wtedy jął się opracowywania swoich pomysłów, gdy gruntownie już przerobił prace poprzedników i krytycznie rezultaty ich rozebrał. — Pracę swą kończy p. Skiba uwagą, że nowe wyniki jego teoryi, wymagające sprawdzenia doświadczalnego, otwierają pole nowe dla badań fizyków.

g) „*Poszukiwania nad wzrostem wierzchołkowym korzeni u roślin okrytoziarnowych*" przez prof. Edwarda *Janczewskiego* (str. 20, z 5 tablicami). Szczegółowe sprawozdanie z téj pracy pomieścił „Przegl. Krytyczny" (1875 N. 9), w którém p. Rostafiński wskazuje, że p. Janczewski w swéj pracy wykazał błędność poglądu Reinke'go, że korzenie wszystkich roślin okrytoziarnowych rosną według téjże saméj modły: przekonał się bowiem, że korzenie roślin okrytoziarnowych przedstawiają cztery różne wzory wzrostu wierzchołkowego, z których dwa należą do jednoliściennych, dwa zaś pozostałe do dwuliściennych. Co więcéj, sumienne i wyczerpujące zbadanie przedmiotu przekonało p. J., że i teorya prof. Hanstein'a, co do składu korzeni z trzech jakoby pierwotnych tkanek i co do pochodzenia czapeczki, jest po części błędną.

h) „*O chyżości rozchodzenia się światła w solach*" przez prof. Gustawa *Piotrowskiego* (str. 38). P. Piotrowski podaje wielką ilość spółczynników załamania dla rozmaitych soli, które nader troskliwie za pomocą dokładnego spektrometru wyznaczył, uwzględniając przy roztworach soli tak ich temperaturę, jak i ciężar gatunkowy. Z wypadków swych doświadczeń stara się wyprowadzić teoretyczne wnioski, robiąc rozmaite hypotezy, z których niejedna jest téj natury, że przyjęcie takowéj nie dozwalałoby wy-

tłómaczyć zjawisk rozmaitych, innych, niż bezpośrednio miane na uwadze przez p. P. Wywód nadto autora o stosunkowéj objętości cząsteczki, jak tego dowiódł prof. Skiba („Przegląd Kryt.", r. 1875, N. 6), jest błędny. Zasługą p. P. pozostaje zgromadzenie wielkiego zapasu liczb starannie wyznaczonych, które nader przydatne być mogą przy rozmaitych pracach fizycznych, oraz naukowe i dość samodzielne traktowanie przedmiotu, przy uwzględnianiu spółczesnych prac obcych uczonych.

i) „*O czystości powietrza*" przez prof. Feliksa *Strzeleckiego* (str. 16). W téj rozprawie p. Strzelecki, w miejsce niezadowalającéj teoryi p. Morin'a, stawia swoję teoryą obliczania téj objętości powietrza, która, w obec psucia się jego przez oddychanie i wyziewy skóry, zabezpiecza w pokoju, przy pomocy przewietrzania, jego nieszkodliwość dla zdrowia ludzkiego. Przyjmując, za granicę nieszkodliwości z doświadczeń pp. de Chaumont i le Blanc'a 0,0008 jako ilość gazów szkodliwych (kwas węglany, para wodna i inne wyziewy), robiąc nadto niezbędne przypuszczenia o jednakowém rozpostarciu gazów szkodliwych, za pomocą prostego choć trafnego rachunku, dochodzi autor do ciekawych wypadków teoretycznych, oraz podaje kilka zastosowań swych badań. Przytoczymy niektóre z nich, jako dość interesujące dla ogółu czytelników. Zepsucie powietrza nie przekroczy nigdy granicy nieszkodliwości, jeżeli zepsucie początkowe nie przekracza téj granicy i jeżeli odwietrzanie dostarcza na godzinę i osobę przynajmniéj 100 metrów sześciennych powietrza świeżego, dla chorych zwykłych 133, dla rannych zaś i położnic 200 m. sz., uprowadzając równocześnie takąż ilość powietrza pokojowego. Sypialnia, wypełniona z początku powietrzem świeżém, musiałaby mieć przynajmniéj 800 m. sz. powietrza, aby w niém przy zupełném nieodwietrzaniu jedna osoba zdrowa przez 8 godzin czystego powietrza używać mogła. W pokoju, napełnionym początkowo powietrzem świeżém, w ilości 100 m. sz. na osobę, mogą osoby zdrowe obejść się bez odwietrzania wtedy tylko, jeśli pobyt w nim ma trwać godzinę; inaczéj zaś potrzebować będą na osobę i godzinę po 80, 94, 98, 99, 100 m. sz., jeśli pobyt w nim ma odpowiednio trwać 2, 3, 4, 5, 6 godzin i t. d.

k) „*Wpływ temperatury na przewodnictwo galwaniczne wody*", sprawozdanie z doświadczeń, wykonanych przez prof. E. W. *Skibę* i d-ra Karola *Olszewskiego* (str. 22). Mimo, że prace nad przewodnictwem ciał ciekłych są liczne i staranne, jednak, prócz wzmianki w pracy Hittorf'a, że opór galwaniczny czystéj wody wyzna-

czył E. Weber, jako 1000 przeszło milionów razy większy, niż opór miedzi, nie było dotąd dokładnych pomiarów, odnoszących się do galwanicznego przewodnictwa wody i jego zależności od temperatury. Brak ten właśnie zapełnia niniejsza praca, dokonana za pomocą metod i przyrządów, które pomysłowości badaczów zawdzięczać należy. Wypadki z tych ważnych doświadczeń, dobyte samodzielném i gruntownem obmyśleniem sposobu ich otrzymania, zestawiają autorowie w dziewięciu tablicach, przyczém podają wypadki bezpośrednio otrzymane na drodze doświadczalnéj[1], aby nietylko dać możność innym badaczom sprawdzenia, ale nadto podać materyał do wysnucia innych jeszcze wniosków.

(D. c. n.)

KRYTYKA.

Der Ursprung der Sprache im Zusammenhange mit den letzten Fragen alles Wissens. Berlin. 1877. str. XVI i 374.

Dzieło znanego powszechnie językoznawcy profesora Steinthala „O Początku mowy,“ wyszło obecnie w trzeciém, znacznie pomnożoném wydaniu. Zarówno doniosłość przedmiotu, jak i stanowisko naukowe autora nadają téj pracy znaczenie wyższe i dla tego pragniemy tutaj zdać sprawę z jéj treści.

Całe dzieło Steinthala można podzielić na trzy główne części. Część pierwsza (str. 1 do 143) poświęconą jest historycznemu poglądowi na teoryą o początku mowy; druga (144 do 299), przechodząc do teraźniejszości, zawiera wyczerpujący krytyczny rozbiór poglądów Łazarza Geigera; trzecia część wreszcie (str. 300 do 374) zastanawia się nad doniosłością teoryi Darwina dla rozbieranéj kwestyi.

Co się tyczy historyi, to autor pomija przedewszystkiém zupełnie poglądy starożytnych, odsyłając czytelnika w tym względzie do swéj obszernéj *Historyi językoznawstwa u Greków i Rzymian* (1863). Właściwy pogląd historyczny rozpoczyna dopiéro wiekiem *ośmnastym*.

Po krótkiéj wzmiance o Tiedemanie, który nazywa mowę *wynalazkiem* człowieka, autor poświęca szersze ustępy poglądom Herdera i Hamana, którzy wskazywali już na głębszy związek, istniejący między mową a ogólną naturą człowieka. Lecz ich pojęcia o umysłowym ustroju człowieka były jeszcze zbyt zawikłane, aby mogły służyć za podstawę do *naukowego* badania mowy ludzkiéj. Dopiéro na początku bieżącego wieku Wilhelm Humboldt położył kamień węgielny do takiego badania, wykazując, że mowa

w ogóle nie jest jakimś gotowym wyrobem, jakąś rzeczą skończoną, lecz objawem nieustającéj działalności ducha, podlegającym ciągłym zmianom i rozwojowi; wynikiem ciągłéj pracy umysłu ludzkiego, który z jednéj strony mową wyraża bezpośrednio swoje wrażenia i myśli, a z drugiéj strony przy pomocy mowy kształci samego siebie, rozszerza sferę swego życia umysłowcgo. Ztąd pytanie o początku mowy ludzkiéj ma dla Humboldta to samo znaczenie, co pytanie o początku śpiewu słowika. Człowiek, mówi Humboldt, jest istotą śpiewającą, różniącą się od innych istot tego rodzaju tylko tém, że z dźwiękami łączy bezpośrednio *myśli*. Człowiek z natury umysłu swojego posiada myśli: wyraża takowe za pomocą dźwięków. Takim sposobem pytanie o początku mowy ludzkiéj łączy się nierozerwalnie z pytaniem o początku natury i umysłu ludzkiego. Dla specyalisty zaś, niewdającego się już w rozbiór kwestyi o początku samego ducha, wystarcza przekonanie, że mowa jest naturalnym, koniecznym wypływem ducha i wspólnie z nim powstaje i rozwija się. Ten pogląd Humboldta na wewnętrzny związek mowy z naturą ducha ludzkiego Steinthal sprowadza (str. 66) do zdania: *cogito ergo loquor*, i przypisuje mu to samo znaczenie dla rozwoju nowego językoznawstwa, jakie miało zdanie Kartezyusza: *cogito ergo sum*, dla rozwoju filozofii.

Po szerszém przedstawieniu zapatrywań Humboldta autor w krótkości wspomina o Schellingu, który początek i rozwój mowy łączy jak najściśléj z początkiem mitologii, oraz o znanym filologu Karolu Heysem (ojcu Pawła Heysego), który stosował do językoznawstwa zasady filozofii Hegla, dowodząc, że mowa jest objawem *objektywnego* ducha w człowieku. Poglądy te jednak, pomimo wielu uwag pouczających, nie przyczyniły się do dalszego *naukowego* postępu w rozjaśnieniu kwestyi.

Pracę Humboldta podjęła dopiéro znowu szkoła *historyczna* językoznawstwa, któréj głównym przedstawicielem w opracowaniu pytania o początku mowy był Jakób Grimm. Badanie stopniowego rozwoju mowy przy pomocy materyałów, dotyczących pierwotnego stanu znanych nam języków, oto podstawa historycznego poglądu na rozbierany przedmiot. Grimm przyjmuje trzy główne stopnie rozwoju języków: 1-y stopień obejmuje epokę wytworzenia *pierwiastków* i *wyrazów;*—2-gi doprowadza do *odmiany* wyrazów; 3-ci nakoniec przedstawia ostateczny rozkwit języka przez coraz ściślejsze zespojenie wszystkich odcieni *myśli* z formą językową. Obecnie interesuje nas tylko pierwszy stopień, jako przedstawiający *początek* mowy. Steinthal przyznaje Grimmowi wielką zasługę, że z zupełną jasnością wskazał na ten pierwszy stopień w roz-

woju mowy,—ale zarzuca mu, że stopień ten tylko *opisuje* zamiast *wyjaśnić* jego początek, gdyż zdanie Grimma, że wytwarzanie pierwiastków i wyrazów jest dziełem *instynktu*, nie może uchodzić za naukowe *objaśnienie* kwestyi.

Następujący ustęp autor poświęca pobieżnemu przeglądowi teoryj francuskich uczonych, opierając się w tym względzie głównie na pracy Renana: *De l'origine du langage.* Z uznania godną bezstronnością Steinthal wypowiada tutaj bez ogródek, że kwestya w wieku ośmnastym we Francyi traktowaną była genialniéj (geistreicher), niż w Niemczech, ale pomimo to francuscy myśliciele tego czasu nie rozbierają pytania z jakiegoś nowego bardziéj naukowego stanowiska i dla tego pomija ich zupełnie, przechodząc wprost do krótkiéj wzmianki o poglądach Renana.

Według Renana mowa nie jest ani darem zewnętrznym, ani powolnym mechanicznym wynalazkiem, lecz *samorodnym* wytworém *wszystkich* zdolności człowieka. „Si le langage," mówi Renan, „en effet, n'est plus un don du dehors, ni une invention tardive et méchanique, il ne reste qu'un seul parti à prendre, c'est d'en attribuer la création aux facultés humaines agissant spontanément et dans leur ensemble." Przy dalszém zaś rozwinięciu tego poglądu Renan objaśnia bliżéj, co właściwie rozumié przez owę *samorodność*, *spontanéité*. „Le spontané est à la fois divin et humain." Człowiek przy samorodném wytwarzaniu mowy przyjmuje udział tylko jako *surowa siła* (force brute), wydaje *materyą* języka, lecz *kierunek* téj siły, *forma* języka, pochodzą od Boga, *viennent d'en haut*. Wszędzie działa Bóg ukryty, *le Dieu caché*, który podczas snu duszy indywidualnéj wytwarza owe cuda (merveilleux résultats), nad początkiem których nauka napróżno głowę sobie suszy. Wszystko, co Renan ze względu na naturalny początek mowy wypowiada, sprowadza się do zdania, że człowiek posiada zdolność robienia znaków i wyrażenia swych myśli, podobnie jak posiada zdolność widzenia i słyszenia. „L'homme a la faculté du signe ou de l'interprétation comme il a celle de la vue, de l'ouïe."

Steinthal krytykuje ten pogląd w kilku tylko słowach, lecz nader surowo. Więc mowa, mówi, według Renana, dostała się człowiekowi w udziale podczas *snu!* Człowiek przebudza się ze snu i już ma mowę gotową! Jestto obejście, ale nie rozwiązanie kwestyi! Co się zaś tyczy owéj *faculté du signe* Renana, to Steinthal odrzuca ją zupełnie jako wynik scholastycyzmu. W ogóle utrzymuje, że Renan jest formalistą, niezdolnym do głębszych pojęć filozoficznych; chce on niby drogą historyi i indukcyi dotrzéć

do początku mowy, lecz kwestya ta, według Steinthala, nie jest historyczną, lecz filozoficzną i rozstrzygniętą być może tylko na podstawie metafizyki mowy, o któréj Renan, jako scholastyk pojęcia nie ma.

Ostatni ustęp historycznéj części dzieła zawiera krytyczny rozbiór zasad Humboldta i poglądów, opartych na nich aż do roku 1858. Przyznając nadzwyczajną doniosłość Humboldta dla historycznego pojmowania mowy i w ogóle językoznawsta, Steinthal zarzuca mu jednak sprzeczny w sobie dualizm między historycznèm pojęciem mowy i filozoficzną teoryą o jéj początku. Humboldt był przedewszystkiém historykiem; nagromadzenie materyałów detalicznych, specyalnych, — było głównym jego celem i główną zasługą, pojęcia zaś filozoficzne przejmował od innych i, ulegając w tym względzie wpływom postronnym, nie dbał o to, aby wytworzyć jednolity w sobie pogląd, w którymby teorya filozoficzna organicznie się łączyła z materyałem historycznym. Ten zarzut ogólny Steinthal rozwija i uzasadnia w sposób szczegółowy; nie mogąc jednak w tém krótkiém sprawozdaniu śledzić za krytyką autora, powiemy tylko, że z rozbiorem Humboldta łączy wykład swoich własnych poglądów, wypowiedzianych w drugiém wydaniu swego dzieła w r. 1858. Poglądy te mogą być streszczone w następujących zdaniach (str. 119 i nast.).

Mowa, jak słusznie zauważył Humboldt, jest *pracą ducha*, *eine Arbeit des Geistes*. Naukowe badanie zaś téj pracy jest przedmiotem *psychologii*. Ztąd kwestya o początku mowy jest na wskróś *psychologiczną*. Otóż z tego *psychologicznego* stanowiska okazuje się, że mowa jest najpierwotniejszym faktem życia duchowego, *das erste Ereigniss des Geistes*, za pośrednictwem i przy pomocy którego wyradzają się wszystkie inne objawy duchowe. Jeżeli stosując się do zwykłego sposobu mówienia, rozróżnimy *ducha* (Geist) jako objaw samowiedzy, myśli o inteligencyi w wyższém znaczeniu od *duszy* (Seele) jako wyrazu wrażeń, uczuć i popędów, pozbawionych jeszcze wyższego światła świadomości, natenczas *dusza*, tworząc mowę, dokonywa pierwszego aktu *duchowego*, zostaje *duchem*. Jak oko jest organem wzroku, a ucho organem słuchu, tak *mowa* jest organem *myśli*. Proste *wrażenie*, znajdując w słowie odpowiednią formę dla swego *wyrażenia*, dochodzi do *świadomości* siebie, staje się *myślą*. Ztąd *mowa* uważaną być winna za konieczny *środek* uduchowienia świadomości, a ponieważ duch jest najcharakterystyczniejszym wyrazem *człowieka*, więc powiedzieć można: mowa jest koniecznym środkiem *uczłowieczenia*

świadomości; a kwestya o jéj *początku* jest kwestyą o powstaniu ducha z natury, o prawach umysłowego rozwoju człowieka.

Dla bliższego wykazania tego początku Steinthal łączy powyższy pogląd na psychologiczną istotę mowy z nauką Herbarta o *appercepcyi*, rozwiniętą daléj przez Lazarusa w dziele: *Leben der Seele*, (1856 zob. szczególniéj tom II-gi str. 28 i nast. i 159 i nast. pracy Lazurusa). Okoliczność ta wymaga z naszéj strony krótkiego objaśnienia istoty appercepcyi, bez któréj poglądy Steinthala nie mogą być należycie zrozumianemi. Otóż, przez *percepcyą* rozumiemy w psychologii pierwsze świadome przyjęcie wrażenia, bez względu na stosunek tego nowego wrażenia do całéj, istniejącéj już w duszy treści umysłowéj; tymczasem mówiąc o *appercepcyi*, mamy na myśli akt zrównoważenia się jakiegoś nowego wrażenia z danym poprzednio zasobem życia umysłowego; akt, że tak powiém, assymilacyi duchowego pokarmu przez całą naszę organizacyą umysłową. Każda nowa treść, wpływając na nas, *albo* zostaje przyjętą w skład naszego ducha,—a wtedy wszystkie istniejące już w nim pierwiastki dążą do zgodności, do porozumienia się z nowym przybyszem i układają się według jego wymagań,—*albo* téż proces assymilacyi téj nowéj treści napotyka trudności ze strony istniejących już w duszy zasobów, —a natenczas powoduje pewien rozruch w życiu wewnętrzném, który uspakaja się tylko wtedy, gdy treść, sprzeczna z owym zasobem duchowym, znowu oddaloną zostaje. Ten to właśnie proces assymilacyi, nazwany niezbyt szczęśliwém wyrażeniem *appercepcyą*, odgrywa nadzwyczaj ważną rolę w poglądach Steinthala na początek mowy. Istnieje bowiem według niego (str. 133) pewne prawo fizyczno - psychicznego mechanizmu, na zasadzie którego treść nowo do duszy wstępująca, napotykając w niéj pierwiastki zgodne, łączy się z niemi i wyraża tę łączność bezpośrednio za pomocą dźwięku, wyrazu. *Wyraz* jest poprostu wynikiem procesu appercepcyi, łączącego się bezpośrednio z dźwiękiem. (Powyższe poglądy Steinthal rozwiązał bardziéj szczegółowo w swoim *Abriss des Sprachwissenschaft.* 1871 T. I. str. 198 i nast.).

Pomijamy tutaj specyalne rozwinięcie powyższych poglądów Steinthala z r. 1868, pomijamy jego teoryą o *trzech* pierwiastkach (*Factoren*) mowy, jakiemi są: 1-o *dźwięk*, jako wcielenie myśli, 2-o *wewnętrzna forma mowy* (innere Sprachfórm), czyli pewien określony sposób wcielenia myśli w słowo, 3-o *treść umysłowa* (Gedankeninhalt) t. j. wyobrażenia i pojęcia, będące przedmiotem mowy; pomijamy wreszcie jego pogląd na historyczny rozwój języków, ich

klasyfikacyą i t. d., są to bowiem kwestye, których wykład zmusiłby nas do zbytniego rozszerzenia ram niniejszego sprawozdania. Przystępujemy tedy wprost do przedstawienia poglądów Steinthala na *obecny* stan kwestyi o początku mowy, t. j. na stan, który się wyrodził w ostatnim lat dziesiątku.

Charakterystycznėm znamieniem najnowszego stanu kwestyi jest połączenie jéj z badaniami dotyczącemi *początku* i *prahistoryi* (Urgeschichte) rodu ludzkiego. Badania te były głównie wynikiem teoryi *Darwina* o pochodzeniu gatunków. Lecz jeszcze przed wystąpieniem Darwina i zupełnie od niego niezależnie opracowaną została kwestya o początku mowy z powyższego stanowiska przez Łazarza *Geigera* w dziele: *Ursprung u. Entwickelung der menschlichen Sprache u. Vernunft*, rozpoczętém już w r. 1852 a ostatecznie wydaném w r. 1868. To téż obszernemu rozbiorowi teoryi *Geigera*, jako pierwszego przedstawiciela *obecnego* stanu naszéj kwestyi, poświęconą jest najobszerniejsza część dzieła Steinthala.

Geiger, ze względu na filozoficzne podstawy swych teoryj językowych, jest *sensualistą*, *naturalistą* i *fatalistą* zarazem. Pierwszy początek *myśli* wyprowadza z wrażeń *wzrokowych*. Wrażenia te oddziaływając najsilniéj na pierwotnego półczłowieka, pozbawionego jeszcze mowy, a nazwanego przez *Häckla homo alalus*, wycisnęły mu z piersi pierwsze *dźwięki*, które stały się znakami dla oznaczenia *widzianych* czynności przedmiotów i témsamém *zrodziły* myśli i pojęcia o tych czynnościach i przedmiotach. A ponieważ z natury rzeczy wynika, że pierwotnie uderzały owego półczłowieka tylko najprostsze, zwierzęce objawy własnego sposobu życia, przeto według Geigera wszystkie języki pochodzą od niewielkiego zasobu wyrazów, oznaczających te objawy. Wyrazy oznaczające tarzanie się, gryzienie, krzyczenie i t. d. są tedy najpierwotniejsze, a wszelkie wyrazy, oznaczające czynności lub przedmioty skomplikowane, sztuczne, *powinny* być wyprowadzane z pierwiastków oznaczających czynności lub przedmioty prostsze, naturalniejsze. Zgodnie z tém Geiger dowodzi, że narzędzia otrzymują zawsze swe nazwanie od czynności, do której służą, przedmioty codziennego użytku od sposobu ich wyrabiania i t. d. Tak np. *mielenie* pochodzi od pierwiastków, które oznaczają *tarcie*, *gniecenie* palcami; *malowanie* od *brudzenia*, *mazania*; *pisanie*, *pismo* od *tatuowania*, *znaczenia* i t. d. O dowody *etymologiczne* Geigera pytać nie można, gdyż zgóry zapowiada, że stara się dokonać przewrotu w całém dotychczasowém językoznawstwie, stawiając naukę o *znaczeniu* wyrazów (Bedeutungslehre), a zatém, co dla niego jedno i toż samo, o stopniowym ro‑ oju pojęć, wyżéj po nad *etymologią*. Ta ostat-

nia ma dla niego właściwie tylko znaczenie naukowéj ilustracyi teoryj o rozwoju *znaczenia* wyrazów i dla tego nie jest przedmiotem samodzielnych poszukiwań. Co się wreszcie tyczy ógólnych *praw* rozwoju, którym wszystko na świecie, a zatém i *mowa* podlega, to Geiger zaprzecza z zasady prawu przyczynowego związku między objawami i utrzymuje, że wszystko na świecie jest wynikiem długiego *czasu*, powolnych *zmian*, szczęśliwego *przypadku* (Zufall).

Szczegółowe rozwinięcie powyższych poglądów Geigera i wszechstronna krytyka takowych stanowi równie zajmujący, jak i pouczający rozdział w dziele Steinthala. Krytyk z jednéj strony przyznaje doniosłość ogólnego stanowiska Geigera, łączącego kwestyą o początku mowy z kwestyą o ogólnym rozwoju kultury i oświaty, z drugiéj jednak strony wykazuje z całą surowością brak jasności, krytyki i naukowéj metody w szczegółowém rozwinięciu téj ogólnéj zasady. Najwybitniejszy jednakże punkt krytyki Steinthala dotyczy ostatecznych podstaw pojęcia *rozwoju*, odgrywającego, jak wiadomo, tak ważną rolę w poglądach nowszego naturalizmu. Długość *czasu*, powolne *zmiany* są kategoryami, przy pomocy których dziś *wszystko* objaśniają, z których i Geiger korzysta dla wytłómaczenia początku i rozwoju mowy. Otóż Steinthal, podobnie jak i wielu innych krytyków darwinizmu, z całą jasnością wykazuje (str. 271 i nast.), że kategorye te nie mogą służyć za *logiczną* podstawę dla pojęcia *rozwoju*. Prawda, że teorya powolnych zmian (*Allmähligkeits—theorie*) posiada niezaprzeczone znaczenie w *geologii*, gdzie przez nagromadzenie niezliczonego szeregu powolnych takich zmian, dokonywają się przewroty ogromne. Lecz podczas gdy w geologii przewroty te objaśniają się *naukowo* na zasadzie prostéj *sumy* działających poprzednio czynników, tego samego o zmianach w rozwoju istot żyjących powiedzieć nie można. Tutaj wynik ostateczny nie jest prostą *sumą* działających czynników, lecz czémś zupełnie *nowém*, wywołaném wprawdzie przy udziale i pod wpływem tych czynników, ale nie daje się wyprowadzić z ich prostego połączenia. Kwestya zatém z *czego* i w *jaki sposób* to *nowe*, ten *wynik* rozwoju powstaje, pozostaje *naukowo* nierozwiązaną, choćbyśmy się i odwołali do najdłuższych peryodów czasu. Potrzeba tu będzie zawsze posiłkować się pojęciem pewnéj *siły czynnéj*, powodującéj najmniejszy nawet akt *rozwoju*. Stosując ten pogląd do kwestyi o początku mowy, Steinthal mówi (str. 294): prawda że rozwój mowy składa się z wielkiéj liczby maluczkich kroków, prawda, *lingua non facit saltum*; ale pomimo to każdy krok, czy mały czy duży, zawsze jest pewnego rodzaju

skokiem i dokonywa się tylko pod wpływem pewnéj siły, która działa jako bodziec do poruszenia nogi, jako *popchnięcie* (*Stoss*) do dalszego ruchu. *Rozwój* jest sumą tych kroków małuczkich, tych popchnięć, przyjmujących charakter ciągłości tylko w skutek częstych powtórzeń i stałości w swoim kierunku. Otóż w rozwoju mowy, bodźce te są natury duchowéj, sprowadzają się do działania bądź rozsądku, bądź dowcipu, bądź fantazyi, bez których nie byłoby możliwém ani pierwotne oznaczanie przedmiotów wyrazami ani rozszerzanie znaczenia tych wyrazów.

Przejście od powyższéj krytyki poglądów Geigera do rozbioru znaczenia darwinizmu dla naszéj kwestyi stanowi w dziele Steinthala *autokrytyka* jego dawniejszych teoryj.

Autokrytyka Steinthala ma na celu wykazać, jakim modyfikacyom podlegać muszą jego dawniejsze poglądy w skutek teoryi Darwina o pochodzeniu gatunków. Już z przytoczonych zarysów krytyki Geigera wynika, że Steinthal pomimo wszelkich koncesyj dla naturalizmu obstaje jak dotąd tak i nadal przy *duchowym* początku mowy. Sprowadza on tutaj (str. 318) wszystkie możliwe dzisiaj teorye o początku mowy do trzech zasadniczych, które porównywa z teoryami o początku pojęcia *przestrzeni* w umyśle ludzkim; a mianowicie: 1) można utrzymywać, że mowa jest *wynalazkiem* człowieka dokonanym w skutek *doświadczenia*, na podstawie tych samych procesów, które doprowadzają nas do rozróżniania dnia i nocy, kolorów, twardego od miękkiego, do rzeźbienia z drzewa i kamienia figur zwierzęcych i ludzkich, do malowania, pisania i t. d.; 2) można dowodzić, że mowa jest wynikiem fizyologicznych procesów *organizmu* ludzkiego, tak jak np. według wielu, pojęcie przestrzeni jest wynikiem fizyologicznéj funkcyi oka; wreszcie 3) można odrzucić jednostronność zawartą w powyższych poglądach i natomiast bronić zdania, że mowa jest wynikiem funkcyj organicznych, działających pod wpływem licznych procesów *psychologicznych*; podobnie jak dowodzić można, że pojęcie przestrzeni nie jest tylko wynikiem funkcyj zmysłowego oka, lecz wyradza się przy ciągłym udziale procesów *psychologicznych*. Otóż Steinthal, jak dawniéj tak i w swojém najnowszém dziele, obstaje przy tém ostatniém zdaniu, stojącém wedle jego własnych słów, w pośrodku między materyalizmem i jego przeciwnikami. Wszelkie zaś ustępstwa Steinthala dla poglądów naturalistycznych, popartych teoryami Darwina, mogą być sprowadzone do dwóch następujących głównych momentów. 1) Steinthal wyznaje, że dawniéj (jeszcze nawet w dziele z roku 1871) pojmował *psychologiczny* pierwiastek mowy zbyt ciasno, dowodząc, że mowa w ogóle jest problematem *ogólnéj*

psychologii, badanie zaś pojedynczych języków przedmiotem *psychologii narodów*; teraz zaś utrzymuje, że już kwestya mowy w ogóle łączy się jak najściśléj z kwestyami psychologii narodów i uspołecznienia, a tém samém z kwestyą o początku *życia organicznego*. 2) wyznaje, że dawniéj, mówiąc o początku mowy, przyjmował za podstawę obecnego *historycznego* człowieka, oderwał od niego przez abstrakcyą wszelkie wyższe zdolności umysłowe, wyobrażał go sobie w stanie pierwotnym, odpowiadającym mniéj więcéj stanowi umysłowemu dziecka, i przy pomocy téj analogii starał się dotrzéć do pierwszych początków mowy; tymczasem teraz, w obec teoryi Darwina, przekonywa się, że ta analogia jest niewłaściwą, a oparte na niéj pojęcie o człowieku pierwotnym, fikcyą, gdyż dzisiejszy człowiek—dziecko, rodzi się już z pewnemi zdolnościami językowemi, które bierze w spadku po rodzicach, człowiek zaś istotnie pierwotny musiał dopiéro pracą zdobywać te zdolności, aby mógł je przekazać potomkom. Kwestya zatém początku mowy przedstawia się dziś Steinthalowi jako kwestya powstania samego *zarodka* mowy w praczłowieku, rozwinięcia się w nim owych pierwszych zdolności językowych, które człowiek historyczny już od dzieciństwa posiada. Szczegółowego poglądu na ten rozwój zarodków językowych w człowieku pierwotnym Steinthal w obecném dziele nie przedstawia; wymagałoby to według niego zbyt obszernych wywodów, i dla tego odkłada tę rzecz na późniéj; zamierza bowiem, o ile można, wyczerpać ten przedmiot w 3-m tomie swego dzieła *Abriss der Sprachwissenschaft*.

Ostatnie rozdziały pracy Steinthala poświęcone są rozbiorowi poglądów na początek mowy *Darwina* i jego zwolenników *Jägera* i *Casparego*.

Darwin, według Steinthala, nie zdał sobie dość jasnéj sprawy z początku mowy. Raz wyprowadza mowę z *naśladowania* głosu zwierząt; przypuszcza np. że szczególnie uzdolniona małpa mogła wpaść na myśl ostrzedz swych towarzyszy przed napadem jakiegoś zwierza drapieżnego, naśladując jego głos, co mogło być pierwszym zawiązkiem mowy. Tymczasem w inném miejscu, rozbierając pytanie dla czego zawiązki mowy nie rozwijają się u zwierząt, wyznaje, że przyczyny tego faktu szukać należy w braku wyższego *duchowego uzdolnienia* zwierząt i w skutek tego dochodzi do zdania, że przodek człowieka, wytwarzając najpierwotniejszą formę mowy, musiał już posiadać uzdolnienie umysłowe bez porównania wyższe od najbardziéj uzdolnionych małp naszego czasu. Steinthal zgadza się w zupełności z tém ostatniém zdaniem, ale dodaje, że w takim razie początku mowy nie należy szukać w jakiémś fikcyjném naślado-

waniu głosu zwierząt, lecz właśnie w owém wyższém umysłowém uzdolnieniu przodka człowieka, a z tego znowu wynika według Steinthala, że tendencya darwinizmu zniesienia o ile można wszelkich różnic między umysłowém uzdolnieniem człowieka i zwierząt niższych, nie jest wcale uprawnioną. „Nie mówię tego,“ dodaje Steinthal (str. 354), dla jakiegoś arystokratycznego grymasu, ale dla tego, „że początek mowy staje się tém bardziéj zagadkowym, im kto więcéj z jednéj strony dla jego objaśnienia powołuje się na rozwój umysłowy, przewyższający znacznie zasoby najbardziéj uzdolnionego zwierzęcia, a z drugiéj stawia człowieka zupełnie na równi ze zwierzęciem.“

Większe znaczenie, niż samemu Darwinowi autor przypisuje w naszéj kwestyi *Jägerowi*, który w duchu darwinizmu rozwinął swój pogląd na początek mowy w rozprawach ogłaszanych w r. 1867 i 1869 w czasopiśmie „Ausland.“ Podczas gdy dotąd wszyscy, którzy się nad tą kwestyą zastanawiali, przyjmowali za punkt wyjścia *człowieka* i od niego w procesie *regresyjnym* zmierzali do źródła mowy, Jäger przeciwnie, jako zoolog, przyjmuje za punkt wyjścia *zwierzę* i od niego w procesie *progresyjnym* stara się dojść do początku mowy ludzkiéj. Steinthal z góry zapowiada, że jako badacz języka nie obiecuje sobie z takiego postępowania zbyt wielkiego skutku. Jäger wspólnie z Darwinem wyznaje, że mowa najbardziéj uzdolnionego zwierzęcia zasadniczo się różni od mowy najniżéj stojącego człowieka, że gdy w mowie ludzkiéj wyrazy są *znakami* dla oznaczenia rzeczy, mowa natomiast najbardziéj rozwiniętych nawet zwierząt nie przekracza granic bezpośrednich wykrzykników i ruchów mimicznych, łączących się z niemi. Chcąc jednak pomimo to udowodnić założenie, że mowa ludzka powstała ze zwierzęcéj, darwinizm według Steinthala zaciera znowu tę różnicę zasadniczą i uwydatnia jednostronnie pewne momenta wspólne w mowie człowieka i zwierząt, lecz przez to początku mowy bynajmniéj nie objaśnia; wskazuje on wprawdzie na ogólny *kierunek* rozwoju mowy, ale *siłę* czynną w tym rozwoju pozostawia nietkniętą. Okazuje się to dowodnie na poglądach Jägera. Obserwacye jego nad mową zwierząt nader są cenne; badacz języka, mówi Steinthal, z nich skorzystać powinien, ale tezy swéj, że mowa ludzka jest wyższym rozwojem mowy zwierząt, Jäger nie udowodnił i udowodnić nie mógł, dodaje Steinthal, gdyż podobieństwo mowy ludzkiéj ze zwierzęcą jest tylko abstrakcyjne, w rzeczywistości zaś jedna i druga wypływają z zupełnie różnych źródeł *psychicznych*, z zupełnie różnego stopnia umysłowego uzdolnienia i dla tego nie przedstawiają żadnéj ciągłości w swym rozwoju. Mowa ludzka,

według Steinthala, jest w swoim rodzaju *generatio aequivoca*, która tylko na zasadzie właściwych sobie czynników psychicznych objaśnioną być może. Do tego samego wyniku dochodzi autor na zasadzie rozbioru poglądów *Casparego*, który w swéj *historyi pierwotnego człowieka* (*Urgeschichte der Menschheit*), wyprowadzając mowę ludzką ze zwierzęcéj, pomija zupełnie charakterystyczną cechę mowy, polegającą na tém, że wyrazy, jako znaki pojęć, stają się środkiem dla porozumienia się istot myślących.

Z całego powyższego przebiegu treści dzieła Steinthala widzimy, że ma ono przeważnie charakter *krytyczny*. Jako najgłówniejszy zaś wynik *pozytywny* przedstawia się nam zdanie, że właściwego początku mowy nie należy szukać w fizycznym ustroju człowieka i jego funkcyach, lecz w jego *umysłowym* rozwoju, w wyższych zdolnościach ducha, wyradzających potrzebę bezpośredniego oznaczenia myśli dźwiękami. Mowa jest dźwiękiem ducha; ona powstaje i rozwija się tylko tam, gdzie działa duch, myśl, zastanowienie.

H. Struve.

Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce — przez Juliusza *Falkowskiego*. Tom I. Poznań. Nakładem Jana Konstantego Żupańskiego. 1877. 8-o. str. 344.

Uprzedzony zachwalającemi wzmiankami kilku dzienników, z żywém zajęciem wziąłem do ręki książkę o wypisanym powyżéj tytule. Szereg obrazów z niedawno minionéj przeszłości krajowéj, bo z XVIII i początku XIX wieku, skréślony podstawie przeważnie nowych materyałów, listów i rękopiśmie ych pamiętników, to rzecz dla każdego miłośnika dziejów ciekaw i ponętna. Same źródła wprawdzie, choćby najcenniejsze, nie starczają jeszcze, jak nie wystarcza sama materya, przybierająca dopiéro pod ręką sztukmistrza piękne kształty,—potrzeba nauki i talentu, aby z nieforemnego kamienia olśniewający swym blaskiem klejnot wyrzeźbić; w podobnych zaś do niniejszego wypadkach potrzeba przynajmniéj takiego zapasu wiedzy, aby znalezione źródła dawniejszemi wyjaśnić i uzupełnić, aby co najmniéj już wiedzieć, do kogo odnoszą się wykryte przez nas dokumenta.

Bo i jakąż, pytamy, korzyść mógłby np. wyciągnąć beletrysta nieobeznany z dotychczasową literaturą wielkiéj rewolucyi francuskiéj, gdyby mu się udało wynaleść całe archiwum odnoszące się do téj epoki? Thiers lub Sybel gospodarowaliby w niém jak we własnéj szufladzie notatek, ale jakby sobie radził z tą zdoby-

czą człowiek, którego myśl w dziedzinie historyi nie wychodziła po za obręb podręczników?

Nie przypuszczaliśmy zrazu, aby p. Falkowskiego trzeba było policzyć do rzędu szczęśliwych, lecz niezasłużonych wybrańców fortuny, ale chwilowe złudzenie musiało wkrótce ustąpić miejsca przykremu rozczarowaniu. Nie chcę przez to powiedzieć, aby mnie książka pana F. nie zajęła i abym żałował chwil nad nią spędzonych. Nie, gotowem nawet zachęcać każdego, aby ją odczytał od początku do końca, a dozna bez wątpienia niemało prawdziwéj przyjemności, wiele się z niéj nowego dowié i niejednego nauczy.

Wymienione powyżéj zalety publikacyi nie bronią jéj wszakże od bardzo ciężkich zarzutów. Moglibyśmy ich wyliczyć niemało, ze względu jednak na szczupłe ramy sprawozdania, w którém nadto pragniemy wyluszczyć pewną nową sprawę, ograniczymy się do szczegółowego wytknięcia jednego tylko, lecz wielce rażącego fałszu. P. Falkowski dopuścił się przewinienia wcale nierzadkiego w naszéj literackiéj republice, stał się winnym zadziwiającego lekceważenia czytelników do których przemawia.

Zdawałoby się, iż to niezbyt wygórowane żądanie, by każdy autor bodaj w ogólnych zarysach, jeśli już nie więcéj, znał przedmiot, o którym pisze. Na nieszczęście zapominają o tém dość często w kraju, gdzie dyletantyzm króluje wszechwładnie, gdzie nieraz wyrokują o wartości pism historycznych ludzie, co historyą znają z *Weltera* i z *Wieczorów pod lipą*, a dziś jeszcze z całą powagą rozprawiają o rokoszach glinionskich (historyczne!), skoro im się zaś przypomni, co o tém już przed stu laty trzymał ś. p. Naruszewicz, niezmięszani ułatwiają sobie odwrót wytartym frazesem o zgubnym wpływie krytyki, odzierającéj dzieje z poetycznego uroku i wywracającéj wszystko w swym burzącym pochodzie.

I p. Falkowski niebardzo się trudził nad studyami historycznemi, wziął się do dzieła bez przygotowawczéj pracy, bez studyów, bez znajomości źródeł, okrom tych, które mu wpadły w rękę przypadkiem. Pojmujemy teraz, dla czego nienazwane po imieniu osoby, powierzając mu swoje papiery familijne, domagały się ogłoszenia, że „*nie biorą żadnéj solidarności* z jego sposobem zapatrywania się na wypadki i ludzi, bądź z publicznego, bądź z prywatnego stanowiska“; nie pojmujemy tylko, dla czego udzielając mu ich, nie zażądały, by zamiast tworzyć dość sztucznym sposobem obrazy, ogłosił raczéj same tak ciekawe materyały, jak listy Krasińskich, księżniczki Maryi Radziwiłłówny, późniejszéj matki twórcy *Iridyona*, *rękopisne* (sic) pamiętniki Józefa Krasińskiego, wojewodziny Nakwaskiéj i t. d.

Byłby się wówczas ustrzegł tak uderzających błędów, jak ów, który popełnia przez kilkadziesiąt stronic, od trzeciéj począwszy, okazując dziwną niewiadomość w rzeczy całemu światu znanéj, a obchodzącéj najściśléj bohaterskie jego opowiadania. Trudno to doprawdy wierzyć, że p. F., rozpisując się szeroko i długo o Zofii z Krasińskich, *primo voto* Tarłowéj, *secundo* Lubomirskiéj, nie wié jak się nazywał pierwszy mąż téj pani i zamiast Jana, wojewody sandomierskiego, wymienia Adama Tarłę, który zginął, w głośnym na całą Rzplitę, pojedynku, że opowiada cały przebieg sprawy, choć bardzo licho, w błogiém przeświadczeniu, że tu chodzi o małżonka Zofii...

A przecięż z pierwszego lepszego podręcznika byłby się mógł dowiedziéć, że ubóstwiany przez gmin szlacheki p. Adam zaślubił w kwiecie wieku niemłodziuchną i hożą dzieweczkę, lecz podeszłą w leciech romantyczkę, bogatą wdowę po hetmanie Chomętowskim, i że dla tego, zapominając o swéj pani, nadskakiwał w niebudujący wcale sposób pięknéj Anusi Lubomirskiéj, zkąd powstała zwada, a o czém nic nie wié nieobeznany z przedmiotem i dla tego wszystkiemu dziwiący się autor.

Przykład ten może służyć za miarę w sądzie o naukowém przygotowaniu pana F. To téż wszędzie w rażący sposób występuje na jaw nieumiejętność podłożenia tła, pod ciekawe zkądinąd szczegóły, wydobyte z rękopiśmiennych źródeł, ztąd ułamkowy sposób opowiadania. Najlepiéj jeszcze pod tym względem przedstawia się Napoleon w r. 1806 i 1807, jakkolwiek szanowny autor szedł tu prawie wyłącznie za drukowaną korespondencyą cesarza. Gdy mówi o téj epoce, czujemy że jest więcéj w swoim żywiole, że ją zna lepiéj, jeśli nie z piśmiennych źródeł, to niejako z tradycyi i ztąd więcéj panuje nad przedmiotem, podczas gdy w dwóch innych opowiadaniach przedmiot panuje nad nim wszechwładnie. Dla tego mimo uporczywych pretensyj do lekkiego, niemal romantycznie, efektownego tonu, nie są to bynajmniéj *obrazy* jak obiecuje tytuł; ale mniéj lub więcéj obszerne wyjątki z wymienionych materyałów, uzupełnione takiemi wyciągami z niektórych druków, jak np. znanych pamiętników Kozmiana,—*Rysu dziejów porozbiorowych* Morawskiego i niewielu innych. A wszystko to związane nicią parafrazy luźnych szegółów lub pospolitą a pretensyonalną frazeologią, zredagowaną w dodatku tu i owdzie tak niepoprawną polszczyzną, jak gdyby wychodziła z pod pióra Francuza.

Czasami nie rozumié autor znaczenia słów przez siebie cytowanych, jakkolwiek innych o to samo posądzać lubi. Tak przytoczywszy ciekawy list biskupa Krasińskiego do Zofii z Krasińskich

Lubomirskiéj, z 20 Sierpnia 1787, dodaje z przekąsem: „Nie wiém czy księżna wiele z tego listu zrozumiała“ (str. 79). Możemy zapewnić pana Falkowskiego, co mu wcale nie uwłacza, że w każdym razie więcéj rozumiała niż on, bo wtenczas wszyscy, o poruszonéj w biskupiém piśmie sprawie, mówili. Musiała przeto wiedziéć o niéj, choć sprawy publiczne były dla niéj obojętne, czego chwalić żadną miarą nie można, choć zasklepiwszy się samolubnie w ciasnéj skorupie familijnych interesów, w najboleśniejszych dla ogółu chwilach nie poczuła żywszego uderzenia serca. Niezupełnie pozbawiona szlachetniejszych ogólnie humanitarnych popędów, nawet w obec włościan, których w ciągu czteroletniego sejmu gnębił ucisk rozłożonego po wsiach żołnierstwa (str. 80), trzyma jednak starannie swe uczucia na wodzy, szafując niemi tylko w rodzinném gronie. Najulubieńszém dla niéj zadaniem niemal namiętnością, było kojarzenie stadeł w swém kole. Autor zapewnia, że „miała wysokie wyobrażenie o świętości małżeństwa“ (str. 72), na stwierdzenie tego zdania przytacza z upodobaniem jéj słowa: „ufundować nową familią, jakaż to zasługa przed Bogiem“, ale silniéj od słów powyższych brzmi nam rada, dana przez dostojną panią Józefowi Krasińskiemu: „Dołóż mu przytém na boku odemnie, że jeśli się kiedy zakocha, *to niech się bierze do swojéj jejmości jak dragon!*“... (str. 58).

Ale nie myślimy podawać charakterystyki księżny, choćby znacznie odmiennie wypadła, niż u pana F. Powiedzieliśmy, że pani Zofia mimo niezbyt chwalebnéj obojętności dla spraw publicznych, więcéj pojmowała o co chodziło biskupowi kamienieckiemu, aniżeli sam szanowny autor. Nietrudno tego dowieść, bo pan F. nie umié nam wcale wymienić okoliczności, wśród jakich działy się rzeczy, w owym liście opowiedziane, nie umié wyjaśnić, dla czego to w Kamieńcu zachodziły takie zmiany. Nie żądamy wcale, aby o tém wszystkiém miał dokładne wyobrażenie, ale moglibyśmy się domagać, aby wiedział tyle przynajmniej, ile mógł zaczerpnąć z poprzedniego tomu (V) Morawskiego. Przeczytawszy niewiele kartek z téj książki, byłby umiał powiązać zawarte w liście szczegóły ze współczesném położeniem i wypadkami, byłby wiedział, że panowała w ogóle w narodzie, a przynajmniej w rządzie, dążność postawienia kraju na obronnej stopie — że w tym celu np. wbrew tradycyjnéj praktyce, rozpuszczano co roku pewną część wojska, a powołując natomiast nowych rekrutów, zwiększano ludność usposobioną do orężnéj walki — że Katarzyna II, zachęcona powodzeniem Patiomkina i Suworowa pośród Tatarów, ścieląc sobie drogę do Carogrodu, zawezwała Stanisława Augusta

do zaczepno-odpornego przymierza, że w tym celu pośpieszył król do Kaniowa, że zresztą, okazując się skłonnym do takiego traktatu przeciw Porcie, szedł tylko za radą, udzieloną przez Roussa konfederatom barskim w słowach: „skoro znów wybuchnie wojna między Turkami a Rosyą, ta zaś wezwie was polacy, do przymierza, kwapcież się wówczas, nie tracąc okazyi do wprowadzenia w życie pożądanych reform!"

Wytknęliśmy właśnie ten a nie inny wypadek niewiadomości autora, by korzystając ze sposobności, wyjaśnić bliżéj sprawę na podstawie oryginalnych korespondencyj króla, brata jego prymasa (Michała) i biskupa Krasińskiego, znanych tylko z cząstkowego zużytkowania w jedném z pism galicyjskich, a udzielonych nam łaskawie przez pana Kaliksta Orłowskiego, który je odziedziczył w spadku po dziadzie, zacnym generale Józefie Orłowskim, komendancie nasamprzód Kamieńca po Wicie, następnie zaś Warszawy w r. 1794, żołnierzu i literacie, bo z osobliwém zamiłowaniem przekładał Horacego.

Zdaje się, że w porze królewskiéj podróży do Kaniowa, oświadczył biskup gotowość popierania całą duszą zamiarów królewskich, t. j. ufortyfikowania Kamieńca Podolskiego. Stanisław August jeszcze przed wyjazdem (a więc przed 23 lutego) wydał różne w tym samym celu rozporządzenia; a mianowicie pragnąc doznać ustępstw ze strony osiadłego licznie w twierdzy duchowieństwa, rozkazał wyprawić listy do Rzymu, dla umówienia się u źródła z generałem (zakonników) i z papieżem. Donoszący o tém biskupowi w dniu 27 Kwietnia Prymas pisze w dalszym ciągu: „Szepnąłem cicho Bakałowiczowi (wyprawionemu z Królewskiego ramienia do Kamieńca), aby jeżeli zniesienie Trynitarzów i Karmelitów nie będzie koniecznie potrzebne, tych konserwować: pierwszych z przyczyny, że ich fundusz i dla pomocy więźniom przydatnym być może, drugich, że podobno piękny bardzo mają mieć kościół, a przytém jednego wielkiego domu, właśnie ta sama prowincya (zakon) ustępuje na szpital generalny w Krakowie!"

Od téj pory rozpoczyna się serdeczna korespondencya między starym Barszczaninem o biskupim pastorale, a dawnymi jego przeciwnikami: królem i prymasem. Wprawdzie utrzymują z sobą związki arcy-sekretne: Książę Michał wysyła list przez umyślnego do pocztmistrza w Krasnymstawie, aby ten „jako w swoim interesie dojechał do Lwowa" i wręczył pismo Krasińskiemu „cichuteńko" — a biskup znacznie późniéj pisząc do Wołoszyńskiego, oświadcza: „widzieć się życzyłbym sobie z księciem prymasem, ale *nigdy w Warszawie*" gotów natomiast zjechać do niego

na wieś, na co odpowiada prymas: „uskutecznienie tego projektu bardzo będzie dla mnie miłe!“

Prymas w owéj epoce krzątał się bardzo żywo około dobra publicznego; przewodniczący komisyi edukacyjnéj pospołu z ukoronowanym bratem dokładał usilnych starań w celu dźwignienia oświaty w kraju, łożył koszta na dwadzieścia kilka szkółek parafialnych, usiłował podnieść handel i przemysł, zajmował się gorąco sprawą ufortyfikowania kresów.

Po kaniowskim zjeździe nietylko nie ustają Poniatowscy w zamysłach uczynienia znów z Kamieńca silnéj twierdzy, lecz owszem tém raźniéj przystępują do ich spełnienia. Prymas w liście do Krasińskiego, datowanym z Warszawy 17 Maja 1787, pisze, że reskrypt monarszy, „najlepiéj go informować będzie o intencyach i sposobach exekwowania tychże intencyj dobrego króla, który chciwie się chwycił zbawiennéj i oświeconéj rady J. W. Pana, wykonanie któréj nie mógł w lepsze ręce powierzyć, jak samemu autorowi:

Widać ztąd, że biskup sam wystąpił z propozycyą naprawy Kamieńca, a ponieważ takowa sprzyjała planom Stanisława, więc skwapliwie korzystając z oświadczenia ex-konfederata uczynił go wykonawcą swych zamiarów. Dalszy ciąg prymasowskiego listu, odsłania politykę warszawskiego dworu i stosunek do stolicy apostolskiéj tak samego gabinetu, jak i obydwu naszych książąt Kościoła. „Codziennie się spodziewamy—pisze X-żę Michał—z nuncyuszem jakich wiadomości od J. W. Pana, które nuncyusza postawią w sposobności dania według rozkazów papiezkich ostatnich zleceń zakonnikom i J. W. Panu, o którym, że byłeś autorem tych myśli (t. j. usunięcia mnichów) naturalnie domyślać się możesz, żem się nie zwierzył Rzymowi, ani nuncyuszowi, któryby był może o kogo innego oparł exekucyą onychże. Nic także dotąd nie wspomniałem i wspominać nuncyuszowi nie będę o reskrypcie i ułożeniu onego, w którym *dla tego letkie tylko czyni się wspomnienie o umówieniu się z papieżem, nic nie wzmiankując o interwencyi nuncyusza, ażeby sobie w podobnych przypadkach rąk nie wiązać i w naglejszych potrzebach, albo gdzieby trudności od Rzymu zachodziły własną powagą potrzebne wydawać dyspozycye*, do których J.W. Pan autoryzowany wraz z kolegami tym reskryptem będziesz umiał, jak najzręczniéj i najlepiéj rzeczy ułożyć, jako oświecony biskup a niemniéj gorliwy senator i polak, całość i honor swego kraju kochający.“

Wyraża też prymas nadzieję, że obywatelstwo kresowe zamiast się oglądać na króla i skarb, samo nie będzie szczędziło

ofiar, wiedząc, „że lepiéj jakąś cząsteczkę majątku lub więcéj na ratunek ojczyzny ochoczo ofiarować w równéj proporcyi, niżeli przez ociąganie się poniewolne wszystko lada dzień utracić razem z wolnością, coby łatwo nastąpić mogło, gdyby żywo nie profitowano z tych momentów!"

Król ze swéj strony pisze do biskupa d. 28 Maja, z Wiszniowca, gdzie stanął w powrócie z Kaniowskiéj wyprawy. Wyraziwszy żal, że „z powodu nieprzewidzianéj, a nagle nastąpionéj okoliczności, odjąć sam sobie musiał zamierzonego ukontentowania bytności w Kamieńcu i tam powitania powtórnego w własnéj katedrze godnego biskupa" wypowiada pełne ufności przekonanie, że Krasiński będzie umiał zużytkować załączony reskrypt „w taki sposób, który ojczyźnie bezpieczeństwo i pożytek, mnie satysfakcyą, W. Panu honor przyniesie, a nikomu sprawiedliwego uskarżania się nie da przyczyny!"

A daléj mówi: „Objekt téj imprezy, jako prawdziwie patryotyczny, przez to samo wiém, że zagrzewać będzie duch W. Pana do skutecznego uchylania wszelkich zawad, wykonaniu jego przeszkadzać mogących, i że powaga, roztropność a wymowa W. Pana to łatwém być pokaże, coby dla innego nie przebytém być mogło!"

Szczegółowiéj myśli pańskie ma wyłożyć oddawca listu; król tylko jeszcze, we własnoręcznym przypisku, dodaje te charakterystyczne słowa: „gdy przezorność W. Pana będzie wynajdywała fundusze, dotychczas prawie niewiadome, bądź W.Pan upewniony, że na misye prywatne strwonić ich ja nie pozwolę, ale jedynie na pożytek zmocnienia fortecy one obracać będę!"

Biskup Kamieniecki nie zasypiał sprawy, nie zawodził położonego w sobie zaufania. Stanął niebawem „projekt ulokowania mniszek, szkół z mieszkaniem dla profesorów, i koszar"; zredagowany ze szczególną bacznością na dobro twierdzy, którego przytaczamy wyjątki. „Dominikanów—czytamy tu—nieuchronnie przenieść potrzeba z Kamieńca, albo podług dawnego ułożenia do Latyczewa, lub teraźniejszego, do Baru, na miejsce Karmelitów.... Dominikanki przenieść na miejsce Dominikanów. Dla opędzenia kosztów reperacyi muru, potrzeba uchwały ze strony komisyi, aby fundusz cały mniszek i każdéj szczególności posag był autentycznie wynotowany na fortecę, gdy zaś wszystkie wymrą, cały fundusz na tenże poszedł koniec.... Szkoły, kolegium i oba kościoły: stary i nowy, pojezuickie, obrócić na koszary, bardzo potrzebne w bliskości bramy polskiéj"....

„Trynitarzów, ile do czasu tylko być mających w Kamieńcu, ruszyć teraz potrzeba, ponieważ ciż wiele utracili z funduszu swego, zabranego w kordon i sami téż nie najwięcéj życzą sobie być w Kamieńcu, a nadto i potrzebni téż nie są. Na ich miéjsce przenieść profesorów i szkoły“

W „projekcie“ powyższym nie spotykamy wcale Franciszkanów, jakkolwiek i ich z fortecy rugować postanowiono. Strwożone tém zgromadzenie pozwoliło prowincyałowi wywieźć skrycie z Kamieńca „łaskawy obraz“ świętego Antoniego. Pobożny lud spostrzegłszy stratę, „całe miejsce narzekaniem, wrzawą i płaczem napełnił.“

Sławetny burmistrz miasta, Imć P. Antoni Zwoliński, podjąwszy się wyrazić ogólne oburzenie z powodu prześladowania, jakiego jakoby doznają zakonnicy, i uprosić odwołanie nakazu, w liście do prymasa z dnia 28 czerwca 1787, stara się przekonać go i wzruszyć. Rozwodzi się on nad zgorszeniem pogranicznych Muzułmanów, „którzy zasiągnąwszy o cudach tego obrazu od swych przodków, w Kamieńcu niegdyś lat 28 mieszkających, wiadomości, i sami na ofiarę w szkodach swoich przysyłali.“ Zapewnia że „udawali się do niego“ nawet Żydzi, poczém dodaje: „Kamieniec pomimo protekcyi i obrony dla kraju miewał co rok pospólstwa w dzień tego świętego, do kilku tysięcy zjeżdżającego się“ Błaga więc prymasa w imieniu miasta, „aby patryarchalną w tém Królestwie władzą i powagą, zalecić raczył powrócenie takowej szkody Kamieńcowi, niemniéj zakonników tego klasztoru w témże mieście, choć na inném miejscu utrzymać.“

Ale nierozczulony lamentem pana „prezydenta“ książę Michał, na dniu 9 Lipca suchą i wymijającą daje mu odpowiedź. Dziwi się w niéj „postępkowi Franciszkanów, który nietylko jemu, ale nikomu przyzwoicie myślącemu podobać się nie może“ — nie chce się wreszcie mięszać do téj drażliwéj sprawy, dając poznać, że „ta okoliczność podpada pod jurysdykcyą“ biskupa Kamienieckiego.

Ale zaniepokojone w swych siedzibach zakony, związane tysiącznemi węzłami wiekowéj tradycyi z okoliczną społecznością, podniosły okrzyk grozy przeciw nielitościwemu biskupowi, uciekły się z prośbą o poparcie do swych dobrodziejów i dobrodziejek. Jedna z ostatnich, nie znamy jéj imienia, wstawiła się za OO. Dominikanami do Krasińskiego; ten zaś odpowiada jéj w sposób tak charakterystyczny i jaskrawy, tak dosadny i tak malujący człowieka, polaka i kapłana, że nie wahamy się podać tu obszerniejszych wyjątków z tego pisma, szkoda, że pozbawionego adresu i da-

ty. „Dziwuję się bardzo,“ pisze kościelny dostojnik, „że Dominikanie kamienieccy mieli śmiałość inkomodować J.W.M.W.Panią Dobrodzikę, powiadając, że ja chcę ich przez zawziętość wypędzić z miasta. *Gdyby mieli zdrowy rozum*, powinniby teraz, wyżebrawszy od Rzplitéj cokolwiek, opuścić dobrowolnie przykre dla nich siedlisko..... Przedtém, w dawniejszym nierządzie naszym kiedy garnizon nie składał się tylko z *pięciuset ludzi*, było nam wszystkim przestronno. Teraz zaś, gdy się do *kilku tysięcy* powiększył, zrobiło się dla miasta i dla wszystkich ciasno. Klasztor dominikański jest obszerny i wygodniejszy, niżeli moje seminaryum; jak prędko wsadzą do niego czterdziestu dragonów, tak dopiéro natenczas poznają mnichy, co to jest forteca.“

„Domyślam się ja, że się podobać będzie zakonnikom, *mieć furtę bez klauzury*...., ale niechaj pomiarkują, jeżeli ta wygoda jest warta, żeby dla niéj dawać czterdzieści tarczanów i dwieście fur drew, mianowicie w takim kraju, gdzie wszystkie lasy zamknięte. Najpierwiéj oni sami wiedzą, że są ubodzy, *potem ja wiem, że są swawolni*, jak prędko tedy naprzykrzy się im w dzień żołnierz, *a w nocy instygator będzie łapał po mieście*, tak w krótce muszą szukać inszego dla siebie siedliska, gdzie nie będzie ani żołnierza żadnego ani instygatora.“

„Jeżeli stanął dekret w Komisyi reskryptowéj, tedy nie stanął przez żadną nienawiść, ale na usilne naleganie inżenierów i na reprezentacyą komendanta—dla tego widząc, że potrzebniejsza jest dla kraju fortyfikacya, aniżeli *klatka na mnichy*, kazano im wynieść się do innego klasztoru.“

„Wszakże powinniby wziąść ze mnie przykład, że ja dla fortecy dałem kościółek mój jeden, potém zniosłem dwie rezyndencye kanonickie, na ostatek dałem plac wyznaczony na ogród za rezydencyą biskupią, a rezydencyą naznaczyłem na dwóch kanoników, w nagrodę odebranych domów. Wolno jest stanom sejmującym, skasowawszy dekret, wrócić do fortecy Dominikanów, ale żadna konstytucya nie może ich uwolnić od wspólnych z nami ciężarów, trzeba tedy będzie dać drwa, trzeba dawać tarczany, potém reperować piece, okna i na ostatek płacić kominowe od żołnierskich kominów. Takie wydatki są dla mnichów bardzo kosztowne; trzeba wiedzieć, że fura drew kosztuje siedm złt., więc na czterdzieści żołnierzy wyniesie 1400.“

Ze szczególném upodobaniem wykazuje daléj biskup, jako „upórczywość i nierozeznanie mnichów jest oczywistym dowodem, *że nie mają rozumu*“ aż wreszcie zapominając o swym duchownym charakterze, przemawia o zakonnikach niemal z pogardą: „Każda

forteca ma prawo wypędzić próżne gęby za mury, a rozumiem, *że próżniejszych gąb nie masz w fortecy nad klasztorne*!"

Po téj żółciowéj apostrofie przemawia w sposób bardzo przekonywający: „Czas i doświadczenie nauczy Polaków, że w fortecy więcéj potrzeba spichlerzów, lazaretów, cyrulików, magazynów na broń i armaty, które niepotrzebnie gniją na wałach, aniżeli klasztorów na konserwacyą mnichów..... Kamieniec jest mały na te obszerne potrzeby, ponieważ klasztory zabrały najsposobniejsze miejsca. *Gdyby mieli milion cetnarów złota*, powinnaby ich forteca przyjąć dla obrony krajowego bogactwa, ale dominikanie goli, nie mają z czego sześciu księży wyżywić, cóż tedy po nich w fortecy!"

Upewnia w końcu biskup nieznaną nam damę, że do rugowania zakonników skłania go wzgląd na dobro kraju, które jako „Komisarz reskryptowy" przedewszystkiém mieć winien na oku; na cóż zresztą zda się forteca, którą nieprzyjaciel może dobyć jabłkami"? „Kamieniec został fortecą w imaginacyi saméj u tych, którzy go nie widzieli, ale ktokolwiek dobrze się wpatrzy, znajdzie w nim tyle słabości i tyle niedostatku, że na jego dobycie mało czasu straciłby nieprzyjaciel, a dobywszy, zabrałby całą artyleryą polską, którą do Kamieńca od dawnego czasu zgromadzali. Miejsce jest sposobne, ale od traktatu Karłowickiego opuszczone i zaniedbane; dopiéro teraźniejszy komendant dzień i noc pracuje, żeby dziury połatał, któremiby nieprzyjaciel wchodzić mógł bez wielkiéj trudności!"

Pełen werwy list powyższy mógł zapewne przekonać dostojną opiekunkę OO. Dominikanów, jeśli im ślepo nie była oddaną, lecz to pewna, że samych zakonników i ich bezwzględnych wielbicieli, lekceważącym i pogardliwym swym tonem mógł tylko więcéj jeszcze rozdrażnić. O ile jednak energiczne postępowanie biskupa wywoływało wzburzenie w kamienieckim i okolicznym ludzie, o tyle znów w rządzie wzbudzało najwyższe zadowolenie. Pisma królewskie i prymasowskie do biskupa z téj pory tchną uczuciem najgorętszéj wdzięczności i uznania. „Kapituła JW. Pana, pisze książę Michał z Jabłonny, na dniu 5 czerwca—może nabyć od rugowanych zakonników wioski i folwarki na czynsz wieczny, z nadzieją utrzymania się całkowicie przy tych intratach, gdy kiedyśkolwiek niektórzy zakonnicy i u nas będą zniesieni lub zredukowani, a tak wszystko w kraju i za granicą się ułatwi i autor tak zbawiennego projektu, z powszechną chwałą, spokojnością i wdzięcznością od króla, ojczyzny i odemnie, składającego drobną cząstkę onéjże, dni swe kończyć będzie, słodko zapatrując się na swe dzieło i ratunek obywatelów, z któremi ja się łączyć będę na sej-

mie, aby wystawiona była w tém mieście pamiątka zasłużona Temu, któremu czułe umysły wyryją monumentum aere perennius w sercach cnotliwych, i w dziejach skażonego wieku grzebać się jednak usiłującego ze swych rozwalin, z których może jeszcze powstać potrafi, gdy takie przykłady będą z przyzwoitą pochwałą współczesnym i potomkom do naśladowania podawane“ (1).

Niemniéj pochwalnie brzmią listy króla, wynoszącego głównie postępowość biskupa, bo jak wiadomo Stanisław August lubił, gdy książęta Kościoła wiedli wojnę z mnichami, czy to w życiu jak Krasiński, czy na papiérze, jak dowcipny autor *monachomachii*. Rozpływa się więc nad tak „chwalebnym,“ a u nas tak nowym i rzadkim przykładem, jaki daje biskup „kładąc na stronę wszystkie przesądy do urzędu i do sukni zdawna niby przywiązane“—poczém mówi w najwyższém już, choć zapewne niebardzo szczerém uniesieniu—„gdy Kamieniecka forteca ze słabości swojéj aktualnéj powstanie, gdy zmocnione na nowo jéj obrony przywrócą jéj sprawiedliwie tytuł: *przedmurza chrześciańśtwa* — nietylko na skałach jéj, ale w kronikach krajowych i w sercach obywatelskich ryte zostaną pamiątki, że to dzieło będzie winna ojczyzna biskupowi Krasińskiemu, którego wielbić, będzie słodką powinnością każdego patryoty, a najprzód moją.“

Czegóż jeszcze mógł pragnąć dawniejszy malkontent i konfederat od tych, przeciw którym występował nieraz tak energicznie? Niewiadomo, jak owe niepomiarkowane kadzidła przyjmował, ale to wiemy wszyscy aż nazbyt dobrze, iż nadzieje i przepowiednie dostojnych braci, spełzły marnie, bo Kamieniec niczego nie ocalił, ani nawet nie próbował bronić. Słońce też względów monarszych, choć latem r. 1787 tak pełnym blaskiem oświeciło postać Krasińskiego, odwróciło się od niéj wkrótce. Ambitny i burzliwy ksiądz

---

(1) W tymże liście czytamy: „Nie wątpię, że gorliwość J. W. Pana, wynaleźć potrafi zatajone fundusze zakonników, któreby wystarczyć mogły na zabezpieczenie całego pogranicza, a zatém królestwo od cisnącéj się czasami zarazy, którémiby (zająć) można niektórych marnujących intraty próżniaków do usługi krajowéj w opatrywaniu duchownych i innych potrzeb więźniów, chorych, wysłużonych, sierot i tym podobnych, którym przecię jakiś tytuł duchowności nadać można, zabezpieczający inne majątki od chciwego rozerwania, pod imieniem obrony, kraj dotąd bardziéj uciemiężającéj niż ratującéj.“ Wszystkie listy prymasa pisane są od początku do końca własnoręcznie, charakterem dziwnie brzydkim i dziecinnym.

Adam niedługo potém nazywać będzie króla „Panem Stanisławem," będzie urągał nietylko jemu, ale całemu narodowi, będzie się rzucał niespokojnie, złorzeczył i kąsał, aż w końcu umrze zapomniany w późnéj starości. Szkoda, że Bartoszewicz nie spełnił obietnicy rozpisania się szerzéj, o téj bądź co bądź charakterystycznéj figurze. Sąd jego o biskupie, lubo może zbyt jaskrawy, w ogólności jednak trafny. Była to jedna z tych osobistości ruchliwych, nerwowych, gwałtownych, trawionych ambicyą, dbałych zapewne o dobro ojczyzny, lecz więcéj o siebie, o wyniesienie swoje i bliskich. Mimo arystokratycznych zasad i nienawiści dla „gołego pospólstwa" dla „kanalii francuskiéj," stworzony raczéj na rewolucyonistę niż na biskupa, w porze wybujania Jakóbinizmu, we Francyi byłby może pomyślniejszą odegrał rolę niż w Polsce, gdzie go krępowała nietylko sutanna, lecz także odmienne stosunki.

K. K.

Z podróży Oświecima (Turcya, Francya, Niemcy, Włochy) wydał z rękopisu Klemens Kantecki. Lwów 1876, w 8-ce str. 203.

Opis podróży Polaka zagranicą z lat 1636—1650, za panowania Władysława IV i Jana Kazimierza, w epoce wojny trzydziestoletniéj rzecz to zaprawdę w swoim rodzaju jedyna i ciekawa. Osobistość podróżnika powiększa jeszcze interes: jest to bowiem Stanisław Oświecim, dworzanin Władysława IV, którego imię długi czas było głośne w kraju, jako bohatéra romantycznéj historyi, opartéj na tkliwych, więcéj niż braterskich wrzekomo uczuciach Stanisława dla własnéj siostry Anny. Dopiéro Szajnocha zburzył ten gmach legendowy i wykazał krytycznie, na podstawie własnych pamiętników Oświecima, że miłość jego ku siostrze jest zmyśloną bajką. O wyjątkowéj miłości braterskiéj rodzeństwa świadczą dotychczas kaplica Oświecimów i nagrobki brata i siostry w Krośnie (opisana ostatnio w Kłosach r. 1876 Nr. 588, gdzie tylko mylnie podano datę zbudowania kaplicy 1747 zam. 1647) (1).

Biblioteka Ossolińskich we Lwowie posiada spory rękopism pamiętników Oświecima, bogatych w przyczynki do dziejów XVII

---

1) Że to nie prosta pomyłka drukarska widać z dalszego ustępu, gdzie autor artykułu powiada, że w sto lat potém wyszło dzieło Żegoty Paulego (Starożytności Galicyjskie około r. 1840), a więc panowanie Władysława IV pomieścił w XVIII wieku (Kłosy nr. 588, str. 219).

stulecia. Cały rękopism nie został jeszcze wydrukowany; nawet znaczną część jego stanowiące notatki podróżne całkowicie jeszcze nie są ogłoszone: niniejsza książka zawiera tylko część tych notatek, a mianowicie wspomnienia z podróży do Turcyi w r. 1636, w orszaku posła Rzplitéj Jerzego Krasińskiego, daléj notatki z podróży odbytéj z młodymi Koniecpolskimi do Niderlandów, następnie opis drogi do Paryża i z powrotem do Polski w orszaku Maryi Ludwiki, nowozaślubionéj małżonki Władysława IV. (w r. 1645), nareszcie kilka notatek z podróży do Włoch r. 1650 w orszaku koniuszego koronnego, Aleksandra Michała Lubomirskiego.

Podróż do Turcyi zawiera wiele ciekawych uwag i spostrzeżeń o kraju wołoskim (Mołdawii) i multańskim (Wałachii): hospodar pierwszego był podówczas w nieprzyjaznych z rzeczpospolitą stosunkach, przeciwnie Bessaraba, hospodar multański, knuł z Władysławem IV plany przeciwko Turcyi, ofiarując pomoc w wojskach i skarbach. Podróż urywa się z samém przybyciem do Konstantynopola. Zajmujące są spostrzeżenia autora o stanie ludności tureckiéj, dziś jeszcze prawdziwe; to np. co nasz podróżnik mówi o Bułgarach pozostało i obecnie bez żadnéj prawie zmiany. Ciekawy jest opis nabożeństwa i praktyk religijnych tureckich, które autor porównywa z chrześciańskiemi—jutrznią, mszą poranną, sumą, nieszporami i t. d.

Podróż do Niderlandów odbywał autor w czasie wojny trzydziestoletniéj; wspomina więc nieraz snujące się oddziały Szwedów, opisuje spustoszenie i w gruzach leżące wsi i miasta. Charakterystyczny obraz ówczesnego porządku daje nam np. następujące opowiadanie o pobycie w mieście Bremie.

...„że pocztarz się kwapił, ledwie co poczęliśmy jeść, chcąc się czém ciepłem posilić (bo na przeszłych pustkach nie było co jeść), musieliśmy wszystko porzuciwszy, zaraz wsiadać, abyśmy z miasta wyjechać mogli, bo już słońce zachodziło, atoli nimeśmy do bramy dojechali, bramę zamkniono i onéj nam otworzyć nie chciano. Zaczém nastawszy się prawie do północy przed nią, a nie mogąc nic otrzymać, przyszło się wprosić do domu pobliższego i tam się na słomie przespać, prawie nic nie jedząc.“

Najciekawszy, choć już zkądinąd (np. z Niemcewicza) znany jest opis wjazdu poselstwa polskiego do Paryża po Maryą Ludwikę, ślubu i podróży nowéj królowéj. Ze wszelkiemi szczegółami opisane są przepyszne stroje i kosztowności, któremi byli osypani posłowie, a nawet ich konie; z tych ostatnich jeden, na którym jechał wojewoda poznański, miał złote podkowy i takowe gubił, 23 konie były podkute srebrem. Cały ten przepych pochodził je-

dnakże ze środków prywatnych; o królewskiéj szkatule nieraz potém mówi Oświecim, że była bardzo chudą. Pomiędzy nowożeńcami nastały kwasy jeszcze przed widzeniem się, z powodu futra na którém młoda królowa znalazła kartkę z nazwiskiem, jak powiadano, ulubienicy królewskiéj, a potém z powodu niemłodego wieku, podagry i smutnych przeczuć króla (umarł we dwa lata), a także zawodu, którego doznał Władysław, wyobrażając sobie małżonkę daleko piękniejszą. Podróż i przyjęcia królowéj obszernie opisuje Oświecim i bardzo dużo miejsca poświęca panegirykom wierszowanym i prozą, wypisanym na cześć pary królewskiéj na łukach tryumfalnych, bramach i t. d. w Gdańsku. Ostatnie notatki o podróży przez Wiedeń i Styryą do Włoch mniéj są zajmujące: ciekawe są one głównie z tego chyba względu, ażeby się dowiedzićć, jak to przed 200 laty przebywano końmi i wołami „srogie góry i skały“ Semeringu, Styryi i Karyntyi, przez które biegnie dziś kolej żelazna. W nazwach miejscowości, oprócz sprostowanych we wstępie, jeszcze jest sporo pomyłek, tak np. Kopsuberg na str. 179 może oznaczać tylko miasteczko styryjskie Kapfenberg. Dość obszernie opisuje podróżnik mniemany grobowiec Bolesława Śmiałego w Osyaku i przytacza z niego napisy. Język dzieła, zwyczajem owego wieku, makaroniczny, to jest przeplatany wyrazami i frazesami łacińskiemi; objaśniono je wprawdzie w przypiskach, ale byłoby może lepiéj, gdyby wydawca w samym tekście zastąpił je wyrazami polskiemi. Pomimo to polszczyzna dość dobra; napotykamy tu mnóstwo jędrnych, wyszłych dziś z użycia wyrażeń, jak np. „górowaty“ (górzysty), „nasiadłość“ (ludność), „w głowę (zawzięty) nieprzyjaciel“ i t. d.

S.

Żarysy charakteru Germanów i Słowian przez A. A. — Warszawa 1877.

Olbrzymia potęga, którą rozwinęły dzisiejsze Niemcy, zjednoczone pod berłem monarchy pruskiego, podług zdania autora, grozi wielkiém niebezpieczeństwem światu słowiańskiemu. Niemcy posiadają wiele „przymiotów godnych naśladowania, jak wytrwałość, energia, systematyczność w pracy, oszczędność, zamiłowanie nauk“, i „te właśnie przymioty zasługujące na uwielbienie, skutkiem niezmiernéj niższości słowian w onychże posiadaniu i zastósowaniu, są najskuteczniejszym orężem do walczenia i szarpania ich ojcowizny“ (str. 23), bo u nas „odosobnione usiłowania toną

w bezradności niepamięci o jutrze i lekkomyślności powszechnéj“ (str. 24).

Żywo przejęty tym kontrastem przymiotów u dwóch sąsiadujących ludów, autor odwołuje się do rozsądku, który, „instynktem zachowawczym ku działaniu podsycany, winien wskazać środki ratunku“, i uważa, „że przedewszystkiém gruntowne i powszechne zapoznanie się z owemi przymiotami, którym Niemcy zawdzięczają swą przewagę nad Słowianami, a następnie przyswajanie zasługujących na to, utworzyć może zbawienną tarczę przeciw najazdowi zachodniemu“ (str. 38, 39). Ponieważ zaś „parcie na wschód głównie siłę czerpie w cywilizacyi a nie przewadze oręża“, przeto w téj społeczności, która, siedząc na zachodnim krańcu Słowiańszczyzny, najwszechstronniéj nasyciła się, „sokami owego taranu Germanii, to jest cywilizacyi,“ „rozum polityczny winien uznać skuteczną tarczę przeciw zalewowi obczyzny“ (str. 40). Autor wreszcie wyraża gorące życzenie „oby przyszłość rozwijająca się na tle umiejętnie zrozumianych wzajemnych interesów, wytrącając powoli z wiązanki namiętnosci i dążeń jednego ludu egoizm i butę, przyniosła drugiemu dojrzałość sądu, energię i rządność.“ Życzenie to całém sercem podzielamy; nie zdaje nam się jednak, aby ta przyszłość była bliska i wątpimy, czy droga, po któréj autor kroczył w ciągu swéj pracy prowadzi do tego pożądanago celu. Jeżeli Niemcy biorą nad nami górę przewagą przymiotów dodatnich, jeżeli my marniejemy przez nieoględność, które powtarzając podawnemu: Strachy na Lachy,—lekceważy wszelkie niebezpieczeństwo; to należało rozpatrzéć szczegółowo owe zalety naszych sąsiadów, wykazać o ile która z nich przyczyniła się do rozwinięcia plemiennéj ich żywotności, do wzmocnienia potęgi państwowéj. Z drugiéj strony, wypadało wyjaśnić jaką rolę nasze wady narodowe odegrały w klęskach przeszłości, w jakim stopniu są dziś jeszcze szkodliwe. Wprawdzie, autor w imię rozsądku zachęca czytelnika do rozwagi nad tym przedmiotem, sam jednak nie ułatwia téj rozwagi: rozprawa jego nie tyle przemawia do rozsądku, ile budzi namiętności, schlebia uprzedzeniom plemiennym i zupełnie rozchodzi się z założonym celem, jeżeli ów cel dobrze zrozumieliśmy.

Charakterystyka Germanów czyli Niemców skreślona jest z wyraźną niechęcią. Wszelki objaw życia niemieckiego uległ surowéj naganie. Źle, że student niemiecki jest burzliwy; gorzéj, iż późniéj tonie w sprawach powszednich. Niemcy zużywają wiele słów, Niemcy zalane są broszurami, Niemcy o wszystkiém filozofują, Niemcy mają wielu lichych pisarzy. Co większa, charakterystyka ta nie bardzo jest charakterystyczną (ob. str. 6): można

ją przystosować do każdego niemal plemienia. Wytykając podbójcze usposobienie Niemców, które odbić się miało w legendach religijnych „w przekształceniu słodkiéj tkliwéj natury kobiecéj, na twardą, współubiegającą się z mężami i ojcami w odwadze“, autor zapomniał chyba o legendowych postaciach Wandy, Wlasty, Grażyny, Nastazyi-Dniepry; w dziejach rzeczywistych mógłby znaléść wzmianki o niewiastach lechickich, co to, według powieści Galla, brały w niewolę Pomorzan,—wspomniéć Chrzanowską i późniejsze jéj następczynie, których tu wymieniać nie potrzebujemy. Prawda, że pląsy Germanów odbywały się wśród okrzyków bojowych i szczęku oręża; ale i nasi dziadowie tańczyli z szablą u boku, dobywali szabli z pochew przy modlitwie. Wszystko prawie to, co autor przytacza jako szczegolne cechy plemienia niemieckiego, napotkać można i gdzieindziéj. Utrata tarczy przynosiła hańbę u dawnych Greków; Nestor opowiada, jak u Słowian wschodnich jeden ród walczył przeciw drugiemu, a bezkrólewie po Ludwiku Węgierskim zakrwawiły walki Grzymalczyków z Nałęczami. Jeńców palono na Litwie; podstępów wojennych używano na całéj kuli ziemskiéj; nasz Chrobry często posługiwał się niemi. Gdzież siła, zręczność i przebiegłość nie odnosiły zwycięstwa? Pomsta poprzedziła wszędzie pojawienie się sądów publicznych.—Autor zarzuca Niemcom popędy arystokratyczno-feudalne, bo w Prusach szlachcic obowiązany jest nietylko z ojca ale i matki legitymować się?; mniema, że konstytucya w Prusach wprowadzoną została nie w skutek dobrze zrozumianéj potrzeby i konieczności, lecz że ją zrodziła przebiegłość. Nie chcemy się o to spiérać; powiemy tylko, że jeśli rząd pruski okazał swą przebiegłość „istotnemi usługami, oddanemi skutkiem wykształcenia książkowego ludu, pamięci o jego dobrym bycie, wyborną organizacyą administracyjną i szybkim wymiarem sprawiedliwości“ (str. 15), to przebiegłość tego rodzaju zasługuje na wszelką pochwałę i bodajby jak najpowszechniéj zapanowała na tym padole nędzy i płaczu. Z tego wszystkiego, co wypowiedziano w rozprawie o Niemcach, prawdziwemi wydają się nam jeno uwagi, wyrażone na str. 23—24 szkoda że traktowane pobieżnie i zepchnięte do przypisku.

Zużywszy na odmalowanie Germanów wszystkie ciemne barwy, autor, kreśląc wizerunek Słowian, musiał naturalnie posługiwać się temi barwami, jakie mu jeszcze na palecie pozostały, a więc zanadto jasnemi, przeważnie różowego odcienia. Nic téż dziwnego, iż charakterystyka Słowian ani odznacza się trafnością, ani jest ścisłą historycznie. Gościnność, naprzykład, napotykamy nietylko u Słowian, ale i u Huronów; brątanie się z jeńcami bardzo

est wątpliwe w obec handlu niewolnikami, który Żydzi prowadzili w Polsce za czasów Władysława Hermana. Brak wyróżnień stanowych jest właściwością społeczeństw pierwotnych, zarówno w Słowiańszczyznie przedhistorycznéj, jak w dzisiejszéj Australii; z czasem, różnice między stanami występują wyraźnie, zbyt nawet jaskrawo, a nasze pomniki historyczne wykazują istnienie niewolnéj ludności rolniczéj już za Piastów, już w XII wieku. „Na podziw łagodny i ludzki" rząd u Lechitów karał za naruszenie postu wybiciem zębów, a jeszcze okrutniejszą stanowił karę na cudzołóstwo; śmierć, piętnowanie policzków, ślepienie i rozmaite kaleczenia, znane w zachodniéj Europie, nie były i jemu obce, i to w epoce poprzedzającéj kolonizacyą niémiecką. Przysięga sześciu świadków nakazana przez Statut Wiślicki w razie zarzutu nieszlachectwa posłużyła autorowi do wyprowadzenia mylnych wniosków; przysięga taka stanowiła zwykły dowód sądowy już w epoce poprzedzającéj statut (R. Hube, Prawo pols. w wieku XIII str. 255).—W ogóle autor poetyzuje charakter własnego plemienia; ucho jego z upodobaniem chwyta „rozkoszne i pieszczone dźwięki słowiańskiéj gęśli, które zastępowały odgłos trąb wojennych grzmiących bezustanku na Zachodzie." Jeżeli, jak się nam zdaje, słowa te odnoszą się do epizodu, zamieszczonego u Prokopa z Cezarei, żyjącego w VI wieku po nar. Chr., to przyznać trzeba, że gęśl słowiańska bardzo donośnie brzmiała, skoro w echu jéj dźwięków dziś jeszcze rozpoznać można żywioł łagodzący obyczaje Słowian. Dziwna jednak, że w muzykalnych Niemczech muzyka nie wywarła podobnie dobroczynnego wpływu.

Kończąc, winniśmy oświadczyć, że im bardziéj szanujemy zacne intencye autora, które go skłoniły do ogłoszenia swéj pracy, tém więcéj żałować nam przychodzi, iż w praktyczniejszéj nie wyraził ich formie.

St. Ł.

KRONIKA NAUKOWA.

Fosforescencya lofiny.

(Odkrycie prof. Bronisława Radziszewskiego).

Profesor chemii w uniwersytecie Lwowskim, pan Bronisław Radziszewski, zajmując się przez czas długi chemiczném badaniem hydrobenzamidu, amaryny i lofiny, zrobił ważne odkrycie uboczne, które rzuca silne światło na naturę zjawiska fosforescencyi, czyli własności świecenia w ciemności bez zwykłych zjawisk ognia.

Z rozmaitych prac nad lofiną prof. Radziszewski dowiedział się, iż najlepiéj jest oczyszczać ją przez przekrystalizowanie z alkoholowego roztworu potażu. Używając tego sposobu, spostrzegł, że lofina w tym roztworze rozkłada się bardzo powolnie i że wywiązuje przytém światło dość znacznego natężenia. Dość jest, według niego, włożyć do epruwetki kilka centygramów lofiny i nalać na nie stężonego roztworu alkoholowego potażu lub sody, aby zobaczyć to zjawisko, trzymając podobną epruwetkę w ciemności, przy zwykłéj pokojowéj, a lepiéj, przy nieco podwyższonéj temperaturze, widzimy łagodne światło białe, trwające przez czas bardzo długi. Gdy prof. Radziszewski użył 100 gramów lofiny i 300 gram. wodanu potasu rozpuszczonego w alkoholu, światło było tak silne, szczególniéj przy wstrząsaniu płynu, że w odległości 2—3 stóp można było rozeznawać twarze osób obecnych, a w odległości 1—2 cali odróżniać litery i wskazówki zegarka. Już przy dziesięciu stopniach Celc. światło jest widzialne, a w skutek powolnego ogrzewania nabiera siły i dochodzi do maximum natężenia przy 65° C.; od tego punktu słabnie i w chwili, w któréj alkohol wrzeć zaczyna, nagle znika. Gdy kolba, zawierająca roztwór lofiny, znaj-

duje się w spokoju, świeci głównie tylko górna warstwa roztworu, a na powierzchni w pewném oddaleniu od brzegu pojawia się jasna obrączka. Środek i brzegi powierzchni słabiéj świecą. Gdy silnie wstrząśniemy całą masą, powierzchnia pokrywa się szumowinami, które w postaci wysp świecących unoszą się na niéj. Najpiękniejsze zjawisko występuje wtedy, gdy zmięszamy z sobą filtrowane roztwory potażu i lofiny i silnie je skłócimy.

Na zasadzie doświadczeń czynionych w celu rozjaśnienia natury tego zjawiska, badacz nasz przychodzi do wniosku, że jest ono skutkiem bardzo powolnego procesu utleniania się lofiny w roztworze alkalicznym.

Podobne zjawisko okazuje hydrobenzamid i amazyna, a daléj paraaldehyd, metaaldehyd, furfuryna, hydranisamid, anizidina, aldehyd octowy i inne ciała do grupy aldehydów należące.

Fakta te z jednéj strony przedstawiają analogią z przyczyną fosforescencyi fosforu, a z drugiéj rzucają pełne światło na świecenie niektórych zwierząt.

Wiadomo, że wszystkie czynniki, niszczące samozapalny fosforowodór, wyłączają możność świecenia fosforu. Wychodząc z tego punktu, Donny i Szuch wnieśli, że przyczyną fosforescencyi tego pierwiastku jest tworzenie się i gorenie samozapalnego fosforowodoru. Różnica w natężeniu i barwie płomienia fosforowodoru i mdłego światełka fosforu w ciemności, nic przeciwko téj hypotezie nie mówi, gdyż, jak już to dawniéj dowiódł prof. Radziszewski, płomień fosforowodoru oziębiony i pozbawiony stałych produktów spalenia świeci tak słabém niebieskawém światlem, jak fosfór w ciemności. Odkrycie przyczyny świecenia aldehydów wykazuje analogią tego zjawiska z fosforescencyą fosforu i pozwala domyślać się, że i w pewnych innych przypadkach fosforescencya polega na powolném utlenianiu się, że jest jedném słowem nadzwyczaj słabém goreniem.

Nie mniéj ważny wniosek można ztąd wyprowadzić odnośnie do świecenia niektórych zwierząt. E. Duchemin w rozprawie swojéj nad świeceniem żyjątka Noctiluca miliaris podaje, że na delikatnéj ręce sprawia ono wrażenie podobne do sparzenia się pokrzywą; prawdopodobną więc jest rzeczą, że wydziela kwas mrówkowy, podobnie jak mrówki, niektóre prządki i t. d. Prof. Radziszewski przypuszcza, że Noctiluca nie wydziela gotowego kwasu mrówkowego, tylko jego aldehyd, który powoli utlenia się na

powietrzu na kwas mrówkowy, dając zjawisko fosforescencyi. Naturalnie, dodaje prof. Radziszewski, hypoteza ta wymaga potwierdzenia doświadczalnego.

Biologiczne znaczenie materyj działających na zmysł smaku i powonienia.

W badaniach natury, posiłkujemy się wyłącznie prawie zmysłem wzroku, słuchu rzadko kiedy używamy, a innych zmysłów, jako niższych zupełnie zaniedbujemy. Szczególniéj węch i smak były pod tym względem w pogardzie. Tymczasem zachodzi pytanie, czy i im się nie należy bardzo ważne miejsce w badaniach? *A priori* pytanie to rozwiązać należy w znaczeniu dodatniém, gdyż z jednéj strony nie powinniśmy lekceważyć żadnego środka, będącego w naszéj mocy, a z drugiéj wiemy, że węch wyraźnie reaguje na bardzo małe ilości niektórych materyj, tak małe, że ich żadnym innym sposobem wykryć nie można. Okoliczność ta powinna być dostateczną pobudką do zrehabilitowania tych dwóch „niższych zmysłów“ i do zastosowania ich do badań, które praktycznemi rezultatami swemi dowiodą, ile się od wrażeń tego rodzaju mamy spodziewać. Choćby rezultaty były zupełnie ujemne, to jednąk odnieślibyśmy tę przynajmniéj korzyść, że stwierdzilibyśmy przypuszczenie, dotychczas wcale nieuzasadnione. Jednakże nie zanosi się wcale na to, i owszem początki badań opartych na tych wrażeniach każą się spodziewać, że roztoczą one przed badaczem nowy świat faktów, niemniéj ważnych od widzialnych, choćby dla tego, że będą im służyły za dopełnienie. Badania prof. dra Gustawa Jägera, pomieszczone niedawno w Zeitschrift für wissenschaftliche Zoologie, dowodzą, że przypuszczenie to nie jest dalekiém od rzeczywistości.

Skład chemiczny zwierząt uchodzi dotychczas za rzecz drugorzędną. Z powodu trudności badania ciał proteinowych, w zoochemiach naszych traktuje się o tak małéj ilości materyj zwierzęcych, że gdy się ją porówna z kolosalną liczbą i rozmaitością gatunków zwierząt, to się przychodzi do przekonania, że na tém polu prawie nic nie zrobiono, a ponieważ nie brakło wielu usiłowań, więc możnaby dojść do rozpaczliwego wniosku, że sama rola jest jałową, albo téż nasze środki bezsilnemi. Jednakże tak nie jest. Niezależnie od zwykłéj drogi badania, która przecięż w przyszłości powinna nas doprowadzić do dokładniejszych wiadomości pod tym względem, posiadamy nadzwyczaj czułe odczynniki chemiczne w naszym węchu i smaku. Wprawdzie porozumienie się co do

tych wrażeń jest bardzo trudne, gdyż człowiek ucywilizowany zaniedbał swych zmysłów chemicznych i nie doszedł do tego, żeby mógł się dokładnie wyrażać o ich stanach; atoli bądź co bądź w pewnym stopniu porozumienie jest możliwe, a po stworzeniu właściwéj metody i stosownym rozwoju badań, definicya tych wrażeń może dojść do nieprzeczuwanéj obecnie doskonałości, takiéj np. jaką się odznacza auskultacya przy dyagnozie chorób.

Punktem wyjścia dla profesora Jägera jest fakt, że *każdy gatunek zwierząt ma właściwą sobie woń, wyziewaną z ciała.* Nawet człowiek z wcale niewykształconém powonieniem odróżni z zawiązanemi oczyma, jedynie po zapachu, konia od wołu, kozę od sarny, psa od kota, łasicę od lisa, wronę od gołębia, kurę od kaczki lub papugi, jaszczurkę od węża. Na zwierzętach zaś służących nam za pokarm łatwo przekonywamy się, że każde z nich ma *smak specyficzny*, tak, że nikomu nie trzeba mówić, iż to, co spożywa, jest baraniną, gęsią i t. d. Smak w ogóle daleko rzadziéj daje się zastosowywać do rozpoznawania gatunków zwierząt i dla tego téż więcéj się można spodziewać pod tym względem od zmysłu powonienia.

Twierdzenie o specyficznym smaku i woni zwierząt, można według Jägera rozszerzyć do następującego zakresu: *Specyficzną woń wyziewu ma nietylko każdy gatunek morfologiczny, ale także każda rasa, każda odmiana, a wreszcie nawet każdy osobnik.* Co do tego ostatniego punktu, to nasz własny zmysł węchu opuszcza nas, gdy chcemy badąć podobne subtelności; ale możemy o nich wiedzieć pośrednio: psy np. poznają tak dobrze swego pana po woni, jak ludzie po rysach twarzy. Taka indywidualizacya chemiczna nietylko istnieje u człowieka, lecz uważać ją należy za zjawisko powszechne. Za dowód tego twierdzenia służyć mogą następujące fakta.

Gdy bartnik chce wprowadzić do osieroconego ula nową królową, to musi ją najprzód wykadzić, t. j. nadać jéj woń wyziewu właściwego danemu ulowi, a wiele faktów przemawia za tém, że pszczoła i mrówka, dla obcych ulów i mrówek *pachną* obczyzną.

W zoologicznych ogrodach w n lawaniu jednego zapachu znaleziono wyborny środek wywołania sympatyi w dwóch osobnikach jednego gatunku, szczególniéj płci przeciwnéj; zaniedbanie zaś tego środka bywa często przyczyną groźnych utarczek. Zwierzęta żyjące w monogamii poznają się zawsze od razu, nawet w nocy: bez przypuszczenia, że samiec i samica zawsze poznają się po swéj indywidualnéj woni, trudnoby było ten fakt zrozumieć. Nadto Jäger mniema, że wybór samca czy samicy, u ptaków trzymanych

w jednéj klatce, lub téż u psów, większa sympatya okazywana jednym niż drugim osobnikom, ma także źródło we wrażeniach powonienia.

Różnice zapachu odmian są dla naszych zmysłów dostępniejsze, szczególniéj u roślin. Odmiany roślin hodowanych, np. drzew owocowych, można doskonale rozpoznać po smaku owoców. Różnica woni ras, szczególniéj ludzkich jest dla nas bardzo wyraźną (murzyni), a nawet rozmaite stany różnéj woni wyziewy wydają (woń chłopów, szewców, krawców i t. d.). O ile ta woń stanów ma wewnętrzną podstawę tego, Jäger nie chce rozstrzygać, ale bądź co bądź utrzymuje, iż nie jest ona czysto zewnętrzną, naleciałą.

Oprócz woni indywidualnéj, odmianowéj, rasowéj i gatunkowéj, istnieje jeszcze według Jägera *charakterystyczna woń rodzajów, rodzin, rzędów i gromad*. Specyalne wonie gatunków pewnego rodzaju przy całéj swéj rozmaitości, okazują pewne podobieństwo, często bardzo wyraźne: to samo stosuje się i do rodzajów jednéj rodziny, do rzędów i gromad, jednem słowem, podobieństwa i różnice materyj działających na powonienie i smak, są w ścisłym stosunku do stopnia pokrewieństwa morfologicznego. Dla potwierdzenia tego mogą służyć następujące przykłady:

Bardzo wyraźny zapach *rodzajowy* mają pomiędzy zwierzętami ssącemi, np. łasice, koty, kozy, jednokopytne, antylopy, jelenie. Pomiędzy ptakami najwyraźniejszy zapach posiadają gołębie, kruki, sępy, strusie. Z większych grup zwierząt możemy mieć przykłady na woni małp, przeżuwających, gryzących, świń, jaszczurek, wężów, płazów, ryb, a nawet według Jägera możnaby tak samo mówić o woni ssących, ptaków i gadów, jak mówimy o woni ryb i płazów. Toż samo odnosi się do zwierząt bezkręgowych: zbiór motylów zupełnie inaczéj pachnie niż zbiór chrząszczów, a woń pluskiew, muchy hiszpańskiéj, maika i t. d. jest tak wyraźna, że pociemku można po niéj te zwierzęta odróżnić. U mięczaków wyraźniejszym od węchu jest smak. Nikt nie weźmie smaku ostrygi, za smak omułka (Mytilus edulis), lub sercówki (Cardium edule); podobnież odróżnia się mięso skorupiaków, jak raka rzecznego, homara, pająka morskiego (Maja squinado). Trepang inaczéj smakuje, aniżeli jeżowiec jadalny (Echinus esculentus), różniący się znów od cyntyi (Cynthia microcosmus), jadalnéj nad morzem Śródziemnem. Jednem słowem, twierdzenie o specyficzności zapachu i smaku stosuje się widocznie do królestwa zwierząt i roślin, a różnice w tym względzie są zgodne z różnicami morfologicznemi. Ztąd wnieść wypada, że przy przekazywaniu chara-

kterów morfologicznych, materye wonne i działające na zmysł smaku mają ważne znaczenie.

Zkąd pochodzi ten specyficzny zapach i smak zwierząt? Wiadomo, że materye wonne znajdują się w kale, w moczu, w wydzielinach skóry; są niemi przejęte włosy, pióra i t. d. Nadto znany jest fakt, że krew zwierzęcia, traktowana kwasem siarczanym wydaje taką samę woń jak kał tego zwierzęcia. Woń więc nie jest zewnętrzną naleciałością, pochodzącą z zanieczyszczeń (exogeniczną), lecz własnością endogeniczną, związaną z substancyą żyjącą. Odnosi się to również w zupełności do smaku ciała; o tém każdy z góry jest przekonany. Nadto fakt okazuje, że za pomocą rozkładu można odjąć krwi właściwy jéj zapach; zkąd wynika, że należy odróżniać materye wonne i działające na smak już gotowe, od tych z których one powstają, a które wcale, albo w małym stopniu okazują odpowiednie własności. Tym *rudom*, że tak powiémy, materyj działających na zmysł smaku i powonienia, Jäger nadał nazwę saporigenów i odorigenów (smakorody i woniorody), podobnie jak chemik nazywa chromogenami ciała, dające początek barwnikom.

Zachodzi teraz pytanie w jakim stosunku są saporigeny i odorigeny do protoplazmy zwierzęcia.

Zdawałoby się na pierwszy rzut oka, że można szukać wyłącznego ich źródła w pokarmach, jako zawierających materye działające na smak i powonienie; jednakże tak nie jest. Wprawdzie, zależność wyziewu od pokarmu jest znaczna, bo np. pies żywiony mięsem końskiem wydaje woń daleko ostrzejszą, aniżeli karmiący się odpadkami kuchennemi, a więc wszystkożerny; wprawdzie gołębie, żywione wyłącznie tylko mięsem przez Holmgrena, wydawały wyziew przypominający ptaki drapieżne; wprawdzie wszystkie zwierzęta żyjące padliną, lub rybożerne, mają woń bardzo podobną; jednakże inne fakta dowodzą zupełnie stanowczo, że pokarm nie jest wyłącznem źródłem woni. Choćby biały i murzyn jak najdłużéj żywili się jednemi i temi samemi potrawami, choćby człowiek ciągle żywił psy i świnie odpadkami ze swojego stołu, a więc pokarmami, które sam spożywa, to jednak do woni jego wyziewów nigdy nie będą podobne odory zwierząt domowych lub murzyna. Jäger żywił małpy zwierzyńca Wiedeńskiego temi samemi pokarmami, które ludzie jedzą a jednak nie straciły one charakterystycznéj swéj woni. Podobnież pelikany, czaple, mewy, foki, kormorany, psy morskie były tam całemi latami żywione jednemi i temi samemi gatunkami ryb (głównie Alburnus lucidus), a pomimo to kormoran zachował swoję kruczą woń, foka zapach

łasicy, nieco piżmowaty, a pomiędzy psem morskim i czaplą poczuł Jäger przynajmniéj tak wielką różnicę, jaka w ogóle istnieje pomiędzy wonią ssących i ptaków. Koń i wół karmione latami całemi jedną i tą samą sieczką i sianem, bynajmniéj nie upodobniają się pod względem woni, a myszy, które przez kilka miesięcy żywił Jäger wyłącznie tylko chlebem, mają dotąd ten sam odór charakterystyczny, jak w dniu w którym je eksperymentator upolował.

Toż samo się stosuje i do materyj działających na smak. Wywiera na nie wprawdzie niejaki wpływ skład chemiczny czasowo dawanego pokarmu, lecz wpływ ten jest bardzo podrzędny: mięso wołu zawsze będzie miało wyraźny smak wołowiny, czy będziemy bydło karmili sianem, czy wywarami, lub inną jaką paszą.

Widzimy więc, że woń i smak zwierząt mają przynajmniéj dwa źródła, że wynikają one z zmieszania się różnorodnych materyj wonnych i smacznych. Jedna część ma początek w *pokarmie*, druga zaś, przeważająca, pochodzi z żyjącéj substancyi ciała jest smakiem i wonią protoplazmy zwierzęcia. Ponieważ Jäger zastosowuje te fakta do teoryi dziedziczności, więc smak i woń pochodząca od pokarmów czasowo przyjmowanych niewielkie dla niego mają znaczenie, i dla tego główny nacisk kładzie na smak i zapach protoplazmy.

W teoryi dziedziczności chodzi głównie o jakość protoplazmy zarodka, jéj więc skład chemiczny jest dla nas bardzo ważny. Lecz chociaż i tu rezygnujemy z zwykłych środków analizy i chcielibyśmy tylko zdobyć materyał faktyczny za pomocą naszych zmysłów chemicznych, to jednak i one opuszczają nas w téj dziedzinie w bardzo wielu razach. I tak przedewszystkiém jajka ssących, owadów i t. d., usuwają się z pod obserwacyi naszych zmysłów, w skutek nader małych rozmiarów. Daléj, w razach gdy możemy próbować odpowiedniemi zmysłami jajka niektórych gromad, jak np. ryb, gadów, różnice jakie napotykamy w ich smaku o wiele są mniejsze od różnic zauważonych pomiędzy dojrzałemi zwierzętami; a materye wonne schodzą pod tym względem na plan bardzo daleki. Niekiedy jednak różnice w smaku, jeśli wogóle są dostępne, bywają dosyć znaczne: doskonale możemy odróżniać po smaku jaja kurze od kaczych i gęsich, od których znów każdy odróżni jaja czajki. Według Jägera, jaja kazuara nowoholandzkiego mają wybitny smak specyficzny, przypominający słodką śmietankę. Podobnież uczony ten zauważył pewną, choć niezbyt wielką różnicę pomiędzy smakiem jaj kuropatwy kalifornijskiéj, pawia, perliczki, bażanta, indyka,—i przypmina sobie, że gdy przed 20 laty, jeszcze

jako student, wysysał jajka rozmaitych ptaków dla opróżnienia skorup potrzebnych do zbioru oologicznego, często uczuwał znaczne różnice w ich smaku.

Z jaj gadów Jäger poznał tylko jaszczurcze: smak ich jest uderzająco różny od smaku jaj ptasich. Żółwich jaj nie kosztował, ale z autentycznych źródeł wiadomo, że mają smak inny, aniżeli ptasie. Co się tyczy jaj ryb, to nikt nie pomięsza smaku ikry z smakiem jaj kurzych, a nawet każdy łatwo odróżni kawior od ikry śledzia, choć obie te ikry jednakowo bywają przyrządzane. Jajka raka rzecznego mają właściwy sobie smak ostry i, według Jägera, tylko jajka pająków można z niemi pod tym względem porównać.

Na téj podstawie Jäger opiera wniosek, że substancye smakorodne i woniorodne nie tworzą się dopiéro podczas rozwoju osobnika, a zatém nie są nabytkiem ontogenicznym, lecz że tkwią już w protoplazmie zarodka, że osobnik otrzymuje je drogą dziedziczności. Następnie wnosi, że odziedziczanie charakteru (wszystkich własności), zarówno morfologicznego jak i biologicznego, polega przeważnie na tém, że protoplazma zarodka każdego gatunku, rodzaju, rzędu i t. d. zawiera zupełnie specyficzne substancye smakorodne i woniorodne (oraz ekromogeniczne), które w biegu ontogenezy rozwijają się pod względem natężenia i specyfikacyi, w tym samym stopniu, w jakim następuje morfologiczne wyróżnianie się (Detaillirung) ciała.

Ostatni ten wniosek popierają następujące przykłady. Jajko zalęgnięte ma daleko wyraźniejszy smak aniżeli niezalęgnięte, i to tém wyraźniejszy im daléj zalęgnięcie postąpiło. Różnica jest tu tak uderzającą, że oolog wysysający z apetytem jajka świéże, wypluwa z odrazą zawartość jaj cokolwiek zalęgniętych. Daléj mięso nowonarodzonych zwierząt ma smak jałowy w porównaniu z mięsem zwierząt dojrzałych; a wreszcie na zwierzętach z silną wonią wyziewu, np. na kozach można się przekonać, że koźlęta mniéj są nią przejęte, aniżeli starsze.

Różnicom więc systematycznym i ontogenicznym zwierząt odpowiadają w pewnym względzie różnice ich smaku i zapachu. Okoliczność to rzeczywiście uderzająca. Jäger tyle wagi do niej przypisuje, iż w zbadaniu jéj widzi środek posunięcia naprzód teoryi dziedziczności.

Należałoby przedewszystkiem zbadać, czy odorigeny i saporigeny stanowią samodzielne, nieznane dotąd składniki protoplazmy, czy téż tkwią w cząsteczkach już znanych związków białkowatych. Jäger przechyla się na stronę drugiego przypuszczenia, na téj zasadzie,

że podczas pracy mechanicznéj wywiązywanie się woni staje się silniejszém, a więc, że substancye powyższe znajdują się w cząsteczce tych części składowych protoplazmy, które w większych ilościach bywają rozkładane podczas pracy wykonywanéj przez protoplazmę. Jâger stawia także hypotezę co do jakości składników, z których się te substancye wywiązują—ale to wchodzi już w zakres zbyt specyalnych dociekań.

Materye posiadające woń i smak mają doniosłe znaczenie, i z tego powodu, że stanowią nadzwyczaj ważne regulatory stosunków biologicznych w dwóch kierunkach.

Najprzód, woń i smak wpływają na *wybór pokarmów.* Pokarmy zaś nietylko służą do podtrzymywania życia, ale nadto wpływają jeszcze na zachowanie zupełnie określonéj specyficzności życia każdego gatunku zwierząt, to znaczy, że utrzymują specyficzny skład chemiczny jego protoplazmy. Jäger przypuszcza, że istnieje w tym względzie pewien oznaczony, ale dotychczas zupełnie jeszcze tajemniczy stosunek, pomiędzy materyami wonnemi i smacznemi pokarmu oraz takiemiż materyami zwierzęcia, stosunek, który on nazywa *przypodobnianiem, odpowiedniością* (Adäquatheit). Względem materyj działających z zewnętrz na zmysły chemiczne, zwierzę oddziaływa dwojako: odtrąca je gdy nie są przypodobnione, przyjmuje gdy są odpowiednie; pierwsze nazywamy nieprzyjemnemi, drugie przyjemnemi. Przyjemność lub nieprzyjemność, sprawiana przez pewien smak lub woń, zależy według Jägera od dwóch okoliczności: od chemicznéj natury materyi wonnéj lub smacznéj i od chemicznéj natury zwierzęcia. Ta ostatnia zależy według Jägera od woniorodnych i smakorodnych składników zwierzęcia, zkąd wypada, że materye te są *podścieliskami instynktu pokarmowego.*

Daléj, badacz nasz zwraca uwagę na ważność tych materyj w stosunkach płciowych. Nie ulega wcale wątpliwości, że w sympatyi różnych pokoleń jednego gatunku i antypatyi różnych gatunków wiele znaczą wrażenia, odbierane przez zmysły fizyczne, pomimo to jednak i chemiczne zmysły grają tu ważną rolę. I tak np. obserwacye wskazują, że u ssących, motylów nocnych, chrząszczów nocnych i t. d. nadzwyczaj ważne pod tym względem znaczenie ma zmysł węchu, a nawet u zwierząt, które się widocznie kierują wzrokiem i słuchem, np. u ptaków, woń jest czynnikiem nie mniéj od wyglądu ważnym, jak tego najlepiéj dowodzi potrzeba wietrzenia, czyli przypodobnienia woni samców, o czém mówiliśmy wyżéj. Na téj zasadzie można wyprowadzić wniosek, że *podścieliskiem instynktu rozpłodowego* są w znacznym stopniu

specyficzne odorigeny i chromogeny, stanowiące części składowe protoplazmy.

Ztąd znowu wynika podwójny wpływ materyj wonnych i smacznych na dziedziczność: jako wskazówki wyboru pokarmów utrzymują specyficzny skład protoplazmy podczas ontogenezy, tak, że jedna generacya podobna jest do drugiéj, a powtóre, jako regulatory instynktu rozpłodowego czuwają nad tém, aby protoplazma zarodka była zawsze jednakową mięszaniną protoplazmy jajka i nasienia,—a zatém są nie tylko podścieliskami dziedziczności w ogóle, ale nadto podstawami *stałości w dziedziczności.*

Na téj zasadzie Jäger stawia nową, „chemiczną" teoryą transmutacyi, którą w ten sposób formułuje: *Odmianę filogenetyczną tylko wtedy można otrzymać, gdy się uda wywołać suporigeniczną, odorigeniczną (lub chromogeniczną) metamorfozę protoplazmy zarodka.* Dodać winniśmy, że, według Jägera, protoplazma bardzo uparcie się zachowuje względem czynników, mających na celu podobną zmianę, a to na zasadach, których dotyka w ostatnim zeszycie „Listów Zoologicznych".

Teorya Jägera jest tak uderzającą, tak śmiałą, tak daleko sięgającą, że jeżeli zostanie dostatecznie uzasadnioną, to z pewnością stanowić będzie nową erę w nauce. Do teoryi, godzących na podobnie wielkie zadanie, odnosimy się zazwyczaj z niedowierzaniem, nie możemy jednak zataić, że Jäger rozwinął tyle trafnych poglądów, zebrał tak uderzające obserwacye, że pracy jego przyznać musimy cechę doniosłego odkrycia, w którém może leżą zarodki bardzo ogólnéj teoryi.

Bronisław Rejchman.

O PRZESILENIU FINANSOWÉM

NA UKRAINIE I PODOLU.

Wrażenia z Kontraktów Kijowskich.

Kontrakty kijowskie w roku 1877 będą pamiętne zarówno dla interesowanych, jak i dla widzów. Właśnie ci ostatni, ze wzrokiem niezamglonym przez osobisty interes, mogą zastanowić się nad tym szczególniejszym przewrotem w trzech prowincyach, niewywołanym ani klęskami, ani nieurodzajem, ani zbytniém obniżeniem ceny produktów, ale który się zjawił jako owoc żywiołów rozsianych w latach przeszłych nieoględnie i niezupełnie zgodnie z naturą miejscowego społeczeństwa, a których wzrost wybujały nieraz zagłusza zdrowe rośliny na rodzinnéj ziemi od wieków pielęgnowane.

Nie zagłębiając się w czasy odleglejsze, gdy gospodarstwo nie było umiejętnością, ale prostą tylko rutyną, i gdy ogólne bogactwa mnożyły się jedynie oszczędnością, z któréj powstawały zapasy i kapitały, sięgnijmy do lat piętnastu przed nami, a dojrzymy oględne jeszcze pierwiastki przemysłu, który miał kraj skarbami napełnić i który istotnie posiadał w sobie *in potestate* warunki, mogące w znacznéj części te nadzieje urzeczywistnić. Cukrownictwo zaczęło zastępować dawne gorzelnie, były to najprzód indywidualne przedsięwzięcia, które jednego uczyniły zamożniejszym, a drugiemu przyniosły straty; lecz pomyślne, jako téż i niepomyślne wypadki nie miały powszechnego znaczenia, gdyż one oddziaływały tylko na majątek pojedynczych ludzi. Następowały lata nieurodzajne; ceny cukru spadały; niejeden z tych powodów cierpiał, ratował się jak mógł, ale nigdy z tego nie wynikały następstwa, wstrząsające całą pozycyą finansową kraju.

Tak wlekły się interesa, i jeśli od roku 1861 objawiały się smutne chwilowe okoliczności, nie wypływały one z niefortunnych ekonomicznych warunków, ale z innych ubocznych przyczyn, które nie mogły minąć bez zostawienia za sobą śladów, a często bardzo i gruzów. W téj to więc porze, gdy ziemianie nasi łamali się z nowo zaprowadzonemi włościańskiemi stosunkami i z zamięszaniem rozmaitego rodzaju, wśród kraju rozstrojonego, zubożałego, zaczęły się zagnieździć zagraniczne asocyacye, które pozakładały ogromne fabryki cukrowe na akcyach. W skutek tego dał się czuć istotnie przypływ kapitałów; lecz ten kapitał, mający być wkrótce produktami naszego kraju z lichwą zwróconym, nie był udzielonym gotowizną, ale składał się po największéj części z machin i materyałów w innych stronach wyrobionych; nasz kraj, prócz zarobków, jakie ten miejscowy przemysł miał przybylcom przedstawić, odkrył obszerny i korzystny targ dla cudzych wyrobów, bo właśnie najgłówniejsi akcyonaryusze byli fabrykantami i ich przemożne wkłady urosły nie z gotówki, ale z machin i materyałów, które oni nieskąpą dłonią, nowo budującym się cukrowniom dostarczyli. Przytém przedsięwzięcia te, pod kierunkiem ludzi więcéj praktycznych i doświadczonych, niż nasi przemysłowcy-dyletanci, poszły bardzo pomyślnie, i wkrótce świetne dywidendy napełniły radością tę szczupłą ilość miejscowych obywateli, co także w akcyach Towarzystw zagranicznych udział wzięli. Przyczyniło się téż głównie do tego kilka lat nadzwyczajnie sprzyjających z powodu wysokich cen cukru. Laury przez zagranicznych przedsiębierców za pośrednictwem buraka zbierane zaczęły i naszych jako tryumf Milciada budzić ze snu. Zawiązywały się na prawo i na lewo Towarzystwa; jak niegdyś w krajach niemieckich wystrzeliwały *Burgi* czyhające na przechodniów, tak i w naszym kraju, szczególnie w guberniach Kijowskiéj i Podolskiéj, rozsiadły się jako samołówki na kapitał akcyjne cukrownie. Ta dążność, która opętała te okolice, jak niegdyś Francyą akcye na Mississipi, znalazła poparcie w nowo stworzonéj klasie ludzi, oddanych wyłącznie technicznym i administracyjnym zajęciom przy takich fabrykach, i ten cukrowarniany proletaryat, zmnożony w wielkich rozmiarach ze szkodą innych gałęzi gospodarstwa, poklaskiwał, zachęcał do każdego nowego projektu wzniesienia cukrowni, przesadzał zarobki, namawiał do brania akcyj, bo każda nowa budowa tego rodzaju otwierała sposób do życia dla wielu ludzi w tym tylko fachu usposobionych.

Korzystając z takiego ogólnego nastroju i z istotnie pomyślnego przez lat kilka powiewu na cukier, oraz z otwarcia kredytu przez rozmaite Banki, które u nas wszędzie ponasadzano, jako

wierzbowe koły, co prędko, nie zważając na trwałość drzewa, bujnym wzrostem odznaczają się, pierwotne rezultata tych krajowych Spółek bardzo świetnie zajaśniały. Akcye niektórych fabryk udzielały często od 20 do 40 i nawet do 50 procentów, i nikomu nie przyszło do myśli sprawdzać, czy te dywidendy były rzetelnym produktem naszéj industryi, lub czy tylko ofiarą kapitału, obciążeniem przedsiębierstwa nowym długiem, lub wypuszczeniem dodatkowych akcyj, umiano je do téj wysokości podnieść. Takie wypadki dla szczęśliwych posiadaczy akcyj, pachnące Kalifornią, nietylko podwoiły, a czasem i potroiły nominalną wartość istniejących już akcyj, ale zaraz znaczną zwyżką obdarzały nowo uprojektowane, tak, że każde kółko, zadeklarowawszy zamiar założenia fabryki, na sumę np. rs. 300000, mogło bez trudności we dwa lub trzy dni po swojém ukonstytuowaniu się sprzedać swe akcye, lub obietnice na one, za rs. 400000. Sposób ten wzbogacenia się był bardzo przyjemnym i wabiącym, to téż ubieganie się za akcyami było gwałtowne, a jeśli jeszcze na czele przedsiębierstwa, stanąć raczyła jedna z pieniężnych Astreoid okolicy, wnet około niéj jako Satelity, szeregowały się drobniejsze kapitały, błagające pokornie o odstąpienie im akcyj, co, po proźbach ze znacznym zyskiem dla siebie, względny fundator przedsięwzięcia łaskawie i z przyjaźni tylko im użyczał i, w końcu sam swego nie ryzykując, ale owszem na przedaży akcyj zyskawszy, skromnie poprzestawał na przyznaném wynagrodzeniu za tak wielkie usługi dla Założycieli Towarzystw. Ci zaś, co zachęceni powodzeniami własnych kapitałów nie mieli, a chcieli choć cokolwiek skąpać się w tym Paktolu, zapożyczali się uciążliwie i wpraszali się w grono akcyonaryuszów, zaczynających już w kraju pewny stan reprezentować, bo każdy z nich uważał siebie, jeśli nie za barona jeszcze finansowego, to przynajmniéj za baroneta.

Nie czekając na rzetelne zyski, z rozwoju rzetelnego przemysłu, objawiły się od razu zarobki od samego wypuszczenia akcyj, i ta operacya, wraz ze sztuką utrzymania akcyj w dobréj i wzrastającéj reputacyi, stała się celem głównym, przemagającym nad istotnemi niefantastycznemi zyskami, jedynie w wyrobie cukru źródło swe mającemi. Akcye tworzyły nowe bogactwa, nowe kapitały, które potrafiły chłonąć w siebie rzeczywiste mienie, to jest istotną gotówkę z ochotą na ten sztuczny i do coraz wyższéj ceny postępujący walor przemienianą. Ztąd z téj absorbcyi na wielką skalę rozwiniętéj, musiał nastąpić zastój lub uszczuplenie w innych gałęziach produkcyi krajowéj, bo co tylko było pieniędzy, wpadało do Towarzystw i nastąpiła metamorfoza kapitałów i zapasów

odlewów żelaznych, żelaza, materyałów rozlicznych i tym podobnych przedmiotów, które wtenczas tylko mają swą pierwotną wartość, gdy służą do tworzenia przedmiotów, będących celem fabrykacyi, a bez tego są rzeczą martwą i nieprodukcyjną, a więc i bez wartości zostają.

Dalszém następstwem tylu nowych fabryk, wzniesionych w tak prędkim czasie i w olbrzymich rozmiarach, oraz gorączkowéj czynności, z którą to spełniano, było powszechne podwyższenie cen na wszystko, a szczególniéj na robotnika, który z natury swojéj, jeszcze niedokształconéj, mało z tego odniósł pożytku, ale z wkorzenionych zwyczajów, zarobkiem swoim dochody akcyzy od trunków pomnażał. Śmiało utrzymywać można, iż gwałtowne budowanie fabryk i extensywna uprawa buraków, podnosząc opłatę wszelkiéj roboty, *indirecte* opodatkowała w wysokim stopniu każdą inną produkcyą, co w końcu na czystym wypadku krajowych dochodów odbić się musiało, i jest powodem tego zwątpienia, czy czyste rolne gospodarstwo wynagradza trudy około niego łożone.

Póki cukrownie były stawiane siłami indywidualnemi, każdy właściciel starał się o ile możności o oszczędność, obchodził się mniejszą liczbą Oficyalistów i był nakoniec sam najpilniejszym kontrolerem wszelkich fabrycznych i finansowych operacyj. Inaczéj rzecz się ma z przedsiębierstwem wynikłém ze składek;—tam trzeba suto płacić za to, co właściciel sam i lepiéj dopełniał, niż ci, dla których cudze i do tak wielu należące dobro było samo przez się więcéj obojętne, i którym szło najwięcéj o zebranie z czystych dochodów najlepszéj dla siebie śmietanki, albowiem w nadziei zysków przyszłych, od razu uposażono wspaniale miejsca główniejsze, i nie jeden Dyrektor, stałém wynagrodzeniem i przyznanemi mu procentami, górował nietylko nad najwyższemi urzędnikami księstw Niemieckich, ale nawet nad ministrami królestwa Portugalskiego. Kreacya wielkich spółkowych stowarzyszeń wymagała nietylko rachunkowości skomplikowanéj i umiejętnéj, ale pociągała za sobą utrzymanie ludzi drogo płatnych, którzyby ją kontrolowali i to bez żadnéj pewności, czy to się sumiennie i wedle prawideł dopełnia, bo zbiorowe ciało nigdy tak ściśle dopilnować i we wszystko wglądać nie jest w stanie, jak pojedynczy posiadacz, którego exystencya od losu przedsięwzięcia zupełnie zawisła; spółka jest to osoba fikcyjna, która przez rozkład ciężarów lub strat na wielu nie czuje bólu tak, jakby go uczuł człowiek żywy, i dla braku jęku, któryby ten niezawodnie wydał, zawiadowcy pozwalają sobie nieraz robić na tém spółkowém ciele jako *in anima vili* experymenta, które potém ogół stratą najoczywistszą salduje.

Zważmy więc że jednocześnie i równolegle we wszystkich tych przedsiewzięciach były *dwa prądy;*—jeden, *wyrabianie cukru*, materyalny, widoczny, służący za szyld, ale podrzędny, chociaż był opoką i podstawą całéj téj machineryi;—drugi zaś dla wielu główny, utajony jak mądrość u kapłanów Egipskich, *handel akcyami*, wyciągającemi jak gąbka wszelką gotowiznę, tak dawniéj uzbieraną, jako téż i tę, która z oszczędzonych dochodów wyrodzić się mogła. Liczne banki, dające także świetne rezultata (ale jak się późniéj u niektórych okazało, bardzo niepilnie doglądające tego co się u nich działo), udzielały chętnie pożyczek na zastaw tych akcyj, i można powiedziéć, że śmielsze indywidua społeczeństwa naszego, przez tych lat kilka wyjątkowych, umiały zdobyć dla siebie prawo bicia monety, bo zaledwie nadrukowały akcye wnet je sprzedawały na *risico* nabywających lub, składając je jako hypotekę w Bankach, brały za nie bez trudności gotowe piéniądze. Między publicznością chciwą dorabiania się a bankami nastąpiła gra podobna do téj, którą w szkołach uczniowie nazywają *szubieniczką*, gdzie w jednym banku stawiano, w drugim mazano, a któréj to gry zwykły koniec jest ten, iż ktoś w ostatku powieszonym zostaje. Spekulant np. potrzebujący piéniędzy składa swe akcye w jednym z Kijowskich banków (często nie wedle wartości nominalnéj, ale wedle wygórowanego kursu) i zaciąga pożyczkę na kilka miesięcy. Gdy przychodzi termin wypłaty, biegnie do Odesy i, za pośrednictwem wexlów *de complaisance*, tę samę operacyą w tamecznych kredytowych zakładach dopełnia i tą nową pożyczką dług Kijowski załatwia. Na terminie zaś długu Odeskiego, znowu podobnym trybem w Kijowie piéniędzy dostaje, i tak *per consequens* gra podobna przez lata postępowała. Krach Wiedeński jak zimną wodą oblał i naszę rozgorączkowaną spekulacyą, która stworzyła była jakąś wyłączną, nieswojską atmosferę wśród ludzi co w tym kraju żyli i która gasić już zaczynała inne zajęcia, szlachetniejsze popędy, a nawet upodobanie w uprawianiu nauk i sztuk. Nawet przeszłe towarzyskie życie ucichło, tak że się zdawało, że pamięć zeszłego bez powrotnie znikła;—że nikt o żadnéj przyszłości pod jakąkolwiek chwalebną postacią nie myślał, i że *jedynie zarobek*, tym lub owym sposobem osiągnięty, i nie wchodząc w środki przez jakie do niego dochodzono, na porządku dziennym społeczeństwa naszego przemagał. Chęć zysku, obawa nadwerężenia kredytu tych z któremi się w spółkę skojarzyło, a tém samém żądza ochronienia siebie od strat, zniwelowały nie pozycye socyalne (bo to zrównanie za pośrednictwem innych dźwigni odpowiadałoby potrzebom czasu , ale

pozycye godności osobistéj, i jedynie w celu zabezpieczenia mienia, lub z poszanowania, które ono obudza, uczciwy folguje szachrajowi, prawy fałszerzowi, mający się za honorowego finansowemu rozbójnikowi, a w tém grzeszném pobłażaniu, w téj obawie wystąpienia z prawdą surową, ginie hart duszy i charakteru, a opinia publiczna pustém zostaje echem, nieodbijającém się w sumieniu pojedynczego człowieka, który często uszy swoje zatula, aby ona, zbyt silnie do niego przemawiając, nie pobudziła go do jakiegoś szlachetnego, lecz wedle interesu nierozważnego objawu. Rozmaite podejrzane drogi ku zmnożeniu fortuny, ośmielono się przezywać *pracą*, gdy rzeczywiście cała ta działalność w główniejszych przewodnikach, a którą tém zacném mianem chrzczono, ograniczała się na sztuce przelewania mienia z cudzéj kieszeni do kieszeni tego, co się przed ludźmi jako zasłużony pracownik popisywać umiał.

Od tego więc zwrotnego w Wiedniu przełomu, wywołanego tam temiż samemi przyczynami, rozpoczęło się kolejne schodzenie na dół naszych gwiazd finansowych.

W skutek tego schyłku, z każdym dniem postępującego, upadek finansowy na dwie strony mienia publiczności uderzył:—na *akcye* i na same *cukrownie*. Pierwsze rzadko w tym roku dywidendę dać mogły, a dla czego tak się stało, jest to tajemnicą, któréj Towarzystwa ochoczo wyjawić nie pragną, chociaż przyczyny licznych upadków są nieznane, fakt jednak niepowodzenia jest skonstatowanym. Ztąd wartość akcyj przed laty tak wysoka, i za którą nieoględne kapitały je nabywały, obniżyła się nietylko do nominalnéj ceny, ale w wielu wypadkach do zera; żaden Bank je jako gwarancyą nie przyjmował; ale z przeszłych operacyj, mając je u siebie zastawione, znaglał ich posiadaczy do wykupu; żaden nabywca tak jak dawniéj ich nie poszukiwał, choć wielu je na sprzedaż po niskich cenach wystawiało, i w ogóle, z małemi wyjątkami, akcye *de facto* zajęły miejsce między Neapolitańskiemi i Bajońskiemi sumami. Był to pierwszy cios nadzwyczajnie uciążliwy, bo masa drobniejszych kapitałów zwabiona przeszłemi dywidendami, które stanowiły jedyny sposób utrzymania ich posiadaczy, zmięniła się w martwy papiérek już ku niczemu nieprzydatny.

Drugi równie bolesny cios padł na same cukrownie, już wiele z nich swe operacye zatrzymać musiało, rzucając na pastwę potrzeby mnóstwo ludzi, którzy jako fabrykanci i oficyaliści, byt swój jedynie z bytu tych cukrowni czerpali. Jeżeli się cios ten dotąd, w całéj swéj srogości nie objawił i jeżeli po dziś dzień nie wykrył ruin, które z bliskiéj przyszłości wyglądają, to jedynie dla tego,

że rząd, zasiłkami udzielonemi pojedynczym osobom szczególnie faworyzowanym, a także dostarczeniem dla cukrownictwa tych trzech gubernij pięciu milionów rubli, podtrzymał wiele zakładów od upadku, odroczył go do późniejszego czasu, bo i ta pomoc hojnie zaofiarowana, nie może zostać skuteczną, jeśli nie nastąpią niektóre zwroty, z których jeden od przezorności ludzkiéj, inne od szczęśliwego losu, a nie od woli, a nawet i od usiłowań człowieka są zależne.

Temi ostatniemi koniecznemi warunkami zbawienia tak samych cukrowni, jako téż kapitałów w akcye zmienionych, są urodzaje na buraki i ceny na cukier, i bez tego, wszelkie starania marnie zginą. Ratunek zaś ludzki zasadza się na pilniejszéj administracyi, na zatrzymaniu się w innowacyach przez zagranicznych i fabrykantów zachwalanych;—na zmnożeniu produktu i uszczupleniu kosztów, aby ulżyć cukrowniom w tych przesadzonych budżetach, które nieraz pochłaniały wszystkie czyste zyski fabrykacyj. Do poprawy stanu interesów, przyczynią się także niemało sami akcyonaryusze, jeżeli nie będą uważali swych akcyj za towar do zbycia po dobřéj cenie, ale będą używali swego prawa do śledzenia na każdym kroku tych, którym za wielkie wynagrodzenie losy fabryki powierzają, odrzucą śmiało wiarę w niektóre uzurpowane reputacye wielkości, już sama ich pilność, bez żadnych giełdowych manewrów, wypadkami swemi rzetelnie podniesie wartość tych ich akcyj, —*pańskie oko tuczy konia*, mówi stare przysłowie, które należy zastosować także do wszelkich cukrowniczych operacyj.

K.

Redaktor i Wydawca, *H. Benni.*

Ciąg dalszy omyłek dostrzeżonych w tomie 1-ym.

Stronica	*wiersz*	*zamiast*	*powinno być:*
500	1 od góry	politycznego,	politycznego X,.
,,	4 od dołu	się	ją
503	14 ,,	podzielony	podzielmy
,,	10 ,,	położenie	położeniu
506	6 ,,	uroczych	uroczysk
,,	4 i 5 ,,	niewłaściwości	niewłaściwie
508	1 od góry	Echi-Sahra	Eski-Sahra
,,	2 ,,	Iskiem	Iskieru
,,	13 ,,	pozostałe	powstałe
,,	4 od dołu	Iskiem	Iskieru
509	16 od góry	ci	się
510	7 od dołu	olbrzymio	olbrzymie
512	21 od góry	nie lękającemi	nielękającéj
516	9 i 8 od dołu	słuszność	sztuczność
518	9 i 8 ,,	jusgentiam	jus gentium
,,	6 ,,	jusgentiam	jus gentium
524	2 ,,	1871 r.,	r. 1671,
534	14 ,,	in juria	injuria
,,	11 ,,	Magnanima	Magnanime
,,	10 ,,	exstinetus	exstinctus
543	12 ,,	Mentivis	Mentiris
562	1 ,,	obojętność	umiejętność
564	1 ,, w przypis.	Sotze	Lotze
616	6 od góry	Macaise	Macaire
617	9 ,,	Vulbeus	Vulbens
618	4 od dołu	se génevois	ce génevois
619	18 od góry	Chatrion	Chatrian
621	13 ,,	Czartoryjskiego	Czartoryskiego
622	8 ,,	Calomatta	Calamatta
623	12 od dolu	Doumier	Daumier
737 w tablicy A, kolumna 1-a	wiersz 5 od góry	ołowiane, srebrodajne	ołowiane srebrodajne

---

Uwaga. Kartkę niniejszą umieścić należy na końcu tomu I-go.


Karta etnograficzna
SZLĄSKA GÓRNEGO
i
KSIĘSTWA CIESZYŃSKIEGO
ułożona
przez Lucyana Malinowskiego
W. KS. POZNAŃSKIE
KRÓLESTWO POLSKIE
GALICYA
MORAWA
WĘGRY
OBJAŚNIENIE BARW.
Polacy
Morawianie
Czesi
Niemcy
Granice prowincyi
Międzybórz
Tabor
Syców
Namysłów
Byczyna
Wołczyn
Kluczborek
Olesno
Brzeg
Karłowice
Szaragoszcz
OPOLE
Niemodlin
Lubliniec
Częstochowa
Wielkie Strzelce
Toszek
Tarnowskie góry
Bytom
Gliwice
Katowice
Mysłowice
Prudnik
Kożle
Racibórz
Rybnik
Wodzisław
Pszczyna
Bieruń
Opawa
M. Ostrawa
Frysztat
Skoczów
CIESZYN
Mistek
Frydek
Jabłonków
Bielsk
Biała
Oświęcim
Rys. Leopold Przemyski.
Skala.
mile geogr. 15=1° Równ.
w Lit. B. Sławoczewskiego

